

Koźmian Stanisław

**PODRÓŻ
NAD RENEM
i
W SZWAJCARYI**

Kochany Władysławie!

Od lat trzydziestu, to jest od czasu, w którym odbyliśmy razem
spisaną tu podróż
po Szwajcaryi, tyś dojrzał i stał się użytecznym obywatelem kraju,
jam się
zestarzał i żyję tylko wspomnieniami. Dwudziestoletni młodzieniec,
pełen
gorących uczuć i wszechstronnych zdolności, chciwy wiedzy,
pochopny do czynu,
ale bez opieki i doświadczenia w świat po raz pierwszy wyprawion,
znajdowałeś
się wtedy jakby na rozstajnych drogach. Przyjaźń twoja przypisuje
dziś
przestrogom i uwagom, które ci podczas tej wędrówki mimochodem
napomykałem,
korzystny zwrot i zbawienny kierunek, jaki cię doprowadził do
obecnego
stanowiska. Zażądałeś przeto, abym dla nauki innych ogłosił
dzienniczek wtedy
utrzymywany. Zdaje mi się, że przeceniasz i siewcę i ziarno, które nie
dla tego

dobry plon wydało, że było doskonałem, ale że padło w samą porę i
na wyborną
rolę.

Atoli zapiski, w których przyjaciel moje sobie podobać, odświeżając
dawne czasy

i osobiste wspomnienia, nadając licznym spostrzeżeniom swego towarzysza
znaczenie pomysłów i zasad, które później własną pracą i doświadczeniem w sobie
wyrobił, stają się najczęściej dla obojętnych czytelników nudną i suchą ramotą.
W niniejszej nie ma żadnych, niezwykłych przygód, ciekawych opisów, nie ma nawet
tego rączego a różnobarwnego osnowania, co w opowiadaniach podróżników porywa
rzutkością toku, i wzbudza zajęcie jakby powieść jaka. Za ciężka ona na dorywczy
pamiętnik podróży za lekka, doraźna, bez żadnego systematu, ułomkowa, na książkę
naukową. Więcej tu prostych notatek niż wykończonych obrazów, więcej ogólnych
uwag niż ciekawych szczegółów, więcej pogadanek o własnym kraju niż o
Szwajcaryi, której jeden tylko zwiedziliśmy zakątek. Więc właściwie to ani
podróż, ani poczet rozpraw treści moralnej i politycznej, lecz coś pośredniego;
a co nieodznaczone odrębnie, co się nie trzyma wyłącznie jednego przedmiotu, to
zwykle zawodzi i mało komu się podoba.

Niechże przecież stanie się po woli twojej, a może w dzisiejszej posusze
literackiej ujdzie i ta niejednolita i nieskładna wiązanka; przyda się zaś jeżeli
choć jeden nie umiejący jeszcze wybrać sobie kierunku młodzieniec, jakim w
ówczas byłeś, zwróci bacność na kilka rozrzuconych tu uwag o naszych wadach i
słabostkach narodowych, na kilka rad praktycznych, a obok tego usłyszysz głos

wciąż nawołujący: Amice, ascende superius. Wtedy tobie, coś
przykładem
stwierdził rad tych użyteczność, należeć się będzie cała zasługa; tobie
więc tę
pracę poświęca

Szczery Twój Przyjaciół
X. X.

Grudzień, r.

SPIS ROZDZIAŁÓW. [strony podano według oryginału]

- I. Brzegi Renu ...
- II. Bazylea ...
- III. Zurich ...
- IV. Góra Kamor ...
- V. Kąpiele Pfaeffers ...
- VI. Źródła Renu ...
- VII. Lodospady Rodanu i Aary ...
- VIII. Interlaken ...
- IX. Rigi ...

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

BRZEGI RENU.

Nie ma i nigdy pono nie było dwóch narodów pochopniej szych do
podróżowania, jak
są, dziś Polacy i Anglicy. U obu usposobienie to pochodzi z
jeograficznego i
politycznego położenia ich ojczystych krajów. I w jednych i w
drugich wrodzona

ruchawość umysłu, a nawet i ciała, wielce się ku temu przyczynia.
Zgoła u obu
podróż za granice jest marzeniem młodości, obowiązkiem dojrzałego,
a potrzeba
starego wieku. Lecz jakżeż różne ta pochoptność przybiera u nich
postacie, do
jakżeż odmiennych prowadzi następstw! Anglik, czy rękodzielnik, czy
człowiek
stanu, czy poeta, czuje, iż mu zacieśniona jego wyspa, obrobiona we
wszystkich
kierunkach, nie dostarcza dość wątku, dość surowej osnowy do prze-

tworzania; potrzebuje więc sięgnąć dalej, biegnie do obcych po
materiały. Polak,
władca rozległych, niezapełnionych przestrzeni, pan nieprzebranych
zasobów
pierwiastkowych, nie umie ich porządkować, kształtować; nie zna
sposobów do
wydobycia z nich najwyższej siły, do obrócenia ich ku niewzruszonej
prężności; szuka więc za granicą formy, dźwigni, ścięgna, coby te
bezkształtne, ciężkie, niedołączne ogromy przemieniły w nadobne,
zręczne i
treściwe potęgi. Wprawdzie ostatni poczyną teraz domyślać się, że w
surowym, ale
niesłychanie bogatym materiale, który posiada, leży utajona siła,
ukryty rdzeń
co sam swój zewnętrzny kształt nakreśla, a czego cudzoziemski umysł
i ręka ani
pojąć, ani odbić nie potrafi. Ale to przekonanie za ledwie świtać
poczyną na
najwznioślejszych wyżynach umysłowości naszej. Dotąd nie przeszło
jeszcze ani w
narodowe dążenia, ani w potoczne wypadki towarzyskiego życia.
Dawnym dotychczas
zwyczajem, ile razy przychodzi nam do kształtowania czegokolwiek,
naprzód

udajemy się do obczyzny po wzory. Polak przeto wybiega za granicę z nieograniczoną łatwością podziwiania, uwielbiania wszystkiego.

Anglik przeciwnie

opuszcza swe brzegi, jakby z tronu na poziom zstępował, osłania się w płaszcz

obojętności, jeśli nie pogardy, i kładzie sobie za pierwszą regułę: nil admirari. U ostatniego bezpośrednim, ostatecznym przygotowaniem i zachęceniem

do podróży jest ckliwość, nieukontentowanie, bo to osowiałe "Ich"

Fichtego,

które "setzt sich selbst und erschafft dadurch Alles",

w końcu, gdy mu pola do ruchawości umysłowej zabraknie, nudzi się niesłuchanie i

szuka ku rozrywce obszerniejszych przestrzeni. U Polaka, który się naczytał i

nasłuchał o dziwach cudzoziemskich, ostatecznym bodźcem do wędrówki po świecie

jest gorączka, niepohamowana żądza wtajemniczenia się w obczyznę; oszalałby,

gdyby z domu nie wyjechał. Oba więc wyjeżdżają. U obu od najpierwszego kroku

ojczyzna jest ciągle na względzie, ale systematyczny wyspiarz co tylko zobaczy

nowego, zaraz pod swój ścisły, niewzruszony, z domu wywieziony rachunek

podciąga; Polak zaś, gdzie tylko ujrzy nieznanne sobie urządzenia, w oka mgnieniu

cały swój systemat na nice przewrócić gotów. Jeden, jako machina parowa, choć

przebiega największe przestrzenie, zawsze się jednym trybem w sobie obraca.

Drugi jest jako bystra rzeka, co swój kierunek, swe wiry, nawet swój kolor

odmienia wedle krajów, które przepływa. Obu ogarnia smutek za ojczyznę; ale u

pierwszego jestto żal za cześ wyższem, co za sobą zostawił, w obec
nieskończenie niższego, w którem przebywa; u drugiego jestto
tęsknota poetycznej
duszy, chętnie wyrywającej się z natłoku nowych, obcych zadań do
rodzinnej
swobody, z odurzenia do spokojności, z przymusu myślenia w
karbach praktyczności
do wolności marzenia bez granic. Jeden z najdalszych okolic, z pod
stóp wielkiej
piramidy, z wierzchołków himalajskich wzdycha do zielonych
brzegów Albionu;
drugi wysyła listy do swoich w stylu tej damy, która, wy-

brawszy się w daleka, podróż, już z Wrocławia pisała: "plns je vois de
pays,
plus j'aime md patrie." Ten wałęsa się, majaczy, najczęściej nie
dojeżdża do
ostatecznego kresu, który wybrał sobie za cel wędrówki. Tamten jak
strzała pędzi
na miejsce, które obejrzeć sobie postanowił. Polak ciekawy, uprzejmy,
łatwy do
znajomości, wszędzie zyskuje przyjaciół, co krok dla nowych
związków daje się
odwodzić od głównego przedsięwzięcia. Anglik odrębny,
nieprzystępny, suchy, za
nic ułożonego planu podróży nie odmieni, na dzień oznaczony staje na
punkcie, do
którego dążył, i często wraca nie przemówiwszy słowa do nikogo,
oprócz służących
po gospodach i przewodników po górach. Zgoła u pierwszego zawsze
serca wiele, a
pełno lekkomyślności; u drugiego mało uczucia, ale za to pożytek.
Anglik też
wraca do kraju z kilkoma tylko, ale jasnemi wyobrażeniami, które
zaraz ku

korzyści swoich rodaków drukiem ogłasza. Polak zaś przywozi do domu chaos
najsprzecznieszych, najdziwnieszych pojęć, z których wywikłać się nie umie, a
choćby nawet co gruntownie zrozumiał, to zbyt leniwy, by się wziaść do pióra,
woli trwonić nabyte zasoby na przyjemnych pogadankach przy wieczornym kominku.
Różnice te usposobień i charakterów dałyby się rozprowadzić w niezliczone
gałęzie i kierunki. Pojawiają się one równie w najwyższych jak i najniższych
sferach działalności. Ztądto, osobliwie hołdownicy wszelkich różnojedni,
upatrują w przyszłym.

przymierzu tych dwóch narodów stały zakład spokojności, swobody i szczęścia
europejskiej rodziny. Wedle nich tęcza pokoju i braterskiej zgody, która swym
łukiem obejmie całą Europę, spoczywać będzie jednym końcem na brzegach Tamizy,
drugim na równinach między Wisłą a Dnieprem.
Te i tym podobne myśli uwijały mi się po głowie, gdym w początkach sierpnia
płynął Renem na jednym z tych statków, które codzień krocie ciekawych
podróżników przewożą między Kolonią a Moguncya. Dzień był pogodny. Nader liczne
na pokładzie towarzystwo potraçało się, gwarzyło, szumiało w zamęcie różnych
języków, odmiennych charakterów, najsprzecznieszych spostrzeżeń. Każdy naród
europejski miał swoich reprezentantów. Było jednak coś w tym zamieszonym i

wzburzonem świecie, co jego niezgodnym żywiołom pewny kierunek
i sforność
nadawało. Były jakby dwa bieguny: jeden ujemny, drugi dodatni.
Ujemny siedział w
osobie poważnego, zimnego Anglika, który, zrazu usadowiwszy się
przy sterniku,
nie ruszył się z miejsca aż przy końcu podróży. Obecne towarzystwo
zdawało się
żadnego nie robić na nim wrażenia. Również obojętną mu była
piękność okolicznych
brzegów. Jeżeli patrzył w niebo, to jakby tylko odgadywał stan
atmosfery, ilość
stopni ciepła, podobieństwo jutrzejszej pogody. Jeżeli zwracał oko na
skały i
góry winnicami zasiane, to jedynie dla warstwowego, geologicznego
ich układu. A
gdy poglądał w jasne nurty Renu, widać było, że śledził, czy statek
idzie

w zgodzie z kompasem, przy którym siedział, lub rachował ile się
razy koło
paropławu na minutę obracało. Jednostajny jego ubiór odpowiadał
doskonale
wewnętrznej systematyczności. Surdut, spodnie, kamizelka,
rękawiczki, nawet
chustka, kapelusz i kamasze, były jednej barwy, a w tej trudno było
odgadnąć,
czy była bliższą białego, czy czarnego koloru. Zgoła, gdyby nie twarz
i wysoko
pod same uszy sterczące kołnierzyki, zdawał się być figurką z szarej
bibuły
wyciętą. Zebrane towarzystwo sownie mu odpłacało jego obojętność.
Nikt do niego
nie gadał; a kto raz spojrział, już ku niemu swych oczu nie zwracał.
Choć ścisk

był niezmierny, każdy mijał wyspiarza o podał; między nim a tłumem
był odstęp,
jak chiński mur odrębności. Kołatająca machina parowa i poważna
posepność
Anglika, w jednakowem wszystkich trzymały oddaleniu. Na odwrót
więc znanemu
prawidłu fizycznemu, towarzystwo, które dodatnim oznaczyć wypada,
odstrychało
się od ujemnego, a szukało zgodniejszego z swem usposobieniem
bieguna. Tym był
jakiś żwawy, urodziwy młodzieniec. W półgodziny znał już
wszystkich; a w
zabieraniu znajomości tyle miał uprzejmego taktu, iż zdawał się tylko
drugich
uprzedzać życzenia. Każdemu mężczyźnie coś ciekawego, każdej
kobiecie coś
figlarnego na wstępie powiedział, każde dziecię uściskał i zabawił.
Był więc
duszą tego zgromadzenia, środkiem od którego wszystkie rozchodziły
się
promienie. Gdzie się tylko ruszył, tam był ścisk największy. Chciwie
przysłuchiwano

się jego powieściom, na wyścigi powtarzano jego dowcipki. Kto nie
mógł się do
niego docisnąć, podziwiał przynajmniej jego powierzchowność i
ujmujące ułożenie.
Jakaś godność w postawie, coś giętkiego, artystycznie nadobnego w
całym
układzie, odznaczało go od tłumu. Rysy regularne, lica rumiane, oko
wielkie
niebieskie, pełne życia, usta zgięte do miłego uśmiechu, wąs starannie
utrzymany, jasne włosy spadające bogatemi kędziorami na kształtne
ramiona,
tworzyły harmonijną całość, pogodną głowę, której może Rembrandt
nie chciałby

malować, ale w której Andrea del Sarto, a niezawodnie Carlo Dolci
byłby się
rozkochał. Ubiór odpowiadał postawie, lubo już nieco wjęcej zdradzał
różnobarwną
mozajkowość wewnętrzną.. Czapka zgrabnie na jedną pochyłona
stronę, ciemna
czamarka, ciemniejszym jeszcze wyszywana jedwabiem, letnia
sukmanka od
niechcenia na jednym zawieszona ramieniu, dodawały uroku
rycerskiej postaci. Ale
jak człowiek poważniejszy byłby odkrył w zbytnej jego gadatliwości
i
dowcipkowaniu jakiś nieład i trzpiotliwą ruchawość umysłu, tak
dobry smak byłby
przyganił mnogości złotych łańcuszków, zawieszonych na paryzkiej
kamizelce,
płonącej wszystkimi tęczy kolorami, i czapce, któraby nawet na
tulipanowej
grzędzie niemieckich studenckich kaszkietów, jaskrawością swoją
majestatycznie
odbijała. Polak już poznał współziomka w naszym młodzieńcu; ale
przytomni długo
nie mogli się zgodzić na to, z jakiego był narodu; tak do każdego
zarówno
poprawnie ojczystym

jego przemawiał językiem; a co większa, zdawał się trafiać w osobistą
jego ducha
właściwość.

"Co za ciekawe miasto!" - mówił, odpływając od Kolonii, do kilku
przyjaciół,
których był zaraz na wstępie pozyskał. "Zdaje się, iż każda epoka,
każdy wiek tu
sobie pomnik wystawił. Ta narożna wieżyca z olbrzymim posągiem
biskupa, nie

jestże istnym obrazem średnich wieków? nie zdajeż się być
podwójnem
przedpiersiem dla obrony ku zagnieżdżonym w okolicznych skałach
tym pół-
rycerzom, półrabusiom, przeciw którym napastnictwu nie było rady,
jedno w
przemóżniejszym rynsztunku lub klątwie duchownej. Ten kościół
Najświętszej Panny
na Kapitolu, zbudowany na gruzach świątyni pogańskiej, czyż samem
swem
nazwiskiem nie przypomina stolicy chrześcijaństwa, gdzie co krok
spotykasz
kolebkę nowego na grobie starego świata. Jakoż Rzymowi wszystko
winna Kolonia, —
matce Nerona swe założenie, matce Konstantyna swe pierwsze
chrześcijaństwo. Nawet
dziś jeszcze coś jej zostało z dawnego pochodzenia. Mówiono mi, że
igrzyska,
zabawy, wystawne orszaki w czasie zapust, mają wiele podobieństwa
z rzymskiemi.
A średnie wieki jakżeż tu wspaniale występują? Pierwsze tu
arcybiskupstwo,
pierwsza municypalność, pierwsze miejsce między Hanzeatami."
"Qui non vidit Coloniam, non vidit Germaniam" natrącił jakiś stary
Niemiec,
wyglądający na profesora z Bonn lub Heidelbergu.
"Dziękuję panu za przypomnienie; miało wielką

słuszność to średniowieczne przysłowie. Tu Irlandya przysyłała swych
uczonych,
Anglia swych ambasadorów. Tu bohater Nibelungów, tu Albertus
Magnus,
czarnoksiężnik, tu Tomasz d'Aquinas, jeden z ojców kościoła, tu
wieszcz Petrarca
przebywał, tu leży Duns Scotus, tu w nędzy ostatki życia pędziła
Marya de

Medicis pod całunem posądzeń, że nie była obcą gwałtownej śmierci
swego męża,
Henryka IV. Ta wyniosła budowa Gurzenich, miejsce obór u
cesarzów niemieckich,
postawiona tuż przy baszcie rzymskiej, czyż nie przywodzi na pamięć,
przez ile
to wieków germańskie kajzery wywodziły swą władzę i pochodzenie
od Augustów i
Klaudyuszów, aż ich Saint Empire Romain nie upadło pod sarkazmem
krytyka, który
powiedział o niem, że nie jest ni Saint, ni Empire, ni Romain. Tu
zaiste było
miejsce na grób Trzech Królów. Bogate ich dary, były godłem tych
szacownych
płodów, które ten wielki Ren niosąc ze wschodu, tu w składach
zgromadzał na
targ- kupcom zachodu i północy. A gdy przyszły czasy krucyat, iluż tu
pielgrzymów prosiło u tej gwiazdy, co w trzynaście dni bezpiecznie
Trzech Królów
do kolebki w Betleem zaprowadziła, aby i ich tak spiesznie do ziemi
świętej
zawiodła, choćby też mieli, jak Kasper, Melchior i Baltazar, dwa
tysiące dni do
domu powracać? Mnogie szczyty kościołów, a mówią, że ich kiedyś
było, które
tam górują nad miastem, nie dowodzą, że tu święte panny ginęły
tysiącami, a
męczennicy legionami? A te wspaniałe hotele nad brzegiem, te
uwijające się
statki, z których lekko-

myślny podróżnik wybiega, aby tylko zabrać kobiałkę wody
kolońskiej, jakżeż
dobitnie malują niedołęztwo i trefnisiostwo naszego wieku?"
"Nie tak wiek ten niedołęzny", rzekł jakiś nieco obrażony Kolończyk,
"postanowił

on skończyć i skończy to, co średnie wieki ledwie począć zdołały".
"Rozumiem", odpowiedział Polak. "Wiem, żeście zamierzeli w lat
spełnić
wielkie to dzieło, dobudować tę wspaniałą katedrę, której szkielet, jak
przedpotopowy lewiatan, sterczy tam ogromem swoim z pośrodku
znikającego przy
nim miasta. Bodaj wam tylko starczyło zasobów, wytrwałości,
geniuszu, — a
nadewszystko daj wam Boże płomiennej, powszechnej wiary, bo bez
tej niczego nie
dokażecie. Niegodzi się przecież winić średnich wieków, że nie
dokonały, co
poczęły. Co myśl ludzka w jednej chwili zarysuje, to ledwie krocie lat
wypełnić
zdołają. Zadaniem wielkich ludzi, jak i wielkich epok, jest właśnie
rzucić
zarys, który następne pokolenia w rzeczywistość ubrać powinny.
Kiedy patrzę na
wszędzie niedokończone świątynie, zdaje mi się, że w nich sztuka
bogobojnych
czasów rzuciła rękawicę bezbożnej naszej cywilizacji, by dowieść,
jak mdłe i
niedołężne jest wszelkie wykształcenie, kiedy wiara znikła z
powszechności.
Wierzcie mi, że póki nie nastąpi to odrodzenie się w pierwotnej
prostocie i
gorącości ducha chrześcijańskiego, to ta katedra pozostanie tem, co
wasz poeta
(rzekł, obracając się do stojącego przy nim Niemca,) tak satyrycznie
nazwał: das
Denk-

mal der Vergessenheit; a co wasz satyryk (dodał, uśmiechając się do
przysłuchującej mu się Angielki,) tak poetycznie mianował: the
broken promise to
God, złamane Bogu przyrzeczenie".

Ledwie to rzekł, a już był w kole gwarzących Francuzek, które
chciwie
przypatrywały się miastu Bonn, dokąd statek w tej chwili dopływał.
Beethoven,
któremu pomnik przed rokiem został tam wzniesionym, dostarczył mu
zaraz
przedmiotu najzdolniejszego zając otaczające go grono. Opowiadał
znakomitsze
wypadki życia tego wielkiego mistrza, unosił się nad jego utworami, a
kiedy
rozbierał jego sztukę w Cis-moll, widać było po gestach i ruchu
palców, iż sam
ją grać doskonale umiał.
"A jednak — mówił dalej — Beethoven nie stanął jeszcze na
kierunku, który dziś
sztuka przyjąć musi. Przeznaczeniem naszego wieku, jak w literaturze,
tak w
każdej sztuce, jest tworzyć nie dla wyborowego koła znawców, ale dla
ogólnego
uczucia ludów. Do tego uczucia, myśl choćby najcudowniejsza, skoro
ciągle
powtarzająca się w rozdrobnieniu na najwykwintniejsze kształty, na
najsztubtelniejsze odcienia, nigdy tyle nie przemówi, co proste,
pojedyncze,
szerokie, przestronne jej wyrażenie. Już i tak muzyka ma dość w sobie
nieoznaczoności. Jej różnica od mowy ludzkiej, jest jak stosunek
duszy w
zachwyceniu, we śnie, w magnetyzmie, do duszy w normalnym
stanie. Wywołuje ona
nieznane postacie, odgaduje zakryte potęgi, przelewa się w ducha, w
to, co
filozofowie nazywają psyche ogólnego

świata, odnawia zapomniane przeszłości obrazy, prorokuje, przegląda
w pasmo

wieków; ale żeby to wszystko nie przeszło w gorączkowe marzenia, w kształty zbyt zamdlone, koniecznym warunkiem jest jak największe uproszczenie tego tajemnego związku, tego sentiment intime, które między twórcą a słuchaczem, między artystą a ogółem istnieć powinno, jeżeli ma być zrozumianem, jeżeli ma wywrzeć wpływ swój czarujący. Ztądto Rossini nawet, lubo wyższy geniusz muzyczny, ustąpić musi popularniejszemu Belliniemu. Ztąd drobne piosnki Schuberta więcej mają wartości, niż najpiękniejsze opery. Kilka głębokich krzyków z "Niemej z Portici" przeważa wszystko inne, co Auber kiedykolwiek skomponował. To samo tem jeszcze dobitniej rozumie się o grze na jakim instrumencie. Liszt naprzykład, a przypomina mi go ta wyspa Nonnenwerth, na której panie widzą oto w tym klasztorze jego królewskie mieszkanie, — Liszt, mówię, zadziwia, przeraża grą swoją; ale jakże mało on posiada tego sentiment intime, w którym nasz kochany Chopin nad wszystkich celuje. Dobrze on to zna sam do siebie. Powiem paniom anegdotkę, która jakkolwiek drobna, a może i nieco rubaszna, doskonale maluje i człowieka i artystę. W jednym wielkim mieście, korzystając z pobytu Liszta, ułożyliśmy koncert na ubogich. Pełen zawsze zapachu i nieograniczonej dobroci, z największą chęcią podjął nasze dobroczynne przedsięwzięcie, ale rzekł nam na samym wstępie: "Pamiętajcie, żeby najprzód dać kilka sztuk znako-

mitych, ulubionych, posilnych; ja grać będę na samym końcu; bo
widzicie: każdy
koncert powinien być jak obiad dobrze ułożony; z początku potrawy
zdrowe,
proste, pożywne, dalej dostawki, coraz więcej podniebienie łechcące,
a w końcu
desser; otóż ja jestem ananasem; zepsulibyście całą biesiadę,
gdybyście mnie na
pierwsze danie wystawili". Trzeba było go słyszeć, jak on rozmaite
sztuki i
instrumenta do różnych przyrównywał potraw, żeby się przekonać, ile
dowcipu
wyprowadzić można z najpospolitszego przedmiotu. Jabym to
niechybnie popsuł,
gdybym spróbował powtórzyć. Wolę więc przytoczyć paniom to, co
piękne serce tego
człowieka maluje. Wilią naszego koncertu miał przypadek: na pojazd,
którym
jechał, wpadł inny i dyszlem wybił mu lewą rękę. Łatwo zrozumieć,
że od Liszta
całe nasze powodzenie zależało. Cóż on robi? Zataja swój przypadek,
zamyka się w
domu, najbliższych nawet przyjaciół nie każe wpuszczać do siebie, i
dopiero
kiedy godzina koncertu nadeszła, wychodzi, przybywa do sali, blady,
cierpiący, z
ręką na temblaku, siada do fortepianu i jedną ręką odgrywa
zapowiedzianą sztukę.
Znawcy i przyjaciele jego wyznali, że nigdy lepiej nie grał, nigdy
większego nie
zrobił wrażenia. Byli wprawdzie tacy, którzy twierdzili, iż to umyślnie
zrobił,
dla pokazania całej swej potęgi, — ale już w tem samym posądzeniu
była
najpiękniejsza jego gry pochwała".
Jeszcze z ciekawości i podziwienia nie ochłonęły Francuzki, a każda z
nich
gotowała się jakim sło-

wem i swoja znajomość muzyki pokazać i do dalszej rozmowy
wyłącznie miłego
zaciągnąć gościa, kiedy nasz Polak pochwyciwszy na ramię
przebiegające dziecko
angielskie, poniósł je na tył okrętu i zaczął mu rozpowiadać o dziwach
szybko
ustępującej siedmiu-gór krainy. Ile on tam bogatych kwiatów fantazyi
wywinał z
każdego góry fałdu, ile jaskrawych brylantów rozsiał po każdej
czarownej
dolince, to łatwiej się domyśleć jak opisać. A kiedy zaczął cudowne
powieści o
Drachenfels wytaczać, zdało się, że całą duszą wrócił w dziecinne
lata, w
których go karmiono podobnemi legendami o Krakusie i smoku.
Dziecię to
uśmiechało się z radości, to wpadało w zadumienie. Naiwne jego
pytania i
odpowiedzi przypomniały mi tę dziewczynkę, co pasąc gęsi, kładła się
pod
kapliczką świętego Piotra i patrzyła w niebo, rychło ujrzy dziurkę,
którą ten
święty odźwierny błękitne otwiera niebiosą. Oboje też, jak gdyby
myśl moją
zgadując, zamilkli, i dumając w górę patrzali. Dziecię coraz bliżej
pochylało
swą główkę do skroni młodzieńca, coraz miłośniej obejmowało jego
szyję;
mieszające się razem jasne ich włosy, zdawały się o jednym mówić
pochodzeniu;
ale twarz dzieciątka ściągnęła, blada, przejrzysta, mglistą odbijała
północ, a
mężkie, czerstwe oblicze młodzieńca, pogodniejszą zwiastowało
krainę. I nie wiem

czemu, patrząc, na te dwie głowy, przyszedł mi przed oczy obraz Ary Szeffera, wystawujący św. Monikę i św. Augustyna, dumających nad brzegiem morza o wieczności. Zdało mi się, jakby przy-

tomna tu para była pierwszym obrazem, pierwszym aktem tego uroczystego zadumania, co to dwoje świętych podniosło do najwyższego, najbliższego niebiosom zachwycenia. Zapewnie długo jeszcze byliby w tej stali postawie, gdyby nie matka, która pod pozorem przypomnienia znanych wierszy Byrona o Drachenfelsie, przybliżyła się do młodzieńca i nieznacznie mu dziecko z rąk odebrała. Obudzony z marzenia, odwrócił się z niechęcią, począł szybko chodzić, widać z żalem powracał w krainę rzeczywistości. Nie rozmawiał, nie odpowiadał na zapytania, nie patrzył nawet na okolice. Przepłynęliśmy Remagen, owe rzymskie Rigomagus, Sinzig, owe Senticum, gdzie w sąsiedztwie, wedle legendy, Konstantyn miał zwyciężyć Maxencyusza, ujrzawszy na niebie znak krzyża ze słowami: in hoc signo vinces; ale ani bazaltowe góry, ani kwitnące miasta, ani walące się ruiny, nie zdołały zwrócić jego uwagi. Dopiero gdyśmy podpłynęli pod Hammerstein, gdzie siedział cesarz Henryk IV., uciśniony przez syna swego Henryka V., i gdy jakiś tandetny historyk zaczął dowodzić, że ostatni miał pełne prawo i obowiązki za sobą, ocknęła się szlachetna natura w naszym Polaku, zatrzymał się przy

opowiadającym, przerwał mu mowę i zaczął najprzód historycznymi
zbijać go
dowodami, a później przeszedłszy do odwiecznych praw moralności,
pełnem sercem
twierdził, że synowi nigdy przeciw ojcu powstawać się nie godzi.

Poklasnęło mu przytomne grono. Rozochocony ta wygraną, wrócił do
dawnej
wesołości i począł gwarzyć jak wprzódy. Andernach, a za tem
miastem szeroko
rozciągająca się dolina, odkryła mu obszerne pole do uwag nad
różnicą
prowadzenia wojny przez Rzymian, Niemców, Hiszpanów,
Francuzów, którzy tu w
rozmaitych czasach walczyli o panowanie nad Renem. Neuwied,
regularne, schludne
miasteczko, z kolonią braci morawskich, nastęczyło mu pełno
ciekawych
spostrzeżeń o socjalistycznych ideach dziś po świecie krążących; a
gdy zoczył
zdaleka na lewo wysokie szczyty Ehrenbreitsteinu, tego reńskiego
Gibraltaru, tyle
rozwinął wiadomości o teoriach fortyfikacyi, iż go przytomni
oficerowie od
inżynierji słuchali jakby wyroczni. Niebawem przepłynęliśmy ujście
Mozeli,
zaledwie dojrzawszy piramidy, wystawionej generałowi Marceau i
śliczny most o
. łukach, który jeszcze z XIV. datuje wieku. Statek zatrzymał się przy
Koblencyi na kilkanaście minut. Ledwie dość czasu było obejrzeć się;
ale nasz
żywy podróżnik nie pytając się nikogo, wybiegł na brzeg i gdzieś
zniknął w
tłumie. Dzwonią raz jeden, drugi, a jego jak niema tak niema. Kapitan
się

niecierpliwi, chce kazać dzwonić raz trzeci, jako znak do odbicia od brzegu, ale podróżni, osobliwie damy, tłómaczą mu, iż z pewnością zaraz Polak powróci, bo im mówił, że na noc do Moguncyi jedzie. W istocie towarzystwo byłoby się zbuntowało prędzej, niżby pozwoliło na zostawienie tyle miłego mu towarzysza. Dają nareszcie fatalne hasło, już statek ruszać się poczyna,

mężczyźni szemrają, kobiety załamują, ręce, gdy wtem jakby z obłoków spada nasza zguba i jednym skokiem na pokładzie staje. "Jakżeż chciałeś — mówił do dąsającego się kapitana — żebym nie obaczył tego na cyplu kościoła o czterech wieżach. Wszakże to najpiękniejszy zabytek architektury byzantyńskiej, który w tych okolicach posiadacie? A jakże znowu nie poznać przepyszego grobowca, na którym Kuno Falkenstein, wasz rycerski arcybiskup, w śnie żelaznym spoczywa?" Kapitan pokręcił głową na znak, że wcale waloru podanej przyczyny nie rozumie. "A ta fontanna — ciągnął dalej winowajca — na której czworobocznym gładzie spotkał się poraz pierwszy koncept francuzki z konceptem rosyjskim". Kapitan wznosił ramiona do góry, jakby z politowania nad ciekawością podróżnego. Ale jakżeż — krzyknął niczem niewzruszony Polak — pominąć dom, gdzie wasz najpierwszy człowiek stanu, gdzie Metternich się urodził?" Jam się zmarszczył, ale czoło surowego kapitana rozjaśniło się, uśmiechnął się, wziął za rękę winowajcę na znak zupełnej zgody, a gdy ten jeszcze zabrał miejsce

w podle niego przy obiedzie, bo właśnie towarzystwo siadło było do stołu, i zaczął mu wina dolewać, zdaje się, że gdyby był zażądał, kapitan nietylko do Koblencyi byłby nawrócił, ale z nim nawet ba i do Kamczatki popłynął. Cudowna kraina, poczynająca się zaraz za Ko-

blencyą, tyle razy była opisaną., tyle razy wystawioną, na obrazach i rycinach, a jej historyczne wypadki i legendy tak są doskonale znajome, iż mało kto z podróźnych odważy się drugim udzielać swych wrażeń, lub opowiadać to, co przypuszcza, że wszyscy znają aż do zbytku. I nasz Polak musiał pod podobnym zostawać przymusem, bo już mówił mniej, a dumał więcej. Coś tylko pod Stolzenfels przebaknął o ckliwości wszelkiego naśladownictwa. Oberlahnstein, stare, otoczone murami i wieżycami miasto, po jednej stronie, a jeszcze starsze i zczerniałe od wieku Rhense po drugiej, nie zwróciły nawet jego uwagi, choć tu zbiegały się dziedziny czterech kurfyrstów, i tu stał ów kamień, Königstuhl nazwany, na którym cesarzów wybierano. Nie był Boppart szczęśliwszym, a jednak tutaj była ulubiona rezydencya cesarzów; tu sądy wydawali, tu rozstrzygali najważniejsze w średnich wiekach sprawy. Dopiero pod Barnhofen, nad którym górują, dwie ruiny, Sternberg i Liebestein, wślawione legenda dwóch braci poległych w walce między sobą o jakąś tam dziewicę, ożywił się nieco nasz

podróżny i coś mówił o szczególności, że się wszędzie podobne
powtarzają
podania. Płynęliśmy dalej. Ren kręcąc się między spadzistemi górami,
rozlewa się
często jakby na jeziora zewsząd skałami zamknięte. Nic piękniejszego
nad to,
które się pod St. Goar szerokim zatacza kołem. Po drugiej stronie
nad miastem
St. Goarshausen wznosi się okopcona ruina zamku Kotem nazwanego
i zdaje się
jeszcze czyhać

z za góry na kryjącą się basztę, którą, od tej igraszki położenia, Myszą
mianowano. I znów z zatoki wpada się w przesmyk między strome
skały. Z tych
jedna Lurléj, prostopadła, wysoko gzymosowana dziwnymi złomami,
wzięła swe
nazwisko od jakiejś reńskiej świtezianki, która swemi śpiewami
wabiła
przepływających, aż sama popadłszy w miłość, rzuciła się w tonie, by
serdecznemu
ulżyć bólowi. Tu, ku zabawie podróżnych strzelają dla echa.
Uważałem, jak to się
dumającemu nie podobało Polakowi. Lecz gdy jeszcze u boku zaczął
mu jakiś firecyk
dla popisu nucić walce Straussa, na cześć tej skały ułożone, wstrząsnął
się,
odskoczył i poszedł usiąść przy sterniku, bezpiecznie się
nieruchomym Anglikiem
zatarasowawszy. Przepłynęliśmy wkrótce Oberwesel z pięknym
kościółem arcybiskupa
Baldwina; — Caub, przy którym występuje z wody dziwaczna
budowa, gdzie
Pfalzgrafinie połóg odbywały, by nowonarodzone dziecię na razie w
len niczym

Renie wykapać; Bacharach (Bachi ara) słynne dawniej z win swoich, a
dziś nęcące
śliczną koronkową ruiną jednego z gotyckich swych kościołów;
przepłynęliśmy
rzędy starych zamczysk i na prawo, i na lewo; minęliśmy wieżę, gdzie
szczury
złego biskupa przyjęły jak drugiego Popiela, i wir Renu, Bingenloch
nazwany, i
bogate Bingen z mostem Druzusa na rzece Nahe; ale nasz Polak nie
ruszył się aż
dopiero kiedy się statek wybił zupełnie na tę szeroką płaszczyznę, w
którą Ren
się rozlewa pod Rüdesheimem. Słońce miało się ku zachodowi.
Światła było tak
pełno, że

się drgać i fale roztaczać zdawało. Pił je Ren przezroczysty i sam się
w płynne
mieniał płomienie, nieco tylko ciemniejszy, gdzie krocie umajonych
wysp zwolnione
jego nurty dzieliło. Na brzegach po obu stronach obfite rozciągały się
winnice.
Bogatsze po prawym, podnosiły się od Geisenheimu aż pod stopy
Johannisbergu.
Swobodnie, rzeźwo było; bo choć z najwspanialszych, lecz
zacieśnionych wąwozów,
jakżeż miło na biały dzień się wydobyć. Widać doznawał tego nasz
Polak, bo znów
wesół zaczął chodzić po pokładzie. Nie chciał jednak rozmawiać,
choć go ciągle
zaczepiano. Był on już oddawna zwrócił uwagę na mnie, ale mój
spokojny,
niezaczepliwy układ odbierał mu śmiałość do zagadania. Byłem
chory, smutny,
znałem już dobrze te okolice, więc w głośnem podziwianiu żadnego
nie brałem

udziału, dumałem, ale więcej o drogich, dalekich osobach, z którymi
niegdyś
byłem zwiedzał te strony. Teraz czy z ciekawości, czy dla dodania
sobie
kontenansu, zwłaszcza, że z innymi rozmawiać nie chciał, coraz
rażniej zaczął on
koło mnie obchodzić. Zaczepił mnie nareszcie raz po francuzku, drugi
raz po
niemiecku, to znowu po angielsku; lecz odchodził zawsze jakby
zrażony, że mej
narodowości poznać nie zdołał. Po chwili stanął naprzeciw mnie i
zawołał: "A. to
chyba pan Polak?"
— Tak w samej rzeczy.
— A z kąd?
— Niestety nie z Polski. A pan z jakich stron? — dodałem dla
grzeczności.

"Z krakowskiego. Gdzież pan jedzie?"
— "Do Szwajcaryi". —
"To i ja do Szwajcaryi; możemy razem...." nie skończył, spłonął się,
bo mój
lekki uśmiech dał mu poznać, że się za daleko posunął. Żal mi się go
zrobiło;
dusza polska drgnęła do drugiej, i odpowiedziałem: "Dobrze, jedźmy
razem, ale
pan musisz przystać na moje warunki. Najprzód ostrzedz mi wypadu,
że
przeznaczyłem tylko trzy tygodnie na tę całą wycieczkę. Nie myślę
wiec zwiedzać
całej Szwajcaryi, ale tylko cześć jej wschodnią, którą znam najmniej
ze
wszystkich. Dotarłszy do niej przez Bazyleę i Zurich, chciałbym
zboczyć do
Appenzel, a potem wielkim kołem przez Ragatz, Chur, Dissentis,
dostać się do

Andermatt, z tamtąd zaś przez Furca, dojść do źródeł Renu i Rodanu, obejrzeć słynne lodospady, i przez Grimsel i dolinę Hasli stanąć wreszcie w Interlaken, gdzie na spoczynek parę dni odłożyłem. Z Interlaken przez Lucernę w powrotną już udam się drogę. Następnie wiedzieć pan musisz, że nad wszystko podróż pieszą przenoszę. Unikam traktów ubitych przez cudzoziemców. Zachodzę w kąty opisowym książkom nieznane. Często się przy drzewie lub jakiej kapliczce zatrzymam, a do ludnego miasta nie wstąpię. Z nikim w znajomości nie wchodzę i czasem dzień cały do nikogo nie przemówię". Po wesołej twarzy widać było, że na wszystko się zgadzał, na ostatnie tylko nieco się zasepił. Lecz po chwili wzięwszy mnie za rękę, zawołał: "Zgoda,

co do joty; pan będziesz wodzem, a ja żołnierzem. Od jutra stoję pod bronią". Kto kiedy widział dwóch Polaków, przypadkiem spotykających się w tłumie cudzoziemców, tego nie zadziwi nasza porywczą znajomość. Z jego strony było zapewne wiele dobrego w tem uczucia, ale więcej jeszcze łatwości, z którą związki ze wszystkimi zabierał. Z mojej było coś więcej. Przysłuchując się jego zajmującej rozmowie, porównywając z ponurym Anglikiem, — sam niejako na połowie drogi między dwoma, — widząc jak wiele miał nauki, imaginacyi, a nawet uczucia, lecz wszystko bez ładu, w kwiecistej barwie bez nasienia; myślałem sobie, że

gdyby mnie wypadki skojarzyły z takim młodzianem, potrafiłżebym
choć w części tę
głowę urządzić, uspokoić i ku rzetelnemu pożytkowi skierować? Otóż
ciągle mi to
tkwiło w myśli, i kiedy mnie zaczepił, zdało mi się, jak gdyby ta
znajomość była
opatrzną odpowiedzią na me zapytanie, może nawet życzenie.
Przy wysiadaniu w Moguncyi zewsząd podróżni opadli mego
towarzysza. Każdy do
swego hotelu namawiał, żeby jeszcze z nim choć kilka chwil przebyć.
Widziałem,
jak mu trudno było, osobliwie damom, odmawiać. Tłumaczył się, że
jutro
raniuteńko wyjechać musi, a że dziś cały czas na listy poświęca. Ale
za to
jednej Angielce dawał obietnicę na rok przyszły do Almack's, drugą
przrzekał
spotkać na Ischji u Don Tomaso, — a Francuzkom i Francuzom

wszystkie teatra i bale paryzkie po kolei za miejsce przyszłego
odnowienia
znajomości naznaczał.
"Zemną najprzód do Szwajcaryi" — rzekłem i ująwszy go za rękę,
poprowadziłem do
gospody, do której nasz poważny Anglik, co się dopiero przy
wysiadaniu jak ze
snu obudził, żwawo z swym tłumoczkiem podążał.
"Nie kwap się, — rzekłem do niego, gdyśmy się w stancyi rozłożyli, i
gdy on
wydobywszy swój makularz, do pisania się zabierał, — na wszystko
jest czas.
Godzina jeszcze do wieczora. Pójdź obejrzeć pomnik Gutenberga, w
cytadeli wieżę
Druzusa, a potem katedrę, która lubo nie tak piękna i nie tyle zawiera
ciekawości, ile się podobało Wiktorowi Hugo opisać, warta jednak,
żebyś ja

dokładnie opatrzył, i z swej dziwnej, ogromnej struktury i z podwójnego chóru i z swych pomników wewnątrz, a pamiętaj osobliwie o nagrobku Fastrady, żony Karola W. i o krużgankach klasztornych, Wieczorem popiszesz twoje listy". Uśluchał mnie od razu. Dobry znak, pomyślałem. Przy kolacyi zdybaliśmy naszego Anglika; świeżuteńki, czysto ogolony, w świecącej się od krochmalu koszuli, we fraku jak na ceremonialnym obiedzie, siedział sam na uboczu i z uwagą długie kolumny Timesa przeczytywał. "Ręczę, że ztąd wyjedzie, a wspaniałej katedry nie obejrzy; on się stroił, kiedy mógł tak korzystnie i przyjemnie użyć swego czasu;" rzekł mój młody towarzysz.

"Być może, odpowiedziałem, bo nie podróżuje, ale przejeżdża. Za to w miejscu, które sobie postanowił obejrzeć, zobaczyłbyś go jak nie śpiąc, nie jedząc, chodziłby, póki ostatni kamyk zostawałby do wypatrzania. Nie wiele przedmiotów obzierać, ale dokładnie, to ich zasada". Zerwał się przedemną mój towarzysz, którego odtąd będę zwał Władysławem, i pobiegnął pisać na górę. Gdym wkrótce po nim wszedł do stancyi, spostrzegłem, że pisząc w jakiejś książce, zamknął ją spiesznie i zaczął coś od niechcienia gryzmolić na osobnej ćwiartce. "Przeszkadzam ci, Władysławie?" — "Bynajmniej; ja tylko coś notowałem". "Wydatki? czy może noty do opisu, który myślisz

wydać o twej podróży?"

— "Ani jedno, ani drugie, — ale trochę mi wstyd powiedzieć, dzienniczek;

prawda, że dla mojej matki".

"A choćby tylko dla siebie. Ja stary, a co dzień w mym dzienniku zapisuję. Jest

to mój najlepszy przyjaciel, doradzca, najużyteczniejsza dla mnie książka. Byle

tylko z prostotą pisany, bez względu na to, czy kiedy w obce wpaść może ręce;

znajdziesz w nim w przyszłości i pomoc i pociechę, nauczysz się porządku,

przywykniesz do zdawania sobie codziennie rachunku sumienia. Nie zawsze będziesz

miał tak czerstwą jak dzisiaj pamięć. Zapomnisz najważniejsze daty, nawet

nazwiska miejsc sławnych i najbliższych znajomych. Z resztą nie trzeba dać

zaginać tak dobremu zwyczajowi ojców naszych, których dyaryusze stanowią, dziś

najobfitsze źródła do historyi. Wiesz co, Władysławie, oto jako pierwszy zakład

naszej tak świeżej znajomości, przyrzeczmy sobie, że od wstąpienia na ziemię

szwajcarska, będziem sobie skrzętnie zapisywać wszystkie wypadki, i że przy

końcu podróży odłożymy sobie kilka godzin na przeczytanie naszych dzienników, a

zobaczysz, jak sobie powinszujemy nawzajem". —

— "Zgoda, z największą chęcią;" odrzekł i uścisnął mnie serdecznie.

Nazajutrz pojechaliśmy do Frankfortu. Ja poszedłem za sprawunkami, a Władysław

ruszył obejrzeć pomnik i dom Goethego, katedrę, plac, gdzie wybierano cesarzów,

wreszcie muzeum, w którym nade wszystko zaleciłem mu obraz Overbecka: "Tryumf religii w pięknych sztukach". Jeszcze dnia tego samego puściliśmy się dalej. Droga prowadziła wzdłuż powabnych pagórków, ustrojonych starymi zamczyskami. W Darmstacie zoczyliśmy tylko jakąś wysoką kolumnę i kopułę kościoła. Najwyższa z tego pasma gór zowie się Melibocus. Władysław, trochę monoman słowiański, gdy się dowiedział, że tam w dawnych czasach cześć Bóstwu oddawano, koniecznie starał mi się dowieść, iż to nazwisko pochodziło od "Mieli Boga". Na noc stanęliśmy w Heidelbergu. Księżyc jasno świecił. Obejrzeliliśmy więc tę sławną nową ruinę, która tu tyle przyciąga cudzoziemców. W Heidelbergu zatrzymaliśmy się nazajutrz do południa, bo to była

niedziela sierpnia, Przemienienie Pańskie, więc należało być na nabożeństwie. Spieszno nam było, przeto w samo południe ruszyliśmy dalej, nawet się w Karlsruhe nie zatrzymując. Nocleg wypadł w Freyburgu. Tu nie godziło się opuścić katedry, a że jeszcze nie ściemniało gdyśmy przybyli, poszliśmy co prędzej zaspokoić naszą ciekawość. Po napatrzeniu się wspaniałych, ale nieukończonych gotyckich świątyń, Freyburgska prześliczną wydać się musi, bo cała, zupełna, systematycznie doskonała. Wieża pojedyncza, ale cudownej piękności; zda się, że jednego oczka

nie brak w tej koronkowej robocie. Do wnętrza wchodzi się okazałym łukiem, wypełnionym dziwnymi allegoryami. Posepna uroczystość katedr gotyckich tem większe tu zrobiła na nas wrażenie, że już było po zachodzie słońca, a ostatki światła przedzierały się przez bogato malowane okna. Długo też dumaliśmy w pobożnym zachwyceniu, nie wiele zważając na bedela, który nam obszernie objaśniał pomniki książąt Zehringen, obrazy Baldunga i Holbeina, a w końcu pracowicie wydłutowaną ambonę, gdzie artysta sam się u dołu posadził, jako słuchający kazania. Zaledwie zatrzymaliśmy się przy znakomitej rzeźbie z XVI. wieku, wystawującej mękę i wieczerzę Pańską. Przecież trzeba było nam się spieszyć, bośmy jeszcze zewnętrzną budowę niezupełnie byli obejrżeli. Zdziwił się mój towarzysz, porównywając jej północną do południowej stronę. Pierwsza cała w posepnej prostocie, druga w przepychu rzeźb, ozdób, po-

sagów. Często się to bardzo powtarza w gotyckich gmachach, a jednak rzadko kto zwraca na to uwagę. Zwykle podróżni przestają na powieści oprowadzających, którzy tę różnicę tłumaczą albo brakiem funduszków, albo kaprysem artysty, albo też niszczącą siłą wiatrów od północy. Tymczasem w tem przeciwieństwie leży jedna z najgłębszych myśli architektury średniowiecznej. Północ naprzód uważaną była za należącą do złych duchów powietrza. Dla tego to cmentarze zawsze prawie

od południa przy kościołach stawiano. Strona północna zwała się stroną ewangelistów, jako opowiadających dzieje święte w bezbarwnej prostocie; południową zaś obsadzano prorokami, bo ci przepowiadali pod przerośniami, w ozdobnych często i jaskrawych obrazach. Ztąd w kościołach mężczyźni stawali po ostatniej, a pierwsza, zwana także Muliebris, była przeznaczoną dla kobiet, którym jak wiadomo, zakazanem było przychodzić w okazałych ubiorach.

Uradowany tem tłómaczeniem, zaraz po powrocie do gospody zaczął Władysław pisać w swym dzienniku i wyprowadził jakiś obszerny systemat architektury katolickiej, który miał wielką chęć mi udzielić, i brał się już do czytania, alem go wstrzymał uwagą, że od jutra, od Bazylei poczniemy, bo nie ma nic lepszego, jak się ograniczyć w jakiej całkowitości, a nie rozbiegać na strony.

* * *

ROZDZIAŁ DRUGI.

BAZYLEA.

Dwoma głównie miastami przybywają podróżni z Zachodu do Szwajcaryi. Temi są Genewa i Bazylea. Jedno przecież od drugiego tak jest różnem, że wędrownik gotów zaraz na wstępie wręcz przeciwne o kraju powziąć wyobrażenie. Tam ruch, zgiełk, wesołość południowa, tu spokój cisza, ponurość północna, — tam już wiek

dziewiętnasty w całej pełni, tu jeszcze coś średniowiecznego, — tam
wybijała i
krzykliwa demokracja, tu powaga i zastołość okapturzonego
możnowładztwa. Podobna
to różność wrażeń do owej, której doznaje cudzoziemiec wjeżdżający
do Paryża, w
miarę tego czy przybywa przez pola elizejskie, czy przez przedmieście
św.
Germana.

Jakoż Bazylea ma niejaki z tem ostatniem podobieństwo, ulice puste,
sklepów
mało, wystawności prawie żadnej. Natomiast pełno gmachów,
odznaczających się
jakiś tajemniczem, arystokratycznym odosobnieniem. Oddzielone
od ulicy
podwórzem i wysokim murem, z bramą otwierającą się tylko wtedy,
gdy pojazd ma
wjechać lub wyjechać, rzadko kiedy pozwalają przechodniowi dojrzeć
swego
oblicza. Są to też siedziby miejscowej arystokracji, to jest bankierów i
wzbożonych mieszczan, a takich na setki tu rachują, samych
milionerów przeszło
pięćdziesiąt, wymieniając, choć liczba mieszkańców nie dochodzi , .
Bazylea, jako węzeł handlowy między Francją, Niemcami i
Szwajcaryą, słynęła
zawsze wielką zamożnością.
"Magna civitas, magna solitudo". Ruch też prawie cały zbiega się
tylko około
dwóch domów zajezdnych. Przepraszam za tak skromną, a dziś
upokarzającą już
nazwę. Hotele to w całym znaczeniu, osobliwie ów wspaniały pod
Trzema Królami,
który się nad samym Renem wznosi. Piękna to i obszerna budowa: z
jednej strony

wejście okazałe, z drugiej balkon szeroko nad rzekę wystający,
urządzona
wewnątrz z całym przepychem dzisiejszych czasów, zgoła pałac
raczej niż gospoda.
Tu stanęliśmy po niemal całodziennej wozem pocztowym podróży.
Towarzysz mój,
ledwie się obejrzał po świetnych salonach hotelu, wybiegł na miasto,
by się z
niem zapoznać, póki się zupełnie nie zmierzchnie, obiecując, że z
pewnością za
pół godziny

na herbatę powróci. Ja tymczasem, znużony podróżą, rozsiadłem się w
wygodnem
kzżeśle na balkonie i zatopiwszy wzrok w przejrzyste a pod tę porę
wezbrane
nurty Renu, przebiegałem wspomnienia z mych poprzednich w
Bazylei pobytów. Przed
czterma laty, kiedy tu był raz ostatni, nocowałem jeszcze w starej
gospodzie,
która stała na tem samym miejscu, i z której nowy hotel zachował
tylko nazwisko
i godło Trzech Królów, nad wejściem wmurowane. Był to bardzo
dawny budynek,
pełen wąskich a" ciemnych korytarzy i komnat sklepionych. Tak się
zdarzyło, że
spędził w nim noc ostatnią, w której przyjmowano gości, gdyż
nazajutrz miano się
wziąć do rozwalania murów. Już wszystkie prawie sprzęty były
wyniesione. W
obszernych izbach panowała samotność i cisza pustkowie, przerywana
tylko, gdy
się kto ruszył, echem kroków silnie się w próżni rozlegających.
Popełność ta
czyniła na mnie tem głębsze wrażenie, że. zwiedzając tego dnia
ciekawości

bazylejskie, napatrzył się był w Bibliotece rysunkom tak zwanego "Tańca śmierci".

Taniec ten, — którego myśli głębokiej dopatrzeć się można w jednym z najstarszych bo jeszcze przedchrześcijańskich zabytków pieśniarstwa polskiego, "Śmierć się wije po płotu, szukając kłopotu", myśli wyśpiewanej u nas w niedawnych czasach z taką prostotą średniowieczną przez księdza Bakę, — był ulubionym przedmiotem malarzów w piętnastym i szesnastym wieku. Papież, cesarz, król i królowa,

senator, mieszczanin, chłopak, dziewica w całym kwiecie wdzięków, maluczkie pachole, wszystko to, chcąc nie chcąc, musi iść w ostateczne płąsy z kościotrupem. Zwało to się we Francyi "La danse Macabre". Jedni wywodzą to nazwisko od wyrazu arabskiego "magbarak", cmętarz, drudzy od Niemca Macaber, który pierwszy miał powziąć ten pomysł i rozwinąć go w wierszach tłumaczonych później na język łaciński, francuzki i wiele innych. Są tacy, którzy przypisują pochodzenie tej myśli maskaradom, podówszas w modę wchodzącym. Prawdopodobnie nastreczyły ją straszne a tak często w owych wiekach powtarzające się zarazy. Przyczynę zaś jej tak rozległego rozpowszechnienia, upatrują niektórzy w budzącym się duchu niepodległości w niższych warstwach społeczeństwa. Z tych głównie pochodzili artyści. Nie dziw więc, że radzi byli powtarzać przedmiot

przypominający możnym i bogaczom niestałość rzeczy ziemskich i
równość
wszystkich ludzi w obec śmierci. Nigdzie jednak tak często i w tak
wielkiej
rozmaitości nie spotyka się tego obrazu, jak w Szwajcaryi. Wszędzie
go pełno, na
cmentarzach, w krużgankach kościelnych, na placach publicznych, a
nawet w
obudowaniach mostowych. Wielka liczba rzek i strumyków w tym
kraju wymaga
gęstych mostów. Te zwykle są drewniane, a dla ochrony od deszczu
pokryte dachem
i zasłonięte po bokach szczelnymi ścianami. Wjeżdża się w nie jak do
jakiejś
szopy. Ściany zwykle są wewnątrz malowane i okryte mnóstwem
wierszowa-

nych napisów, gdyż ulubionym tu zwyczajem jest kładzenie czy zdań
z biblii
wyjętych, czy przykazań moralnych, czy też dowcipków
rymowanych, gdzie tylko
miejsce pozwala. W niektórych kantonach niema domka, któryby nie
był pokryty
podobnymi napisami. "Taniec śmierci" nastęczał zawsze ku temu jak
najobfitszą
sposobność.
Najsłynniejsze w tym rodzaju malowidło znajdowało się w Bazylei,
na murze przy
cmentarzu św. Jakóba obok klasztoru Dominikanów. Podanie niesie,
że w czasie
grasującej zarazy w pierwszej połowie piętnastego wieku kazali to
dzieło tam
wykonać prałaci zebrani w owym czasie na smutnej pamięci sobór
bazylejski. Fresk
kilkakrotnie z wielkim kosztem był odnawiany. Zniesiono go wreszcie
w .

Jedynym zabytkiem, jaki po nim pozostał, jest kopia dwóch głów:
księcia i
królowej blondynki, które się znajdują w przedsionku wiodącym do
biblioteki. W
samej jednak bibliotece napatrzyć się można rozlicznych w tym
przedmiocie
rysunków. Mówią, że niektóre Holbein nakreślił.
Pierwszy to raz zdarzyło mi się wtedy przyjrzeć dokładnie takim
rysunkom. Otóż
cały zajęty tak przejmującym wyobrażeniem, gdym powrócił do
gospody i położył na
spoczynek, nie mogłem długo w noc zasnąć, bo mi się zdało, że po
tych
opustoszałych komnatach śmierć raz jeszcze w szalony taniec wiedzie
wszystkich
tych, którzy tu w ciągu wieków nagłą śmiercią pomarli, rycerzy
spieszących na
pole bitwy po laurowy wieniec, słynne z wdzię-

ków damy, mające błyszczeć na turniejach, prałatów przybywających
na sobór,
kupców obliczających stokrotne zyski. Wrażenie to było tak głębokie,
że z całą
siłą odżyło, gdym teraz po czterech latach znalazł się na tem samem
miejscu,
lubo już nie w pustej, szczerniałej wiekiem gospodzie, ale w świeżym,
gwarnym i
od złota a zwierciadeł błyszczącym hotelu.
Pogrążony w tych wspomnieniach anim się spostrzegł, że już zupełnie
na dworze
ściemniało, a rześisto oświecona sala jadalna wzywała na wieczerzę.
Spoglądam na
zegarek, widzę że już minęła godzina odkąd wyszedł mój towarzysz,
który tak
uroczyście przyrzekał, że za połowę tego czasu powróci. Mija jeszcze
kwadrans

jeden i drugi, siadam wreszcie do stołu, a jego jak niema tak niema.
Aż nakoniec
wpada zadyszany. Spostrzegł od razu jakiś cień na mem czole, więc
zwyczajem
wszystkich niesłownych trzpiotów chciał, jak to mówią, sprawę
zagadać. Ozwał się
przeto z przekąsem, jak gdyby kto inny, nie zaś on był skrewił:
"A to mi dziwne miasto. Żywego ducha nie spotkać. Przebiegłem
wszystkie ulice,
wciąż z dołu do góry i z góry na dół, jakby na złamanie karku,
szczęściem, że
wszędzie są poręcze, obleciałem na okół szańce, zajrzałem w każdą
bramę, ale
wszędzie pustki. Mniejsza o żyjących, lecz nawet cienie Erazma i
Holbeina nie
zaszły mi drogę. Ani teatru, ani cukierni. "W jednym się tylko jeszcze
sklepiku
świeciło, i oto cała zdobycz".

To mówiąc złożył na stole ogromny pakiet sławnych tutejszych
pierniczków, które
się Leckerli nazywają i po całej Szwajcaryi rozchodzą.
— "Bardzo to smaczne, odrzekłem, ale ja wolałbym, żebyś był bez
tego towaru,
lecz na czas oznaczony powrócił. Trzeba, ci bowiem wiedzieć, że
jestem
zwolennikiem najściślejszej punktualności. Tem snadniej, kochany
towarzyszu,
mogłeś dotrzymać słowa, żeś się z niczem ciekawem nie spotka".
"Przeciwnie. Kto nie znajduje czego szuka, daje się coraz dalej
pociągać
nadziei, że mu się wreszcie powiedzie, i tym sposobem mimowolnie
czas traci".
— "Jakiś powód być zawsze musi, ale właśnie na tem punktualność
zależy, żeby

się nie dać zbałamucić żadnej ubocznej; choćby najsilniejszej pokusie.

Nam

osobliwie Polakom strasznie brak tego przymiotu. Nie mamy też na to
swojskiego

wyrazu, i w tem nowy dowód, że u wszystkich narodów czego nie
dostaje w

charakterze, tego pospolicie brak i w mowie. Moskale nie posiadają
pono wyrazu

na cnotę i wolność, my na punktualność, dyskrecyę, a nawet na sam
charakter, boć

też u nas ludzi serca, ludzi zadziwiających zdolnością pełno, ale
mężów z silnym

wyrobionym charakterem jakżeż mało!"

"Wszakże i pretext i exkuza nie są nasze, a przecież nam nigdy na
nich nie

zbywa".

— "Wiem, że masz zawsze zręczną na podorędziu odpowiedź. Ścisłej
reguły w

podobnych jak powyż-

szy razach być nie może. Są i tu i muszą znajdować się bardzo liczne
wyjątki.

Inaczej wyszłoby to na fatalność zagrażającą na zawsze narodowi
drogę do

postępu i doskonałości. I ja właśnie, choć przy tak drobnej
okoliczności, która

żadnej szkody nie zrządziła prócz może przeciągniętej herbaty,
zwracam

skwapliwie twoją na ten przedmiot uwagę w nadziei a nawet w
pewności, że byłeś

chciał, staniesz się wkrótce wzorem punktualności. Jak ona jest
konieczną

zwłaszcza w podróży miałeś już dowód na sobie, gdy cię przed parą
dniami statek

o mało co w Koblencyi na brzegu nie zostawił. Byłbyś stracił i czasu
wiele i

zapłatę aż do Moguncyi na parowcu uiszczoną i..."

"I nie byłbym poznał i pozyskał sobie tak szanownego i kochanego...mentora", — przerwał Władysław, zatrzymując się nieco przed ostatnim wyrazem, a potem serdecznie ściskając moją rękę. — "Przyjmuję ten tytuł, odrzekłem, byłeś zawsze tak chętnie jak teraz słuchał rad moich. Starajże się od tej chwili być punktualnym we wszystkim. Niezawodnie, podróż jest najskuteczniejszą i najprzyjemniejszą w tym względzie szkołą. Słyszałem zdanie, że koleje żelazne mają nas do szczętu wyleczyć z wszelkiej skłonności do mitręgi. Nieobrachowanym byłoby to pożytkiem we wszystkich kierunkach stosunków społecznych, bo ileż to czasu i sobie drugim bałamut psuje, ileż przykrości, strat, a nawet nieszczęść może się stać przyczyną! Weźmy jeden przykład. W naszym obywatelstwie sąsiad sąsiadowi

prawie nigdy z ręki do ręki nie sprzedaje, gdyż nie może być pewnym, iż zapłatę na czas oznaczony otrzyma. Dopominać się rzecz przykra. Prawować się nie godzi, — z szaraczką żal, z karmazynem wstyd. Niema więc rady, trzeba użyć żyda, który wyliczy zadatek a przy odstawie resztę zapłaci, ale i na jednym i na drugim obywatelu potężnie zyska. Wadę tę w naszych niewiastach Niemcewicz dowcipnie wyśmiał w swym wierszu "Panna Guzdralska". Ale co w kobietach jest śmiesznością, słabostką, to w mężczyznach zaraz potworniejsze przybiera rozmiary i staje się zdrożnością. Punktualność nazwano grzecznością monarchów. Mnie się

zdaje, że ona jest zarówno obowiązkiem we wszystkich stanach i
położeniach.

Atoli jakżeż dojść do niej odrazu, kiedy się dotąd mało na nią
zważało? Należy
szukać postronnej podpory i pomocy. Jedną z takich każdy łatwo
znajdzie, jeżeli
sobie naprzód zrobi plan na miesiąc, na tydzień, a choćby tylko na
dzień
następny, i według ciężących obowiązków lub powziętych zamiarów
czas swój
porządnie rozłoży. Otóż i my zawsze sobie co wieczór obmyślmy, co
nam dnia
następnego wykonać wypadnie. Często plan taki nie da się w
zupełności
uskutecznić. Nieraz staną mu na zawadzie nieprzewidziane i
niezależne od nas
okoliczności. Bądź co bądź, zawsze w końcu okaże się znaczna
oszczędność czasu.
I tak, co do jutra, ja do obiadu będę pisał listy, tymczasem będziesz
mógł
obejrzeć ciekawości, z których ci tu najważniejsze wymienię. A
najprzód
ratusz..."

"Nie wielka to osobliwość, — (rzecze przerywając Władysław,
widocznie znudzony
memi morałami, a może jeszcze więcej swem zbyt długim
milczeniem), — budowa
niby gotycka ale w złym smaku, nosząca za nadto wyraźne piętno
świeżego
odnowienia; na ścianach herby kantonów, i o ile dojrzeć przy
zmierzchu mogłem,
jakiś balkon, po za którego balustradą artysta wystawił rycerzy i damy
przechodzące się i jak gdyby kłaniające się ludowi przed gmachem
zgromadzonemu.

Wewnątrz ma być posąg Munatiusa Plancusa, założyciela Bazylei za cesarza Augusta, jakieś piękne okna i rzeźby na drzewie, ale to wszystko mało mię obchodzi".

— "To obejrż uniwersytet".

"Tego nie pomine. Może jeszcze jakie tam od wieków zabłąkane echo da mi usłyszeć

uczone i wymowne głosy Paracelsow, Gryneuszów, Frobenjuszów, Ammerbachów,

Oecolampadjuszów, Erazmów, Bernouillich, Eulerów..."

— "Stój! bo nie prędko skończyłbyś, gdybyś chciał wyliczać wszystkich sławnych

mistrzów, którzy nauczali w tej, jednej z najgłówniejszych wszechnic w Europie,

i jednej z najdawniejszych, choć założona dopiero w sto lat po naszej krakowskiej".

"Wiem, w bullę papieża Piusa II, owego Eneasza Sylwiusza, który wprzód tu był sekretarzem soboru".

— "Dodaj: który był przyjacielem Zbigniewa Oleśnickiego, częste i pełne wdzięku

a nauki pisywał do niego listy, choć za młodu długo przebywając

w Wiedniu na dworze cesarskim, nabrał tam był pełno uprzedzeń przeciw Polsce, i

w ogóle nie sprzyjał jej".

"Ale najprzód chciałbym pójść na most, bom ciekawy owej wieży, która tak

dokuczała mieszkańcom po drugiej stronie położonego przedmieścia.

Widziałem już

w Rzymie kamiennego Paskwina, od którego wzięły początek paskinady i paszkwile.

Oglądałem w Coventry owego Peeping Tom, którego śmieszna postać, stercząca z

narożnej obok rynku kamienicy, dotąd jest przedmiotem szyderstw i obelg miejscowego ludu. Dobrze też na to zasłużył, jeżeli można wierzyć podaniu, które tak mi opowiadano. Raz za czasów heptarchii zbuntowało się miasto Coventry. Król zdobywszy je, postanowił wyciąć w pień wszystkich mieszkańców. Ulitowała się ich losu czuła i zacna królowa, i poczęła na wszystko zaklinać, by im przebaczył. Ten znudzony jej naleganiami, przychyliła się nareszcie do jej proźby, ale pod szalonym warunkiem, że ona przejedzie konno przez całe miasto nieosłonięta nawet najłżejszem ubraniem. I na to zgodziła się, byle tylko uratować biednych winowajców od śmierci. Imię jej było Godiva, może Godziwa? Czemu nie, jeżeli to prawda, że Wilki czy Wilcy, szczep słowiański, zamieszkali niegdyś południe Anglii, i że od nich hrabstwo Wilts wzięło swe nazwisko. Oczywiście obywatele poprzysięgli sobie, że zamkną szczelnie wszystkie drzwi i okna, gdy królowa przejeżdżać będzie, postanawiając że ktoby wyjrzał, ulegnie karze śmierci.

Jeden przecież, imieniem Tomasz, nie zdołał się oprzeć ciekawości. Sponiewierano go i pewnie zabito, a brzydka twarz jego i postać, z przydomkiem Peeping Tom (wyzierający Tomek) przekazano ohyjdzie na wieczne czasy. — Widziałem także nader nieprzyzwoity posązek za ratuszem brukselskim, owe palladium stolicy

belgijskiej. Otóż żałuję, że już nie obaczę sławnej figurki, która, na
szczybie
tej bazylejskiej przedmostowej wieży umieszczona przy zegarze,
występowała co
kwadrans i pokazywała język obywatelom przeciwległego
przedmieścia. Właściwie
nie było się o co gniewać, wszakże w Tybecie j jest to znakiem czci
najwyższej,
i tem się bardziej język wyciąga im znakomitszą jest godność witanej
tem
przymileniem osoby. Tak to jednak obywatele Małej Bazylei jątrzyło,
że niebawem
po swojej stronie mostu wystawili podobnąż wieżę z zegarem, który
bijąc godzinę
wysuwał zarazem człowieka, co odwracając się dobitniejszym jeszcze
i mniej
przystojnym ruchem tłómaczył ich pogardę dla mieszkańców Wielkiej
Bazylei.
Kronika nie powiada jak się ta wojna przycinków i obelg skończyła.
Znać miasto
wzięło górę nad przedmieściem, gdyż drugą tę wieżę najprzód i
bardzo dawno już
zniesiono, a pierwsza z swą figurką, zwaną Lallenkoenig, istniała
jeszcze przed
dziesięcioma laty. Powiadają że gdy w czasie wojen napoleońskich
wojska mocarstw
sprzymierzonych miały przez ten most do Bazylei wchodzić,
magistrat postanowił
co prędzej ową figurkę usunąć by przypadkiem jej obraźliwego gościa
za wymie-

rzony przeciw sobie nie poczytały. Ale ich wodzowie mieli tyle
roзумu, że
wstrzymali tę skwapliwość tchórzliwych mieszczan, mniemając
owszem że

Lallenkoenig wielce posłuży do ubawienia wiarusów. Do podobnych
szczegółności
Bazylei jeszcze to należy, że zegary w mieście były zawsze o godzinę
naprzód. I
tak kiedy wskazówki znaczyły jedenastą, dzwon wybijał dwunastą.
Miało to wejść
we zwyczaj od czasu, w którym przez podobną pomyłkę głównego
zegaru miasto
uratowanem zostało od zguby. Nieprzyjaciel podszedł pod szance
wcześniej niż
wyrachowano, ale już zastał wszystkich gotowych do odporu. Z
ubiegiem czasu
zaszła ta zmiana, że zegary były sprawiedliwie a wskazówki spóźniały
się o
godzinę. Nareszcie w burmistrz i ławnicy chcąc znieść zwyczaj tak
niedorzeczny w obec coraz przemagającego światła szkoły
filozoficznej,
zarządzili iżby potajemnie co dzień o pół minuty wskazówki na
zegarach posuwano
aż pokiby nie poczęły rzeczywistej oznaczać godziny. Ale lud się
spozstrzegł i
pełniejszy uszanowania dla podań narodowych niż dla zimnych
prawideł filozofii,
wszczał taki rozruch, iż musiano przy dawnem pozostać. Protestanci
wymyślili
inny początek tej osobliwości. Powiadają że prałaci na sobór zebrani
tak byli
leniwemi, iż wypadło się uciec do tego sposobu, by ich zmusić do
ranniejszego
wstawania. W ogóle wielki rygor zawsze w Bazylei panował. W
niedzielę i we
święta nikt się do miasta nie mógł dostać w czasie nabożeństwa, gdyż
wszystkie
bramy były zamknięte.

Stanowiono ostre prawa przeciw zbytkowi w ubiorach i w jedzeniu.
Ograniczano
ilość potraw, przepisywano krój, kolor i materiał odzieży, nie
wpuszczano do
kościół nikogo co nie był w czarnej sukni, niewiasty nie mogły
używać mężczyzn
do trefienia włosów, nie wolno było mieć lokaja za pojazdem ani
wyjeżdżać z
miasta po dziesiątej wieczór, taniec był surowo zakazanym,
dozwalano go tylko
czasami na przedmieściach, ztąd też może owe niesnaski z Małą
Bazyleą. W tem to
wszystkiem szukać zapewne należy przyczyny, dla czego do dziś dnia
to miasto tak
ciche i ponure".

— "Być może, ale wracając do mostu, przez który przewiodłeś taki
zapas
wiadomości, jakimby niewątpliwie rzadko który z tutejszych
obywateli mógł się
poszczycić, nie znajdziesz tam już nic ciekawego, pośrodku stoi tylko
budka,
cała oblepiona afiszami, gdzie się myto płaci. Życzę ci więc abyś
raczej w
przeciwną stronę zwrócił jutro swe kroki, zwłaszcza że ci dość
wolnego czasu
pozostanie. Przejdź przez bramę, która na drogę berneńską prowadzi.
O dobre pół
godziny ujrzysz gotycką wieżyczkę, podobną stylem do tych, które
zdobią katedrę.
Jest to miejsce sławnej bitwy, którą w tym wieku garstka Szwajcarów
stoczyła
i wygrała przeciw przeważnym siłom najemnych Armanjaków".
"O, nigdybym sobie nie przebaczył, gdybym zaniechał zwiedzić te tak
słusznie
nazwane Termopile Szwajcarskie. Gdym czytał historię Szwajcaryi,
tak nadobnie
opowiedzianą przez Henryka Zschokke,

ustęp o tej bitwie silnie mnie poruszył, i dotąd też pomne dobrze jej szczegóły.
Miasto Zurich oddało się cesarzowi. Obiegły go więc wojska niepodległych kantonów. Cesarz zażądał posiłków od króla francuzkiego Karola VII go. Ten chcąc się pozbyć burzliwych Armanjaków, najemnej rzeszy najrozmaitszego pochodzenia i narodowości, zamiast żądanych, posłał ich mu, pod dowództwem swego syna, późniejszego Ludwika XI go. Na wiadomość o wkroczeniu przedniego ich korpusu, z, ludzi złożonego, Szwajcarowie wyprawili przeciw nim z pod Zurich drobny oddział, zaledwie żołnierza liczący. Przeciwnicy spotkali się tu niedaleko Bazylei. Szwajcarowie dotarłszy szybkim pochodem do nieprzyjaciela, rzucili się nań bez namysłu, zmusili go najprzód do odwrotu w szańce, które był sobie przygotował, następnie i z tych wypartego przegnali przez rzeczkę Birse, sami wpływ za nim podążając pomimo straszego ognia z ręcznej broni i dział po drugiej stronie stojących. Tu dopiero zawrzała mordercza walka. W zamęcie jej, oddział szwajcarski rozbił się na dwoje. Jedni dalej bój zacięty toczyli na dolinie. Drudzy rzucili się w mury szpitala św. Jakóba, od którego bitwa ta wzięła swe nazwisko. I ci i tamci wyginęli prawie co do nogi, gdyż z tylko dziesięciu ocalało. Pole zasłane było trupami szwajcarskimi, zwartemi w tak ścisłych jak walczyli szeregach. Czerwone wino, które na tych łąkach się rodzi,

dotąd zwie się Schweizerblut. Najezdnik przeszło dwa razy więcej
żołnierza
stracił.

Walka trwała dziesięć godzin. Po jej ukończeniu jeden z okolicznych
baronów,
stronnik cesarza a zatem nieprzyjaciel wolnych Szwajcarów,
przejeżdżając między
stosami ich trupów, ozwał się do swych przybocznych: "Zdaje mi się
jakobym się w
różach kąpał". — "Ucałuj więc jeszcze i tę" — krzyknie zrywając się
jeden z
ciężko rannych, i zręcznie rzuconym kamieniem tak dzielnie go w
czoło ugodził,
że go na miejscu zabił, i w tejże chwili sam padł i ducha wyzionął.
Nieustraszone męstwo Szwajcarów przejęło zdumieniem Ludwika, i
wzbudziło w nim
najwyższy dla nich szacunek. Skoro więc doszła go wieść, że cała
rzesza z pod
Zurich dąży przeciw niemu, cofnął natychmiast wszystkie swe
zastępy, mówiąc:
"Jeżeli kilkanaście setek takie krwawe sprawiło nam przyjęcie, cóżby
się z nami
stało gdyby tysiące przybyły?" Wkrótce też zawarł z niepodległą
Szwajcaryą
pokój stanowczy. Tu poczęła się przychylność, którą jej zawsze
okazywał przez
długi ciąg swego panowania. Odtąd także datuje ów stały z nią królów
francuzkich
związek, który przez blisko cztery wieki dostarczał im
najdzielniejszych i
najwierniejszych obrońców".
— "Wyborna pamięć, rzekłem, — ręczę że wiesz i dzień i rok, w
którym tę bitwę
stoczono".
"W sam św. Ludwik roku".

— "Doskonale. A cóż ci ta data z dziejów ojczystych przypomina?"
Młodzieniec zamyślił się, chciał coś powiedzieć,

ale zaraz ustał. Pragnąc co prędzej wyprowadzić go ze zmieszania,
dodałem:

— "W roku tym, lubo nieco później, bo listopada, zginął nasz
Władysław pod
Warną w walce, nie mniej bohaterskiej, a wypadkiem swym stokroć
ważniejszej dla
świata chrześcijańskiego niż te zapasy szwajcarskie. Pełno było
sławnych bitw i
klęsk w tymże roku. Długosz powiada: *Insignis est hic annus multis
cladibus, nam
et Swaizeri apud Basileam caesi sunt... nulla tamen quam Pannonica
clades
insignior.* W istocie, gdyby nie ta przegrana, Carograd nie byłby upadł
tak
rychło, to jest w dziewięć lat po niej, a może nie byłby się nigdy w
ręce Turków
dostał. Pewnie przytomne ci są jej szczegóły".

"Nie zupełnie".

— "Ma ona niejaki podobieństwo do tej bitwy bazylejskiej, ale
wszystko w niej
daleko szersze przybiera rozmiary. W obu razach zjawia się nagle,
niespodzianie,

prężniejszy nieprzyjaciół, tu trzykroć, tam dziesięćkroć razy
liczniejszy. W

obu razach garstka rzuca się z szaloną odwagą na zwarte wrogów
zastępy, i ginie.

I tu i tam nieprzyjaciół traci więcej niż dwa razy tyle co wojsko jego
przeciwników wynosiło. Nieszczęściem wypadek wręcz przeciwnym
się okazał. Pod

Warną wszystko na jednej zależało osobie. Gdy król padł, pękł węzeł
łączący,

znikła wszelka otucha. Ale jakaż to wspaniała i ujmująca postać tego

niedoletniego jeszcze Warneńczyka! Władzca dwóch potężnych królestw,

młodzian najczystszych obyczajów, najżywszej wiary,
najwznościelszego
poświęcenia, w samym zaraniu męskiego wieku, występuje tu jako
przedstawiciel i
obronca całego chrześcijaństwa. Pietate ductus, jak mówi Długosz,
militiae decus
praeponens salutem et gloriosam mortem vitae opprobrium, nie daje się
radom
przeciwnym wstrzymać w bohaterskim zapędzie, nie zniechęca się ani
odstępstwem
Hunyada ani ucieczka Wołochów, ale sam tylko z swymi Polakami
rzuca się na cały
ogrom nieprzeliczonych wroga szeregów, którym zdał się jakoby
piorun z nieba
spadający, quasi conspexissent subitum fulgor descendere a coelo,
lamie ich
ściśnięte hufce, lecz zapędziwszy się za daleko, oddzielony od swoich,
gdy i
konia pod nim ubito, pada raczej pod ciężarem nawały niż pod razami
pohańców.
Potęga otomańska wydarła światu chrześcijańskiemu mnóstwo
najdroższych skarbów i
trofeów, ale nigdy nie zdobyła wspanialszego nad tę głowę królewską,
którą
jańczar Kodża Chazer złożył u stóp Amurata, a którą na znak tryumfu
obnoszono
dni kilka po całym obozie. Tryumf ten drogo zwycięzcy opłacili, bo
gdy całe
wojsko króla ledwie , liczyło, Turcy w tej bitwie stracili przeszło ,
wyborowego żołnierza. Polacy prawie wszyscy wyginęli. Między
poległymi
Długosz wymienia dwóch Tarnowskich i dwóch synów owego
Zawiszy Czarnego, który

szesnaście lat wprzód, na tej samej ziemi bułgarskiej, pod warownią
Gołubiecz
nad Dunajem, gdy opuszczony od cesarza Zygmunta i jego wojska,
samotrzcę rzuca

się na całą potęgę muzułmańską, ginie zarazem bohaterską i
męczeńską śmiercią.

Jeszcze jeden szczegół podobieństwa. Jak pod Bazyleą uratowało się
dziesięciu,

tak tu cudem, według Długosza, ocalało dziewięciu, a między tymi
trzech

późniejszych biskupów: Grzegorz z Sanoka, Paweł z Garbowa i Jan
Rzeszowski.

Zgoła, jeśli Szwajcarowie mają prawo szczyścić się z swych
bohaterów, takich jak

Tell Winkelried, nam jeszcze więcej chluby przynoszą. tacy jak
Warneńczyk, i

Czarny Zawisza, bo nie tylko za swą ojczyznę, ale za całe
chrześcijaństwo

walczyli. Krocie podobnych uświetniają dzieje nasze, a osobliwie
epokę

Jagiellonów. Już i z tego powodu epoka ta zasługuje na ściślejsze i
powszechniejsze badanie, niż dotąd u nas otrzymała. Źródeł nie brak".

"I ja przyznam się, — rzecze Władysław, — iż dotychczas więcej mię
zajmowały

przedchrześcijańskie i przedmonarchiczne w Polsce czasy, owa wolna,
bogata,

poetyczna Słowiańszczyzna".

— "Otóż to bieda. Lubujemy się w Słowiańszczyźnie, bo pogład w
nią i

obrazowanie jej nie wymaga ani pracy ani ścisłości naukowej, a
nieograniczone

pole marzeniom otwiera. W jej zamierzchu wszystkiego się domyślać
można, każda

teoryjka da się w niej usadowić, każdy błędny ognek wydaje się zorzą.
Nigdzie

stałej podstawy, nigdzie jasnych dowodów, nigdzie osnowy do mozolnych badań a stanowczych wniosków. Według mnie, nawet dla poezji brak tam właściwego wątku. Jeżeli jest, to chyba dla fantazyi. Mniemam bowiem, że gdzie nie ma

podstawy dla historii, tam też jej i dla prawdziwej poezji nie dostaje.

Poezja

wznosi do ideału, ale przedmioty znane, rzeczywiste, wywodzi charaktery, z

którymi współ-czuć i myślać współ-działać możemy. I cóż dotąd nasi rymotwórcy

zdołali wyprowadzić z tej zamglonej krainy? Same sny, widma, fantastyczne

cienie. Ale mówiąc już tylko o dziejopisarstwie, ileż wyniknęłoby pożytku, ile

nauki dla obecnych czasów, gdyby się wzięto szczerze do badania i obrabiania

pojedynczych a nam bliższych okresów. Wprawdzie, zmudna to i często cikliwa

praca. Wymaga cierpliwości, spokoju, zimnej rozwagi, wyzwolenia się z przesądów

i pochopów nam współczesnych. A tu, jakżeż miło rozkoszować się w tym raj

utraconym a dla wielu już w myśli odzyskanym, co się gminą słowiańską zowie,

jakżeż cudnie bujać marzeniami po tej drodze mlecznej niezliczonych rzeczpospolit, spływających w jedno światło szczęścia, swobody i

pokoju! Szkoda

tylko, że niemamy dotąd teleskopu, któryby zdołał cośkolwiek w tym odmęcie

rozdzielić i byle jednostkę stanowczo określić. Ale na dziś dość już tej pogadanki. Idźmy się wywczasować. Jutro więc do objadu będziesz

sam tutejsze

ciekawości oglądał. Zastrzegam tylko sobie katedrę i bibliotekę, którą razem po

południu obejrzymy. Nie braknie nam czasu, gdyż dopiero późnym wieczorem powóz pocztowy do Zurichu odchodzi. Tylko już dziś nie wiele pracuj nad twym dzienniczkiem".
"Małom co dziś widział, ale zapiszę sobie w nim

wielkimi literami te dwa wyrazy: Punktualność — Słowiańszczyzna" — rzekł
Władysław i uściskawszy mnie serdecznie pobiegł do swego pokoju. I ja do mojego odszedłem rad że odkrył przecież sposób, jakim będę mógł wstrzymać mego towarzysza w gadatliwości, i powściągać go w popisywaniu się zewsząd pochwytanemi a powierzchownemi tylko wiadomościami. Nie ma bowiem na podobnych gawędziarzy skuteczniejszego wędzidła, jak natrafiwszy na przedmiot, w którym mniej są biegli, trzymać ich wciąż w jego granicach. Sposób ten zdawał mi się tem więcej w obecnym razie obiecywać, że się okazało, iż mój ziomek nie osobliwie znał kraj własny i jego dzieje.

* * *

Nazajutrz jeszcze dobra godzina była do obiadu, a już Władysław zapukał do drzwi moich.
"Stawiam się, — rzekł, — na rozkazy".
— "O wiele zawcześnie, odpowiedziałem, — ale nic nie szkodzi, bom już moje listy popisał. Pamiętaj jednak, że punktualność na tem zależy, aby ani za późno, ani za wcześnie, lecz w sam raz przychodzić. Lepsze przecież drugie niż

pierwsze".

Aby zyskać więcej czasu, przyspieszyliśmy obiad, który w tak wielkim hotelu na każde zawołanie był gotów, i szybko się z nim sprawiwszy, zaraz wyszliśmy na miasto.

Władysław, którego bacności nic nigdy nie uchodziło, zwrócił najprzód moją uwagę, na to, że całe miasto, jak Warszawa, było jednym ciągiem numerów oznaczone, potem wskazał mi na jednym wodotrysku kamienny posążek z tą samą co Lallenkoenig osobliwością, nie pominął także zaprowadzić mię przed dom Erazma, gdzie teraz mieści się fabryka wstążek, i do apteki Jana Bernouilli, zapewne z rodziny owych czterech sławnych uczonych, którzy po kolei uniwersytet tutejszy uświetnili. Doszliśmy wreszcie do katedry. Wznosi się ona nad Renem od którego oddziela ją i ubezpiecza piękny szaniec czy taras zwany die Pfalz. Budowa niczem szczególnem wewnątrz nie uderza, chyba czerwonym kamieniem swych murów. Dwie wieże, każda na dwieście stóp wysoka, upstrzone galeryjkami, większe z daleka niż z bliska czynią wrażenie. Drzwi znaleźliśmy zamknięte. Z wielką trudnością dopytaliśmy się nareszcie gdzie mieszka odźwierny. Pukamy do wskazanego nam domku. Wyskakuje hoża, może ośmioletnia dziewczynka, i odgadując od razu czego żądamy, tłumaczy nam na migi, że Grossvater jeszcze nie skończył obiadu i że

mamy się przechadzać po Pfalzu, a on wkrótce nadejdzie. Poszliśmy więc na Pfalz.

Szaniec ten, wznoszący się kilkadziesiąt stóp nad rzeką, ocieniony starami kasztanami, z rozległym widokiem na Ren i na góry Czarne Lasu, był niegdyś miejscem sławnych turniejów. Ale teraz marzyć o dawnych czasach było niepodobieństwem, gdyż wiek dziewiętnasty co krok

dotkliwie się nam przypominał, właśnie bowiem wylewano tu chodniki asfaltem.

Wnet zjawił się Grossvater. Niski, chudy, krzepki, siwy jak gołąb, z bystrem a nawet figlarnem okiem staruszek, powitał nas wesoło jakby dawno znajomych.

Doskonale przemówił po francuzku. Więc Władysław, odgadnąwszy w nim swego, wyzwał go zaraz do walki na facecye i dwuznaczniki. Weszliśmy do katedry.

Wnętrze, jak we wszystkich świątyniach protestanckich, ogołoczone ze wszelkich

ozdób, mało przedstawia godnych uwagi przedmiotów. Władysław jednak zatrzymując

się przy starożytniej ambonie, przy kropielnicy, i jakiejś głowie bożka Terminus,

to przy sarkofagu Anny, żony Rudolfa Habsburgskiego, to znów przy grobowcu

Erazma, tak obsypał staruszkę rozlicznymi wspomnieniami i antykwarskimi i

historycznymi, że ten stał jak wryty i nie śmiał przemówić. Gdy się to już

zbytecznie przeciągało, zapytałem:

"Nic-że ci więcej na myśl ta świątynia nie przywodzi? Nie uświetniłże jej jaki

wypadek godny naszej jako Polaków pamięci?"

Władysław milczał.

— "A przecież tu, w czasie soboru, zaraz po śmierci Władysława Jagiełły, odbyło się okazałe nabożeństwo żałobne za jego duszę, o którym znajduje się wzmianka w tytu cudzoziemskich autorach, a które obszernie opisał przytomny temu obrzędowi nasz Mikołaj z Błonia. Mszę wielką śpiewał kardynał Branda. Mikołaj Kozłowski, profesor teologii i ka-

nonik krakowski, miał kazanie, którym do łez całe i zgromadzenie poruszył. Po nim z nie mniej wymowną pochwałą króla wystąpił kardynał Julian Cesarini, ten sam co w dziesięć lat później skłonił jego syna do wyprawy pod Warnę, towarzyszył mu w niej i w odwrocie zginął. Oprócz dwóch Polaków, których już wspomniałem, byli jeszcze przytomnymi obrzędowi: Stanisław Ciołek, biskup poznański, — Lutko z Brzezia, kanonik gnieźnieński, — Mikołaj Lassocki, dziekan krakowski — i Derśław z Borzymowa, archidyakon krakowski. Ale oto właśnie mam w moim dawnym dzienniczku, który tu przyniosłem dla sprawdzenia kilku napisów, wyrazy Długosza o tej sławnej uroczystości. Mówi on: Adventu Luthkonis Basileam, mors Wladislai Regis renovata dolentibus omnibus excellentiae tantae Regein, et fidei Christianae maximum propagatorem, absumptum esse. Celebratae sunt illi in Ecclesia Cathedrali, impensis Stanislai Czyołek Episcopi Posnaniensis, Regales

et magnificae exequiae, et omnis honos cum multa devotione primum habitus,
Brandae Episcopo Portuensi, Cardinali Placentino, Missam celebrante, et Magistro Nicolao Kozłowsky, qui Sbigneum Episcopum Cracoviensem, ab eo missus, representabat, in latino sermone nobilem concionem faciente. In qua de excellentibus, magnificis et insignibus, item de religiosis et devotissimis actibus suis, in fidem et religionem orthodoxam, plurima disserunt, multisque Patribus Concilii verbis suis lacrymae excussit. "

W milczeniu, zapewne ta długą cytacją sprowadzonem, prześliśmy z chóru do Sali Sobornej. Mała, niska, słabo czterema gotyckimi okienkami oświecona, sprawia zawód wchodzącemu, i nie daje najmniejszego wyobrażenia jakim sposobem mogli się w niej pomieścić pełnomocnicy całego ze wszech krajów katolickiego duchowieństwa. Prawda że przy samem otwarciu (grudnia r.) zaledwie kilkunastu znajdowało się prałatów, ale następnie, — już nie mówiąc o poselstwach okazałe pod względem liczby i świetności przed soborem stawających, jak na przykład husyckie, które w osób do Bazylei przybyło, — zdarzało się, zwłaszcza gdy po usunięciu się kardynałów i biskupów niższe duchowieństwo weszło w skład zgromadzenia, że liczono w niem przeszło członków. Musiano wtedy zapewne w samej katedrze obradować. W sali tej, jedynym z owego czasu zabytkiem,

prócz murów i ławy w około nich ustawionej, pozostały dwie klepsydry, które zgromadzeniu ubiegający czas wskazywały. Obok nich znajdują się buzdygany i włącznie z bitwy pod świętym Jakóbem, dawny rysunek Tańca Śmierci i jakieś maszyny elektryczne, śnać aby nikt nie mógł tu zapomnieć, iż żyje w dziewiętnastym wieku. Ztamąd zaprowadził nas Grossvater do krużganków klasztornych. W środku pełno grobowców. Na płytach kamiennych stoją słupki, a na tych rozwarte książki z wrytymi z biblii zdaniem. Niektóre napisy są po grecku. Oecolampadius, Grynaeus i Meyer leżą obok siebie. Jeżeli dobrze zrozu-

miałem dziwną niemczyznę, w której napis na ich grobowcu ułożono, wyraża on, że niczego ci trzej już niepotrzebują, gdyż są nieśmiertelni. Tylko protestantyzm, nie wierzący ani w potrzebę ani w skuteczność modlitwy za umarłych, mógł się na coś podobnego zdobyć. Wyszędłszy z katedry przypatrywaliśmy się jeszcze od zachodniej strony wiodącemu do niej portykowi św. Gallusa, gdzie Chrystus, św. Piotr i siedem panien mądrych i siedem głupich dość uderzającą rzeźbą odznaczają się. Grossvater nie omieszkał w końcu wskazać nam dziwolągów, śmiejących się i przedrzeźniających, którymi fasada jest okryta, a do każdego jaką figlarną przypowieść dołączał. To wprawiło znów w dobry humor nieco posepionego Władysława.

Zapytał go więc od jakiego czasu zegary bazylejskie zgadzają się z wskazówkami?

"Depuis que l'égalité a tourné la tête du monde, on a aussi voulu introduire ce principe entre le mouvement des aiguilles du cadran et les tympan des cloches",
odpowiedział Grossvater, który widocznie był zwolennikiem arystokracji.

Młodzieniec zagabnął go znowu, gdzie się podział Lallenkoenig?

"Dziś, rzecz staruszek z westchnieniem, odkąd miasto pobite zostało przez zbrojny związek wsi okolicznych, schowaliśmy już nasze języki. Jeżeli pokazujemy je, to chyba lekarzom. Otóż z tego powodu powiem panom co się tu wydarzyło przed kilkoma dniami. Wiecie że lekarze nie lubią, gdy ich kto

na ulicy zatrzymuje, bo na ulicy honorariów się nie daje. Znana tu wszystkim skąpa jejmość, żeby nie płacić, miała zwyczaj wybiegać przed kamienicę, skoro spostrzegła, że jeden z pierwszych naszych doktorów przechodzi, i rad jego zasięgać. Długo to cierpliwie znosił, aż nareszcie przed kilkoma dniami; gdy tak mu drogę zabiegła, kazał jej zmrużyć dobrze oczy i język wyciągnąć, a sam cichaczem uciekł, zostawiając niebogę na pośmiewisko przechodzących. Dotąd całe miasto bawi się opowiadaniem tego wypadku".
Chcąc przerwać coraz bardziej mnożące się z obu stron koncepta i pozbyć się gadatliwego przewodnika, który usiłował być tem zabawniejszym, im więcej zbliżała się chwila rozstania, wsunąłem mu w rękę sowite, jak mi się zdawało,

wynagrodzenie. Od razu twarz jego przybrała wyraz odmienny. Nagła ta zmiana daje się spostrzeżać przy rozstaniu we wszelkiego rodzaju przewodnikach i odźwiernych, czy dla tego, że omackiem rachują dane sobie pieniądze, czy że wszelką nagrodę za małą uważają, czy wreszcie, że z przybranej roli wracają do naturalnego usposobienia. Usłudni, a nawet uniżeni przed otrzymaniem datku, przywdziewają imponującą jeżeli nie drwiącą minę, skoro się już od gościa czegoś więcej spodziewać przestali. Władysław jednak musiał Grossvaterowi dać coś grubego od siebie, i jeszcze grubszym pożegnać go figlem, gdyż słyszałem jak się ze śmiechem rozstawali i po kilkakroć z daleka głośnie przesyłali sobie uprzejmości.

"Przykre zawsze, — rzekłem do nadbiegającego towarzysza, — sprawia na mnie wrażenie błaznujący starzec, zwłaszcza na miejscu, które tyle poważnych obudza wspomnień".

Władysław spłonił się, bo czuł że i o niego potraçała moja przymówka. Żeby więc rzecz naprawić, zaczął uroczystym tonem rozwodzić się nad dziejami bazylejskiego Soboru, roztrząsać ważną kwestyę: czy Sobór powszechny nad Papieżem, czy ten nad Soborem winien mieć władzę, i który z dwóch pod ten czas wybranych Papieżów, czy Eugeniusz IV. czy Felix V. miał bliższe do tiary prawo, ubolewać wreszcie że tu, z powodu kłótni i rozdwojenia, ani Hussytów nie uciszono, ani unii z kościołem greckim nie dokonano.

"Wszystko to, ozwałem się, doskonale już wyświecili uczeni a sumienni pisarze. Daleko mniej znanym, a dla nas więcej jeszcze zajmującym przedmiotem byłoby wyjaśnienie zapytania: jak w tem ciężkiem położeniu kościoła zachowało się duchowieństwo nasze? Bogatą znalazłby tu osnowę i obrazowy i rozumujący dziejopisarz. Błyszczą w tedy w Europie równie ołtarz jak tron polski okazała potęgą i sławą. Oba Sobory, i konstancyeński i bazylejski, pierwszy w ciągu czteroletniego, drugi aż szesnastoletniego swego trwania, obzierały się nieustannie na Polskę, i w nieprzerwanej zostawały z nią styczności. Na obu Polacy przeważnie zajmowali stanowisko. Jakżeż wspomniałbym musiał być widok, gdy do Konstancyi przybywało pierwsze po-

selstwo polskie, które składali Mikołaj Trąba, arcybiskup gnieźnieński, Jan Kropidło, biskup kujawski, Jakób Kurdwanowski, płocki, Andrzej Laskary Gosławicki, nominat poznański, a ze świeckich Janusz Tuliszkowski, kasztelan kaliski, i sławny Zawisza Czarny, i gdy wszyscy już zgromadzeni kardynałowie i prałaci wyszli na ich spotkanie, i witali ich cum animorum alacritate, podziwiając liczbę i przepych przybywających, illorum numerum et apparatus. A pomnieć trzeba, jak licznem było to zgromadzenie, kiedy się na niem znajdowało kardynałów, patryarchów, arcybiskupów i biskupów, prałatów, a około książąt, hrabiów i baronów rozmaitego rodzaju, tak że cudzoziemców

rachowano na przeszło , . Wśród takiego to grona nasz arcybiskup Mikołaj świetnie zajmował miejsce i nauką i wymową i okazałością swego dworu, — et familia, equisque, vasis insuper aureis et argenteis, itemque expensis magnificis, splendidum tenebat in Concilio Constantiensi statum, inter Pontifices orbis Christiani, qui illuc in magna multitudine confluxerant, sed neque inter Cardinales habens secundum". — "I niezawodnie, przerwie mi Władysław, tak Arcybiskup jak i jego towarzysze nietylko sumiennie ale i hojnie za wszystko płacili. Nie tak jak inni, za których długi mieszczanie konstancyeńscy poważyli się aż srebrne i złote naczynia Cesarza Zygmunta przy wyjeździe przytrzymać. Prawda że Cesarz miał główne podejmować wydatki. Ale też

zgrabnie im się wywinął. Kazał na tę samą ogromną salę, w której się zgromadzenie odbywało, nazwozić rozmaitego rodzaju przyborów i towarów, i opieczętowawszy paki herbem cesarskim, zostawił je wierzycielom w zakład jako za rok z długu się swojego uiści. Po upływie terminu, skoro pieniądze nie przybywały, mieszczanie ogłosili sprzedaż publiczną owych towarów, ale gdy ta miała się rozpocząć, zjawili się urzędnicy cesarscy i zagrabili wszystko twierdząc, że na czem spoczywa herb cesarki, to nie już Cesarza osobiście, lecz całego cesarstwa jest własnością". "Musiał nasz arcybiskup (dorzuciłem) mieć wielkie dochody. Albo też dary, którymi go Jagiełło, jak wiemy także z Długosza, przy rozstaniu obsypał,

przechodziły hojnością zwykle w takich razach uposażenia, kiedy
Mikołaj nietylko
w Konstancyi ale i w Paryżu, dokąd wraz z Januszem z Tuliszkowa i
Zawiszą
Czarnym towarzyszył Cesarzowi w , również wzbudza podziwienie,
zwłaszcza,
gdy całe grono uniwersyteckie convivio sumptuoso et solemni...
splendide atque
liberaliter pertractat. Ale też i cnoty, i powaga, i uczoność, musiały go
wysoko
wznosić nad innych, kiedy w Konstancyi o mało nie wybrano go
Papieżem, i byłby
pewnie nim został, gdyby przez skromność nie był się zrzekł swej
kandydatury na
rzecz Kardynała Colonna, który w zasiadł na stolicy apostolskiej pod
imieniem Marcina V., i w następnym roku Sobór zamknął. Warto i to
pamiętać, że w
czasie tego

wyboru straż przy Conclave Polakom ze świeckiego stanu poruczono.
Nasz Mikołaj-
wrócił do kraju z tytułem Prymasa, który odtąd wszyscy arcybiskupi
Gnieźnieńscy
nosili. Z niemniejszą troskliwością oglądał się Sobór bazylejski na
Polskę i
poparcia od niej wzywał. Wkrótce też po otwarciu wyprawiono ztąd
poselstwo do
Jagielli, składające się z Jana, biskupa parmezańskiego, Wilhelma,
prowincyała
Karmelitów lombardzkich i Antoniego de Beruntiis, sławnego
teologa. Posłowie ci,
przyjęci przez Jagiełłę w Sandomierzu, błagali go, aby wszelkiemi
siłami raczył
popierać zgromadzenie bazylejskie, i nietylko wysłał do Bazylei
swych

pełnomocników, ale nadto starał się nakłonić wszystkich polskich
prałatów, aby
tamże pospieszyli, ut illud sua autoritate et assistentia roboraret, et
legatos
suos solemnes ad illud mitteret, simul et Praelatis Regni sui mandaret
ut in
Basiliensem civitatem pro celebrando hujusmodi Concilio transirent.
Gotowało się
liczne i świetne z Polski poselstwo. Na jego czele stanął biskup
krakowski
Zbigniew Oleśnicki, ale nagła śmierć króla zwróciła go już z podróży.
Pojechał
więc tam Stanisław Ciołek, biskup poznański i inni, o których ci
wspomniałem,
mówiąc o żalobnym obrzędzie, który się w katedrze bazylijskiej
odbył po śmierci
Jagielli. Gdy się jednak wszczęły niesnaski w Soborze, Polacy jeden
po drugim
wracali do kraju. Położenie duchownych nader wtedy trudnem było,
zwłaszcza gdy
Sobór nie tylko wypowiedział posłuszeństwo prawemu papieżowi
Eugeniuszowi IV.,

ale na jego miejsce wybrał starego Amadeusza, księcia Sabaudyi,
który przybrał
imię Felixa Vgo. Zjawiali się raz po raz posłowie w Polsce, i od
Eugeniusza i od
Felixa. Sypały się od obydwóch przestrogi, proźby, zaklęcia, obietnice
i
dostojeństwa. Oba wynieśli Zbigniewa Oleśnickiego do godności
kardynalskiej, a
Felix nadał ja także Wincentemu Kotowi, arcybiskupowi
gnieźnieńskiemu. Oba
mieszali się do naszych sporów z Krzyżakami. W tym ciężkim razie,
kościół

polSKI, naśladowając Niemców, przyjął tak zwaną neutralność, to jest, nie rozstrzygając niczego naprzód, a w nadziei, że rozdziwienie wkrótce się polubownie ukończy, starał się z obu dwoma przyjazne zachować stósunki. Akademia zaś krakowska, jak wszystkie akademie w Europie, pragnące jak największego uszczuplenia władzy papieżkiej, przechylała się na stronę Soboru i wybranego przezeń Felixa. Najgorliwsi w tym kierunku akademicy krakowscy jako to: Wawrzyniec z Raciborza, Jakób z Paradyża, Jan Elgot, Benedykt Hesse, przesadzali się w uczonych rozprawach by dowieść, że Sobór jest wyższym nad Papieża, a Tomasz Strzemiński, zestawivszy te rozumowania w jedną całość i wyborynym okrasivszy stylem, przesłał swą pracę Soborowi przez krzątającego się podówczas w Polsce Marka Bonfili, którego zgromadzenie to wysłało było i do młodego króla i do biskupów i osobliwie do tejże akademii, by uznanie Felixa przyspieszyć. Praca ta sprawiła niewymowną radość w Bazylei i za najlepszą w tym przedmiocie poczy-

tana została. Uznał to sam Felix w dziękczynnym do akademii liście. Ten sam Marek Bonfili był po trzykroć wysyłanym do Polski na czele kilku innych kolegów i zwolenników Felixa. Uwijali się między Polska a Bazyleą Mikołaj Lassoeki, Derśław z Borzymowa, Jan Elgot, żarliwy stronnik Soboru i ztąd wielkimi przezeń

obsypywany pochwałami. Kapelusz kardynalski Oleśnickiemu przywiózł w Portugalczyk Jakób de Chiaves. W Sobór przysłał Demetrjusza z Konstantynopola na profesora języka greckiego w akademii krakowskiej. Gdy Kaźmierz Jagiellończyk objął rządy, zjawia się po raz trzeci w Polsce w Marek Bonfili, i błaga Króla i Stany, by uznano Sobór i Felixa. Ale nic niepomogły ani jego wymowa, ani intrygi, ani popieranie przez akademię, która żądała, aby przynajmniej przez rok jeszcze utrzymano się w neutralności. Był to czas już ostatnich tchnień Soboru. Odpadał od niego jeden kraj po drugim, a gdy po śmierci Eugeniusza wstąpił na stolicę apostolską Tomasz z Sarzana pod imieniem Mikołaja V go, cała Europa pospieszyła z uznaniem jego zwierzchnictwa. Skwapliwie dopełnił tego i nasz Kaźmierz. Ociągała się jeszcze akademia krakowska i prawie ostatnią była w ukorzeniu się przed prawowitym papieżem. Tymczasem cesarz nakazał mieszczanom bazylejskim, aby rozpędzili uporne resztki Soboru. Zgromadzenie przeniosło się w z Felixem do Lozanny, i wkrótce potem ostatecznie się rozwiązało. Nie dziw się, że tak pamiętam te wszystkie nazwiska i daty,

bo mam je tu w moim dzienniczku, wypisane z Długosza i innych, i jeszcze dziś je rano odczytywałem. Radzę i tobie, abyś zbierał podobne wyciągi, i podróżując,

starał się najprzód uprzytomnić sobie w każdym miejscu połączone z
niem

wspomnienia polskie".

Tak rozmawiając, doczekaliśmy godziny, w której biblioteka
otwierana bywa.

onieważ znajduje się na tym samym co katedra placu, stanęliśmy u jej
drzwi wraz

z kustoszem. Zaprowadził on nas najprzód do księgozbioru, liczącego
około ,

tomów i rozmaite pamiątki, odnoszące się do Erazma pokazał. Mniej
to jednak

zajęło nas niż starożytności z Aeugst nagromadzone w jednej sali.

Była to

stolica prowincyi Raurica, zwała się Augusta (zład Aeugst)

Rauracorum, założył

ją pod panowaniem Augusta Lucius Munatius Plancus. Zniszczyli ją
Hunnowie r.

Ruiny znajdują się o milę od Bazylei. Jak była wielką i zamożną znać
już z tego,

iż miała amfiteatr, który najmniej , widzów mógł obejmować.

Valentinian I.

w założył ku jej obronie nad Renem zamek Basilia. To dało początek
miastu

Bazylei. Oprócz rozmaitych ciekawych zabytków znalezionych przy
odkopywaniu tych

ruin, posiada biblioteka bardzo bogaty zbiór medalów rzymskich,
kilkanaście

tysięcy sztuk obejmujący. Ale najznakomitszą jej ozdobą są obrazy, a
między temi

naczelne zajmują miejsce malowidła Holbeina. Urodził się on w
Bazylei w .

Nie dziw więc, że rodzinne miasto starało się jak najwięcej jego

utworów zgromadzić i słusznie się niemi szczyci. Znakomite tu są
jego pędzla

portrety, Erazma, Ammerbacha, Lutra, Zwinglego, a osobliwie
Frobenjusza. Jest
szkic sławnego obrazu wystawiającego rodzinę Tomasza Morus. Są
wizerunki
burmistrza Meyera, jego żony i dzieci, które przygotował do swego
arcydzieła,
dziś znajdującego się w galerii drezdeńskiej. Myśl prześliczna.
Rodzina
przywodzi schorzałe i umierające już dziecko przed Matkę Boską.
Najświętsza
Panna stawia Dzieciątko Jezus na ziemi, a bierze tamto do swego łona
i uzdrawia.
Wart również uwagi nad drzwiami zawieszony podłużny obraz
Chrystusa zdjętego z
krzyża. Ale największa część podróżnych mniej zważa na te
arcydzieła, niż na
utwory, które mało zaszczytu Holbeinowi przynoszą, bo dowodzą, że
był daleko
lepszym malarzem niż człowiekiem. Od lat najmłodszych okazywał
on zadziwiającą
zdolność do ołówka i pędzla. W roku swego życia wymalował dwie
sceny szkolne,
które galeria tutejsza z wielkim uszanowaniem przechowuje.
Zepsuty pochwałami i
łatwym z początku zarobkiem, wnet stał się rozrzutnikiem, pijanicą,
hultajem. Od
kieliszka, a raczej od kufla trudno go było odpędzić. Z biedy musiał
się często
podejmować prac najlichszych, jak naprzykład malowania domów
zewnątrz itp.
Zawsze trzeba było dobrze go pilnować, gdyż inaczej ociągał się do
ostatka.
Umiał przecież najbaczniejszą straż omylić. Razu jednego, gdy
siedział na
rusztowaniu przed domem, wymalował swe zwieszane nogi tak
doskonale, iż

zdało się że wciąż jest przy pracy, a tymczasem uciekł na pijatykę do pobliskiej gospody. Mścił się dotkliwie jeżeli mu nie zapłacono tyle ile żądał, a zawsze wymagał za wiele. Panna Offenburg kazała mu zrobić swój portret. Czy ją nie dość ładną wystawił, czy że zbyt się drożył, nie chciała podanego sobie rachunku zapłacić. Odebrał więc z gniewem portret, a wymalował inny, w którym wystawił ją szkaradną", a co gorsza, w postaci ulicznej zalotnicy. Przerazona, pospieszyła zapłacić mu ile tylko żądał. Wymalował więc ją raz trzeci, ale już przyzwoicie, przedstawiając liczącą mu dukaty za jego pracę. Pierwszy i ostatni z tych wizerunków znajdują się tu w bibliotece. Gdy się ożenił, i gdy poczęło przybywać dzieci, brnął coraz głębiej w nędzę i długi. On pił i trwonił, a żona i dzieci umierały z głodu. Wróciwszy raz późno w noc z pohulanki, zastał spłakaną żonę, a dzieci wybladłe i błagające chleba, gdyż od rana nic w ustach nie miały. Widok ten nędzy i rozpaczony wzruszył ale artystę nie człowieka. Kazał im zachować postawę, w jakiej ich zastał, i dobywszy ołówka co prędzej przeniósł na papier całą tę scenę ze wszystkimi szczegółami i z przerażającą dobitnością prawdy, a ze szkicu nazajutrz odmalował obraz, który się tu także znajduje. Znać należał do tych, którzy szydzą ze wszystkich i ze wszystkiego, a najprzód z siebie, i najgorzej siebie sami wystawiają, głęboko się jednak obrażając, skoro kto inny słówko przeciw nim przemówi.

Nim opuściliśmy bibliotekę, podano nam książkę

do zapisania naszych nazwisk. Poważna i objętością i wiekiem, wzbudziła ma ciekawość, czy przypadkiem jakich starych i znanych polskich imion nie znajde.

Ucieszyłem się więc, gdy zaraz na jej wstępie wyczytałem pod datą lipca :

Stanislaus Jabłonowski, Palatinides Russiae, — Georgius

Dzieduszycki,

Palatinides, Capitanaeus Zydaczoviensis, — Simon Gutowski. Na dalszych kartach

pełno jeszcze innych dostojników naszych wpisanych znalazłem.

Daleko jeszcze było do wieczora, gdyśmy wyszli z biblioteki.

Postanowiliśmy więc

obejść raz jeszcze szanę na okół. Lubo wcale nie silne, są one starannie

utrzymane, i zielonością swoją przyjemny sprawiają widok. Łatwo jednak

przewidzieć, że Bazylea pójdzie wkrótce za przykładem innych miast, które nie

będąc twierdzami na urząd, a potrzebując coraz większej

przestronności, zrównały

już z ziemią te zabytki dawnych wieków. A przecież tak niedawno jeszcze, bo

przed laty, ochroniły one Bazyleę od pożogi i zniszczenia. Miasto to zastawało przez kilka wieków pod zwierzchnictwem biskupa, który tu miał swoją

stolicę i należał do grona dostojników, zwanych przez Karola Wielkiego *Principes*

aulae nostrae. Z postępem czasu zyskało wielkie przywileje i znaczną liczbę

okolicznych włości. Wzmógłszy się w siłę i bogactwo, poczęło wyłamywać się z pod

ządu biskupów. Biorąc wreszcie religię za pokrywkę i narzędzie polityki, przyjęło wyznanie protestanckie. Biskup zmuszonym został przenieść się do Porentruy, i stracił wszelką władzę

nad kantonem, który już od roku należał do konfederacji szwajcarskiej.

Wzbogaceni mieszczenie obwarowali się wyłącznymi przywilejami, i poczęli srogo

uciskać, równie wszelkich przybyszów jak włości od miasta zależące.

Rewolucya

francuzka zaprowadziła równość praw cywilnych i politycznych między obywatelami

miejskimi i wiejskimi. W mieszczenie znowu wzięli górę. Liestall stało

się stolicą okręgów wiejskich, coraz silniej dopominających się równouprawnienia. Rok dodał im śmiałości i do zbrojnego oporu pobudził.

Przyszło niejednokrotnie do starcia, ale miasto większemi rozporządzając

zasobami i osłonięte puklerzem swych szanów, zawsze miało jeszcze przewagę.

Napróżno naczelna władza związkowa usiłowała zaprowadzić zgodę, a gdy to się nie

powiodło, przedstawiła konieczność oddzielenia wiejskich okręgów od miasta, i

utworzenia dwóch osobnych kantonów. W mieszczenie chcąc przemocą swego

dokazać, wypadli z nienacka w ludzi i dział go sierpnia, i szybko posunęli się ku Liestall niszcząc i paląc opierające się wioski. Ale na czas

ostrzeżeni, przeciwnicy dali im dzielny odpór. Zawrzała straszna bitwa,

osobliwie w lesie Hard. Mieszczenie poczęli się cofać. Rejterada zmieniła się

wkrótce w rozsypkę. Czteryście mieszczan padło, reszta ratowała się ucieczką, i gdyby nie szańce, zwycięzcy byliby miasto opanowali. Wieśniakami dowodził Polak, wychodźca z roku. Na cmentarzu w Bernie widziałem obok grobu generała Różyckiego,

grób jakiegoś Polaka, który umarł z ran w tejże bitwie odniesionych. Na wieść o niej wyprawiła rada związkowa swe wojsko, zajęła Bazyleę, i rozdzieliła na dwa kantony, (Bazylea miasto z kilkoma wioskami po prawym brzegu Renu, i Bazylea wieś z stolicą Liestall), nieodzownie skuteczną. Tak przywołując sobie na pamięć przeszłość miasta i kantonu, stanęliśmy u drzwi hotelu, a odpocząwszy nieco i posiliwszy się, udaliśmy się do gospody pod Bocianem, z kąd powóz pocztowy do Zurichu wyjeżdżał.

* * *

Delizans stał już zaprzężony, Postylion coś jeszcze poprawiał koło półszorków i lejców, i jak wszystkie postyliony na świecie, klął konie bez miłosierdzia. Zebrana gawiedź to mu przywtarzała, to drwiła zeń rubasznym przedrzeźnianiem i śmiechami. Zajęliśmy od razu miejsca, gdyż były wcześniej zamówione w tak nazwanym kabryolecie, to jest w półkaretce, znajdującej się na przodzie powozu. O umieszczenie w niej zwykle dobijają się ciekawi podróżnicy, gdyż najlepiej

widać z niej całą okolicę. Trzecie siedzenie pozostawało dla
konduktora. Wkrótce
też potulniejsza postawa postyliona i umilknięcie gawiedzi
zapowiedziały
pojawienie się tego samowładnego kierownika i pana naszej podróży.
Ledwie
mieliśmy czas usunąć wszystko coby zawadzać mu mogło, już stał
przed naszymi
drzwiczkami. Wyglą-

dał istnie na samodzierżcę. Wysoki, barczysty, nieco pochylony
trudami ciągłych
podróży, z obliczem marsowatem, z zawieszonymi wąsami, groźnym
okiem a głęboką
blizną na czole, zręcznie pokrytą lubo niezastłoniętą kaszkietem, suto
wygalonowanym a z lekka na bakier zwieszonym, dobrze
przedstawiał wysłużonego
wachmistrza, który na starość zmienił ładownice na urzędową torbę
pocztową. Do
tej to właśnie torby tkął grubą wiązkę papierów, a jednym rzutem oka
pojrzawszy
po wszystkich podróżnych i przekonawszy się, że żadnego nie brak,
zdawał się
gniewnym tupnięciem nogi wyrażać swą pogardę dla tych
zabazgranych świstków,
które próżno mu ciążyły, gdyż on wszystko wiedział lepiej na pamięć.
Wreszcie
namarszczywszy czoła krzyknął potężnym głosem: en r-r-route, ale
nie wsiadł
wprzód, aż gdy konie ruszyły. Na całym świecie stangreci mają
przywilej złego
humoru. Woźnica rodzi się burczymuchą. Cóż dopiero taki w cechu
koniuszych
dostojnik? Każdy więc konduktor stara się na wstępie przerazić
podróżnych swą

srogością, jakby chciał im powiedzieć: Najprzód mnie się bójcie,
później wam
pozwolę, byście mię kochali. Na odwrót, podróżnym chodzi najpierw
o to, aby go
co prędzej udobruchać. Znał się na tem dobrze mój towarzysz. Zaczął
przeto swą z
nim znajomość od ofiarowania mu potężnego cygara. Tamten spojrział
na nas srogo,
przenikliwie, jakby chciał od razu odgadnąć cośmy za jedni, i zamiast
podziękowania mruknął tylko, lecz nim zapalił cygaro, już mu się
twarz zupełnie

zozmarszczyła. "Panowie, cudzoziemcy? — zapytał — a zkad?" Gdy
zaś się
dowiedział żeśmy Polacy, nie omieszkał uraczyć nas owem
niechybnem "Braves
Polonais", z nieodzowniejszem jeszcze westchnieniem, które stało się
jedyną,
zdawkową monetą, jaką ludy zachodniej Europy wielki swój dług
wdzięczności
Polsce wypłacają. Uprzejmie uśmiechnął się Władysław, ujęty taką
apostrofą; mnie
zaś przykro się zrobiło, stał mi się bowiem nieznośnym ten oklepany
kompliment,
raz z powodu że od lat wielu już się go nasłuchał, i to z ust ludzi,
którzyby
ani kroku nie zrobili, ani złamanego grosza nie dali, by ulżyć
nieszczęściom
Polski, powtóre że mi się zdaje, iż on podsycą naszą próżność i
junakieryę, i że
może w znacznej części się przyłożył do tego, że u nas pokolenie za
pokoleniem,
nie pytając o środki i porę, chwyta za oręż, jakby tylko dla dowodu, że
synowie
w męztwie nieodrodzili się od ojców. Rzecz dziwna, że dbamy
przedewszystkiem o

ten rodzaj chwały, którego nam nikt niezaprzecza, a który okazał się
bezużytecznym przy braku mniej świetnych ale gruntowniejszych
przymiotów. Gdy
raz w towarzystwie jakimś wyjątkowo mądrym i niechępliwemu
Polakowi, który
oświadczał że gra głównie dla pieniędzy, utrzymywali Moskale, że
oni przeciwnie
dla honoru tylko grają, tamten odpowiedział: "Nie dziw, każdy gra o
to, czego mu
najwięcej potrzeba". Otóż przeciwnie na polu politycznym zda się, że
gramy o to,
czego najmniej brak naszemu narodowi, czego nawet mamy do
zbytku, to jest o
sławę. Wale-

czność jest cnotą, ale tak niezbędną, że, jak z uczciwości, nie godzi się
z niej
przechwalać, ani nią się popisywać. Brak jej jest wstydem, ale
posiadanie jej
nie jest jeszcze zasługą, lecz dopiero środkiem, usposobieniem i drogą
do
zasługi. Zresztą, bohaterstwo było znamieniem czasów, w których
arystokracja
przeważała. Dziś i wojny zdemokratyzować się muszą. Nie rzutkość,
nie blask
pojedynczych a nadzwyczajnych czynów, ale zimna krew,
cierpliwość, wyrachowanie,
choćby nawet miało pozór tchórzostwa, i tak dokładne zestawienie
machiny
bojowej, żeby każdy ćwiek i kołek zarówno przykładał się do ruchu,
staną się
rękojmią zwycięstwa.
Pogrążony w tych myślach, nie uważałem na dalszą mych
towarzyszów rozmowę, która
coraz zwawiej i przychylniej się ciągnęła. Ocknąłem się dopiero w
tem miejscu,

gdzie w pobliżu pomnika, postawionego na pamiątkę bitwy św.
Jakóba, droga
rozdziela się na dwie, z których jedna na lewo idzie do Zurichu,
druga, na
prawo, do Bernu przez Delemont, śliczną dolinę Moutiers
(Monasterium), wspaniałą
bramę ze skał, zwaną Pierre-Pertuis (Porta - Petrea), a idzie wciąż nad
brzegiem
Birsy i gościńcem jeszcze przez Rzymian zrobionym, w ostatnich zaś
czasach pod
kierownictwem pułkownika Lelewela i kilku innych Polaków do
zadziwiającej
doskonałości doprowadzonym, aż nareszcie schodząc z ostatniego
stoku gór Jura,
odkrywa widok na piękną dolinę i miasto Bienne, rozkosznie
położone nad
jeziorem, z pośród którego wystaje fantastyczna wy-

spa, i na całe półkole niebotycznych Alp, które od jeziora Czterech
Kantonów do
jeziora genewskiego wybiega łukiem przeszło trzydziesto milowym.
Najprzód
przebywa Birge i część lasu Hard, w którym stoczoną była owa
sławna potyczka
sierpnia, następnie przecina Aeugst. Tu kilkanaście skromnych
domków
oznacza miejsce, gdzie się przed wiekami wznosił sławny gród
Augusta Rauracorum,
który miał sążni obwodu i zawierał, oprócz wspaniałej świątyni i
licznych
pałaców amfiteatr, mogący, jak już wspomniałem, objąć, widzów.
Od
Rheinfelden, miasteczka zbudowanego ze szczątków tejże Augusty a
raczej od
Stein, gdzie podróżni wysiadają na wieczerzę, droga rozstaje się z
Renem,

skręcając się w prawo. W ciągu całej tej milowej podróży rozmowa między memi towarzyszami ani na chwilę nie ustawała. Przy bladym dniu gasnącego światła, konduktor wskazywał wsławione miejsca, osobliwie też te, które były teatrem ostatniej wojny, a skorośmy wjechali do lasu Hard, "Tu, tu, — zawołał podwójnie wzniesionym głosem — tuśmy wykroili taką porządną kurczę, tym dumnym Bazylejczykom".

— "Jakto? — zapytałem — pan byłeś w tej wyprawie?"

"Byłem, i jeden z pierwszych. I oto tę szramę na czole w tym lesie dostałem, ale za to przynajmniej z dziesięciu tych trutniów własną ręką ubił".

— "A teraz służysz tym samym, którym taką kleskę zadałeś?"

"Cóż robić? walka walką, a interes interesem. Oni mi płacą a ja też im za to ostatek sił moich daję. Któżby inaczej poradził tym arystokratom? Trzeba bić, gdy się pora zdarzy, a wyzyskiwać ich po cichu, gdy wezmą górę. Oni już i tak mają ze wszech miar przewagę, i mieliby grę zbyt łatwą, gdyby mogli zawsze liczyć na wierność swych podwładnych i na wdzięczność udarzonych. Zresztą byłbym został w Liestal, ale ta lichota nie umiała się zdobyć na żadną odpowiednią mym zasługom posadę".

— "Czyż to wasz pół-kantonik taki ubogi?"

"Pocziwe ludziska, ale same gbury. Wiecie czem się wyplacili waszemu rodakowi, kapitanowi Klos, który nas tu tak dzielnie wiódł do zwycięstwa?"

— "No, czemże?"

"Dali mu obywatelstwo i nic więcej".

— "To prawdziwie po republikancku!"
"Żebyście zresztą mieli wyobrażenie czem są najwyżsi głowacze w naszym półkantonie, powiem wam jakie niedawno było obwieszczenie w miejscowym dzienniczku. Oto jak brzmiało: "Niżej podpisany Woźny Wielkiej Rady wzywa prześwietnych członków tejże Rady, aby każdy z osobna raczył go uwiadomić w jakim szynku zwykle swe wieczory przepędza, gdyż już raz chciałby się z niemi spotkać i zebrać na posiedzenie, co mu się dotąd na żaden sposób nie udawało".

Kiedy tak z przechwałki w przechwałkę, lub z anegdoty w anegdotę toczyła się dalej rozmowa, znużony nią, równie jak drogą, zasnąłem, i tylko w przestankach, gdy turkot kół po bruku jakiego miasteczka, lub skrzypienie uginającego się mostu pod ciężarem naszej karety, lub wreszcie przy przepręgu, obudziły mnie latarnie i sprzeczki postylionów, dosłyszałem coś piąte przez dziesiąte z niewyczerpanych opowiadań naszego ex-kaprała czy ex-wachmistrza. I tak, gdyśmy niedaleko Brugg przebywali Aarę drewnianym mostem, metry długim, pochwyliłem jak się wyśmiewał z tego miasta, nazwanego "Siedliskiem Proroków" dla tego, że od czasu Reformacyi obywatele synów swych głównie na pastorów wychowy wuja. Rozbudzony, spojrzełem przez okienko. Białe światło księżycy ślicznie na murach miasteczka spoczywało i ręce nurty Aary ośrebrzało.

Ojczyzna to sławnego lekarza Zimmermana, który był przy
umierającym Fryderyku
Wielkim, i który napisawszy dzieło "O Samotności" zwaryował. Ale
mianowicie
okolica tutejsza jest zajmującą z pamiątek historycznych. Tu w
pobliżu, zbiegają
się trzy główne rzeki Szwajcaryi: Aara, Reuss i Limmat, spiesząc do
Renu od
Bernu, Lucerny i Zurichu, tych trzech stolic Szwajcaryi, w których po
kolei rząd
najwyższy (Vorort) i sejm przebywa. Tu w kącie zawartym między
Reuss a Aarą
wznosiła się niegdyś Vindonissa, najważniejsza warownia Rzymian,
skład broni, i
punkt zborny wypraw przeciw szcze-

pora germańskim. Tu w sąsiedztwie znajduje się zamek Habsburg,
kolebka tyłu
cesarzów niemieckich. Dziś z całego gmachu pozostała tylko jedna
czworoboczna
baszta, będąca mieszkaniem stróża, który z małej armatki daje znać
ilekroć w
okolicy pożar wybuchnie. Tu wreszcie o pół milki od miasta, wznoszą
się dotąd
mury Koenigsfelden, pamiątka strasznej zbrodni, krwawej zemsty a
przytem
ciężkiej pokuty i wzniosłej pobożności. Wypadek ten połączony jest
ściśle z
najchlubniejszą epoką dziejów Szwajcaryi, bo z samymi początkami
jej
niepodległości. Cesarz Albert w pochodzie przeciw zbuntowanym
kantonom, Schwytz,
Uri i Unterwalden, przybywa w tę okolicę w roku, aby zebrać
zawsząd
ściągające się zastępy. Bratanek jego Jan, oddawna zagniewany na
niego z powodu,

iż mu zatrzymywał dziedzictwo po rodzicach, postanowił tu dokonać swej zemsty.

Umówiwszy się więc z czterema towarzyszami, również z rozmaitych pobudek

urazonymi na cesarza, skłonił go przy przejściu rzeki Reuss, aby dla nieobciążania przewozowej łodzi, zostawił cały orszak a tylko ich z sobą zabrał.

Skoro tylko znaleźli się sami na drugim brzegu, Jan pchnął mu lancę w gardło

wykrzykując: Oto zapłata niesprawiedliwości! W tejże samej chwili Balm przeszył

mu piersi mieczem, a Walter Eschenbach rozplątał mu czaszkę swym koncerzem, Wart

i Tegerfeld, dwaj inni spiskowi, byli tylko przytomnymi dokonanej zbrodni.

Przerażeni ogromem swego czynu, wszyscy rozbiegli się. Cesarz wyzionął ducha na

rękach starej wieśniaczki, która tamtędy przypadkiem przechodziła.

Syn jego

Leopold i córka Agnieszka, wdowa po Andrzeju, królu węgierskim, postanowili

strumieniami krwi pomścić zgon ojca. Padała pod mieczem katowskim jedna ofiara

po drugiej. Dość było być krewnym lub przyjacielem którego ze spiskowych, by

popaść w szpony oprawców. Tym sposobem przeszło tysiąc osób, po większej części

niewinnych, śmierć haniebną poniosło. Główni jednak spiskowi, wyjąwszy Warta,

zdołali się tak ukryć, że i ślad i pamięć ich zaginęła. Podanie przecież niesie,

że książę Jan, przebrawszy się za mnicha, schronił się do Włoch, widziano go w

Pizie, a potem zniknął niepowrotnie. Eschenbach zaś miał pod siermięgą ubogiego

pasterza żyć jeszcze lat w Wirtembergii, i dopiero w samej chwili śmierci wyjawiał swój stan i nazwisko. Na miejscu gdzie padł cesarz, żona jego Elżbieta i córka Agnieszka wystawiły w klasztor dla Klarysek. Sama też Agnieszka przywdziała suknię zakonną i żyjąc w tym klasztorze jeszcze lat, przykładną pokutą, pobożnością i nieograniczonym miłosierdziem wysłużyła sobie imię świętobliwej. Złowrogą i fatalną była dla Habsburgów właśnie ta okolica, z której początek swój wywodzili. Tu, prawie przed samym progiem rodzinnego zamku padł tak marnie Albert, syn Rudolfa, założyciela dynastii, zwycięzca Adolfa de Nassau, zuchwały przeciwnik Bonifacego VIII. Z pobliskiej warowni położonej nad Baden, gdzie dziś znajdują się najślawniejsze kąpiele szwajcarskie.

któreśmy także mieli przejeżdżać, wychodzili na wyprawę przeciw sprzymierzonym góralom i Leopold I., syn Alberta w , i Leopold II. w , pierwszy by zginąć pod Morgarten, drugi pod Sempach. Nawet zwłokom Habsburgów nieuczyczyła rodzinna ziemia trwałego przytułku i pokoju. Ciało Alberta, przenoszone razy kilka, dostało się nareszcie do katedry w Spirze, gdzie je przypadkiem odkryto w czasie spustoszenia Palatynatu przez wojska Ludwika XIV., a poznano po rozplataniej czaszce. — Przy kościele koenigsfeldzkim, dziś z wszelkich ozdób odartym przez Reformację, prócz kolorowych okien, na których dopatrzeć się można

malowideł przedstawiających smutną historię Alberta i Agnieszki, spoczywały zwłoki tejże- Agnieszki, matki jej Elżbiety, Leopolda zabitego pod Sempach, i siedmiu innych książąt i księżniczek Habsburgskich. Te wraz z ciałami osób z rodziny cesarskiej, pochowanymi w katedrze bazylijskiej, przeniesiono w na rozkaz Maryi Teresy do klasztoru św. Błażeja w Czarnym Lesie (Schwarzwald).

Wygнанne z tego przytułku w czasie rewolucji francuskiej i wojen napoleońskich, błąkały się z miejsca na miejsce, aż wreszcie dostały się do grobowca cesarskiego w Wiedniu, z kąd może przyszła rewolucja dalej je na wschód popędzi.

Po dziesięcio-godzinnej przeszło podróży, stanęliśmy o rano w Zurichu.

* * *

ROZDZIAŁ TRZECI.

ZURICH.

Zurich, miasto wcale nie arystokratyczne, zawsze mi wydawało się jeszcze posepniejszym niż Bazylea, choć okolica górzysta, oświecona wspaniałym jeziorem, a na ulicach kipi ruch większy, głównie z powodu młodzieży, która tu do uniwersytetu i rozmaitych szkół licznie uczęszcza. Już to w ogólności wszystkie znaczniejsze miasta szwajcarskie, zwłaszcza protestanckie, z wyjątkiem jednej Genewy, mają postać ponurą. Nie wiem czy to pochodzi z powierzchowności

średniowiecznej, którą w wielu względach jeszcze zachowały, czy z
oschłości ludu
protestanckiego, czy z kontrastu, jaki sprawia ta okazała i wesoła w
okół
natura. Tem silniejszym stało się u mnie to wrażenie, że ilekroć
znajdowałem się
w Zurichu, zawsze deszcz padał.

I teraz, ledwieśmy przed pocztą stanęli, gęsta mgła, która już od
dwóch godzin
trwała, zaczęła zmieniać się w deszcz rześisty. Naprzeciwko poczty
stoi hotel
Baur, jeden z najpiękniejszych i najwygodniejszych w Szwajcaryi,
lecz dla widoku
na jezioro, woleliśmy, pomimo deszczu, przejść na powrót przez
Limmat i stanąć
na wybrzeżu pod Koroną. Ale i tu widoku nie było. Mgła zalegała całe
jezioro.
Ani dostrzedz dalszych brzegów tak chwalonych, a mnie się zdaje
przechwalonych,
z powodu licznych villi i domków, które je upiększają. Gdyśmy
spojrzeli z okien
naszej gospody, ujrzeliśmy tylko naprzeciwko nich dwa statki parowe:
"Lint -
Escher" i "Republikaner", które po jeziorze aż do Rapperschwyl
rozwożą
podróżnych. Wyglądały one jak dwa upiory. Mgła powiększała ich
rozmiary i
czyniła je fantastycznymi. Jakże przeto zdziwiliśmy się, gdy nagle na
ich
pokładzie ozwała się wesoła muzyka, później huczne okrzyki, a
wreszcie ukazało
się pełno żołnierzy! Powiedziano nam, że to do miejsc swych
rodzinnych wraca
milicya, która co rok o tej porze pod Thunem ćwiczenia odbywa. Dla
lubownika

widowisk wojennych nic smutniejszego nad marsz w szarugę po
błocie, lub wojsko
powracające w deszcz z parady. Wtedy nawet śpiewy wydają się jak
konwulsyjne
śmiechy tłumionego gniewu. Żołnierz szwajcarski wygląda bardzo po
mieszczańsku.

Strzela jednak wybornie.

Długo jeszcze słyhać było muzykę odpływających statków. Gdy
ucichła, Władysław
załamał

ręce, jak gdyby chciał rzec: Cóż teraz robić? Iść w okolice
niepodobną, włóczyć
się po ulicach niemiło, ostatnia rozrywka znikła. Pocieszył się jednak,
gdym mu
powiedział, że Zurich ma słynne księgozbiory, gabinety historii
naturalnej,
starożytności, fabryki wyrobów jedwabnych i bawełnianych, liczne
szkoły
przemysłowe, których obejrzenie może cały dzień zająć i od pogody
nie zależy.
Jakoż Zurich posiada bogatą bibliotekę, umieszczoną w dawnym
kościelnie, zwanym
Wasser - Kirche, bo nad samą rzeką przy kamiennym moście stoi,
założoną w
r., liczącą przeszło , tomów i zawierającą wiele ciekawości osobliwie
w
manuskryptach, jak naprzykład: trzy własnoręczne listy Joanny Grey
po łacinie;
listy Jana Jakóba Rousseau; biblię grecką wydania weneckiego, na
której znajdują
się noty Zwingliusza i zapisywane przezeń wypadki familijne; jedyny
manuskrypt
Kwintyliana, jaki ze starożytnych czasów ocalał; księgę praw
birmańskich na

palmych liściach spisana, i wiele innych rzadkich przedmiotów. W starym ratuszu jest także kilka ciekawych zabytków. Mieszkańcy i okoliczni wieśniacy z wielką ciekawością przypatrują się tam zawsze ogromnemu malowidłu, które przedstawia wszystkie gatunki ryb, jakie się w rzece i jeziorze zürichskim znajdują. W arsenale między innymi starymi zbrojami, jest arbaleta, z której według podania, miał Wilhelm Tell rozciąć jabłko na głowie swego syna. Ogród botaniczny, rozłożony na miejscu dawnego bastionu i szańcach, wart także widzenia. Co do

szkół, prędzej zapytałby się można, jakich tu niema? niż wyliczać jakie są.

Katedra, budową X. wieku sięgająca, stojąca blisko rzeki jakby na postumencie, z dwiema dość pięknymi wieżami, których widok psują białawe z drewna kopułki, nie posiada nic osobliwego prócz posągu Karola Wielkiego, zdobiącego wieżę od strony rzeki.

Władysław wszystko to sobie zanotowawszy, wybiegł na miasto, a ja tymczasem według swego zwyczaju podczas niepogody, zasiadłem do pisania listów. Wrócił dopiero na sam obiad. Jak zwykle okazało się, że daleko więcej widział niż mu wskazałem i niż krótki przeciąg czasu zdawał się dozwalać. Przyniósł pełno nieznanych mi dotąd szczegółów. Zurichu nie nazywał inaczej tylko Thurium, bo

taką nazwę znalazł na rzymskim kamieniu przechowywanym w bibliotece, słupie drożnym czy też nagrobku, z kąd wnosił, że Rzymianie musieli wymawiać "th" jak "z" i tłumaczył dla czego Anglicy tę podwójną literę w przybliżeniu do "z" wyszeplenią. W czasie naszego obiadu niebo wyjaśniło się. Namówiłem go na przechadzkę za miasto. Zgodziliśmy się pójść na Hütliberg. Góra ta, a raczej w porównaniu z wyższymi Alp piętrami pagórek, panuje nad całą okolicą. Wejście na nią łatwe, urządzone w wielu miejscach przestanki, opatrzone ławeczkami, pozwalają odpocząć i przypatrzeć się występującemu coraz wspanialej krajobrazowi. Blisko szczytu napotkaliśmy kamień z napissem, oznaczający miejsce, gdzie przed kilku laty za-

bił się był przewodnik, który usiłował bliższa wynaleźć ścieżkę. Widziałem, że się nad tym kamieniem zadumał mój towarzysz. Wszędzie po górach szwajcarskich pełno takich prostych pomników. Podróżny z początku nie mija ich bez wrażenia, później przyzwyczajają się i przechodzi z obojętnością. Na wierzchołku w pięknym pawilonie zwraca najprzód uwagę rozłożona na stole księga, w której wędrownicy zapisują swe nazwiska. Szukaliśmy oczywiście śladu naszych rodaków. Znalazły się wiersze polskie i ruskie, między innymi piosnka: "Oni mają Muri, Uri, straszne góry, jamy, dziury, ia dla nas Polaków jeden tylko Kraków". Odpocząwszy,

wyszliśmy, by się szczegółowo przyjrzeć rozległemu na okół
widokowi. Z jednej
strony ku północy żyzna okolica zasiana gęstymi wioskami i osadami
po nad rzeką
Limmat, dalej ogromna szyba jeziora, nad niem przy bliższym końcu
miasto Zurich
z dwoma długimi przedmieściami, przy drugim daleko ku
wschodowi widać most
rapperszwylski jakby szarą mgłą nitkę. Po stronie południowej obraz
surowszy,
ale jeszcze wspanialszy. Ukazują się coraz wyższe gór szczyty".
Najwyższy mgła
zasłaniała. Przez lunetę widać było Rigi z drewnianą na czubku
wieżyczką, w
części górę Pilat, a w klasztorze Muri można było okna porachować.
Nie tylko poić się tu wdziękiem i okazałością natury, ale możnaby nad
przeszłością ludzkości godzinami dumać. Chcesz wrażeń z dziejów
wojen-

nych? oto masz przed sobą jak na dłoni całe pole jednej z najbardziej
stanowczych, najzręczniejszych i najumiejętniejszych prowadzonych bitew, to
jest
zwycięstwa Masseny nad Korsakowem Września roku. Gdyby
Massena był
uległ, nieprzyjaciół miał drogę otwartą do Burgundyi, a z tamąd do
Paryża.
Zdaniem Thiers'a niebezpieczeństwo było większe niż pod Valmy.
Pragniesz
wspomnień z czasu walk religijnych? Oto ta góra Albis, u której stóp
pod
Cappellem zaszedł krwawy bój między katolikami a protestantami w
r., gdzie
Zwingliusz zginął. Dzieje Szwajcaryi, jak w starożytności dzieje
Grecyi, może
już i dla tego sprawiają tyle wrażeń, że teatr wypadków jest tak
ścieśniony.

Wędrowiec potrąca tu co krok o jakieś wielkie wspomnienie historyczne. Jednością miejsca zawsze się podnosi dramatyczność. Ciemne chmury zbierać się znowu poczynają. Trzeba było myśleć o odwrocie. Puściliśmy się w drogę z żalem. W połowie zejścia schwytał nas deszcz rześisty. Przybyliśmy zmoczeni do gospody. Osuszywszy się nieco w naszych stancyjkach i przezuwszy, zeszliśmy do sali jadalnej. Jeden tylko był w niej gość czy podróżnik, siedział w najdalszym końcu przy oknie i czytał gazetę, mogliśmy przeto swobodnie rozmawiać. Władysław zawsze chciwy pogadanki nie omieszkał z dobrej sposobności skorzystać, i chociaż ja zabierałem się do jakiegoś dziennika, począł w te słowa: "Szczęśliwy to kraj ta Szwajcarya! Taka wspa-

niała przyrodą, tyle wzniosłych wspomnień historycznych, tyle poetycznych legend, a obok tego taki wszędzie postęp i dobrobyt! Mówiąc o tradycjach, cóż to za śliczna owa o Karolu Wielkim, który tu miał odprawiać sądy, właśnie w tem miejscu, gdzie później wzniesiono Wasser-Kirche, a gdzie dziś biblioteka! Dziwi mig, że nikt dotąd na tej legendzie nie osnował jakiego poematu a przynajmniej powieści". — "Cóż ona opiewa? — zapytałem, widząc jak był nią zajęty i jak pragnął dłużej o niej pomówić". "Oto, — rzekł, — gdym dziś w bibliotece pytał o datę założenia tego kościółka,

dano mi do ręki: dzieło Wyssą pod tytułem: "Idillen, Volkssagen,
Legenden und
Erzählungen aus der Schweiz", i wskazano w tomie II. ustęp, który to
dziwne
podanie wyłuszcza. Karol Wielki miał tu przebywać w r. . Zwyczajem
swoim
założył zaraz trybunał cesarski powołując przed siebie wszystkie
sądowe sprawy
kraju tego. Na miejscu, o którym mowa, kazał wystawić wysoką,
żerdź ze
dzwonkiem. Kto miał jaką skargę do podania, musiał najprzód
zadzwoić. Jednego
razu już późno w noc, gdy cesarz po trudach dziennych odpoczywał,
daje się
słyszeć głos dzwonka. Cesarz budzącemu go dworzaninowi nie każe
zważać na tak
spóźnionego natrętnika, ale głos dzwonka, i to silniejszy, powtarza
się. Dobry
monarcha, zawsze skwapliwy w udzielaniu sprawiedliwości, poczyna
się ubierać;
nim jednak zdążył się oblec, dzwonek porusza się raz trzeci,

a z taką gwałtownością, że cały dwór się zbudził. Zdjęty ciekawością
cesarz sam
idzie ku żerdzi. I cóż spostrzega? Oto ogromnego węża, który
skłoniwszy się
poważnie, błaga go, aby poszedł z nim na miejsce, gdzie mu się
wielka krzywda
dzieje; a wywiódłszy go na łąkę, ukazuje swoje gniazdo, które
straszna
obrzydliwa ropucha opanowała, i spożywając jego chudobę, dusząc
jego dzieci,
wszystko w około zatruwa swym jadem. Cesarz przywołał oprawców
i kazał ropuchę
spalić. W kilka czasów po tem zdarzeniu, gdy siedział przy uczcie i
właśnie

podnosił puhar pełny wina do ust, wchodzi z pokłonem ten sam wąż, i
w dowód swej
wdzięczności precudny klejnot w puhar mu wpuszcza. Klejnot ten
był amuletem
miłości. Cesarz podarował go swej żonie Fastradzie, ztąd jego tak
gwałtowna ku
małżonce miłość, której i śmierć osłabić nie zdołała. Gdy przyszła na
nią
choroba, chowała ten talizman pod językiem, aby się cesarz w innej
nie zakochał.
Tak umarła. Przez, lat ośmnaście Karol pałający równą jak za jej życia
miłością,
kazał odkopywać trupa i do siebie sprowadzać. Nareszcie jakiś rycerz,
który za
pomocą czarów dowiedział się o klejnocie w ustach zmarłej, wydobył
go i sobie
przywłaszczył. Cesarz od razu w nim się zakochał. Niebawem w
czasie podróży do
Kolonii, rozgniewany o coś cesarki ulubieniec rzucił dyament w
źródło, które
natychmiast wrzącą wodą zakipiało. Zakochany teraz w tem źródle
Karol obrał
sobie przy

niem siedzibę, zbudował pałac i katedrę, i w ten to sposób powstało
miasto
Akwisgran".

"Ileż to komentarzy, — ciągnął dalej Władysław, — możnaby do tego
podania
dorobić, a jaka na niem powieść czy fantastyczną, czy historyczną lub'
obyczajową zbudować! Ten wąż, to zapewne znów allegorya, jak owe
myszy co u nas
Popieła, a nad Renem biskupa Hattona zjadły. Ta ropucha, to jakby
macocha, co
niweczy majątek swych pasierbów, dusi je i wszystko dokoła swą
złością i

potwarzą obryzguje. Ale godzina sprawiedliwości wybija.
Pokrzywdzeni i uciśnieni
zyskują nagrodę w klejnocie doświadczenia, który tkwił we łbie
ropuchy —
niedoli. Nie jestże bowiem w związku z tą legendą, owa druga, która
nasunęła się
Szekspirowi, gdy mówi:

O słodkie pożytki niedoli,
Co jak ropucha, straszna, jadowita,
Przecież w swej głowie nosi drogi kamień!

A znowu byłże ten dar węża błogosławieństwem czy przeciwnie? Nie
jestże on tu
figurą bogactwa, co pobudza do zmysłowych rozkoszy, rodzi choroby,
a odrzucone
przemienia się w źródło uzdrowienia? Na takiej kanwie jakążby to
prześliczną
osnowę Hoffman albo Jean Paul zdołał wyszyć!"
— "Na to trzeba mieć ich geniusz, — zauważyłem, — ale tobie
Władysławie, co
posiadasz zbytek imaginacji i skłonności do fantazyowania, a
jeszcześ

sił swoich w pisaniu nie doświadczył i może nie wiesz jak łatwo lotna
fantazyja
może przejść w niezgrabne dziwactwo, (wszak Tytania osła
pokochała), radziłbym,
abyś nie tyle zajmował się legendami co praktyczną stroną,
społeczności
szwajcarskiej. Mówiłeś mi, że masz znaczne dobra i że zaraz po
powrocie z tej
podróży będziesz musiał się osobiście zająć ich zarządem. Staraj się
więc jak
najwięcej zbierać tu wiadomości co do uprawy roli, utrzymania łąk,
chowu bydła;

bo to ci się wielce przydać może. Osobliwie nawodnianie łąk i pastwisk jest tu do najwyższej doprowadzone doskonałości. Prawda, że górzyste położenie, obfitość - wody, łatwość ścieków, czynią tu tę pracę prawie zabawką, zwłaszcza w porównaniu z mozołem i kosztem, jakichby wymagało u nas ulepszenie tej części gospodarstwa. A bądź co bądź, przyjść jednak musi do tego wszędzie, bo od paszy zależy chów bydła, a ludzie coraz więcej mięsa potrzebować i spożywać będą. W tem już ekonomiści upatrują najlepszą miarę postępu i dobrobytu w każdym kraju. Nawet Michelet, historyk fantasta, przypisuje bogactwo i wielkość Anglii, tęgość i wytrwałość charakteru jej mieszkańców, tej głównie przyczynie, że się najprzód i najobficiej poczęli tucznem mięsem żywić. Wielu naszych obywateli sprowadzało i sprowadza dotąd krowy i stadniki z Szwajcaryi. W Unterseen mieszka jeden Polak, który głównie tym handlem się zajmuje. Ale oprócz przyjemności krótkotrwałej popisywania się, przed sąsiadami takim nabytkiem, na mało się

to przydaje, bo w braku odpowiedniej paszy, w braku stosownego utrzymania, rasowe to bydło prędko marnieje, a rozplód coraz lichszym się staje. Najprzód zatem należałoby myśleć o udoskonaleniu łąk i umiejętnej uprawie i wyborze roślin pastewnych. Nie wszystko da się żywcem przenieść do naszego kraju. Trzeba

każde przedsięwzięcie stosować do klimatu, do nawyków ludności,
do uzdolnienia
robotników, a ulepszać stopniowo, bez skoków, równym pochodem.
Byłoby też
niedorzecznością, gdybyśmy dla wprowadzenia obcych urządzeń i
pomysłów
zaniedbywali i zarzucali źródła bogactwa narodowego, właściwe tylko
naszemu
krajowi. Żal wzbiera gdy wspomnimy, jak nie jeden szczegół naszego
przemysłu
wiejskiego, nie jeden przedmiot obszernego niegdyś z zagranicą
handlu, dziś już
omdłał, a nawet upadł zupełnie. Mniejsza o winnice, choć musiały być
one w
Polsce i liczne i dobrze uprawiane, kiedy już Gallus między głównymi
klassami
włościan wspomina "vineae cultores", niechże przecież buraki, w
hołdownictwie
coraz liczniejszym cukrowniom, nie rugują pszenicy z najlepszej
gleby naszej.
Już kartofle, w zgubnej służbie rozpanoszonych wszędzie gorzelni, aż
nadto
usunęły gruntu z pod ozimych zasiewów. Przestaliśmy już być
spichlerzem Europy,
Ameryka taniością pszenicy coraz bardziej podkupować nas będzie;
zachowajmyż
przynajmniej niezrównaną piękność naszego ziarna, i niech nasza
sandomierka prym
zawsze trzyma w wytwornem pieczywie, w sucharkach angielskich,

skich, w bułeczkach wiedeńskich i w macaroni neapolitańskim".
Gdym tego domawiał, zaproszono nas do herbaty. Przysunęliśmy się
do stołu, na
którym między innymi przysmakami, złościł się miód w rozmaitych
postaciach:

spiętrzony w plastrach, to znów płynny jak patoka, to białawy jakby zamrożona pianka cukrowa. Niezbędny to towarzysz wszelkiego zastawienia stołowego we Szwajcaryi. Czy u bogatych czy u mniej zamożnych stanowi on naczelną ozdobę każdego śniadania, podwieczorku, kolacyi a nawet obiadu; jak u nas masło, nie schodzi on nigdy ze stołu.

— "A w tem złocie — rzekłem podając Władysławowi czarę przejrzystej patoki — czyż nie tkwi dla nas żądło dotkliwego zarzutu? W poniewierkę poszły u nas pszczoły, zaniedbaliśmy pasieki, trzebiąc nieogłędnie bory poniszczyliśmy barcie, a tak tamujemy coraz skorzej jedno z obfitych źródeł i uciechy, i zdrowia, i bogactwa narodowego. Jeszcze przed samom powstaniem listopadowem byłem w Kownie. Grono litewskich przyjaciół przyjmowało mię na dolinie Mickiewicza. I czemże mnie witało? czemże stosowniej mogliśmy wznieść tam zdrowie naszego wielkiego wieszczą, jeżeli nie starym miodem, z którego to miasto przez wieki tak było sławne, łącząc niejako i tym braterskich uczt królem Litwę i Koronę? Znamienitość tę zawdzięczało Kowno mnogości lip okolicę zdobiących.

Ztąd pochodzi zapewne miano najlepszego miodu, który się lipcem

zowie. Dziś i lipa u nas w zaniedbaniu. Przecież to drzewo nasze rodowe, godło wielkiej rodziny słowiańskiej. Coraz mniej owych wspaniałych alei lipowych;

nawet w ogrodach rzadko gdzie rozłożystą ujrzeć lipę. Już potomek
po duchu Jana
z Czarnolesia nie łatwo znalazłby ulubione mu drzewo, by pod jego
konarami jak
on marzyć i śpiewać. Co gorsza, słyszałem, że na Litwie tak w
ostatnich czasach
odarto lipy z kory, na worki do zboża i chodaki, że reszta tych
dobroczynnych
drzew wkrótce wyschnąć musi i pszczoły do reszty wyginą. Miałyby
to być obraz
tego szaleństwa, które sprawia, że siebie sami najsrożej kaleczymy, a
odzierając
z przeszłości zabijamy przyszłość? Niechże Bóg broni! Dość, że już
dziś Polska
nie wysyła miodu za granice, a воск do świec kościelnych potrzebny
musi z
sąsiednich sprowadzać krajów. Nie jestże to znowu jakoby wyraz
omdlenia w
służbie ołtarza, które niestety, pod naciskiem tylu przeciwności,
prześladowań i
pokus, tak już dotkliwie u nas spostrzegać się daje? Bo też usunąwszy
na bok
względy materalne, wszelkie zaniedbanie zwyczajów i tradycyj
starodawnych grozi
odpoetyzowaniem ducha i wyobleczeniem onego z wyższych, a może
i najwyższych
natchnień i dążeń. "Łatwo to pojmuję, — podchwycił mój
towarzysz, — bo jeżeli
mam cokolwiek uczucia poetycznego, winienem to wrażeniom
młodości, a między temi
wrażeniami może najgłębiej i najwspanialej mi jeszcze dźwięczą
nasze szumiące,
ciemne, tajemnicze

bory, z krociami sosnowych barci, naszą pasieki balsamiczną wonią
kwiatów i

brzękiem niezliczonych rojów przepelnione. Pierwsze wspomnienie,
jak daleko
myślą w moje dziecięce lata zasięgnąć mogę, łączy się z przechadzką
do boru,
gdzie między smukłymi sosnami uderzyła mnie jedna ogołocona z
konarów, od
wierzchu odarta z kory, błyszcząca, z jedną tylko ciemną u szczytu
plamą jakby
jaka wydrążona komora. Piastunka mówiła mi, że to barć, gdzie
pszczoły miód
robią, ale budząca się dziecka wyobraźnia upatrywała coś więcej.
Rozmarzony
powiastką, którą mnie jeszcze w kolebce bawiono, o królownie ściganej
przez
jędźkę, uroiłem sobie, że w tej to komorze przed pogonią ona się
skryła, i
z tamtąd dała się poznać cudnym śpiewem królewiczowi, co to
następnej nocy
przybył na spoczynek pod owo drzewo, rozpoznał w głosie utraconą
kochankę, i
wybawiwszy ją pojął za żonę, a na uczcie weselnej i ja byłem, wino
piłem, jak to
tam wszystkie kończą się baśnie mamek i nianiek. Wrażliwość
dziecięca jest tak
silna, że ilekroć barć obaczę, zawsze mi ta królowna w ciemnicy
ukryta, i roje
otaczających ją strachów i duchów na myśl przychodzą. Jeszcze mnie
jeden zajął
tam szczegół, dotąd mi pamiętny. Pod barcią wisiał na sznurze kloc
potężny; była
to obrona od niedźwiedzi, które bartnikami zwano, bo miód wyjadały.
Już takiemu
smakoszowi trudno się było na wierzchołek dostać po ślizkiem,
obnażonym z kory
drzewie, aliści gdy się tam zdołał wdrapać, znajdował przeszkodę w
owej kłodzie,
a im ją silniej

łapą odrzucał, tem ona z większym impetem wracała, uderzała, aż w końcu prawie zawsze go zepchnęła. A w naszej pasiece, która tuż obok dworu stała, ileż to było dla mnie tajemniczości, strachu a tem większej ponęty! ileż ciekawości a razem trwogi, skorom ujrział pasiecznika gotującego się do podbierania z ogromnym worem na głowie, z sitem jakby maską, na twarzy, a zapalonem łuczywem i próchnem w rękę! Pamiętam starego Bartłomieja słowa: "Paniczu, pracuj jak pszczoła, ale nie kąsaj jak ona". To wszystko sprawiło, że w późniejszym wieku starał się każdą książkę czytać, którą, począwszy od Mikołaja Witwickiego, o pszczelnictwie u nas wydano. Przytomne mi są jeszcze fakta historyczne, świadczące o wielkim dostatku pszczół i miodu, który od wieków Polskę wślawiał u ościennych ludów, a nawet w dalekim świecie. Wszakże to już Herodot na przeszło cztery wieki przed Chrystusem pisał, że według powieści Traków tak wielka ma być ilość pszczół za Dunajem, iż trudno się przez ten kraj przedrzeć. Wyraźniejsza doba naszych dziejów od czegóż się poczyna, jeżeli nie od obrazu kołodzieja Piasta, co przez Gopło zwozi na łódce podebrany miód w pasiekach do swej zagrody, co postrzyżyny Ziemowita obchodzi z gośćmi serdecznym szafunkiem słodkiego napoju, a w zamian doznaje od zwiastunnych aniołów cudownego w naczyniach i beczkach pomnożenia owych sielskich nektarów? W jedenastym wieku Gallus pisze o Polsce: "Patria, ubi

aer salubris, ager fertilis, Silva melliflua,

aqua piscosa". Klasztorowi tynieckiemu była przed rokiem nadana wieś

Radziestów, "cum mellificio et venatione", co zważywszy jaką wartość

przywiązywano w dawnych wiekach do polowania, okazuje że nie mniej pszczelnictwo

ceniono. Znane już były wtedy daniny miodowe, a nawet kary bywały spłacane

miodem, bo toż nadanie klasztorowi tynieckiemu opiewa, że gdyby który z włościan

na złodziejstwie został schwyty, taki "tres urnas mellis pro poena solvet".

Kmieciowie i szlachta miewali swe barcie po cudzych borach. Ztąd powstawały

często zawile sprawy sądowe. Wolno naprzykład było niedźwiedzia szkody w

barciach czyniącego zabić, ale to znowu wkraczało w prawo myśliwstwa, wyłącznie

właścicielowi boru posługujące. Gorzej jeszcze wypadło, jeśli sprawa była z

panującym królem czy księciem, bo wtedy, jak się to działo za Mieczysława

Starego, o czym Kadłubek wspomina, sądy poczytując zabicie niedźwiedzia za

obrazę majestatu, karę, aż do grzywien wynoszącą, nakładały. W Wielkopolsce

za porąbanie barci z pszczołami płacono złotych dzisiejszej monety. Wcześniej

też ujęto ustawy ziem rozmaitych co do pszczelnictwa w jedno ogólne prawo, które

wciągnięte najprzód do Statutu Piotrkowskiego, później do Wiślickiego, stało się

obowiązującym na całą Polskę. W okolicach najwięcej obfitujących w barcie, jak

naprzykład w niektórych stronach Mazowsza, bywali starostowie miodowi "capitanei mellis seu mellicidarum", którzy przewodniczyli osobnym sądom bartnym, "ju-

dicta mellicidarum". Bartnicy, ludzie z powołania, biegli w swej sztuce, stanowili wtedy osobną klasę. Zamożniejsi i umiejętniejsi brali w dzierżawę całe puszcze. Prawa mazowieckie okazują, że taką posiadali biegłość, iż umieli już produkować matki sztuczne. W prawach polskich nie było kary śmierci za kradzież, złodzieja więc, który wydzierał barcie czy ule, nie skazywano na gardło; ale w prawach mazowieckich i w Statucie Litewskim surowa ta kara, przejęta z praw niemieckich, stanowczo oznaczoną zostają. Według prawa bartnego prasnyskiego sami bartnicy wykonywali sądowy w tej mierze wyrok. W razie gdyby nie mieli kata, a nikt dla wstydu nie chciałby się pojedynczo podjąć tak obmierzłego urzędu, wszyscy obecni byli obowiązani ciągnąć wspólnymi siłami skazańca na szubienicę. Jak znaczny był wywóz miodu i wosku za granicę, pokazuje się z Metryki Litewskiej, z której obliczył Lelewel, że r. i wywieziono z samej Litwy około półtora tysiąca kamieni wosku, i że cło musiało przynieść prawie , złotych na dzisiejszą monetę. Na Polesiu Kijowskim wieśniacy miewali po , po , a nawet po barci. W lesie Lebedyńskim, na Ukrainie, włościanie jako dziesięcinę miodową dawali stągwi patoki. Nie można wątpić,

że Korona nie mniej była w te płody bogatą. Za Stefana Batorego Redigerowie ofiarowali się skarbowi za wyłączne prawo wywożenia miodu wosku płacić rocznie , złotych na dzisiejszą monetę. Następnie w skutek wojen kozackich,

szwedzkich i zamieszek domowych, gospodarstwo pszczelne znacznie u nas podupadło. Mimo tego Dehauteville, Francuz przebywający w Polsce w drugiej połowie siedemnastego wieku, drukował jeszcze w swem dziele, iż takie jest miodowe bogactwo Polski, że dochód leśny równie tyleż daje z barci co ze sprzedaży drzewa, i że w niejednym majątku do , liwrów rocznie przynosi. Dziś niestety! barci już nigdzie prawie niema, a pasieki w największem zaniedbaniu. Natomiast gdzie niegdzie poczęto się bawić w ogrodowe, teatralne, dla oka pszczelnictwo. Poustawiano sobie wśród klombów domeczki szwajcarskie, kioski, pagody en miniature, i tam za szkłem muszą biedne pszczoły, jak histryony, odbywać swe roboty wszem w obec, dla uciechy dzieci i gapiów. Sztuka nauczyła mnożyć roje bez liku; cóż z tego, kiedy one miodu jakby przez odwet nie dają? I w moim majątku, pasieki po śmierci poczciwego Bartłomieja podobno przepadły. Moja to wina, lecz dotąd nie miałem czasu sam gospodarować; muszę i temu zaradzić skoro powrócę". Gdy tak Władysław jakby z worka wysypywał cały zasób swych wiadomości o

pszczelnictwie, które szaloną swą pamięcią był pochwytał z autorów
piszących w
tym przedmiocie; zauważyłem, że nieznanym nam jegomość, coraz
baczniej ją się mu
przysłuchiwać, powoli przysunął się do stołu, a gdy usłyszał zdanie o
tegoczesnym, modnym hodowaniu pszczół, aż podskoczył na stoiku.
Znać, że
rozumiał nasz język i pragnął co rychlej przyjść do słowa. Jakoż

zaledwie tamten domówił ostatnich wyrazów, ten przysunawszy się
do nas, w
następujący począł sposób:
Wybaczcie panowie, że się śmiem do was wtrącić, ale najprzód
mniemam, że w
przypadkowych spotkaniach między podróżnymi należy się zawsze
ostrzedz
rozmawiających jeżeli się ich rozumie, a powtóre muszę się ująć za
nową metodą
pszczelnictwa, na którą tak srogo powstajecie. Jestem Szlązak, uczeń i
wielbiciel księdza Dzierżona z Katowic; to wam wytłumaczy moje
wzruszenie gdy
usłyszał wasze zarzuty przeciw nauce mego mistrza. Tak jest, mistrz
to nielada,
on wzniesie bogactwo kraju, on zaniedbanej pszczołce znów należną
godność i
cześć przywróci. Nie sądźcie panowie o wartości i owocach naszej
nauki po tych
niedołężnych lub lekkomyślnych próbach, które ją tylko dla
wystawności i zabawy
uprawiają. Wszakże i całe gospodarstwa bywają tak na pokaz
urządzane, że mimo
świątliwości chybiają swego celu, bo więcej kosztują, niż przynoszą. U
nas zaś
korzyść jest na pierwszym względzie. Ks. Dzierżon powiada, że ma
tyle ulów ile

dni w roku, a z każdego po i talary. Tak jest, nasza metoda jest
równie
prostą jak praktyczną, i jeżeli o jakiej nauce to o tej można powiedzieć
najśmiej, że łączy ułile dulci. Jeżeli pozwolicie, to wyłożę wam
pokrótce
głównie jej prawidła".
Tu nasz Szlązak poczał swój wykład z całą ścisłością pedagoga a
zapałem
lubownika, co chwila powtarzając nam nieznanne lub zapomniane
wyrazy:

węza, matecznik, odwłok, porójek i t.d. Władysław przysłuchiwał się
pilnie, a
często nawet zapisywał sobie w pugilaresie.
— "Ale powiedz mi pan, — (rzekł do wykładającego, gdy ten zaczął
rysować ule
wynalazku Dzierżona, bramiaki nazwane dla podobieństwa do
sklepionej bramy,
dwojaki, aż do szesnastaków i do pawilonów na roje,) — co cię
ściąga do
Szwajcaryi? czy chcesz i tu reformę zaprowadzić?"
"O nie! ja tu przybyłem uczyć się jeszcze, bo nigdzie tak dobrze nie
zbadano
wszystkich właściwości pszczoły jak w Szwajcaryi. Przecież to
ojczyzna
Franciszka Hubera, — zmarł on przed kilkunastu laty, ale syn jego
dotąd żyje i
niedaleko ztąd mieszka; otóż przyjechałem tu również dla uczczenia
pamięci
nestora naszej nauki, jak dla obejrzenia jego zakładów. Niezmiernie to
był
zajmujący człowiek; syn Jana, malarza, przyjaciela Woltera, obcując
od lat
dziecięcych z ludźmi wysokiego wykształcenia, tak pilnie i bez
pomiarowania

wziął się do nauk, że już w tym roku życia zapadł na oczy. Ojciec
posłał go
do Paryża, lecz najbieglejsi okuliści nie zdołali zapobiedz
wzmagającej się
ślepcie. Nim jednak chłopczyna wzrok utracił, wpadła mu w oczy
Marya Lullin,
którą poznał na lekcji u tancmistrza, i czy to w Paryżu, czy po
powrocie do
domu, im pomroczniejsz zasłona się przed nim zasłona na świat
zewnątrzny, tem
żywiej obraz Maryi gorzał w jego duszy i sercu. I ona także od razu
go
pokochała, a grożące mu kalectwo zamiast osłabiać, utrwalało

jej miłość. Ale rodzice jej ani słyszeć chcieli o takim związku.
Napróżno
młodzieniec korzył się w prośby i zaklęcia, aby skruszyć ich opór,
napróżno
nawet uciekał się do wybiegów najrozmaitszych, aby ukryć
rzeczywisty stan swych
oczu i udawał, że jeszcze nie zupełnie wzrok utracił; rodzice coraz
bardziej
zacinali się w swoim oporze. Lecz Maryi postanowienie było jeszcze
silniejszym.
Jak Jakób Rebecce, tak ona swemu kochankowi wytrwała w wierności
lat siedm, i
doszedłszy do lat , to jest do wieku, w którym samodzielnie mogła
rozporządzić
sobą, oddała rękę Huberowi. Odtąd poczyna się jej życie pełne
szlachetnego
poświęcenia i niezmordowanych trudów. Ona to bowiem była mężowi
ręką i okiem w
mozolnych badaniach i gospodarstwie; mawiał też póki żyła, że nie
czuje, iż jest
ślepy, a że była drobnej postaci, przyrównywał jej wzniosłą i silną
duszę do

przemysłnych swych ulubionych pszczołek, które "Ingentes animas angusto in pectore versant". Ale uszczęśliwiała go nietylko pomoc żony, a następnie licznych dziątek; miał jeszcze wiernego sługę, nazwiskiem Burnens, który pod jego kierownictwem takiej nabył biegłości, że sam później najsubtelniejsze czynił spostrzeżenia, często przez dzień cały bez odpoczynku i pokarmu wglądając w robotę pszczół i śledząc kiedy jajka składają. Huber też połowę swej zasługi jemu przypisuje. Cała ta rodzina, jej zajęcia, wspólne przywiązanie i praca, posłużyły pani de Staël za wzór do wdzięcznego obrazu rodziny Belmont, który nakreśliła w swym sławnym roman-

sie "Delphine". Lecz oprócz tego tła uczuciowego, na którym tak pięknie uwydatnia się postać Hubera i jego otoczenie, olbrzymią jest wartość naukowa jego mnogich prac i doświadczeń, które przez całe życie gromadził, a żył lat . Nie tylko zbadał on najdokładniej organizm i naturę pszczoły we wszelkich szczegółach, nie tylko nadał pszczelnictwu ważność, jakiej dotąd nie miało, ale wzięwszy w tym przedmiocie wszystkie prace poprzednie od Pliniusza i Columelli, aż do Réaumura i Riema, jedno dzieło Hubera. przeważa je stylem, wszechstronnością i nowych odkryć bogactwem. Wprawdzie już Maraldi, przez wprowadzenie ula ze szklannymi oknami w r. , wiele ułatwił dalsze poszukiwania, a Schirach w drugiej połowie ośmiesiątego wieku domyślił się sposobu,

jakim pszczoły umieją wytwarzać sobie i wypielegnowywać matkę,
lecz dopiero
Huber ujął całą naukę w tryb racjonalny. On to pierwszy
wy tłumaczył, jak
pszczoły wyrabiają miód, jak z miodu wosk, a jak znowu pokost czy
klej
(propolis), którym przytwierdzają swą robotę do ścian ula, zalepiają
szczeliny i
wygładzają po wierzchu plastry, aby miód nie wysychał i nie
kwaśniał. On odkrył,
jak oddychają, do jakiego stopnia są u nich wykształcone wszystkie
zmysły i do
czego służą tak zwane macki czyli różki, które zdają się wszystkie
pięć zmysłów
zastępować. On wreszcie zbadał cały ustrój tych pracowitych
plemion: jak się
tworzą i zapładniają królowe, jakie odrębne obowiązki przypadają
trzem
odróżniającym się co do postaci i płci stanom tej

społeczności, to jest matkom, pszczołom roboczym i trutniom".
— "Ach te trutnie! — przerwał Władysław z nieco udanym
ferworem, a właściwie
aby otrząść gnębiące już go milczenie — te leniwce, opilce,
pasibrzuchy! Że też
i taka społeczność, której podstawą jest praca i porządek, musi mieć
swoich
próżniaków i darmozjadów, i dawać im dziesięcinę ze swego zarobku,
gdyż jak
czytałem, na , pszczół w dobrym ulu, dziesiąta część jest trutniów,
czyli
jak inni nazywają trądów, bo też próżniacy to prawdziwy trąd każdego
społeczeństwa. Atoli podobno i trutnie spotwarzone zostały. Jedni
bowiem
twierdzą, że one służą w ulu do utrzymywania należnego ciepła,
drudzy, że noszą

wodę robotnicom, inni jeszcze, że wysiadują jaja".

"Wszystko to bajka, — zawołał Szlązak. — Huber dowiódł, że stanowią one tylko orszak zalotników królowej, gdy ta dla zapłodnienia w górę wylata. Truteń nie chodzi na robotę, nie zbiera pyłku z kwiatów, w ulu żadnej czynności nie spełnia, a czystego miodu spożywa dwa razy więcej niż pszczoła robocza, i przy pyszczku ma zawsze kroplę nektaru, jak pijak kielich lub butelkę. To matador, gach z rodzaju tych, co otaczali Penelopę i trwonili jej majątek, istny Falstaf, bo brzęczy po junacku a tchórz. Pozbawiony żądła, nie używa osadzie nawet tej obrony, jaką u dzikich ludów próżniacze bojownicy osłaniają swe pracowite żony i niewolniczą czeladź. To też od Wirgiliusza, który mówi o nim:

"Immunisque sedens aliena ad pabula fucus", — wszyscy poeci i moraliści, mając pewnie sybarytów swego narodu na oku, prześcigali się zawsze w gromieniu lub wyśmiewaniu tych nędzników, którzy, jak zwykle odrzuceni ulubieńcy i faworycy, kończą haniebnym zgonem, bo pod ciosem mściwych towarzyszek, skoro już im niepotrzebni".

— "Poszły też trutnie, — zauważyłem, — w pogardliwe przysłowie u wszystkich narodów, i nie warto o nich mówić. Lepiej pan powiedz nam co o pszczołach roboczych i o ich przewodniczce. Czemże się ta różni od pospolitej rzeszy?"

"Matka, — rzekł, — odróżnia się wielkością, kształtem i barwą od pszczół

roboczych, które właściwie są niewykształconymi samiczkami. Tułów jej o jedną trzecią dłuższy, delikatniejszy i żółtawo-brunatny, tem brunatniejszy im starsza. Zaród jej jest ten sam. Z każdego więc jajka lub poczwarki, z której się pszczoła robocza wylęga, może powstać i matka. Na to potrzeba tylko, aby przed zasklepieniem poczwarki, komórka powiększona i obfitym pokarmem zaopatrzona została. Królewska ta kolebka jest zwykle dwa, czasem i trzy razy przestronniejsza od pospolitej, kształt ma żółędzi na dół zwieszanej, znajduje się najczęściej na brzegach plastru, gdzie łatwiej pszczołom przychodzi pielęgnować i ogrzewać poczwarkę. Zazwyczaj wykształca się królowa we dni dwanaście, trzynastego wychodzi z komnaty, a czternastego już wylatuje. A z Jakimże i bogatym zasobem macierzyństwa powraca! W je-

dnej godzinie może złożyć jajek, a zatem w przeciągu jednej doby przeszło , , ale rachując w przecięciu tylko , , okaże się, że we trzy tygodnie zdolna ona nasadzić , komórek. Jakoż co do ilości i co do czasu tak zwykle spełnia swe zadanie. Zarodczy bowiem plaster miewa po , komórek, a że takich plastrów w ulu bywa , więc jest miejsce właśnie na wypielęgnowanie , dziątek, i ul też dobry nie jak pan powiedział , , ale czterykroć więcej mieszkańców posiada. A jaka mądrość i przezorność w sadzeniu jajek! Zazdrosna i dbała o swe jedynowładztwo, nigdy ona zarodków na inne matki nie

składa, i jeśli nadybie kómkę przestronniejszą, gdzie mogłaby powstać rywka,
najstarannie ją omija. W innych składa jajka męskie lub żeńskie według woli.
Nic jeszcze dziwnego, że się co do miejsca nie myli, bo trutnikowa komórka
trochę większa; ale trudno pojąć ząd ta władza rozróżniania i wydawania z
siebie tych albo owych zarodków jakby na zawołanie. Jednorazowe zapłodnienie
matki uposaża ją w rodzajność na całe życie, które trwa do lat, w czwartym
jednak roku już jej płodność znacznie się zmniejsza. Długi to przecież żywot,
zwłaszcza jeśli zważymy, że pszczoła robocza, lubo potrzebuje dni na wykształcenie się, żyje tylko do miesięcy. Matkę jeszcze poznać można po
dźwięczniejszym brzęczeniu, poważniejszym chodzie, po krótszych skrzydłach. Jej
nóżki są gładkie, nie żłobczaste, bo nie zbiera na nie Pyłku, trąbka krótsza, bo
miodu nie wyrabia, żądło

zakrzywione, którem doskonale umie walczyć, choć, bodaj dla wzoru innym
monarchom, nie zatruwa rany, bo jadowitego pęcherzyka nie posiada".

— "Ależ, — zapytałem, — czyż ta ukoronowana pani nigdy nie zstępuje z tronu,
nie opuszcza swych komnat, nie pokazuje się powszedniemu światu?"
"I owszem, — odpowiedział, — często, gdy dzień bardzo pogodny, jej królewska
mość wychodzi z ula dla odetchnienia świeżem powietrzem. Zaraz to poznać można
po dziwnem brzęczeniu czy radości czy trwogi jej poddanek. Nieraz ostrzeżony

takim dźwiękiem przybiegałem przypatrywać się jej uroczystej
przechadzce po
zewnątrznym zrębie ula. Zawsze miała przy sobie orszak, który jak
najuniżeniej
ustępował jej z drogi, składał hołdy jej majestatowi, a przecież
zarazem wydawał
się czujną strażą, by płochej, lub upojonej wolnością monarchini nie
zachciało
się przypadkiem, w dalsze strony, może do pierwotnego ula, albo na
nowe przygody
ulecieć, i jak nasz Henryk Walezyusz swych wiernych poddanych
opuścić. Ile też
razy widząc wtedy wzrastający niepokój, smutek i zaniechanie roboty
w ulu,
osadzałem ją znowu na tronie, natychmiast cały rój uciesznym
dźwiękiem,
trzeptaniem skrzydełek i ochoczym powrotem do pracy, objawiał mi
swą
wdzięczność. Jeden z mych przyjaciół był świadkiem jeszcze bardziej
przejmującego zdarzenia. W zubożonym ulu ujrzał na wyschłym
prawie plastrze
królowę widocznie obumierającą; otaczało ją sześć służebnic,
drgających
skrzydełkami, jak gdyby ją chło-

dziły, a wyciągnięte ich żądła zdawały się ją, zasłaniać od grotów
śmierci.

Podał im świeżego miodu; inne dalsze chciwie się na pożądanym
pokarm rzuciły, te
sześć ani na chwilę nie odwróciły się od swego obowiązku.

Następnego dnia
znalazł królowę już na marach; wierna gromadka, ze spuszczonej
skrzydłami i
żądłami, przytłumionym tonem żalobnie brzęcząc strzegła zwłok
monarszych. I

choć tym płaczkom wciąż miód podawał, ani jedna z końcem dnia
czwartego nie
żyła".

— "Jakże, — zawołał Władysław, — byłoby rzeczą ciekawą patrzeć
w taki ul
osierocony i być świadkiem bezkrólewia, zachodów i intryg przed
elekcyą, a
wreszcie intronizacyi!"

"Otóż, — rzecze Szlązak, — taki dzienniczek, godzina po godzinie co
się w ulu

dzieje, kiedy matka ubędzie, spisał nam Huber. Z początku przy
niezakłóconym

pokoju robota postępuje dalej, ale po minutach wszczyna się trwoga,
pracowniczkę opuszczają swe rozliczne obowiązki, biegają bez ładu, a
przy

spotkaniu krzyżują różki jedna z drugą, z lekka wzajemnie się niemi
uderzając,

czy dla udzielenia sobie bolesnej wiadomości, czy dla pociechy i
otuchy w

nieszczęściu, czy też dla potwierdzenia zobopólnej wierności.

Niebawem wylatują

z ula, wracają po kilka razy, wciąż wrzawę i zamęt zwiększając, co
trwa od

czterech do pięciu godzin. Powoli wszystko wraca do zwykłego stanu,
chwilową

opieszalność i zniechęcenie zastępuje coraz troskliwsza krzątania
około

zarodków, i już w końcu jednej

doby znać, że osierocona społeczność postanowiła powetować co
prędzej swą,

stratę i wytworzyć sobie nową władczynię. Widać to najprzód z
rozszerzania

niektórych komórek i nadawania im kształtu stożkowatego, a
następnie z

nagromadzenia w nich obfitej papki, przez co zarodki nie tylko się
tuczą, ale i
wypychają na brzeg bez uszkodzenia. I tak dalej idzie to niańczenie,
aż póki
królowa się nie wykształci. Jeżeli kilka współzawodniczek do berła na
raz
powstanie, wtedy najmocniejsza zabija lub wypędza inne. Ale jest
jeszcze
ciekawsze spostrzeżenie. Aby się przekonać czem pszczoły dowiadują
się o stracie
matki, czy wzrokiem, powonieniem czy jakim innym nieznanym
zmysłem, Huber
przegradzał ul siatką, dającą wolny przepływ powietrza, ale
niedozwalającą
przemknąć się najdrobniejszej muszce. Jeżeli siatka była tak gęsta, że
tylko
powietrzu mogło się precisnąć, wtedy osada tej połowy, w której
matki nie było,
wpadała najprzód w zgiełk i zamieszanie, lecz wkrótce wytwarzała
sobie osobną
królowę, i w ten sposób powstawały dwa ościenne, ale odrębne i
obojętne względem
siebie mocarstwa. Jeżeli zaś oczka siatki były do tyła szerokie, że
dozwały
pszczołom przeciskać nóżki i różki, natenczas i połowa pozbawiona
matki dalej
spokojnie wiodła swą pracę. Robotnice bowiem znosiły się z
odłączoną matką,
odbierały od niej rozkazy i zdawały ze swych zabiegów rachunek
właśnie za pomocą
takowych. Można było widzieć nieskończoną liczbę tych "posłów
miłości" wyteżoną

przez dziurki ku matce, a ta odpowiadając czułości dzieci, prawie
wciąż tkwiła

na przegrodzie i krzyżowała po kolei swe różki ze wszystkimi.

Dziatki

dopomagały sobie nawet nóżkami, aby ją pochwycić i wciągnąć, a gdy to było

niepodobieństwem, wciskały swe trąbki (proboscis) i składały jej haracz, karmiąc

ją swym miodem. Czynił on jeszcze to samo doświadczenie z podwójną siatką, tak

urządzoną, że różki wyciągnięte przez jedną, nie mogły dosięgnąć drugiej. Wtedy

zawsze w osieroconej połowie ustawała praca i następnie nową sobie wykształcano

królowę. Że w tych antenach, czyli mackach, spoczywa jeżeli nie jedyny to główny

zmysł i instynktowy organ pszczoły, pokazuje się i ztąd, że gdy się je obetnie,

zaraz owad upada na dół ula i najczęściej ginie".

— "Jakto! — rzekłem, — miałżeby ten jeden drobny organ mieścić w sobie czy

zastępować i wzrok, i smak, i powonienie, i może słuch także?"

"Tak się przecież zdaje, — ciągnął dalej nasz nieznużony pedagog. —

Co większa,

dotąd nie ma nawet pewności, czy pszczoła ma wszystkie pięć

zmysłów. Są

naprzykład tacy, a między innymi i Huber, którzy powątpiewają czy ona słuch i

smak posiada".

— "Nie może być! — przerwałem, — przecież tylu autorów rozwodziło się nad

najdelikatniejszym jej słuchem, co potwierdza przekonanie, tradycya i liczne

zwyczaje u wszystkich ludów. Wszyscy pewnie pamiętamy z mitologii, że to dźwięki

cymba-

łów, którymi Korybanci usiłowali zagłuszyć płacz niemowlęcego
Jowisza, aby go
ojciec Saturn nie odkrył i nie pożarł, przyciągnęły do kolebki dziecka i
pszczoł
roje, co potem stały się jego karmicielkami. Ztąd ma pochodzić
zwyczaj, dotąd
prawie wszędzie przechowywany, brząkania w metalowe naczynia lub
dzwonienia gdy
pszczoły się roją. Wszakże już Wirgiliusz radzi, aby ule stawiać w jak
najcichszych miejscach, bo według niego te wrażliwe owady boją się
nawet echa.
Wiadomo zaś wszystkim, że kiedy rój leci, dość jest strzelić, a czasem
i huknąć,
a zaraz upadnie na ziemię".
"Tymczasem, — odpowie Szlązak, — Huber się przekonał, że i
najprzykrzejszy
zgiełk nie przeszkadza nic pszczołom w robocie, ani ich uwagi
zwraca. Powodem,
że od huku rój upada, bardzo łatwo może być drganie i pęd powietrza.
Co jeszcze
dziwniejszego jest w nich, to zupełny brak smaku. One, co tak wonny
i słodki
płyn tworzą, nie wzdrygają się bynajmniej zbierać pyłku na
smrodliwych i
trujących kwiatkach. Wszak pamiętacie z "Anabasis", jak legion
Ksenofonta koło
Trebizondy zatruł się miodem: jedni szli jak pijani, drudzy w
szaleństwo
wpadali, wielu pomarło. Widziano też nieraz jak pszczoły wolały pić z
kału i
gnojówki, chociaż w bliskości płynął czysty strumień. Natomiast
ostrzejsze jest
u nich powonienie. Do miodu lub cukru ukrytego w pudełku, w
którym okienka były
zasłonięte papierowymi firankami, pszczoły natarczywie
szturmowały i w końcu
właziły podnosząc te obronne kur-

tyny. Niezawodnie posiadają one wzrok bystry, bo wprost lecą ku
kwiatom, a z
najdalszej okolicy wracają do swego ula jak strzała. A przecież w
największej
ciemności umieją równie szybko i doskonale lepić plastry, miód
wyrabiać,
pielegnować zarodki i obsługiwać swoją królowę. Czemże to
wszystko dzieć się
może, jeżeli nie ogromną zręcznością i czułością macków? Dla tego to
należy za
pewnik uważać, że w potrzebie macki im wszystkie zastępują zmysły.
Huber czynił
także bardzo ciekawe poszukiwania, aby dociec jak pszczoła oddycha.
Zanurzając
ją w wodę, przekonał się po drobnych powietrznych bańkach, które
jak perełki
osiadały na jej piersiach, że oddycha niedostrzegalnymi prawie
otworkami
(stigmatami), znajdującymi się na pancerzu. Bańki te po niejakiem
czasie na
powierzchnię wody występowały. To samo się okazywało, gdy cały
tułów był
zanurzony, a główka nad powierzchnią, a znów gdy tylko główka była
w wodzie,
pszczoła nie mdlała, i dalej przy pyszczku miód przerabiała. Pszczoły
potrzebują
wciąż świeżego powietrza; jeżeli wszystkie otwory w ulu szczelnie się
zamkną,
wkrótce następuje trzepotanie skrzydełkami, potem omdlenie, a
wreszcie i śmierć.
Ale jakżeż się to powietrze odmieniać może w tak ciasnych a tak
tłumnie
napęcznionych mieszkaniach? Oto właśnie tem trzepotaniem, które
dochodzi do
takiego stopnia szybkości, że skrzydełka przestają być widzialnymi.
Podczas

upałów spostrzedz często można, jak od otworu, wewnątrz i zewnątrz
ula,
ustawiają się te przemysłne

owady w zwarte szeregi, i to tak, że otwór jest środkiem koła, a owe
szeregi
rozchodzącymi się od niego promieniami. Wtedy, zresztą nieruchome,
poczynają
gwałtowne trzepotanie, przez co wprowadziwszy powietrze w podwójny
przeciąg,
wygarniają złe z wnętrza a świeże wpychają. Najdoskonalszy to
wentylator".

— "Skoro mowa, — ozwał się, — o rozumnej tych drobnych istot
przemysłności,
najciekawszym byłoby dla mnie określenie i wyrachowanie
matematyczne, na jakich
to prawidłach, podług jakiego wymiaru budują one tak doskonałe
architektonicznie
woskowe gmachy. Wiem, że Buffon ułożył w tym względzie teorię,
lecz podobno
uległ za nadto porywom swej imaginacji. Réaumur już umiejętniej
zadanie to
rozwiązał, ale jeszcze niedostatecznie".

"I ja panom, — rzecze nasz pszczolarz, — nie zdołałbym w tej mierze
podać
zupełnie wyczerpującego przedmiot objaśnienia, bo najprzód rzecz
jeszcze nie
całkiem zbadana, powtóre musiałbym przedstawić wam taką zawiłość
rachunków i
tyle matematycznych figur nakreślić, że prędzejbym was odstręczył,
niż zajął
moim wykładem".

— "To tylko wiem, — wtrącił. Władysław, — że jeżeli nam
Słowianom brak
przymiotów, jakich tyle zadziwiających posiadają pszczoły, jedną
wspólną mamy z

niemi wadę, to jest, że wszystko budujemy od góry".

"Tak, — odrzekł tamten, — tylko, że im służy bardzo ważny powód,
bo tak łatwiej
idzie im robota,

ale na to trzeba mieć skrzydła, których przerośnie mówiąc i nam nie
brak, ale
nie umiemy się tak silnie i wytrwale jak one trzymać na nogach. Lecz
żart na
bok: dla muszek wszystko jedno czy podstawa jest u dołu czy u góry,
zwłaszcza
dla takich, co mają tak przyczepliwe nóżki i taki cement wyborowy ku
utwierdzeniu
swej roboty do posowy. Zresztą potrafią one budować we wszystkich
kierunkach,
wiedzie ich nie ślepy tylko instynkt, jak mniemał Buffon, bo i w razie
napotkania jakiej przeszkody w ulu, zagięcia ściany, wypukłości,
krzywizny
słupka lub przecinającego drażka, umieją one przedziwnie stosować
do tego
nadobny układ architektonicznych linii swego gmachu. Nic
ciekawszego jak patrzeć
na początek ich roboty. Najprzód łączą się w łańcuchy dla wytknięcia
sobie
zarysów budowy, po których kierunku można od razu odgadnąć jaką
ona będzie.
Podczas kiedy te szeregi spokojnie wisząc przygotowują wosk do
lepienia, jedna
wybiera miejsce, i jeżeli tak rzecz się godzi, zakłada kamień węgielny.
Natychmiast na oznaczonym fundamencie staje a raczej zwiesza się
jedna po
drugiej sześciocienna komórka, aż wreszcie z tych niezliczonych
pięter tworzy
się jakby odwrócona na dół wieża Babel.
Nie mniej zadziwiająca jest, że tak powiem, ich sztuka fortyfikacyjna,
— ciągnął

dalej Szlązak. — Przeciw wrogom, których mają bardzo wiele,
stawiają one swym
cementowym woskiem, propolis nazwanym, istne przy otworach do
ula twierdze. Hu-

ber odrysował jedno dzieło tych skrzydlatych Vaubanów, które
odpowiadało
wszelkim warunkom doskonałych fortyfikacyj. Ztąd też zapewne
materiał do nich

używany Grecy nazwali propolis, co znaczy szaniec zewnętrzny".

— "Wrogów, — nadmienilem, — mają. podobno tyle co i my, tylko
lepiej umieją się
bronić. Nie tylko napadają na nie i ich majątek pokrewne im szczepy,
jak

trzmiele, bąki, szerszenie i osy, ale mrówki, pająki, ćmy, jaszczurki,
ropuchy,

ślimaki, myszy niszczą ich dobytek, wciskając się do ula już to dla
ogrzania

się, już dla miodu, a nawet krasne żołą i rozkoszne jaskółki tępią je
niepomalu".

— "Dziwna rzecz, — dodał, — najszkodliwszą jest im ćma, zwana
trupią główką,

Sphinx atropos. Panowie, co lubicie porównania, moglibyście
powiedzieć, że czem

ona jest dla pszczoł, tem dla nas ciemnota. Najuporczywszy to i
najniebezpieczniejszy nieprzyjaciel. Gdy się raz rozmnoży w ulu, nie
ma nań

rady; pszczoły muszą się wynosić, bo rabusie choćby najobfiszzy zapas
miodu

zjadają im wkrótce do szczytu. Głównie to przeciwko tym ćmom
wymierzone są owe

fortyfikacje, które się składają czasem z kilku bastyonów jeden za
drugim,

czasem z arkad dziwnie powiązanych, tak, że tylko pszczoła przez ten
labirynt

przecisnąć się może; czasem wreszcie z kurtyn maskujących drzwi, a opatrzonych okienkami jakby strzelnicami. W nocy, gdy zwykle nieprzyjaciel napad swój czyni, wały te i barykady zaludniają się czatami obrońców, które wciąż się

przechodzą, bezustannie na wszystkie strony wyciągając macki i ruszając niemi, w czym znowu dowód, że te wzrok im zastępują. Wyśledzony w ten sposób napastnik często cofnąć się musi przed skrzyżowanymi włóczniami, a nieraz i życiem przyplącić. Jeżeli wtargnie, załoga ma jeszcze inne środki obrony lub zemsty: osmaruje go owym pokostem i przytwierdzi do ścian lub podłogi. Chrząszczyka zwanego *Attelabys apinarius*, wielkiego pszczoł nieprzyjaciela, znajdowano ubezwładnionym takimi więzami. Jeden z mych kolegów widział ślimaka, którego skorupa była na całym otworze zaszkłona tym klejem. Inny znalazł w ulu mysz grubo oblepioną takowym pokostem, znać aby zdechła nie zasmradzała ula zgnilizną; pszczoły bowiem są bardzo czułe na niektóre wyziewy, najwstrętniejszym zaś jest dla nich zapach własnego ich jadu. Do ula, w którym podrażnione umyślnie słomkami pszczoły zostawiły ślady swego jadu, nie można było już nigdy na powrót roju zapędzić. O gdyby na człowieku krew przezeń przelana równie wstrętne wrażenie czyniła! a tymczasem zapach jej podobno jeszcze bardziej rozjusza go do boju. Wszakże poeta mówi: Krew najgwałtowniej upaja — das Blut ist ein besond'rer Saft".

— "Przecież, — rzecze mój młody towarzysz, — i one staczają srogie
miedzy sobą
walki, których mamy w poezji tyle wzniosłych obrazów. Każdy z nas
pewnie pamięta
odnośny ustęp z Wirgiliusza. Nie wiem tylko czy rzeczywiście
wystarcza, jak on

mówi, garść piasku, aby najzaciętszy bój między rojami uśmierzyć:

haec certamina tanta
Pulveris exigui jactu compressa quiescent.

Byłby to łatwy i nieszkodliwy sposób, i poniekąd przywodziłby na
pamięć owe
wiersze:

Pan by pychę w proch obrócił,
Z swej wszechmocnej dłoni rzucił
Tam garść piasków, tu garść śniegów.

A kiedy mi się już przypomniał nasz własny wieszcz-ziemianin,
pozwólcie mi
przytoczyć jego piękny opis takich wojennych zapasów:

A gdy obrona siedlisk do bojów przymusza,
Cała skrzydlata rzesza do broni się rusza,
Niesie nietrwożne piersi na śmierć i na rany,
Są i waleczne pułki, i dzielne hetmany.
Zważaj, gdy ciemnym słupem wylatują z ula,
Ściśnione straże w koło otaczają króla,
Strona stronę do walki znagła i wyzywa,
Zda się, że na powietrzu brzmi trąba chrapliwa;
ażdy wódz swoje rotę zagrzewa do męztwa,
"Wrą gniewy, pała zemsta i żądza zwycięstwa.
Błyszczą złote pancerze i hełmy ozdobne,
Migają ostre miecze, drgają stopy drobne,

A gdy się zetną z sobą czarne rojów chmury,
Jak gęsty grad z obłoków lecą trupy z góry.

"Za pozwoleniem, — przerwał pedantyczny Szlązak, — wszystko to brzmi bardzo wdzięcznie, tylko że pszczoły nie mają, króla, ale królowę".

— "Licentia poetica, — odparł Władysław. — Zresztą. Grecy i Rzymianie, pomimo swego wstępu do królów, zawsze monarchą obdarzali te pracowite społeczeństwa. Tak samo i Arabowie. Może mniemałby kto, że to tylko klasyczna rutyna, ale i Szekspir w cudnym swym ustępie o pszczołach, w dramacie Henryk V. mówi: "They have a king", następujący kreśląc obraz tego mocarstwa:

Takiem to prawem natury, — i pszczoły
Ludnym królestwom dają wzór porządku,
Gdyż mają króla i urzędy różne:
Te, jako sędzię, karcą błędy w domu,
Tamte, jak kupcy, wędrują za handlem,
Inne, jak wojsko, zbrojne w żądla, dążą
Płądrować w wiosny aksamitnych pączkach,
I niosą zdobycz, w brzęczącym pochodzie,
W królewski namiot swojego cesarza;
A ten, gorliwy w trudach majestatu,
Doziera śpiewnych mularzy, co wznoszą
Złote sklepienia, — mieszczan miód kształcących, —
Biednych tragarzy co się cisną tłumnie
Do ciasnej bramy z ciężkimi brzemiony, —
A ziewające gnuśne trutnie zdaje
Z gromiącym brzękiem groźno-oki sędzia
Bładym oprawcom na śmierć...

Ale żeby pana pogodzić z poezją i poetą, przytoczę jeszcze wyjątek,
w którym
może już nie znajdziesz żadnej dowolności mijającej się z prawdą, a
który
streszcza to, coś nam tu tak umiejętnie wyłożył. Oto, co on powiada o
roboczej
pszczole:

W wieczór każda do ula odnosi zdobycze,
a wycedza wyssane po kwiatach słodycze,
Ta składa z lipkiej mirry uzbierane bryłki,
a z błyszczących skrzydełek wonne strąca pyłki.
Co praca uzbierała, to bez czasu straty
Odbiera i odnosi przemysł na warsztaty.
Tworzą się śnieżne woski, sączą się nektary,
Biorą dony, spichlerze, i kształt i rozmiary;
Brzęczący rzemieślnicy pod cyrkiel i sznury
Wznoszą dachy ze złota, z alabastru mury.

— "Nic nie byłoby skuteczniejszego, — podchwyciłem, aby
przeszkodzić naszemu
pedagogowi w przymierzaniu słów poety do prawideł nauki, — nic
bardziej
zajmującego a potężniejszego ku rozbudzeniu uśpionego u nas
zamiłowania w
pszczelnictwie, nad książkę, w którąby zewsząd zebrano wszystkie
piękne legendy
o pszczołach, opisano tradycje i zwyczaje odnoszące się do nich, a
przytem
nadobniejsze w tym przedmiocie wyjątki z poetów przytoczono.
Osnowy byłoby na
wybór aż do zbytku. De Montford, żyjący w połowie -go wieku,
wylicza już około
autorów, którzy się poświęcali pszczelnictwu. Prawda, że poczyna od
Arysteusza, syna Apollinowego, który z wnętrzości zabitego na
ofiary wołu miał

wyprowadzić niezliczone pszczoł roje, a o którym tak prześlicznie i tkliwie opowiada Wirgiliusz przy końcu księgi czwartej swego Ziemiaństwa. Już Arystoteles, uczeń tego, którego zwano Pszczołą Attycką, umiejętnie zastanawia się nad pszczoł przyrodą, i ich pracami. Arystomach, jakby protoplasta

Hubera, całe im swe życie (lat) poświęca. Filiskus z Tracyi również długi żywot w tymże celu w lasach przepędza. Hyginus, przyjaciel Owidyusza, zbiera w obszernie dzieło wszystko co dawniejsi autorowie pisali o pszczołach. Varro, Columella, Celsus, Pliniusz, roztrząsają przedmiot ten w najdrobniejszych szczegółach, a z jaką troskliwością to czynią, widać z Columelli, który obszernie zastanawia się nad tem, czy pszczoły najprzód hodowane były na wyspie Kos, jak utrzymywał Euhemerus, czy na górze Hymet, jak chce Eutroniusz, czy na Krecie, jak twierdzi Nicander. A jakież to poczet zajmujących legend o pszczołach w starożytnych pisarzach, choćby tylko takich bajek, jak: że one pielęgnują swe zarodki w kielichach kwiatów, że dla równowagi przeciw wichrom obciążają swe skrzydełka piaskiem; albo, że z poświęconych darów, które jakaś niewiasta złożyła przy ulu, ulepiwszy one ołtarz i zanuciwszy hymn dziękczynny, miały dać wzór obrządkom uroczystym w świątyniach; lub wreszcie, że Platona i Pindara, zwiastowały w nich mistrzostwo wymowy i poezyi! Ileż to znowu

budujących przytoczeń dałoby się wyjąć z Pisma świętego, które
tylekroć, kraje w
miód obfitujące, mianuje błogosławionemi, sławi Izraelitom ziemię
obiecaną jako
płynącą mlekiem i miodem, a o pszczole mówi, "że maluczka jest
między
latajacemi, a przodek słodkości owoc jej." () Służy ona tam zawsze

() Ks. Ekklezyastyka XI. .

za. przykład porządku i pracowitości. Miano też jej po hebrajsku jest
"Deborah",
to jest ta, co "działa". Niema narodu i religii, w którejby ona w
przysłowiach i
przyrównaniach za wzór stawianą, nie była. Mahomet, który muchy
wszystkie
potępia, ja jedna wyłączył z pod swego przekleństwa. W Hindostanie i
Chinach
staje się ona nawet emblematem i posłanniczką miłości, bo Kamdeo,
Kupidyn
buddystów, {nawleka swój łuk pszczołami. Natomiast Turcy, od czasu
jak Amurat
przypuściwszy szturm do jakiegoś miasta, zmuszonym został cofnąć
się z
najdzielniejszymi janczarami od wyłomu, gdzie niespodzianie zastał
nieprzeliczone pszczół roje, uważają je za przedstawicielki nienawiści
i
zaciętej wojny. Atoli im się bardziej cywilizacya rozwija, im bliżej
naszych
czasów, tem one większe odbierają hołdy. Równie i Urban VIII. jak
Ludwik XII.
przyjęli je za swe godło na herbownej tarczy, a już pewnie koroną ich
chwały
jest, że Napoleon rozsiał je na swym płaszczu cesarskim. Mnie
przecież zajmują

jeszcze więcej legendy religijne, w których mowa o pszczołach.
Wszakże tu, w
Szwajcaryi, wzmianka jest o nich zaraz przy wprowadzeniu
chrześcijaństwa. Nad
jeziorem Thun zwiedzałem grotę św. Beata, z której ten pierwszy
apostoł
szwajcarski, napadnięty raz przez morderców, przeniesionym został
przez pszczoły
na płaszczu w drugą stronę jeziora. U nas może jeszcze więcej
podobnych podań;
przypomnę wam tylko jedno o św. Bronisławie. Przez lat przeszło nie
można
było odkryć jej ciała, znaleziono je dopiero

w r. następującym sposobem. Gdy rzemieślnicy około naprawy
murów kościoła
Zwierzynieckiego pracowali, naszli na rozpadlinę przy wielkim
ołtarzu, a skoro
tę naprawić zabierali się, wysypały się pszczoł roje broniąc im
przystępu;
przywołani księży dziwiąc się tak zaciętej po wielekroć ponawianej
obronie,
nakazali mularzom, aby miasto zalepiać rozpadlinę, rozszerzyli ją i
odkryli co
się tam za nią dzieje. Jakoż wnet znaleziono trumnę, a w niej zwłoki
św.

Bronisławy, które, jak mówi kronikarz, z wielką czcią z tego miejsca
przeniesiono i około ołtarza św. Anny pochowano".

— Jużby znaczna była to książka — podejmie Władysław, — choćby
z samych tylko
naszych wierszopisarzy zebrano wszystkie ustępy, piosnki,
napomknienia o
pszczołach, od owej "Szuka miodu pszczoła i lata do koła", lub. "Raz
mnie
pszczołka ukąsiła", aż do poważnej dydaktyczności Kajetana
Koźmiana i uroczych

rymów Mickiewicza i Pola. Trudno też wdzięczniejszego przedmiotu do sielanek, jak obraz pasiek i kwiecistych łąków, kiedy krząta się i brzęczy ta czarodziejka pracy".

"Jeszcze byłby taki zbiór korzystniejszym, — rzecz ściągający wszystko do prawidłowej nauki pedagog, — gdyby przynajmniej w przypiskach zamieszczono uwagi jak hodować pszczoły, jakie ule najlepsze, gdzie i w jakim kierunku je stawiać, jakie kwiaty siać i pastwiska mnożyć. Wiele bowiem zależy na wyborze kwiatów i zasiewów w pobliżu, te bowiem potężnie wpływają na obfitość i dobroć

miodu. Wyborny miód maltański zaleca się zapachem kwiatu pomarańczowego, tak obfitego na tej wyspie. Dziki rozmaryn, gęsto rozsiany w okolicach Narbonne, nadaje wziętość tamtejszemu pszczoł wyrobowi. U nas wonność lip wślawiła Kowno. Szczególny rodzaj tymianku, zwany *Saturcia capitata*, rosnący tylko na górze Hymecie, unieśmiertelnił tę metropolię i kolebkę pszczelnictwa, i choć już dziś milczą kopalnie Laurionu i łomy Pentelickie, kilka tysięcy ułów brzęczy jeszcze radosną wrzawą pszczoł Cekropsa, których mnogie pokolenia bez zmiany przetrwały tyle przewrotów, co dzisiejszą stolicę Grecyi i jej powiat tak niepodobnym do dawnej Attyki uczyniły. U nas koniczyna jest doskonałym dla pszczoł pastwiskiem, lepsza biała niż czerwona. Rolnictwo dzisiejsze ciągle pługiem przewracając

ziemię, i zabierając pod uprawę dzikie rozłogi, niezmiernie żywności pszczołom uszczupliło. Ztąd też w wielu miejscowościach, albo one same wynoszą się do okolic przyjaźniejszych, albo trzeba ule, aby nie zubożały, przesiedlać. W Niemczech pszczelnicy często wynajmują sobie dogodnie dla nich ogrody według pory i rozkwitu przyległych roślin. Znałem jednego ogrodnika, który na taki najem głównie swe zyski obrachowywał. Słyszałem także o pszczolarzu, który przenosił swe koszki według potrzeby to na łąkę, to do lasu, to na pagórek, to nawet na bagna. Tu w Szwajcaryi nieraz spotkać można człowieka wędrującego z takim ciężarem na plecach. W Niemczech bywają umyślnie na to przyrządzone olbrzymie

pułta na kołach, co ule z miejsca na miejsce przenoszą, ujeżdżając parę mil na dzień. We Francyi osadnicy przy spławnych rzekach, kładą czasem aż kilkaset ułów na statek i puszczając się z wodą, żeglują w nocy, a w dzień stają przy obfitych pastwiskach. Rano pszczoły wylatują, a gdy powrócą na wieczór, znowu łódź pomyka dalej. Jest nawet tam u ludu mniemanie, że rozpierzchniona rzesza wraca za uderzeniem dzwonka na statku. Nic atoli nowego pod słońcem. Już Columella wspomina, że mieszkańcy Achai mieli zwyczaj posyłać swe ule na lato do Attyki. Najpiękniejszym przecież w tej mierze widokiem są pszczelne falanstery, które po

Nilu pływają. Ponieważ w niższym Egipcie daleko później kwiaty rozwijają się niż w wyższym, ogromne łodzie zabierają pod koniec października ule z nadbrzeżnych wiosek. Każdy ul ma swój numer i znak właściciela. Tak ułożone, zawsze malowniczo a nawet artystycznie piramidy, posuwają się majestatycznie przeciw prądowi, zatrzymując się po kilka i kilkanaście dni przy dogodnych pastwiskach. Odbywszy w ten sposób wędrówkę i nazbierawszy plonu i z arabskich jaśminów, i z róż Fayumu, i z pomarańczowych kwiatów Saidy, powracają z bogatym łupem nasze podróżniczki z początkiem lutego do swych zagród rodzinnych. Taką karawanę, z ułów złożoną, widział Niebuhr na Nilu, między Kairem a Damiettą. Tu się nasuwa pytanie jak daleko pszczoły od ula mogą odlatywać i jaki jest pęd ich lotu? Powszechnem zdaniem jest, że nie zapuszczają się dalej nad

ćwierć mili, i że na przebieg tej przestrzeni, jeżeli im nic nie przeszkadza, potrzebują czterech minut. Wyrachował to jeden Londyńczyk, posiadający w środku miasta ogródek z pszczołami, odległy o dwie mile angielskie, to jest o przeszło ćwierć naszej mili, od wyżyn zwanych Hampstead, ściągających zawsze swą świeżą w lecie murawą i wonnym kwieciem nie tylko ludzi, ale i miliony owadów. Aby zamierzone doświadczenie z całą dokładnością uskutecznić, pokropił on swoje wychowanki czerwonym płynem, a umówiwszy się z przyjacielem, że ten przed

wschodem słońca pospieszy na ów pagórek, czuwał pilnie kiedy one
wylecą, i skoro
to nastąpiło, udał się sam także na wyżynę i z niewymowną radością
ujrzał je
przy pracy, porównawszy zaś z przyjacielem zegarki przekonał się jak
szybko one
tam stały. Także pewien Szkot, mieszkający nad morzem, poznawał
swe pszczoły
na wyspie o pół mili od brzegu odległej. Trzeba pamiętać, że pszczoła
kilka a
może kilkanaście razy na dzień podróż odbywa; za każdym nawrotem
nieobecność jej
w ulu trwa około pół godziny. Ponieważ wylatuje lekka, a wraca
obciążona,
bardzo ważną jest rzeczą w miejscowościach pagórkowatych, aby
pastwisko nigdy
niżej, ale zawsze wyżej ula się znajdowało. Otóż zdaniem mojem,
podobne
szczegóły, przedstawione bez suchej techniczności naukowej, ale
ponętne i
obrazowo, uczyniłyby waszą pszczelną antologię nie tylko
przyjemnym, ale i wielce
użytecznym zbiorem".
— "Kiedy mowa, — ozwał się, — o donio-

słości i stronie poetycznej naszego przedmiotu, zwrócę jeszcze waszą
uwagę na
parę okoliczności, które mnie najmocniej zawsze zastanawiały. A
najprzód, jakże
pełnem znaczenia jest to, co i starożytni i nowocześni autorowie piszą,
już to o
pociągu pszczoły ku dobremu, już o jej wstręcie do złego! Pliniusz
wielu
fantazyom i urojeniom dał przystęp. Każdy się uśmiechnie, skoro w
nim przeczyta,

że gdy te skrzydlate amazonki strzegą w nocy swych szańców,
słyszą za każdą
zmianą warty brzęk podobny do trąbki dzwoniącej na pobudkę. Ale
uderzającym i
wielce do rozmyślenia pobudzającym jest to, co on mówi a co
doświadczenie
nowoczesne potwierdza, o ich odrazie do ludzi fizycznie lub moralnie
plugawych.
Na brudnego człowieka rzucają się zapamiętałe; złodzieja, który miód
podbiera,
czują, zdaleka i gonią, choćby blisko ich ula nie przechodził.
Przeciwnie dają
się oswoić łagodnemu gospodarzowi, umieją poznać swego
właściciela, odróżniają
mistrza w swym zawodzie od nieuka, na przyjacielu siadają nie
kąsając go.
Najlepiej też tym pszczelarzom się powodzi, co mają spokojny i
dobrotliwy
charakter. Zgoła, ktokolwiek hoduje pszczoły, powinien sobie
zapamiętać
następującą radę, którą daje jeden z pisarzy angielskich: "Thou must
be chaste,
cleanly, sweet, sober, quiet, and familiar; so will they love thee and
know thee
from all other", (bądź obyczajnym, czystym, dobrotliwym, trzeźwym,
spokojnym,
przyjacielskim, a przywiążą się one do ciebie i rozpoznają cię od
każdego
innego). Ze spostrzeżeń to i domysłów

o takim moralnym związku poszło pewnie u wszystkich ludów
przekonanie, że
pszczoły uczestniczą nawet w radościach i smutkach człowieka, w
jego trudach i
walkach; stąd mnóstwo ciekawych zwyczajów i obrządków. Już to
wszędzie pszczoła

najczęściej uważana bywa jako godło i zapowiedź śmierci. Miałyby to pochodzić z uwagi na nieochybną groźbę tak jednej jak drugiej? W niektórych krajach lud prosty wierzy, że gdy pszczoła wleci do chaty, to śmierć już jest na progu: w innych, że gdy rój usiedzie na uschlým drzewie, lub na bezlistnej gałęzi zdrowego drzewa, ktoś z rodziny najbliższego domu umrze w przeciągu roku. Tu lud pieśnią zaprasza pszczoły na pogrzeb, tam daje im znak o śmierci gospodarza lub kogokolwiek z rodziny przez pukanie w ul, i okrywa go kirem, gdyż inaczej wyniosłyby się one ztamtąd na zawsze. Ale też i chrzty i śluby nie mogą się obejść bez zaprosin, a w takim razie ul pokrywa się czerwonym suknem lub płótnem. Pewnie to o tej asystencji przy godach weselnych Szekspir myślał, kiedy powiada w "Śnie nocy letniej" o pszczole:

Z jej nóg woskowych pochodnia skręcona,
I w świętojańskim robaczku zatłona,
Niech kochankowi do łoża przyświeca.

Dzień dziesiąty Sierpnia, wedle podań w niektórych krajach, ma być dniem pszczół jubileuszowym. Wtedy robota w ulu ustaje, a te, które pracują, zwie

tam lud poganami. Miałyby wybór tego dnia na taką uroczystość być w związku ze spadającymi w tej dobie gwiazdami czyli łzami św. Wawrzyńca? To pewna, że w

podaniach i legendach o współudziale pszczół czy w uczuciach czy
trudach
człowieka, zawsze lud chrześcijański czyni pszczoły sprzymierzeńcami
swemi
przeciw zbrodni i pogaństwu. Już wspomniałem o Amuracie
odpędzonym przez nie od
oblężenia jakiegoś chrześcijańskiego miasta. Inny przypadek
podobnego rodzaju miał
zajść w czasie krucyat. Mały okręt, mający załogę chrześcijańską
zaledwie z
ludzi złożoną, przewoził raz ule z jednego wybrzeża na drugie.
Napadnięty przez
galerę turecką, na której było przeszło majtków i żołnierzy, nie zdołał
się
inaczej obronić, jak rzucając te ule na pokład przeciwnika. Pszczoły
tak się po
bohatersku sprawiły, że załoga turecka nietylko zaprzestała walki, ale
została
co do nogi wzięta w niewolę przez dziesięć razy mniej licznych
chrześcijan. Powie
może kto, że to bajka ułożona przez krzyżowców, aby podziałać na
wyobraźnię
ludów i dodać otuchy sprzymierzonym wojskom. Ale gdybyśmy nie
mieli
najwiarogodniej szych świadectw, czyżby i to, że wtedy z Francji
wyprawił się na
pomoc walczącym chrześcijanom legion z samych dzieciaków złożony, nie
było dziś
poczytanem za pobożne zmyślenie? Wreszcie kronika turyngska
wspomina o wypadku
również szczególnym. W czasie zamieszek i rabunków w roku,
proboszcz w
Hohnstein, napadnięty przez zgraję chłopów, gdy ich odwrócić od
niecnego zamiaru
swą

wymową nie zdołał, kazał swym służebnym przynieść parę ulów i rzucić między złoczyńców: ci natychmiast uciekli. Jakim sposobem pszczoły zdołały w tych dwóch razach w swem natarciu rozróżnić pogan od chrześcian, rozbójników od przyjaciół, pozostałoby zagadką, gdybyśmy im nie przyznali wyższego zmysłu moralnego tem szlachetniejszego, że "animas in vulnere ponunt". Lud przypisuje jeszcze wiele innych temu zmysłowi przymiotów. Według jego wierzeń, pszczoły skradzione nie wiodą się, sprzedać się za pieniądze nie dają, bo w takim razie giną, mogą tylko służyć jako dar albo za wymianę na jaki inny zacny przedmiot; niszczej ją jeżeli rodzina właściciela popadnie w niezgodę, nie wyrarabiają miodu, kiedy wojna w kraju. Mogą to być przesady i baśnie, ale świadczą o tej łączności i współczuciu, jakiego człowiek zawsze się domyślał, śledził i wymagał dla siebie w otaczającym go świecie. Tyle też mamy bezprzeczných przykładów duchowego związku i moralnego wpływu człowieka na zwierzęta; dość wskazać na żywoty św. Antoniego i św. Franciszka. Wpływ ten precudny to tryumf rozumu, a jeszcze więcej cnoty ludzkiej".

"Wybornieś pan, — zawoła Szlązak z uniesieniem, — wielkie dusze w tych drobnych odgadną stworzeniach, jak mówi poeta o Wirgiliuszu. Znam dobrze techniczną stronę mej nauki, ale dopiero teraz czuję o ile wyższe ma znaczenie dla serca i duszy moralny pogląd na nią. Tak jest, nic chlubniejszego dla człowieka być nie może, jak wznosić te maluczkie

istoty do podobieństwa z sobą, przybierać je do uczestnictwa w swych
trudach i
uczuciach, i nie mniej w nich jak w sobie podziwiać mądrość i dobroć
Opatrzności
Bożkiej. Zaiste, skoro się zważy, jak doskonałym jest organizm tej
lichej
muszki, skoro się kto zastanowi, że w tej wątlej budowie mieści się
przyrząd, w
którym ona wyrabia pokarm dla siebie, dla swej gromady, dla swej
władczyni,
wytwarza cement na ubezpieczenie swej pracowni, wosk na pokrycie i
ozdobę swych
komnat, hojny dobytek dla swego opiekuna, jad i truciznę przeciw
swym wrogom; że
to wszystko spełnia trąbka ledwie naszemu oku dostrzegalna, i żądło
tak
nieskończenie ostre, iż pod szkłem, które koniec najcieńszej igły
przedłuża na
ćwierć cala, grot ten, choć przytem wydrażony, jest jeszcze
niewidzialnym; że te
wszystkie czynności odbywają się w tułowie ledwie pół cala długim;
że wreszcie
drga tam aż trzydzieści, jak Huber wyrachował, i to szlachetnych
przymiotów i
instynktów: skoro, mówię, kto weźmie to wszystko na uwagę, to
niechby był
najzatwardziałym ateuszem i materyalista, jeżeli mu pozostał choć
pyłek dobrej
woli i rozumu, musi się zawstydić, skruszyć i ukorzyć".
— "Nie możemy też lepiej skończyć naszej pogadanki, — dodałem
wstając, — jak na
tem najwyższem pojęciu i wyniku wszelkich doświadczeń i nauki, na
hołdzie
wszechmocnemu Stwórcy. Czas już na spoczynek. Jutro mamy
raniutko wyjechać, a
pewnie i ja i mój towarzysz będziemy mieli wiele

do zanotowania sobie z tego, coś nam pan wyłożył. Dziękujemy panu
za to

najserdeczniej".

"To ja winienem wam dzięki, — odparł, — najprzód, żeście tak
cierpliwie moich

długich wywodów słuchali, powtóre żeście wskazali memu
przedmiotowi drogę na te

wyżyny moralne i duchowe, których dotąd nie dość dostrzegałem.

Nawzajem usilnie

was proszę, abyście, mając już tyle ciekawych wiadomości w tym
względzie, nie

tylko spisali je i obwieścili dla zachęty i pożytku rodaków, nie tylko
doprowadzili do skutku waszą zamierzoną pszczelną antologię, alle
oraz oddali

się praktycznemu i prawidłowemu wykształceniu w tym zawodzie.

Wierzcie mi, za

trud czeka was sowita nagroda. A jak łatwo i statecznie człowiek
przywiązuje się

do pszczoły, znać to z tylu znakomitych ludzi, co we wszystkich
czasach i

narodach poświęcało się jej pielęgnowaniu i sławieniu. Przywiązanie
to dochodzi

prawie zawsze do namiętności. Jeden francuzki autor powiada: "Je
n'ai vu

personne, qui aime les abeilles mediocrement, on se passionne pour
elles". Nie

dziwcie się więc, że i ja z takim zapalem, a może i wyłączością,
popieram me

powołanie".

— "Tej to szlachetnej pana namiętności, — rzecze Władysław,
żegnając go

serdecznem ściśnieniem ręki, — i gruntownej jego nauce winniśmy,
że nam tak mile

i jak najużyteczniej przeszedł ten wieczór ponury, z którym ja
przynajmniej nie

wiedziałem co począć. Najlepiej pono wywdzięczę się panu, jeżeli przyrzeknę, że skoro wrócę do kraju, stanę się, o ile

sił mi starczy, krzewicielem tak zacnego powołania i propagatorem nauki ks.

Dzierżona. A jeżeli zdołam obudzić zajęcie w mych rodakach, mam nadzieję, że odżyje u nas niebawem dawna zamożność i godność pszczelnictwa, i że poeta nie będzie miał już wkrótce prawa zapytywać się:

Ziemi mlekem i miodem płynąca przed laty,
Gdzie twoje gaje w wonne uwieńczone kwiaty?
Gdzie twój rozkoszny Hymet, gdzie Hybla przyjemna?
Zaszczyt wschodniego Dniestru, północnego Niemna,
Których darami. stoły zdobili mocarze,
A ogniem watykańskie gorzały ołtarze?

* * *

ROZDZIAŁ CZWARTY.

GÓRA KAMOR.

Nazajutrz ledwieśmy się obudzili, ujrzeliśmy z okna przy blasku najpyszniejszego słońca parowiec Linth-Escher już w pogotowiu do drogi. Czarny słup dymu, prostopadle w górę bijący, zwiastował stałą pogodę. Zerwaliśmy się co prędzej i ogarnawszy się, bez śniadania a nawet bez pożegnania z naszym Szlązakiem,

wskoczyliśmy na pokład. W kilka minut potem, a już była godzina .,
statek

wypłynął.

Jezioro Zurich nie może się równać co do wysokości i wspaniałości
brzegów z

wielu innymi jeziorami szwajcarskimi, ale natomiast przewyższa je
wszystkie

bogactwem włości okolicznych, świeżą zielonością ogrodów, łąk i
winnic, i

mногоścią osad, fabryk i miasteczek, które tak się ciągną

bezprzerwanie, że oba

przeszło pięćmilowe brzegi wydają

się jakby wysunięte daleko przedmieścia stolicy. To przecież nie
odejmuje nic

sielskości tych nadobnych pagórków, bo ukoronowane u szczytu
ciemnym lasem,

umajone u spodu winnicami i łąkami, poprzecinane mnóstwem
ogrodów, uwydatniają

wyższość przyrody nad sztuką, wsi nad miastem. Nie dziw przeto, że
tu czerpali

swe natchnienia Gessner, Klopszok i Zimmermann, tylko trudniej
zrozumieć, jak

tu ten ostatni mógł pisać o samotności, chyba że w jego czasach nie
było jeszcze

takiego zaludnienia, lub że to prawda, co Byron powiada o tłumnych i
gwarnych

miastach: "There, there is solitude". Co jeszcze pomnaża piękność
widoku, to

taka ważkość tego długiego jeziora, że się przez cztery godziny wciąż
oba brzegi

widzi jak na dłoni. Nudna to jednak sprawa dla podróżnych, którymby
tylko o

pośpiech chodziło. Parowiec bowiem nie wprost, ale w gzygzak drogę
odbywa, wciąż

odbijając z jednego brzegu na drugi i wysadzając lub zabierając
mnogie rzesze.

Najwięcej wysiadło teraz w Richterswyl. Byli to pielgrzymi, którzy na
dzień

Wniebowzięcia spieszyli na odpust do Einsiedeln, miejsca słynnego
cudownym

obrazem Matki Boskiej. Ztamtdąd przepływając może już po dziesiąty
raz na lewy

brzeg jeziora, przybiliśmy do Staefa, bardzo ludnej wsi a gniazda
najburzliwszych umysłów w kantonie. Po drodze pokazywano nam
wyspę Ufnau, gdzie

w roku awanturniczego życia umarł (w) Ulrich von Hutten,
poplecznik

Lutra, a znany jeszcze wie-

cej z swych "Epistolae Obscurorum virorum" i "Ars versificandi".

Do jeziora przylegają trzy kantony. Ztąd dla rządzcy i gospodarza na
statku

sposobność do szalonego zdzierstwa, które i nas nie ominęło. Gdyśmy
płacili w

Zurich za miejsca, wydano nam jakąś drobną monetę. Po pewnym
czasie kazaliśmy

sobie dać śniadanie. Właśnie był wtedy przybił parowiec do jednego z
miasteczek

nadbrzeżnych. Płacimy owemi batzami, ale gospodarz powiada, że tu
już one nie

idą, bo to kanton szwycki. Dajemy więc złoto, które wszędzie
wzbudza jednakie

uszanowanie, i prosimy, aby już nam zurichskich batzów nie
wciskano, a te, które

już mieliśmy, aby zmieniono na inne, przygodne do dalszej naszej
podróży.

Wkrótce potem chcąc kupić cygar, rzucamy posługaczowi parę
pieniążków, przed pół

godziną otrzymanych. "Przepraszam panów, powiada nadchodzący
gospodarz, ta

moneta tu nie idzie, bo właśnie przystanęliśmy u brzegów kantonu St. Gallen".

Strasznie się na to oburzył Władysław i nie chciał całkiem płacić.

Ledwie go

zdołał umitygować. Zapłacił, ale za to cały gniew swój na niemoralność

republikanów szwajcarskich, dumnie roszczących sobie prawo do cnót wszelakich,

wylał przed jednym z podróżnych, który się z uśmiechem

przypatrywał tej

przeczce. A ten mu na to, znać zaś było po wstążeczce legii

honorowej, że

Francuz: "Tu wszędzie najszkaradniejsze zdzierstwo, w hotelach, na statkach, w

sklepach; mieszkańcy żyją tylko z łupienia podróżnych, cnota

republikancka to blichtr i zasadzka; główny dochód tego gospodarza leży właśnie

w podobnym frymarczeniu zdawkową, monetą. Mnie się jeszcze gorzej zdarzyło, bom

jednego razu płynąc na tym statku tylko dla zwiedzenia jeziora i nie wysiadając

zeń całkiem, musiał stracić w Rapperswyl na pieniądzech danych mi na pokładzie w

Zurichu, a gdyśmy w wieczór wrócili do Zurichu, ta sama ręka nie chciała już

przyjąć monety, którą mi w Rapperswyl wydała". —"To, rzekłem, wszędzie się

dzieje, gdzie kraj na małe części, osobno się rządzące, podzielony, jako i we

Włoszech i w Niemczech, — w ten to sposób przekupnie na małą a bankierzy na

wielką skalę oszukują i robią majątki, ale narody muszą się w końcu spostrzedz i

przyjąć jeżeli nie jednakową monetę, to jedną stopę monetarną, — nie wypada zaś

po takich szalbierzach i wydrwigroszach sądzić o całym narodzie;
zdrowej jego
części nie znają podróżni i cudzoziemcy, bo się tylko z tamtą zepsutą
stykają.
Lecz oto most rapperswylski, a to piękne dzieło pracowitej i
przemysłnej
społeczności powinno nas znowu ze Szwajcaryą pogodzić".
Jakoż, gdy to domawiałem, przepływaliśmy ten most może najdłuższy
na świecie.
Wybudowany w , odnowiony w r., ma stóp długości, szerokości, a
spoczywa na podstawach, z których każda z belek dębowych się
składa. Nie
wstąpiliśmy do miasta, gdzie tylko kościół i stary zamek jest do
obejrzenia, bo
i czasu brakło i dość już napatrzyliśmy się pagórków nad Renem,
ukoro-

nowanych ruinami, które zawsze lepiej z daleka jak z bliska
wyglądają.
Statek wkrótce ruszył dalej. Wschodnia część jeziora daleko już mniej
jest
zaludnioną, ale za to okazalszą, bo coraz bliżej i wspanialej ukazują
się tu
góry kantonów Szwyc, Glaris i St. Gallen, z pomiędzy których zębata
Etsel i mgłą
przepasana Sentis najświetniej teraz występowały. O kwadrans na
wylądowaliśmy
wreszcie na ostatecznym krańcu jeziora w Schmerikon. Tu w pobliżu
wychodzi
kanał, który łączy jezioro zurychskie z wallenstadtskiem. Zbudował
go w
Escher, aby zapobiedz wylewom rzeki Linth. Ztąd to nazwisko tego
obywatela tak
jest słynnem w tej okolicy, ztąd także miano naszego parowca, z
którego właśnie
wysiadaliśmy.

Miejscem, do którego po Zurichu głównie dążyliśmy, był Appenzell
Jeden to z
najmniejszych kantonów. Nigdy w nim dotąd nie byłem. Najwięcej
ciekawości zawsze
budziły- we mnie te gniazdka oszańcowane górami. Przytem mniej się
tam spotyka
cudzoziemców. Już w Rapperswyl namawiałem Władysława, abyśmy
zamtąd prosto
przez St. Gallen do Appenzell się przedostali. Ale on pragnąc
przynajmniej stopą
dotknąć każdego kantonu, koniecznie ciągnął do Glaris, gdzie
właściwie, prócz
wspaniałej jak wszędzie okolicy, nic nie ma nadzwyczajnego.
Krakowskim targiem
stało, że przez jezioro Wallenstadt, które dotyka kantonu Glaris, a
następnie
przez Sarganz, Rorschah nad jeziorem konstancyeńskim, wreszcie
przez St.
Gallen, okrą-

zając wielkim półkolem góry, stanowiące szaniec appenzelski,
dotrzemy do celu.
Ze Szmerikon więc pojechaliśmy omnibusem do Wesen. Jedynym
naszym towarzyszem
był jakiś Francuz, który z nami zawiązał rozmowę od zapytania, czy
samemi
jeziorami można dopłynąć do Chur w Gryzonach. Władysław widząc,
że ma przed sobą
pocieszny egzemplarz zarozumiałości a nieuctwa, którem Francuzi tak
w obcych
krajach rażą, wziął go, jak to mówią, na fundusz. Nie było końca jego
figłów.
Kontent byłem, że po naszych poważnych rozprawach trochę się
rozerwie. Raz
tylko, gdy nam pokazano w prawo przez most na Linth drogę do
Glaris,

westchnąwszy, że ten kanton opuścić musimy, i nastroiwszy się do
należnej
przedmiotowi powagi, począł nam rozpowiadać, podniosłym tonem, o
bitwie pod
pobliskiem ztąd miastem Naefels, która w zapewniła niepodległość
temu
kantonowi.

"Mieszkańcy miasta Wesen, uprzykrzywszy sobie zwierzchnictwo
Glarisanów, wycięli
ich załogę, przy pomocy potajemnie wezwanych Austryaków. Ci,
korzystając z
popłochu, zamierzyli opanować cały kanton, i w żołnierza napadli na
Naefels. Obrońcy zdołali zebrać tylko ludzi. Posłano po ratunek do
Uri i do
Szwyc. Bitwa trwała dzień cały. Pod wieczór Am-Buel, dowódzca
Glarisonów, cofnął
się na górę Rauti. Austryacy, pewni już zwycięstwa, tem gwałtowniej
na nich
nacierali. Ale tu przyjął ich grad kamieni. Odłamy skał, jakby
odrywane
trzęsieniem ziemi, poczęły walić się na na-

pastników. Kawalerya austryacka nie mogła już postępować dalej.
Dotrzymywała
jeszcze piechota. Ale w tem rozlega się okrzyk radości po górach
Odsiecz
przybywa ze Szwyc. Tylko ludzi, lecz strudzony nieprzyjaciół,
mniemając, że
to wszystkie pierwotne kantony przybyły w pomoc braciom, mięsza
się, odstępuje i
w końcu idzie w rozsypkę. Glarisanie ścigają go i ludzi po łąkach i
ogrodach zabijają.. Wielu potopiono w Linth. Na domiar klęski, most
przy Wesen
załamuje się pod ciężką uciekających. Wszystkich pochłania jezioro.
Zwycięstwo

tego rodzaju powtarza się bardzo często w historii szwajcarskiej.

Garstka góral

ów pobijają na głowę mnogie wrogów zastępy. Na to potrzeba

niedostępnych gór,

potrzeba bohaterstwa wznieconego obroną siedzib własnych, swobód
rodzinnych i

grobów ojcowskich, potrzeba geniuszu wolności, co wszystko

potęguje, błogosławi

i uświęca".

Gdy te wyrazy Władysław z uniesieniem domawiał, przybywaliśmy
do Wesen. Tu

wsiadłszy na statek, niebawem ujrzelśmy się w najczudniejszym

okoleniu. Zewsząd

otaczały nas prawie prostopadłe skał ściany. Niektóre z nich dochodzą
do

stóp wysokości. Gdzieniedzie ze szczeliny przegląda łączka albo

dolinka z

białym domeczkiem. Na dwumilowej przestrzeni tylko dwie większe

spozstrzegaliśmy

wioski. Skały tak są wzniosłe i strome, że jedna z tych włości, jak nam
mówiono,

nigdy słońca przez całą zimę nie widzi. Ponurość obrazu przerywa

tylko szum i

blask spadających potoków i kaskad,

które przepaściste rzucają "lśniące smugi spienionego światła". Urok
wzmógł się

jeszcze, gdyśmy, dopływając do przesmyku, między dwoma

najwyższem i ścianami

położonego, ujrzeli jakby zasłonę z mgły a pod nią dołem tęczę.

"Na takim to promieniu, — zawołał oczarowany Władysław, —

musiała ukazać się

Manfredowi owa alpejska wróżka,

w której boska postać,

W istotność czystszych żywiołów spłynęła uroda

Najpiękniejszych cór ziemi,

W takim potoku musiał się tej błogosławionej krainie objawić geniusz wolności, i w takim on zaiste

w pierwszy dzień wesela
Śpiewał hymn uroczysty przy tryumfie Tella".

Ledwie te słowa młodzieniec wyrzekł, tęcza znikła a mgła rozbiła się na strony, jak gdyby geniusz wolności pierzchał na samo zbliżenie się i zakłęcie tak jego niefortunnych jak my zwolenników. Zrozumieliśmy wróżbę i posmutnieliśmy oba. I już ani słówko nie przemknęło się między nami, aż dopiero, gdy nas obudziło z tych ponurych rozmyślań przybicie statku do miasteczka Wallenstadt, położonego na samym krańcu wschodnim jeziora. Tu najawszy powózke ruszyliśmy natychmiast do Sargans. W ciągu całej tu drogi towarzyszył nam widok siedmiu kurfirstów, t.j. łańcucha gór z rzędem siedmiu smu-

kłych szczytów. Lud pospolity zwie je po prostu siedmioma krowami. Wszędzie kaskady, zadziwiające odłamy skał, na których połyskiwało to jakieś domostwo, to stary zamek, to kościółek z wieżyczką migocącą w promieniach zachodzącego słońca. Dopiero też na sam wieczór stanęliśmy w Sargans, z kąd po północy miał nas wiąść dyliżans w dalszą drogę. Tu się napotyka Ren płynący do jeziora

Konstancyeńskiego. Za ledwie kilkaset sążni przedziela go od rzeki Seez, która pod Sargans zwracając się ku zachodowi, podąża do jeziora Wallenstadt. Łatwo więc mógłby Ren przy częstych wylewach przebić się przez tę przegrodę i do jeziora Wallenstadt popłynąć. Geologowie twierdzą, że taki był jego pierwotny kierunek. Było w tej mierze ogromne niebezpieczeństwo przy wielkim wylewie w , ale zapobiegli klęsce mieszkańcy przez szybkie silnych wałów usypanie. Spoczęliśmy pod "Złotym Jeleniem". Zaraz po wieczery, strudzony Władysław udał się na spoczynek. Ja wolałem pisać dzienniczek i tak oczekiwać dyliżansu. Wkrótce wszedł po nad wyżyny śliczny księżyc. Ożywiła się śpiąca przyroda, jak senne oblicze, które marzyć poczyną. I ja też rzuciłem pióro, a oddałem się dumaniu. Księżyc ośrebrzał cichy kościółek, nad nim stare zamczysko, w którym sowa hukąła, a jeszcze wyżej dwie białe skał głowy. Łoskot licznych potoków i kaskad przygrywał temu czarującemu widokowi. Obraz onego na długo mi w duszy pozostał. Ale gdy się północ zbliżała, ło-

skot ten począł sprawiać na mnie bardzo prozaiczne wrażenie. Co chwila zdawało mi się, że to trnkot po. wozu, który po nas przybywa. Nadjechał wreszcie i około i już toczyliśmy się dalej. Pograżeni w śnie głębokim, nic nie widzieliśmy po drodze, która szła wciąż po lewym brzegu Renu, nawet nie ocknęliśmy się ani w

Rheineck ani w Rorschach, i dopiero gdy słońce już dobrze wzbilo się nad poziom,
i gdy gościniec, wdzierający się na coraz wyższe gór piętra, począł odkrywać
coraz wspanialsze widoki, spostrzeżliśmy, że już St. Gallen niedaleko. Miasto to, słynne niegdyś w całym świecie ze swego benedyktyńskiego klasztoru,
założonego jeszcze w VII wieku, i ze swej szkoły, która przez trzy następne
wieki była pierwszą w Europie i z kąd niektórzy także naszego Marcina Galia
wywodzą, dziś nie nosi prawie żadnego znamienia starożytności. Ludne, bo
przeszło, mieszkańców obejmujące, wypełnione fabrykami, złożone z szerokich ulic,
z nowych i eleganckich domów, przedzielonych tylko bogatymi ogrodami,
posiadające sto kilkadziesiąt publicznych, a jeszcze więcej prywatnych wodotrysków,
wygląda na nowoczesną stolicę jakiego zamożnego państewka. Nawet kościół katedralny,
ów sławny niegdyś benedyktyński, stracił starodawną swą powagę od czasu,
jak go przebudowano w stylu włoskim w połowie zeszłego wieku. Zalecają go tylko freski Moreta,
złożone w stalach przy ołtarzu rzeźby z życia św. Benedykta, i obraz św. Galia z psem.
Był to szkocki zakonnik, który w VII w.

założywszy pustelnię nad brzegiem płynącej tu rzek Steinach, sławą swej świętości i uczoności nadał ważność i nazwisko całej tej okolicy. Zabytków starożytności szukać tu tylko należy w bibliotece, która oprócz licznych książek

posiada przeszło tysiąc bardzo cennych manuskryptów, a między temi Wirgiliusza z V wieku, tablety Karola Wielkiego, ewangelie prześlicznie iluminowane, Nibelungi. Jest tu także wielce cenione, średniowieczne dzieło artystyczne: Chrystus z czterema apostołami, na słoniowej kości. Po drugiej stronie św. Gallus z niedźwiedziem, który mu podaje drzewo. Ta legenda często się tu powtarza. Jest jeszcze jeden znak w tem mieście, przypominający dawne czasy i zwyczaje. Na domach pełno napisów i emblematów. Najczęściej występuje Goliat z Dawidem. Jest nawet Goliath - Strasse. Napisy zaś prawie się zawsze zaczynają od: Zur Erinnerung. Ratusz nosi te słowa: In diesem Haus soli finden Schutz, die Ehre Gottes und gemeiner Nutz. (W tym domu ma znaleźć opiekę cześć Boga i dobro powszechne). Zaraz po obiedzie puściliśmy się w drogę do Appenzell, która wspina się z razu na górę bardzo stromą. Piechotą więc znacznie wyprzedziliśmy naszą powózkę. Na każdym załomku i skrucie nowy a zawsze przepyszny widok, to na miasto, to na jezioro Konstancyeńskie, to na najwyższe gór szczyty. Ale mgła poczynała coraz bardziej czepiać się wyżyn, w fantastyczne układając się postacie. Raz zdawało się, że płynie okręt, to że święty Jerzy zabija

czołgającego się smoka, to znów, że się dwa szeregi wojsk do boju przeciw sobie

szykują. Władysław zaś widział ciągle olbrzyma, co po iglicach
szczytów stąpał,
a machał tak rękoma i nogami, że te się odrywały, a potem nowe,
jeszcze dłuższe,
mu przyrastały. Nasz woźnica dostrzegł w tem wszystkim tylko
zapowiedź burzy,
i dla tego dopędziwszy nas tam, gdzie już droga szła poziomo, radził
dobre
przeciw nawałnicy opatrzenie i pośpiech. Zaraz też przejechaliśmy
granicę i nie
zatrzymaliśmy się aż w Trogen. Miasteczko to, z tylko domów
złożone, które
stanowią rynek i parę ulic, jest stolicą protestanckiej części kantonu,
czyli
tak zwanych Rhodów Zewnętrznych. Ma ratusz, salę sejmową,
arsenał, kościół z
dość piękną w trzy piętra kolumnową fasadą, z amboną i chrzcielnicą
marmurową, i
w jednej osobie, jak to mieliśmy sposobność przekonania się,
karczmarza,
piekarza i pocztmistrza. Był czas obejrzeć to wszystko, bośmy tu
chcieli burzę
przeczekać. Ale ta zdawała się przechodzić stronami. Częste deszcze
były już
drogę popsuły i mosty pozrywały. Musieliśmy więc dłuższą obrać, i
wróciwszy do
Speicher, na Teufen się skierować. Obie te wsie ludniejsze od stolicy.
Niebo
zasnuwało się coraz czarniejszym kirem. Huczał zdala grzmot
potężny. Nie
dodawały nam otuchy piorunochrony, których czasem aż cztery na
jednym domu
sterczało. Ledwieśmy też przejechali most na granicy dwóch połówek
kantonu,
zawyła najstraszniejszą nawała. O takiej ulewie nie miałem dotąd
wyobrażenia.

Władysław z początku żartował, dziwiąc się, jak ów podróżnik w
drobnem księstwie
niemieckiem, że tak wielki deszcz może w tak małym kantonie padać.
Lecz gdy
pioruny tak gęsto koło nas bić poczęły, że przerwy w huku nie było, i
gdy taki
skwar zionął, że zdało się, iż nas ten piekielny ogień spali na popiół,
wziął
się do namawiania woźnicy, abyśmy przy pierwszym lepszym domku
przystanęli. Lecz
ten z największą flegmą odpowiadał, że to nic, i że najlepiej w takim
razie
jechać noga za nogą Burza trwała przeszło godzinę i odprowadziła nas
aż do
samego Appenzell. Tu zastaliśmy most na rzece Sitter z obu stron
zerwany przez
powódź. Tylko środek pozostał. Łódką więc przeprawialiśmy się na
drugą stronę.
Szczęściem, że potoki górskie, jak prędko wzbierają, tak też i opadają.
Nie było
przeto niebezpieczeństwa, a nawet trudu w przeprawie.
Cała ta katolicka część kantonu, to jest Rhody Wewnętrzne, liczy
zaledwie ,
mieszkańców. Ludność czerstwa, silna, malownicza postawą i
ubiozem, lubująca
się w atletycznych zapasach, które stanowią główną jej zabawę,
odznacza się
niezlomnem przywiązaniem do wiary przodków i jak najściślej szem
przechowywaniem
tradycyi i zwyczajów miejscowych. Prawie wyłącznem jej
zatrudnieniem jest
hodowanie bydła. Najpiękniejsze tu łąki z całego kraju i pono
najpożywniejsze
mleczywo. Kobiety słyną z haftarstwa. Wiosek prawie nie ma, tylko
chaty
rozrzucone po dolinach i górach. Nie miastem też, ale wsią wydaje się
stolica

tych paste-

rzy, która tylko około półtora tysiąca mieszkańców obejmuje. Domy, po większej części drewniane i pierwotnej budowy, ciągną się rzędem nad rzeką Porządny kościół i dwa klasztory są jedyną ozdobą Appenzellu, a jedyną ciekawością wielką na - cmentarzu kruchta z mnogimi rzędami czaszek, z których każda nosi krzyżyk i napis, czyją była za życia Kraj ten należał pierwotnie do opatów St. Gallen, którzy w lecie tu często przebywali. Ztąd jego nazwisko wywodzi się od Abtenzelle, Abbatis cella. Wieś ta czy miasteczko stało się stolicą w r. Podział kantonu nastąpił w czasie zatargów religijnych w . Część protestancka odtąd bardzo się przemysłem wzmogła i dziś liczy prawie , mieszkańców. Rzadko kto się tu zatrzymuje. Podróżni dążą tędy zwykle do bardzo w lecie uczęszczanego a o godzinkę pieszej drogi ztąd oddalonego Weissbad, gdzie oprócz kąpieli goście używają przewybornej żentycy. Było jeszcze dnia sporo, więc też i my tam pośpieszyliśmy, raz, że ztamtąd bliżej do wycieczki na Kamor, powtóre, żeśmy się tam, jako w zakładzie kąpielnym, spodziewali wygodniejszy i znaleźć nocleg. Weissbad leży u samych stóp góry Ebenalp, gdzie się zbiegają trzy potoki, z trzech pięknych dolin spływające, i tworzą rzekę Sitter. Wszędzie napotykaliliśmy drogi popsute, a brzegi strumieniami przez ulewę oberwane.

Znaląwszy jakiś nieosobliwy kącik na przenocowanie, zaczęliśmy przy kolacyi,
prawdziwie spartańskiej, bo z czarnej po-

lewki i jaj złożonej, układać się z przewodnikiem, który miał nas nazajutrz przez szczyt Kamoru na dolinę Renu przeprowadzić. Ani nader wysoki, ani trudny to przesmyk, ale że Władysław nigdy jeszcze podobnych wypraw nie robił, więc też do tej pierwszej wielką przywiązywał wagę i o najdrobniejsze szczegóły z przewodnikiem się układał. Między innemi położył mu za warunek, żeby w pełnym ubiorze appenzelskim i z fujarką nam towarzyszył. Z ciekawością przysłuchiwał się tym rokowaniom jakiś skromny młodzieniec. Po łagodnem obliczu i tęsknem oku poznałem zaraz, że Słowianin. Pokazało się, że Serb. Dobra znajomość od pierwszego słowa między nami się zawiązała. Spostrzegliśmy od razu, że miał wielką ochotę nam towarzyszyć w umówionej wycieczce i sami mu to natraciliśmy, a on z wdzięczności aż się rozrzewnił. Dziwny to wzajemny pociąg między braćmi słowiańskiego rodu. Nie wiem, czy przywilejem, czy tradycją idzie, że urząd przewodników w Szwajcaryi zawsze się w jednych utrzymuje rodzinach. Jak w Chamounix naczelne w tem powołaniu stanowisko należy do Balmatów, tak tu do Töricków czy Thoerigów. Nazajutrz więc o świcie zagrał pod naszymi oknami na alpejskiej fujarze czy

trąbie poranną pieśń alpejską Johann Gabriel Törick, przyodziany
świętecznie w
ubiór swego kantonu: spodnie czarne, kamizelka czerwona, strojna
koszula z
krótkimi rękawami, przepasana ozdobnymi szelkami, a na głowie
czerwona
czapeczka. Dzień, jak zwykle po burzy, zapo-

wiadał się najświętniej. Pobrawszy kije, ruszyliśmy zaraz w drogę.
Utrudniały ją
nieco poprzerywane ścieżki, powywracane płoty i naniesione
kamienie. Törick,
którego zapewne przez przypomnienie sentymentalnej Sterna podróży
Władysław
Yorickiem nazywał, wygrywał nam tymczasem smętne pieśni
alpejskie, z których
obfitości i wdzięku ten kanton słynie. Gdyśmy koło jakiej chaty
przechodzili,
wszędzie nas uprzejmie witano i błogosławiano na drogę. Lud tu
mniej zamożny i
wykształcony niż w połowie protestanckiej, ale za to łagodniejszy,
weselszy i
pełen uprzejmości. Przed jednym domkiem stał jakiś staruszek. Na
murawie leżało
wieko od trumay. Gdyśmy się mu skłonili, położył rękę na ramieniu
Władysława,
drugą, z której wypadła mu laska, podniósł ku jego czołu i
błogosławiąc rzekł:
"Takiegom miał syna".
W godzinę stanęliśmy u samych stóp Kamoru, napotkawszy jedną
tylko wieś z
kościółkiem, Brüllisau. Zaraz od samego podnóża wije się bardzo
stroma ścieżka.
Czasem przedziera się ona przez grunt nierówny, sterczący, który
zdaje się

tworzyć bastiony podpierające tę górę. Najczęściej jednak wspina się na niezmiernie spadziste ściany najwspanialszej murawy, a tak gładkie, że żadne forteczne stoki równiejszemi być nie mogą. Ja, com nad skalistemi przepaściami pewną nogą chodził, tu nieraz nie śmiałem spojrzeć na tę równię pochyłą, po której stoczyłby się człowiek bez najmniejszego zatrzymania aż tam, gdzie oko nie dosięga. Tak to spadającemu,

nawet krawędź skały, o którą się roztrzaskać, ale i zahaczyć może, wydawać się musi mniej groźną, niż ściana wygładzona, której końca nie widać, bo niebezpieczeństwo, kiedy dostrzeżone, mniej nas trwoży, niż skok w ciemność i niepewność. Obfita rosa, co się także często po burzy zdarza, pokrywała teraz te smugi jakby śronem, i grozę przepaścistości wzmagala wyobrażeniem bezbrzeżnej ślizgawicy. Dotąd się jeszcze słońce nie było wychyliło z poza szczytów Kamoru. Szliśmy przeto w cieniu. Ale dalsze okoliczne góry już błyszczały w całym majestacie porannego światła. Wskazywał je nam po imieniu przewodnik. Nad wszystkimi panowała Sentis, której szary wierzchołek z dwoma odnogami śniegu przypominał nam tego sepa, co ma ciemna głowę a białe skrzydła. Wtem wstąpiło słońce na szczyt Kamoru. Nasze smugi stanęły od razu jak w ogniu Migotały pod nami i nad nami rozesłane tęcze najcudniejszych i płomieniem i barwą dyamentów. Okoleni, olśnieni tym rześystym blaskiem, stanęliśmy jak wryci

z podziwu. I nie prędko przyszła nam siła i ochota ruszyć się dalej. A
gdyśmy
wreszcie postąpili naprzód, nową nam słońce sprawiło uciechę. Cień
od naszych
osób to padał na dół prostopadłym słupem wzdłuż smug
przepaścistych, i tak się
przedłużał, że nie było widać końca, to, gdyśmy zbliżyli się do jakiejś
ściany,
kurczył się nagle i przybierał pospolitą postać, to wreszcie, gdy wionął
na
dalsze krawędzie skał i załamki, rozbijał się na części, i znowu zbierał
się

w całość, jakby drgające pierścienie pociętego padalca. Wszystkie te
zmiany
odbywały się w oka mgnieniu, bośmy szli szybko, a tem żwawiej, im
dziwniejsze
ruch nasz wywoływał zjawiska.
"Nie wiem doprawdy, — rzekł nareszcie Władysław, — co mnie
zawsze więcej
zajmowało, gra światła czy cieniów? Światło zbliża, porywa nas ku
niebu, a cień
przygodniejszy naszym losom i niedolom ziemskim, i snadniej też go
pojmujemy.
Ale i on nas rwie w nieskończoność. Człowiek zawsze się radował
swem
przedłużeniem, a ten nasz obraz tak tu teraz powiększony,
przeciągnięty,
uciekający, odrywający się od naszej cielesnej postaci, ginący gdzieś
w
nieskończoności, czyż nie daje niejakiego wyobrażenia duszy
wnikającej w
wiekuistość? Gdyby się odłączył od nas i zniknął, czyżby nas nie
przejął
zwiastunny dreszcz śmierci? Tak, nietylko wszystkie przeczucia, ale
wszystkie

zjawiska na ziemi, wiodą nas w przekonanie o wieczności. Myśmy
tylko przechodnim
tu cieniem. Tu marność i nikłość, tam rzeczywistość i prawda. Ale
nasze oko nie
zniosłoby tu jeszcze całego rozblysku Bożej prawdy. Musi ona przeto
w
przyćmieniu się nam objawiać. Dociągać do niej może tylko wiara, i
dla tego
wiara jest zasługą. Pan Bóg też zawsze się przesłaniał cieniem, gdy do
ludzi
przemawiał. Mojżeszowi ukazywał się w mgły obłoku. Przy
Zwiastowaniu moc
Najwyższego oceniła przenajczystsza dziewicę. Anioł mówi: Virtus
altissimi
obumbrabit tibi. Zgoła, łaska i opieka Boża najczęściej cieniem się
objawia.
Śpiewamy: sub um-

bra alarum tuarum. Mogła też śmiało rzec pobożna naszego wieku
dusza: Wolę cień
ze strony Boga, niż światło ze strony człowieka. (J'aime mieux
l'ombre du côté
de Dieu que la lumière du côté des hommes)".
Młody mój towarzysz, któremu ciżba myśli, często niedość
rozwyrażnionych, ale
zawsze niezupełnie pospolitych, długo milczeć nie dozwalała, byłby
może jeszcze
dalej rozwodził się tym trybem, gdyby uwaga nasza nie została
odwrócona widokiem
jakiegoś szczególnego człowieka, co przed nami kroczył. Wysoki,
chudy, stąpający
ogromnymi krokami, ruchem rąk i nóg zdradzający nerwowa
niepokojność, poglądał
on ciągle na swój cień, i zdawał się jeszcze więcej niż my być zajęтым
jego

obrotami i przemianami. W istocie też cień jego przybierał daleko
rozmaitsze i
dziwaczniejsze od naszego kształty, i mógł być posłużyć za dowód
tym, co mówią,
że cień jest karykaturą, parodią człowieka. Przypisywaliśmy to
wysokiej postaci
wędrowca, równie jak jego nadzwyczajnym gimnastycznym ruchom.
Zadziwiła nas
jednak trwożliwość, z jaką nań spoglądał. Zdawało się, jak gdyby się
lękał,
żeby go nie zgubić. Gdy się po zrębach skał widmo to rozbijało w
kawałki,
wędrowiec, jakby struchlały, stawał. Gdy po równej spadzistości
zdawało się
przedłużać bez końca i niby od niego uciekać, pochylał się z
wyciągniętymi
rękoma, jak gdyby chciał je gonić. Z razu, zajęci własnymi myślami,
nie
zwracaliśmy uwagi na to szczególniejsze widowisko, ale gdy się raz
po raz po-

wtarzać nie przestawało, poczęliśmy bliżej mu się w zdumieniu
przyglądać.
"A to chyba człowiek, — ozwie się Władysław, — co się na prawdę
boi cień swój
postradać, chyba w istocie taki, jakiegom ja sobie tylko w
przypuszczeniu
wyobrażał".
— "Widzę, — rzekłem, — że ciągle jeszcze marzysz jak przed chwilą.
Jeden to
wątek myśli, i gdybyś się dobrze zbadał, pokazałoby się może, że ich
początek w
tej postaci, którą już wczoraj dostrzegaliśmy w obłokach, jak po szczytach
skał
stapała, rozbijała się na ćwierci i znowu w całość zbierała. Thöricku,
czy znasz

tego pana, co przed nami takie łamańce wyprawia?"
— "Nie mówiłem z nim nigdy, — odrzekł przewodnik, — ale go często po naszych łąkach i ścieżkach spotykam. Plądruje on wciąż po dolinie i górach, szukając ziół, które zbiera starannie w tę oto zieloną puszkę blaszaną, co na plecach niesie. Powiadają, że to lekarz, który na wszystkie choroby ma cudowne zioła. Nikt jednak nie wie, gdzie mieszka, i nikt go nie widział ani przy stole, ani pod żadnym naszym dachem. Zawsze ten sam, w tej samej wyszarzanej kurtce, z tą puszką na plecach, z posuwistym krokiem, jak gdyby ani chwili na miejscu utrzymać się nie mógł, z niespokojnym obzieraniem się, jak gdyby umykał przed pogonią, lub miał kark nadkręcony. Ja myślę, że to waryat, albo Żyd wieczny tułacz, albo jeszcze coś gorszego".
"Nie, nie, — jakżeż nie domyślacie się jeszcze?"

to przecież Peter Szlemil, — wykrzyknął Władysław żartobliwie, — odgaduję go, poznaję po tej żyłce do herboryzowania, po zielonej puszcze, po wyszarzanej czarnej kurtce, po kroku przywykłym do siedmiomilowych butów, po trwożliwym wreszcie oglądaniu się za cieniem, który był szatanowi sprzedał, a który, jak widzę, musiał jakimś cudem odzyskać. To on niezawodnie, mówcie sobie, co chcecie".
— "Byćby to mogło, — wtrąciłem, poddając się żartowi, — zaiste, postać taka sama, jaką nam opisał jego powiernik i przyjaciel Chamisso; odzienie też

przypomina, co o nim tenże powiedział, że Szlemil byłby godnym
zazdrości, gdyby
jego dusza mogła choć o połowę być tak nieśmiertelną, jak kurtka,
którą nosi,
ale jakżeż pogodzić jego tu pobyt z mieszkaniem gdzieś w puszczech
afrykańskich,
z kąd ostatni raz pisał o sobie; przecież chód ten, choć żwawy, siedm
mil za
każdym krokiem nie odbywa, a nadewszystko, wszakże widzimy
wciąż jego cień i
jeszcze taki olbrzymi!"
"Może się dał wreszcie namówić szatanowi, — odparł Władysław, —
i sprzedał mu
swą duszę, aby cień odzyskać".
Cały ten czas nasz poczciwy Serb patrzył na nas zdumiony z
naiwnością
słowiańską, nie wiedząc, czy ma nam wierzyć, czy tylko drwimy
sobie.
— "O siedmiomilowych butach, — rzekł, — słyszałem w
dzieciństwie od nianiek.
Innych, także dziwnych powiastek mamy bez liku. Ale o człowieku
bez cienia
pierwszy raz się dowiaduję. Pewnie

i to bajka, a może i nie tak zajmująca i dowcipna jak tamte".
"Jako bajka? — wykrzyknie Władysław, pokrywając tłumiony
uśmiech powagą niby
obrażonego niedowierzaniem historyka. — Wszakże jest na to własne
zeznanie
winowajcy, a potwierdzone przez znakomitego pisarza, podróżnika,
poetę, a co
więcej oficera i tajnego radcę pruskiego!"
— "Otoż, — rzekłem, — aby przekonać pana Nenadowica (tak się
nasz Serb nazywał)
o prawdzie, opowiedz mu tę historią ze wszystkimi szczegółami.
Właśnie ku temu

pora się zdarza, bo już czas nam śniadać. Usiądźmy sobie na tem
płaskogórze,
odpocznijmy i posilmy się, a twoja powieść zabawi nas i pokrzepi".
Przezorny Władysław, wskutek mojej rady, że w wycieczkach na góry
najlepiej jest
wychodzić na czczo, a dopiero po jedno lub dwugodzinnym marszu
śniadać, nakupił
był jeszcze w St. Gallen doskonałych i posilnych zapasów na drogę.
Niósł je
teraz przewodnik wraz z naszymi tłómaczkami. Na dany znak
rozłożyli je oba na
murawie, a my obsiadłszy improwizowaną ucztę, napiwszy się
wybornej madery i
posiliwszy zimnem mięsiwem, poczęliśmy nalegać na Władysława,
aby co prędzej swe
opowiadanie rozpoczął. Stał na chwilę, pokrył czoło ręką, jak gdyby
chciał
zebrać z pamięci cały wątek, a potem rzekł:
"Dobrze, kiedy żądacie, opowiem, ale w skróceniu i bezbarwnie.
Jedyny warunek,
że mi uśmie-

chem niedowierzania przerywać nie będziecie. Opowiem wam tak, jak
sam Szlemil
spisał swe przygody. Oto jak on we własnej mówi osobie:"

* * *

Byłem ubogi, ale młody, pełen nadziei i chętny do pracy.
Skończywszy nauki,
wybrałem się do jednego z miast portowych niemieckich, gdzie cały
prawie handel
spoczywał w ręku kupca, do którego mi dano listy polecające.
Stanąwszy w

skromnej gospodzie na poddaszu i przyodziawszy się jak mogłem
najlepiej,
zażądałem, aby mię zaprowadzono do owego bogacza. Skorom
wymówił jego nazwisko,
zaraz wszyscy ton zmienili i z lekceważących niepozornym
przybyszem stali się
uniżenie usłużnymi.
Ów kupiec, pan Tomasz John, miał za miastem wspaniałą pałac z
ogromnym parkiem
nad samym brzegiem morza. Tam mnie zaprowadzono. Wszedłszy
pod długą kolumnadę
marmurową, zadzwoniłem nieśmiało u głównego wejścia.
Natychmiast wybiegło dwóch
suto ugalonowanych lokajów, a gdy ujrzeli list z adresem napisanym
dobrze im
znaną ręką, zaraz mnie powiedli do ogrodu, gdzie właśnie gospodarz
licznemu,
sproszonemu na śniadanie towarzystwu, rozmaite rzadkie ciekawości
pokazywał i o
dalszych swych planach co do upiększenia swej siedziby rozpowiadał.
Minęła dobra chwila, zanim na mnie spojrział, a wtedy domyślając się
po mej
skromnej postawie, po co przyszedłem, i nie rozłamawszy nawet
pieczęci

wręzonego mu listu, zadał mi parę obojętnych pytań bez czekania na
odповідź, a
wreszcie machnął protekcyjnie ręką, jak gdyby chciał rzec: możesz iść
za nami i
podziwiać.
Dobrane towarzystwo, piękne, zalotne, wystrojone przepysznie damy,
nadobni
kawalerowie, igrało, chichotało i na wyścigi przychlebialo się
amfitryonowi. Na
uboczu, w jednym rzędzie ze mną, stał chudy, wyżółkły mężczyzna w
szarem

ubraniu, nogi miał zapewne od starości skrzywione, oczy zyzowate,
nos jak
haczyk. Pewnie jakiś wysłużony pomocnik kupca, albo ubogi
krewniak, pomyślałem
sobie.

W tem spostrzeżono na morzu przyplływający okręt. Gospodarz
zażądał dalekowidza,
ale nim służba pobiegła, szary ów jegomość wyciągnął z kieszeni
ogromną lunetę i
podał ją kupcowi. Prócz mnie jednego, nikt nie zdawał się dziwować,
jak taka
wielka machina mogła z tak małej wyjść kieszeni. Niebawem ktoś z
towarzystwa
rzekł: Jakby rozkosznie było usiąść na tym gazonie, tylko dla dam
niebezpiecznie, bo jeszcze rosa gdzieniegdzie połyskuje, ale można
dywany
rozesłać. Ledwie to doszło do uszu nieznajomego, w lot wyciągnął z
drugiej
kieszeni parę szerokich tureckich kobierców, a kawalerowie, nie
dziwiąc się
wcale, rozesłali je na murawie. Wnet damy poczęły się skarżyć, że
słońce trochę
zanadto dopieka. I znowu stary jegomość wyjął z zanadrza obszerny
namiot, pod
którym się wszyscy wygodnie zmieścili. Byłże to namiot
Szeherazady, o którym
wschodnia legenda mówi, że zwi-

nięty mieścił się w drobnej dłoni niewieściej, a rozpostarty, mógł
pokryć
tysięczne wojska zastępy? Zdumiałem się, a tem więcej, że się nikt nie
dziwował.
Ciężki niepokój począł mną targać. Nie biorąc udziału w hucznej
rozmowie
rozochoconego towarzystwa, które na mnie całkiem nie zważało, i
choć lekkim

skinieniem gospodarza po pańsku zapraszany, nie śmiejąc się
przysiąc do
zastawionej uczty, usunąłem się pod pozorem, że chcę dalsze strony
wspaniałego
parku obejrzeć. Widocznem mi już było, że tego dnia nie dojdę do
słowa z kupcem,
przeczuwałem nawet po jego pyszno-dumnej minie, że nic dla mnie
nie zrobi,
przeto, gdym się sam. na sam znalazł, począłem przemyśliwać, jak
niepostrzeżenie
wymknąć się z zaczarowanego ogrodu.
Widok otaczającego mnie przepychu tem dolegliwszem czynił mi
uczucie mego
sieroctwa i ubóstwa. Zadrgnęła we mnie żądza bogactwa, choćby
tylko dla tego,
aby takich upokorzeń nie znosić. Tysiące sposobów, jakimi inni,
mniej lub
więcej godziwie, przyszli do dostatków, cisnęło mi się do pamięci,
oblegało
głowę i dziwny w niej zamęt i zaćmienie sprawiało.
Tak wałęsając się i marząc, spostrzegłem boczne wyjście z parku, ale
aby się do
niego dostać, trzeba było przejść rozległy i śliczny gazon, jaki zwykł
tworzyć
końcową oprawę ogrodu i łączyć go z zielenią pól okolicznych. Żwawo
puściłem się
naprzód, lecz w połowie zatrzymał mnie czy strach, by mnie

nie spostrzeżono, czy też chęć rzucenia jeszcze raz okiem na przepych
tego
siedliska. Obzierałem się — co widzę? — za mną tuż szary jegomość.
Osłupiałem,
przybity do miejsca, osidlony jak ptak pod magnetycznym wzrokiem
węża.
"Przepraszam najpokorniej, — ozwie się on po chwili, kłaniając się aż
do ziemi,

— ale wielką miałbym do pana prośbę, niezmierną możesz mi wyświadczyć łaskę".

— "Jak to, ja? — odparłem, — taki ubogi, dla kogoś, co ma w swej mocy takie..."

Nie śmiałem dokończyć. Zdawało mi się, żeśmy się oba mocno zarumienili.

Po chwili rzekł on znowu: "Zbyt krótko miałem szczęście znajdować się koło pana,

ale dość długo, aby zauważyć, co za wspaniały cień pan posiadasz, a jak mało

dbasz o niego. Otóż, czybyś mi go nie chciał pożyczyć, albo ustąpić? Widziałeś

już pan, że mam w kieszeni szacowne rzeczy, ale to nic w porównaniu tego, cobym

dał za tak drogi nabytek".

— "Ale na cóż go wam, — zapytałem, — czyż wam nie dość własnego cienia?"

"Mój taki brzydki, chciałbym się lepszym pochwalić, zresztą bogaci, przesyceni

wszelkimi zadowoleniami ludzie, mają swoje przywidzenia i pokusy, — dam

łaskawcy memu, co chcesz, oto spróbuj ten worek", — rzekł, podając mi skórzaną

torebkę, ściągniętą u otworu dwoma silnemi rzemieniami, i zachęcając, abym w nią

sięgnął.

Włożyłem rękę raz, wyjmuję luidorów, drugi, trzeci raz, to samo, i tak za

każdym nawrotem. Zaćmiło mi się w oczach. "Zgoda!" — zawołałem, a on wręczając

mi ten cudowny mieszek, ukląkł, i z niesłychaną, zręcznością odjąwszy z ziemi

cień mój od stóp do głowy, zwinął go i schował do swego pugilaresu. Zaczem znikł

w zaroślach, a ja tylko lekki śmiech usłyszałem.

Skorom się opamiętał, począłem z gorączkowym pośpiechem
napęłniać złotem me
kieszenie, a zawiesiwszy na szyi worek i starannie go w zanadrzu
ukrywszy,
wybiegłem co tchu na pole. Aby do miasta powrócić, trzeba było
wybić się na
główną ocienioną drzewami drogę i przejść przez forteczną bramę.
Dostałem się wreszcie na tę drogę, i póki drzew stało, nikt mnie nie
zaczeptał.
Lecz w jednym miejscu była przerwa, i zaraz jakaś staruszka za mną
idąca
zawołała: "Wszelki duch Pana Boga chwali, co się dzieje, paniczu,
gdzież twój
cień podziałeś?" Rzuciłem jej sztukę złota i co prędzej podszedłem
pod drzewa.
U bramy, pół zaspany, pół gapiący się szyldwach, stanął z
wytrzeszczonemi
oczami, gdym koło niego przechodził, i tylko mruknął z cicha: "Albo
ja wiem, czy
regulamin pozwala przepuszczać ludzi bez cienia?"
I znowu, ledwim się w ulicę dostał, jakieś dwie elegantki
wybuchnęły śmiechem:
"Pewnie ten pan z Paryża powraca, to tam niezawodnie teraz taka

moda; jakby to i nam pięknie z tem było, ten koczodan Eliza i ta
tłusta
Wilhelmina pękłyby z zazdrości; musimy się koniecznie dowiedzieć
jak się cień
zwija, czy pod szal, czy w turniurę, pogońmy go. " Ale to
usłyszawszy, kopnąłem
się cwałem i cienistą stroną ulicy uciekłem.
Już mi bardzo ciężko robiło się na sercu. Do mej gospody trzeba było
przejść
szeroką ulicę. Na moje nieszczęście, właśnie gdym ją przecinał,
wysypały się z

pobliskiego gmachu roje studentów. Jeden wrzasnął i nuż cała zgraja krzyczyć za mną: "Porządni ludzie nie wychodzą nigdy bez cienia na słońce!" Poczęto rzucać na mnie śmieciami, błotem. Dopadłem wreszcie dorożki i kazałem się odwieść do domu. Ukryty w niej odetchnąłem, ale wnet począłem gorzko płakać. Wypłakać się jednak nie mogłem, nie stało na to czasu, bo w kilka minut stanęliśmy przed gospodą. Kazałem zaraz znieść mój tłómaczek z pod lichego poddasza, i rzuciwszy parę sztuk złota nisko kłaniającemu się gospodarzowi, zawołałem na dorożkarza, aby mnie zawiózł do najpierwszego hotelu. Tu wejście było od północy. Nie obudziłem więc żadnego spostrzeżenia, gdym wysiadł. Widząc, jak hojnie płacę dorożkarza, dano mi najwspanialszy apartament. Teraz mogłem, zamknąwszy się, płakać do woli. Ale rzecz dziwna, zamiast płaczu porwało mnie istne szaleństwo. Począłem gwałtownie nurzać rękę w

downym worku, a gdym wszystkie szafy, komody i biurka napelnił złotem, wziąłem się do uścielania podłogi. Wszędzie było tylko złoto i złoto. Stapałem po nim, deptałem, odurzał mnie dźwięk i blask jego, wreszcie zmęczony, rzuciłem się na jedna kupę, jałem kulać się w niej i tarzać, aż nakoniec z omdlenia usnąłem. Tak przeszła mi reszta dnia, wieczór i noc cała. Zbudziłem się nad samem ranem. Długo nie mogłem pojąć, gdzie jestem, co się

zemną dzieje. Zegarek mój stanął. Głód tylko, bom od wczoraj rana
nic nie jadł,
przypomniał mi, że czas się posilić. Ale jakżeż tu do takiego skarbcza
przyzwać
gospodarza lub posługacza? Szczęściem jeszcze nie było ruchu w
hotelu. Począłem
stosy kruszczu pchać w worek. Rozszerzał się, lecz ani jednej sztuki
nie chciał
przyjąć napowrót. Była ogromna skrzynia w przedpokoju. Tę więc z
wielkim mozołem
napakowałem memi skarbami. Tylko kilka garści jeszcze leżało po
stołach.
Tak uprzątnąwszy się i drzwi odemknąwszy, zadzwoniłem, by mi
podano śniadanie i
gospodarza zawołano. Gdy przyszedł, zaraz z nim ułożyłem się o
mieszkanie i
wszelkie wygody. Poleciał on mi do służby jakiegoś pocziwca,
nazwiskiem Bendel.
Ten mnie ujął otwartem a łagodnem obliczem i od razu moje zaufanie
pozyskał.
Cały ten dzień upłynął mi na przyjmowaniu krawców, szewców,
kupców z rozmaitemi
towarami. Zakupiłem moc rozmaitych kosztowności i klejnotów,

nie tyle z pociągu do nich, co dla pozbycia się złota. To jednak nie
zdawało się
umniejszać.
W wieczór dopiero przyszła mi ochota, a raczej odwaga wyjść na
miasto, aby
doświadczyć, czy przynajmniej po nocach będę mógł bezpiecznie
przemykać się
między ludźmi. Zarzuciwszy więc ogromny płaszcz, wysunąłem się
na ulicę.
Lecz znowu na mą biedę, noc była jasna, księżyc świecił w pełni. Nie
powtórzę,

bo to mi serce przeszywa, jakie wykrzykniki, uwagi i podziwy
wyrywały się z ust
przechodniów. Litowano się, łajano, szydzono. Jedno drobne, śliczne
dziewczątko
szło z rodzicami. Ci, bacznie patrząc na własne nogi, nie zwracali
uwagi na
mnie. Ale dziewczę, spostrzegłszy, co mi braknie, spuściło główkę,
zakryło
dłonią oczy i w trwożnym milczeniu schowało się za matkę.
Tego już było za wiele. Gorące łzy puściły mi się z oczu. Z
zakrwawionem sercem
umknąłem w cienistą stronę ulicy i tak trzymając się ciemnej ściany
kamienic,
wróciłem późno do hotelu.
Całą noc ani na chwilę nie zasnąłem, walcząc z najprzykrzejszemi
myślami. Jedyne
pozostawał mi ratunek odszukać szarego jegomościa i za zwrócony
worek stratę mą
odzyskać. Skoro więc Bendel wszedł do mnie rano, nakazałem mu,
aby, porzuciwszy
wszystkie inne zachody, pobiegł natychmiast do pałacu p. Tomasza
John i od jego
służby dowiedział się, kto był i gdzie mieszka ten gość w szarem
ubraniu, co
przed paru dniami znajdował się

tani na rannej uczcie i gospodarzowi podarował wielki teleskop,
przepyszne
tureckie dywany i wspaniałe namioty.
"Weź, ile tylko chcesz, z tego tu złota, — rzekłem mu, — nie żałuj
żadnego trudu
i wydatku, byłeś tego pana wynalazcą". Tu opisałem mu nieznanego
z
najdrobniejszymi szczegółami.
Odszedł z wesołą i pewną siebie otuchą, wrócił pod wieczór ze
smutkiem. Nikt u

pana John nie znał podobnej osoby, ani mógł sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek był tam człowiek taki, jakim go z twarzy, chodu i ubioru Bendel opisywał. Luneta, namiot, dywany, wszystko to było jeszcze na swoim miejscu, ale przyzwyczajona do dyskrecyi służba, która nie pytała się, z kądem ich chlebobdawca tak nagle do takiego majątku przyszedł, niczemu się już nie dziwiła i na każde zapytanie odpowiadała: Nasz pan wszystko ma, wszystko wie i wszystko może. Doznawszy tu tak niespodzianego zawodu, Bendel puścił się w miasto, przez cały dzień dowiadywał się po hotelach, po gospodach, — znając dobrze wszystkich mieszkańców, każdą kamienicę, był wszędzie, ale nigdzie ani śladu, ani najśłabszej wskazówki. Gdy skończył swe długie opowiadanie, rzuciłem się w rozpacz, na łóżko i rozkazałem mu odejść. "Ale, ale, — rzekł, biorąc u drzwi za kłamkę, — zapomniałem jeszcze powiedzieć, że gdym dziś rano wybiegał na miasto, spotkał mnie u bramy jakiś człowiek, który mi kazał panu powiedzieć, że nie ma

czasu z panem się widzieć, bo spieszy na okręt, który wraz odpływa, ale że od dzisiejszego dnia za rok i dzień będzie u pana, aby mu przedstawić bardzo zyskowny interes, i że spodziewa się z zadowoleniem obudwóch stron targu dobić".

— "A jakżeż on wyglądał?" — zapytałem gwałtownie, zrywając się z łóżka.

"Nie bardzo zważałem, — odrzekł, — bom się spieszył, lecz zdaje mi się, że miał na sobie szarą kapotę, okulary na kończatym nosie, ot zwykle jak kupiec, co wciąż rachuje i szuka kogoby okpił".

— "Ależ, — krzyknę, — to właśnie człowiek, którego ci szukać kazał!"

Na te słowa Bendel osłupiał. Nie mogło mu się w głowie pomieścić, jakim sposobem ptaszek, za którym goniliśmy, sam na klatce nam siadał. Z osłupienia przeszedł wnet do gniewnych na siebie wyrzekań. Musiałem go pocieszać, choć sam ugodzony śmiertelnym ciosem. Pokrzepiało mnie jeno przekonanie, że w służącym znalazł tkliwego przyjaciela.

Darmo, nie pozostawało mi nic, jak czekać. Cierpieć takie męczarnie przez rok cały, to nad ludzkie siły. Nic tu ani rozum, ani przebiegłość pomódz nie mogła.

Jedyna ucieczka w omamianiu ludzi złotem, w wykupywaniu się od ich pośmiewiska i oskarżeń tym samym kruszcem, którego widok napawał mnie straszną boleścią.

Kołatałem się z najdzikszymi pomysłami. Wpadłem wreszcie na jeden, śmieszny, dziecinny, ale trzeba było wszystkiego spróbować.

Kazałem przywołać najlepszego w mieście malarza. Gdy przyszedł, wskazałem mu najdroższy z moich klejnotów i rzekłem: "To pan i wiele jeszcze innych kosztowności mieć będziesz, jeśli wykonasz moje żądanie, a przytem jak najściślej zachowasz tajemnicę. Znam człowieka, który miał nieszczęście

stracić cień swój, czy byś mu pan nie mógł sztucznego przymalować?"

— "Wolne żarty, — zawoła malarz, — jakżeż to mogło mu się przytrafić?"

"W bardzo prosty sposób — odrzekłem; — przeszłej zimy podróżował on po Rosyi, jednego razu cień mu do ziemi przymarzył, a zimno było takie, że już go żadna siła oderwać nie zdołała".

Malarz spojrział na mnie jak na waryata, a po chwili rzekł:

"Na nicby mu się cień malowany nie zdał, bo kiedy własnego utrzymać nie umiał,

to sztuczny zgubiłby za lada poruszeniem. Dla człowieka bez cienia nie ma innej

rady, tylko nigdy na słońce nie wychodzić".

To mówiąc, skłonił mi się i co prędzej wyszedł, a ja sam pozostałem z moją niedolą.

Tak zbiedzonego zastał mnie Bendel nad wieczorem. Jego pocziwie, tkliwe

wejrzenie podało mi myśl nową. Zwierzę się mu, a może mi ciężaru ubędzie. I

opowiedziałem mu moje nieszczęście.

Zrazu przeląkł się ogromnie i począł się ku drzwiom cofać, ale gdy mu rzekł:

"Teraz wiesz wszystko, możesz zdradzić me zaufanie, idź i świadcz przeciwko

mnie!" — rzucił się na kolana przedemną i zawołał:

— "Nie, nigdy ja mego dobrego pana nie opuszczę, niech świat mówi co chce, może

to będzie nieroztropnie, ale będzie pocziwie, zostanę przy was, będę wam mego

cienia używał, pomagał, a gdy czego nie zdołam, będziem przynajmniej cierpieli

i płakali razem".

Rzuciłem mu się na szyję, i odtąd był mi prawdziwym bratem,
opiekunem i zbawcą.
Wszystko on naprzód przewidywał, obmyślał, urządzał. Pod jego
osłoną i pieczęcią
znowu się w świat puściłem. Umiał mnie wyrwać z każdej złej
przygody, uprzędzić
odkrycie mego kalectwa, składając winę na moje dziwactwa i
wybryki. Bogaczom
wszystko uchodzi.
Tak błysła mi nadzieja, że ten rok fatalny choć z ciężkim mozołem
przebędę.
Nie wypadało mi nigdzie długo gościć. Wyjechaliśmy przeto
następnej nocy pod
pozorem, że się udaję do wód na kuracyę. Posunąwszy Bendla na
godność poufałego
i nieodstępного towarzysza, musiałem wziąć kogo innego do służby.
Przyjąłem
takiego w najbliższym miasteczku. Nazywał się Rascal. Zwinny,
przebiegły,
przydawał mi się nieźle.
Nie będę wyliczał krajów i miast, w których się ukrywałem, tysiąca
przygód,
które mnie spotkały, niebezpieczeństw i sideł, z jakich za ledwie
wyrwać się
zdołałem. Zachciało mi się nareszcie dłuższy czas

odpocząć na jednym miejscu. Wybrałem ku temu miasteczko, w
lesistej okolicy
położone. Naprzód wysłany Bendel miał mi nabyć jakie domostwo z
ogrodem, jak
najbliżej lasu dotykające, i wszystko jak najwygodniej urządzić.
Złoto, którem hojnie wszędzie sypał, a może jakie nierozważne z jego
strony
słowo i przechwałka, nastroiły mieszkańców w dziwne
przypuszczenia. Opowiadano

sobie, że to jakiś bogacz amerykański, czy też nabob indyjski, między
niemi

osiada. Podrażniona ciekawość snuła coraz śmielsze pomysły.

Zgodzono się

wreszcie, że to księżę ich panujący umyślił w pośród nich incognito
zamieszkać.

Skoro wszystko już w zakupionym domu urządził, powiernik mój dał
mi znać, sam na

mnie na ostatniej przed miastem stacyi oczekując. Jedziemy, aliści
przed bramą,

na odkrytem, słonecznem miejscu spotykają nas świątecznie ubrane
tłumy.

Jednocześnie dają się słyszeć dzwony, muzyka, strzały z
moździerzów, przerywane

tylko huczniemi wiwaty. Pojazd nasz musiał stanąć.

Z pomiędzy tłumu wystąpił orszak dziewic w bieli przyodzianych.

Jedna z nich,

najpiękniejsza, przybliżyła się do stopni pojazdu i podając na
różnobarwnej

poduszce wieniec z róż, lilii i laurów, ozwała się do mnie wierszem
pełnym czci

i radości z powodu tak szczęśliwego dla miasta wypadku. Po niej cały
chór

zaśpiewał uroczystą kantatę. Nie mogąc się wychylić z ciemnego
kącika mej

karety, dojrzałem tylko śliczne oblicze stojącej na przedzie dzie-

wicy. W głosie jej było coś tak tkliwego i uroczego, że od razu me
serce

podbiła.

Bendel, który pojął natychmiast moje trudne położenie, poskoczył do
przeciwnych

drzwiczek, jak gdyby po rozkaz co ma za mnie odpowiedzieć.

Wydobyłem z mej

szkatuły piękny fermuar diamentowy i ten kazałem mu ofiarować
dziewicy, a

wieniec z podziękowaniem odebrać. Jedna chwila wystarczyła mu na to. Poczem przemówił do tłumu, serdecznie w imieniu mojem dziękując za tak świetne przyjęcie, ale zarazem ostrzegając, że musiała zająć pomyłka, bo jego pan był sobie tylko prostym obywatelem, nie rościł prawa do żadnych zaszczytów i pragnął jedynie znaleźć tu życzliwość mieszkańców i spokojność dla wypocznienia po trudach.

Słowa jego, bogaty podarek i moje zatajenie się zamiast zachwiać, potwierdziły tylko przytomnych w ich wysokim rozumieniu o mnie. Wzmogły się wiwaty. Chciano już odprzeżać konie, ale na dany znak, poczytliwoni ruszyły z miejsca, przejechaliśmy cwałem tryumfalną bramę i w oka mgnieniu stanęli przed moim domem. Biegący za nami motłoch nie zdołał nas doścignąć, a gdy przybył, już spoczywałem w mych przepysznych komnatach; rzuconych kilka garści drobnej monety, wystarczyły, by go uspokoić i do rozejścia się nakłonić.

Wieczorem miasto rzeświście oświetlono. Postanowiłem sobie żyć jak najspokojniej. Do pokojów wyłącznie dla mnie oddzielonych nie wolno było wchodzić nikomu prócz Bendla. Z nim zamykałem

się przez dzień, z nim na wieczór wychodziłem do ogrodu. Zatrudnienia było niemało. Prośb, żądań, petycji o wsparcie, o protekcję, przychodziło bez liku. Wszystkie załatwiałem pieniędzmi. Odwiedzającym, lub pragnącym ze mną osobiście

się poznać, odpowiadano, że pan hrabia, (bo to najniższy tytuł, na jaki przez wzglądność na moje mniemane incognito raczono się zgodzić), pracuje w swym gabinecie. Liczne posyłki, które mój powiernik co dzień wyprawiał, potwierdzały wyobrażenie, że muszę być zajęty bardzo ważnymi sprawami. Atoli w końcu uprzykrzyło mi się tak samotne życie. Bendel namówił mnie, abym niekiedy spraszał zamożniejszych obywateli na wieczory. Zgodziłem się lubo nie bez obawy. Pierwsze nasze wystąpienie było prawdziwie królewskie. Między zaproszonymi był pan nadleśniczy z żoną i córką. Już było pełno gości, gdy ci weszli. Jakżem przyjemnie się zdumiał, gdy w córce poznałem ową czarującą dziewczę, co mnie przy wjeździe do miasta witała. Blasku jej wdziękom dodawała teraz korona dyamentowa, którą jej byłem podarował. Pierwszy to raz moje bogactwo niewysłowioną sprawiło mi radość. Rozmowa z nią upoiła mnie. Tyle dowcipu, a razem prostoty, taki powab a obok tego tyle niewinności, — nie, niepodobieństwo, aby taka druga mogła być na świecie. Obwołałem ją królową mego festynu. Przyjmowała hołdy i odemnie i od innych, jakby zrodzona do tej godności. W jej towarzystwie noc zdała mi się za krótką.

Trzeba było jednak się rozejść, bo już dzień zaczynało. Pożegnałam mą królowę tem uściśnieniem ręki, co zapowiada niezłomne, nieodzowne przedsięwzięcie, a

uradowanych rodziców poprosiłem, aby mi pozwolili wkrótce ich dom odwiedzić.

Gdy się wszystko uciszyło, rzuciłem się na łożo w uniesieniu. Błogo marzyłem

jeszcze, gdy mnie Bendel przyszedł obudzić. Ale jego przeciągnięta i skwaszona

mina nie godziła się z mem rozpromienionem obliczem. Cóż takiego się stało?

Pocziwiec po długich przygotowaniach i wywodach oznajmił mi nareszcie, że

posądzając od dawna, iż Rascal mnie kradnie, wczoraj w czasie festynu się

zaczaił i przekonał, że on całymi worami złoto i klejnoty z mych skrzyń wynosi.

Byłem rad z każdego wypadku, co mnie uwalniał choć w części od tego ciężaru, a

cóż dopiero teraz, kiedy za szczęście, które mnie spotkało, oddałbym wszystko co

mam na świecie. Uspokoilem więc Bendla i już mu o tem mówić zakazałem. Natomiast

polecilem mu, aby się zaraz wywiedziało o nadleśniczym, gdzie mieszka, jakie

domostwo, którą drogą?

Wszystko składało się pomyślnie. Nadleśniczy mieszkał w środku gęstego boru. Dom

miał obszerny, ocieniony rozłożystemi drzewami. Bór przytykał do mego ogrodu.

Piękna ścieżka wiła się wśród samych zarośli. Wedle wiadomości zebranych przez

Bendla, rzadko kto wieczorem zapuszczał się do nadleśniczego.

Ledwie wytrzymał przez dwa dni. Trzeciego,

skoro się zupełnie zmierzchno, już się znajdowałem u tych, których odtąd po mym

powierniku za najlepszych mych przyjaciół uważać począłem.

Rodzice przyjęli mnie

z otwartymi rękoma, choć najuniżeniej. Minna była jeszcze
piękniejszą w skromnym
ubraniu, miłszą w poufalej rozmowie.
Odtąd bywałem tam co wieczór. Miłość moja wzmagala się
poczuciem niedoli, co
nademną ciążyła. Dziewcze też pokochało mnie całym sercem,
głęboko, czysto, z
nieograniczonym pochopelem, wiarą i ufnością pierwszej miłości.
Wkrótce i rodzice spostrzegli, co się dzieje. Ojcu pochlebiał tak
bogaty
związek. Matkę jeszcze wstrzymywała jakby jakaś trwoga. I ja też po
pierwszych
dobach upojenia, poczynałem się lękać. Nieraz powróciwszy, gorzkie
łzy
wylewałem. Co będzie, jak Minna spostrzeże moje kalectwo? Godziż
mi się takiego
anioła ciągnąć za sobą w przepaść? Ale namiętność brała zawsze górę,
i węzeł
stawał się coraz silniejszym, nierozzerwalnym. Dodawała mi otuchy
nadzieja, że
gdy rok fatalny się skończy i sprawca mych utrapień na przyobiecany
termin
stanie, zdołam bądź co bądź odzyskać mą stratę.
Zwierzyłem się więc Minnie, że mnie do czasu krępuje ciężkie
zobowiązanie, z
którego za parę miesięcy spodziewam się wywikłać i zrzucić z siebie
brzemie
nieszczęścia, co mię tłoczy i co jest przyczyną mej samotności i mych
spraw
tajemniczych, i że wtedy poproszę rodziców o jej rękę. Nie pytała mię
o nic,
tylko zapewniała, że nic w świecie więcej

nie pragnie, jak poświęcić mi się zupełnie, wszelki trud mój i boleść
podzielić,
i ulżyć, jeśli zdoła.

Tymczasem rodzice poczęli się niepokoić i dawać mi do zrozumienia,
że czas już
przyszedł, abym im zamiary moje oświadczył. Upewniłem ich, że są
najczystsze i
że z dniem ostatnim miesiąca (był to ów termin naznaczony przez
nieznajomego)
załatwię wszystkie formalności i wiecznym węzłem połączę się z
ukochaną ich
córką. Ojciec stawiał warunki, żądał rękojmi zapisu. Aby go więc
uspokoić i
pozbyć się często natrętnej jego przytomności, poleciłem mu, aby
zakupił dóbr za
kilka milionów na imię swej córki, a ja zaraz zapłacę.
Krzętał się przeto i jeździł wiele, a my z Minną tem swobodniej
opływaliśmy w
rozkoszy wzajemnych wynurzeń. Ale jednego razu, gdym rozmarzony
zatrzymał się z
nią niebacznie za nadto długo w ogrodzie, i gdy nagle księżyc
wybłysnął z za
gęstych obłoków, obejrzała się, zadrgnęła, odbiegła o parę kroków, a
potem, żeby
ukryć, iż się przed nią wydało me kalectwo, rzuciła mi się na szyję i
poczęła
płakać. Utuliłem ją i w największym pomieszaniu co prędzej
odbiegłem.
Odtąd często już ją we łzach znajdowałem. Mnie także coraz silniejsza
zdejmowała
trwoga, im bardziej się zbliżał dzień, na który naznaczył swe
przybycie sprawca
mej niedoli.
Nadszedł wreszcie ów termin fatalny. Przez przezorność ponieśliem
poprzedniego
wieczora kilka skrzyń złotem.

Już od północy spać nie mogłem. Czekam. Z utkwionemi okiem na
zegar rachuję

minuty, sekundy. Za najmniejszym szmerem porywam się, biegnę ku
drzwiom. Bije
godzina po godzinie, a każde uderzenie przejmuje mą duszę do głębi.
Mamże tak
całą dobę, długie, okropne dwadzieścia cztery godzin przepędzić? Nie
zjawiź się
mój wróg aż dopiero w ostatniej minucie, w ostatniej sekundzie
ostatniej
godziny?
Jasny dzień zajrzał w okna. Nic nie pomogło, trwoga moja wzrasta.
Przechodzi
południe, wieczór, zapada noc. Z każdym pomknięciem wskazówki
nadzieja coraz
słabsza. Bije jedenasta, w koło mnie pusto i głucho. Ostatnie minuty
ostatniej
godziny dobiegają kresu. Zegar zasyknał jak wąż. Uderza pierwszy
dźwięk, drugi,
trzeci, każdy przeszywa mnie jakby ostrzem sztyletu. Spada dwunasty
jak piorun!
Nikt się nie zjawia. Wszystko stracone!
Jeszcze nazajutrz rano w otrętwieniu leżał, gdy mnie do
przytomności przywołała
wrzawa w przedpokoju. Bendel bronił komuś wejścia do mnie. To on
może! mój
oczekiwany dłużnik i wierzyciel! Ale niebawem rozpoznałem głos
Rascala. Napróżno
Bendel groził mu gniewem moim. Zuchwalec nie chciał niczego
słuchać, wrzeszczał,
że od równego sobie nie przyjmuje rozkazów, a do mnie musi się
dostać choćby
przemocą. Porwałem się i drzwi na wpół otworzywszy, krzyknąłem:
"Łotrze, co to
znaczy?" A on: "Długo już panu służyłem po ciemku, raz też
chciałbym wyjść z nim
na słońce, bo ludzie dzi-

wne rzeczy rozpowiadają, co i mnie krzywdzi, a ja takiej służby nie chcę".

Zrozumiałem całą sprawę od razu. Więc w łagodność, w prośby, a w końcu ucieczka

do złota. Wszystko napróżno. Niegodziwiec odrzucił mi ze wzgardą pieniądze, i

nasadziwszy kapelusz na głowę, pogwizdując odszedł.

Dzień cały strawiłem w niemocy i obłąkaniu. Pod wieczór, reszty sił dobywszy,

wymknąłem się do ciemnego boru. Długo krążyłem koło siedziby nadleśniczego. Raz

mnie strach ogarniał i już miałem wracać, to znów wspomnienie na Minnę

przykuwało mnie do miejsca. Wreszcie mrok zupełny zapadł, szalonym pędem

wkroczyłem do altanki, gdzie o tej godzinie zwykła była mnie oczekiwać.

Zastałem już ją tam z matką. Była drżąca i bladą jak śnieg, gdy w jesieni

ostatnie kwiatki popruszy i zaraz w łzy roztaje. Nadszedł ojciec z zapisanym

arkuszem w rękę, i groźnie na mnie spojrzawszy zapytał, czy bym przypadkiem nie

znał jakiego Piotra Szlemila?

"A gdybym to ja nim był?" wyjąknąłem po długim milczeniu.

— "Więc się wszystko wydało — krzyknął gniewnie — pan chciałeś uwieść moją

córkę i zgubić ją, zwracam panu dane słowo".

Ale przypominając sobie zakupione dla niej dobra, dodał łagodniej:

"Daję jeszcze

panu trzy dni, abyś się mógł oczyścić i przekonać mnie o fałszu pogłosek, które

dziś mnie doszły, a które z mego zapytania odgadnąć ci łatwo. Muszę myśleć o

losie

mej jedynaczki. Wielu już o nią się zgłasza. Jest osobliwie ieden, co także w tych czasach dobra kupił za miliony".
To rzekłszy, pociągnął gwałtownie za sobą żonę i córkę, a ja sam zostałem.
Nie było ze mną Bendla. Wybiegłem jak szaleniec. Pędziłem przez bory i pustkowia, przez góry i doliny. Nie wiem, ile godzin to trwało. Znalazłem się wreszcie na łysym, odludnym pagórku. Słońce już świeciło. Obzierałem się, aż tu za mną stoi szary ów jegomość, mój kusiciel i prześladowca. "A czy się godzi — rzecze prawie bez tchu — tak mnie męczyć? Cwałowałem za panem od świtu. Poco taki pośpiech? Niecierpliwość cię gubi. Pomyliłeś się o dzień jeden. Przecież to dziś dopiero rok i dzień upływa od czasu danej ci przezemnie obietnicy. Ale się wszystko jeszcze da naprawić. Minna będzie twoją, a Rascal, który cię zdradził i który o nią teraz się stara, pójdzie w kaźń, na którą sowicie zasłużył".
Na te słowa machinalnie sięgnąłem do zanadrza po worek. "Nie, nie, tego nie chcę — rzekł, kłaniając się unizenie — zatrzymaj go sobie, nie może być w lepszym ręku".
I to mówiąc, podał mi skrypt, a drugą ręką zadrasnąwszy mnie ostrem piórem w palec, prosił o podpis. Zrozumiałem, o co rzecz idzie, i cyrograf z dreszczem wstrętu odepchnąłem.

"Ale — rzecze — Minna, biedna Minna, stracona dla ciebie na zawsze, a poświęcona ohydnemu Rascalowi!" —
— "Nigdy, przenigdy!" — zawołałem, odsuwając się od kusiciela.

"A więc spróbujemy kiedy indziej, może drugi raz będę szczęśliwszym", — rzekł i zniknął. W tejże samej chwili zjawił się za mną mój anioł stróż, pocziwy Bendel. Siedzieliśmy długo, w milczeniu dumając. Ilekroć chcieliśmy przemówić do siebie, to albo wzruszenie tamowało nam głos, albo jakieś szmery czy szepty przerywały uwagę. Mój wierny towarzysz biegał w okół, by się przekonać, czy nas kto nie podsłuchuje. Często zapuszczał się bardzo daleko, ale wracał tylko z wiadomością, że go te głosy coraz dalej ciągnęły, aż musiał przewyciężyć się i cofnąć, by znowu mego śladu nie zgubić. Nisko płynące obłoczki często najdziwniejsze cienie rzucały. Gdy szybko przepływały, spoglądałem na nie pożądliwie. Jeden cień wsunął się na mnie, a tak mi przypadał, że strętwiał i tyłkom za uciekającym zdołał zawołać: "To mój własny, chwytaj go!" Bendel co siły puścił się za nim. Widmo tem chyżej pomykało. Długom na tę śmiertelną grę patrzył, jak szybowało, kołowało — już, już pogoń zdawała się je chwytać, zawsze się wymknęło, a gdy ścigający przystanął z trudu, znowu go nęciło, i tak szła walka dalej i dalej, aż wreszcie straciłem ich z oczu.

Co począć? Do zachodu słońca czekałem w dręczących przemianach nadziei i obawy.

Gdy zgasi ostatni promień, puściłem się w stronę, którą znikli.

Nigdzie śladu.

Wtargnąłem w lasy. W końcu biegiem i snem zmorzony, upadłem w gęstwinie.

Przebudziwszy się już o dniu pełnym, zaspokoilem głód owocami
leśnymi i dalej
szedłem bez celu, bez myśli. Ścieżki się plątały. Nie było wyjścia.
Nieraz zdało
mi się, że tylko w kółko chodzę.
Tak trzy doby błądziłem. Czwartego dnia jakby jakiś stłumiony gwar
czy echo dało
się słyszeć. Idę w tę stronę. Coraz widniej, choć gęste, czarne,
piorunowe
chmury poczynały niebo pokrywać. Wybijam się naostatek na otwartą
dolinę w
lesie. Co widzę? Tuż przedemną dwór nadleśniczego, a o kilka
kroków znana mi
dobrze altanka.
Wpadam do niej. Na podwórzu gwar wielki; bryczki, kolasy i pijane
woźnice;
wszędzie uwija się służba, wszystko po świątecznemu ubrane.
Naprzeciw altanki,
na usypanym pagórku stojącej, świeciło wielkie okno głównego
salonu. Pełno było
w nim gości. Przy stole pod oknem pisał jakiś otyły mężczyzna w
okularach. Z
jednej strony stała matka podpierając drzącą i wybladłą Minnę, z
drugiej dumnie
i tryumfująco poglądał zajędyzony Rascal. Ojciec kręcił się wkoło,
jakby coś
dyktując. Po chwili wziął Minny rękę, wsunął pióro w jej palce i
pociągnął ją ku
zapisanemu arkuszowi. Zamroczyło mi się w oczach, głowa opadła na
piersi. Ocucił
mnie głos nieznanego: "Patrz, jeszcze czas,

Rascal pójdzie na szubienicę, Minna będzie twoja!" Przytomność już
mie była
całkiem odbiegła, chwyciłem za pióro... w tem piorun uderzył, a ja
konwulsyjnym

ruchem odepchnawszy podany mi cyrograf, omdlałem.
Nie wiem, ilem godzin w tym letargu leżał. Obudził mnie dopiero
zgiełk i huczna
muzyka we dworze. Ciemno było na okół. Tem jaśniej gorzał
obszerny salon od
tysiąca świateł. Uwijały się po nim ochocze taneczne pary. Z pod
okien od
rozochoconej służby podnosił się co chwila okrzyk: Wiwat
nowożeńcy, szczęście
młodemu małżeństwu!
Pragnąłem tylko jeszcze dojrzeć Minny. Siedziała na uboczu, blada
jak upiór.
Przy niej junacko stał rozczzerwieniony małżonek.
Zerwałem się obłany potem śmiertelnym i począłem uciekać. Ani
wiem, którądy
wpadłem do miasta. Ulice były puste. Pomknąłem ku memu
domostwu. Okna zamknięte,
nigdzie ani światełka, żadnego ruchu, jakby pustka po wymarłych.
Dzwonię i
dzwonię, nikt nie odpowiada.
Nareszcie zaskrzypnęło małe w poddaszu okienko, i ktoś jak mara
cichym, grobowym
zapytał głosem: Kto tam? Poznałem Bendla, ale jakżeż zmieniony! W
okamgnieniu
byliśmy w progu we wzajemnych objęciach. Poprowadził mnie przez
odarte i
spustoszone pokoje do gabinetu, który jedynie udało mu się uchronić
przed
zniszczeniem i rabunkiem. Mój powiernik nie potrzebował słów
wielu, by mi
opowiedzieć co zaszło.

Rascal dnia poprzedniego poduszczył był na mnie pospółstwo, które
przekonane
przezeń, zem czarownik, rzuciło się na dom, niczego nie oszczędzając,
a grożąc

mi śmiercią, jeślibym powrócił. Służba cała się rozpierzchła.
Bendel z rozmaitych kątów pozbierał teraz co mógł do pożywienia.
Zasiedliśmy do
wieczery. Przy ostatnim kielichu oświadczyłem mu moją wolę
nieodzowną, że już
dłużej ścierpieć nie mogę, aby on niewinny dzielił moje nieszczęsne
losy.
Podzielmy się — rzekłem — resztą złota, zabierzesz sobie szkatułki z
klejnotami,
żadna nagroda nie jest dostateczną za twe usługi i przywiązanie,
spotkamy się
może w pomyślniejszej doli, nigdy o tobie nie zapomnę, teraz zostaw
mnie
fatalności, która wisi nademną, przyprowadź mi konia, kup byle
jakiego, za
godzinę muszę odjechać... Wyrazy te wypowiedziałem z taką
stanowczością, że
tylko zapłakał i odszedł. Na szczęście pozostał jeszcze jeden koń w
mej stajni.
Tego mi przywiódł, niezdolen słowa wyjąknąć. Uściskawszy
wiernego sługę,
odjechałem, nie wiedząc dokąd i po co.
Gruba ciemność zalegała ziemię i niebo. Tylko elektryczne lekkie
połyski, jak
zwykle po gwałtownej burzy, pomrugiwały szyderczo tu i owdzie.
Jechałem zwolna
na oślep pierwszym lepszym gościńcem.
Pogrążony w posepnych myślach, nie spostrzegłem od razu, że szedł
koło mnie
jakiś podróżny. Uprzytomniałem dopiero, gdy poprosił, abym po-

zwolił złożyć ciężący mu płaszcz na mego konia, co też nie czekając
na odpowiedź
uczynił. Począł potem wyrzekać na ubóstwo a wychwalać korzyści
bogactwa. Z tego

przeszedł na pole filozofii. Mniemał że całą mądrością człowieka jest
używać,

jedynym celem rozkosz, a nie troszczyć się co będzie po śmierci.

Ciało jest

wszystkiem, dusza urojeniem. Samej, odłączonej od zmysłów, nie
podobna sobie

wystawić. Jest ona tylko prostym, choć bardzo subtelnym wynikiem i
grą sił

fizycznych. Więcej też wart cień rzeczywistego przedmiotu, niż taka
mara.

Gnębiąca troska nie dozwalała mi ani sporu, ani nawet uwagi na te
wywody

piechotnego filozofa. Pod koniec ledwie słyszał, co mówił. Już się
też na dzień

zabierało. Przecudna zorza zapowiadała wspaniałe słońce. Przeląknę
się na samą

myśl, co mnie czeka.

"Nie trwóż się pan — rzecze pieszochodziec — jakby zgadywał co się
we mnie

dzieje, wszakże masz przyjaciela przy sobie".

Spojrzę, aż tu znowu mój wróg i odziera.

"Nie gniewaj się pan — dodał — będziem zawsze mieli dość czasu
rozstać się,

trudniej o spotkanie i o tak miłą pogadankę".

Spuściwszy głowę, jechałem dalej w milczeniu. Tymczasem słońce
wybłysło w całym

majestacie. Rzesza wieśniaków, spieszących do roboty, zbliżała się ku
nam.

Splonąłem od wstydu.

"Cień jest na usługi — rzecze kusiciel — poży-

czę go panu, aż póki nie przedostaniesz się w tamte oto góry i lasy".

I w okagmnieniu zawiesił go za mną. Robotnicy przeszli, podziwiając
moją piękną

postawę i kłaniając się nisko. Uczułem znowu w całej sile błogość i
dumą z

wzbudzania w ludziach czci i przychylności zamiast wstrętu i szyderstwa.
Zawrzało mi w duszy, zaszumiało w głowie, — ja na koniu, on pieszo,
— ścisnąłem
rumaka obu ostrogami, i rzuciłem się w boczną drogę.
Ale cień pozostał za mną i pełzając powrócił do swego nabywcy.
Trudna rada i jam
musiał zawrócić.
"Nic nie szkodzi, — zawoła mój prześladowca, — to przypadek, koń
miewa często
dziwne narowy, rzuca się w bok niespodzianie, tęgi z pana ieździec!"
To mówiąc, zawiesił znowu cień za mną, a ja pomiészany,
zawstydzony, nie śmiałem
się już pozbyć jego towarzystwa.
"Żeby panu udowodnić mą przychylność, — przerwie po chwili, — na
dłużej jeszcze
użyczę ci dawnej twej własności, pod tym jednym tylko warunkiem,
że przez cały
ten czas przyjmiesz moje usługi".
Milczałem, a on to wziął za zgodę, Społem więc podróżowaliśmy
dalej. Dzień po
dniu mijał, a jam nie śmiał się od niego odłączyć. I na powrót nastąpiła
w mem
życiu epoka płochy, uciech, zabaw, któremi usiłowałem zagłuszyć
sumienie i
pamięć przeszłości. Otoczyły mnie znowu wygody, boga-

ctwa i hołdy ludzkie. Samozwańczy mój sługa nie szczędził niczego,
by mi podróże
uprzyjemnić. Mimo tego przemagała we mnie i wzrastała odraza ku
niemu. Nie
miałem jednak siły zerwać łańcucha.
Wjechaliśmy w wielkich gór krainę, zwiedzana w pięknej porze przez
tłumy
podróżnych z całego świata. Mnie wszędzie przyjmowano jak jakiego
monarchę.

Przepatrując ciekawości, postanowiłem jednego razu przyjrzeć się z bliska sławnemu w okolicy podziemnemu nurtowi wód siarczanych. Odstęczał mnie od tego mój famulus, ale musiał ustąpić, gdym stanowcza wolę objawił. Otwierał się z doliny długi wąwóz, jakby jaka rozpadlina w skałach. Z owego podziemnego źródła płynęła rzeczka, której brzegiem a wstecz jej biegowi postępowaliśmy w górę. Im szliśmy dalej, tem silniejszy szum nas dolatywał, zaduch mineralny się zwiększał, a skały zwiężały się nad głową. Wkroczyliśmy wreszcie w ciemną jaskinię. Przewodnicy zapalili pochodnie i powiedli nas ślizką, wąską ścieżką, brzegiem spienionego nurtu aż do samego waru, który z podziemnej czeluści wybuchał. Tu skwar, zaduch, łoskot, nie dozwalał się zatrzymać nad parę minut. Wyciągnął mnie też co prędzej o me zdrowie i nerwy dbały towarzyszu. Skorośmy się znów wydobyli na światło dzienne, spojrzałem w przepaść, w którą najprzód rzucał się war, zanim się przelał w swobodniejsze koryto potoku. Nad tą otchłanią zręby przeciwległych skał prawie się stykały. Łączył je lekki mostek.

Wdrapałem się na szczyt ten wskazana mi ścieżką, po stopniach kutyh w granicie. Widok był inny niż w jaskini, ale jeszcze straszliwszy, bo z wysokości, — a wgląd był jaśniejszy i dusza przytomniejsza. Z kipiącej otchłani podnosiły się kolumny pary, w której migotały sine, żółte, to czerwone plamy, jakby rozbite

barwy co się w tęczę zwinąć nie mogły. Szczypiąca mgła wciskała się w oczy, wgrzyzała się w mózg, kołowaciła głowę. Istny przedsiónek piekła, a przecież od tego widoku nie mogłem się odjąć. Odciągał mnie po kilkakroć stróż mój, a raczej obmierzły mi strażnik, przekładając, że się narażam na chorobę, na niebezpieczeństwo. Widząc mój upór, rzekł nareszcie, że mnie musi pożegnać.

"I owszem, — zawołałem dobywając niezwyklej siły, — byle na zawsze, oto masz twój dar fatalny, oddaj mi to, coś mi wyłudził.". I sięgnąłem do zanadrza po worek.

— "Nie, — rzekł, — tego nigdy nie odbiorę, chyba... znasz pan warunek...

rozstańmy się kiedy chcesz... może jednak kiedyś mnie zapotrzebujesz, wtedy zadzwoń tylko złotem w tym worku, a choćby z końca świata, przybędę".

Znikł, a ja jakby czarem przykuty, coraz głębiej w przepaść pozierałem. I zdało mi się, że w owych plamach pary widzę przesuwane się postacie, wszystkie straszne, ohydne, z wyrazem najokropniejszych udręczeń na twarzy. Począłem sobie, przypominać, rozpoznawać w nich nie obce mi rysy.

Tak, niezawodnie, ten to sławny fałszerz, — tamten to wzbogacony zdzierca, — ten trzeci to zawołany rozpustnik i zbrodniarz, a tu Rascal, tu Tomasz John! Oblicze tego ostatniego tak się wybitnie ze mgły ku mnie wychyliło, że tylko czekał, rychło przemówi. I wydało mi się, jakbym z wykrzywionych jego ust słyszał: Justo

judicio Dei judicatus sum, justo judicio Dei condemnatus sum...
Ogarnęła mnie groza i przestach, konwulsyjnym ruchem porwałem
za worek i
rzuciłem go w otchłań!
Byłem bez cienia i bez pieniędzy, ale lżej mi się stało na sercu.
Przebiegłem
lekką nogą przez mostek na drugą stronę przepaści, i znalazłem się w
pogodnej,
wonnej, czarującej dolinie.
Jakżeż tu całymi piersiami można znów było oddychać! Usiadłszy pod
wspaniałem,
cienistym drzewem, usnąłem. Rajski był to sen. Jasne, nadobne,
wdzięczne
postacie unosiły się nademną. Wszystko, com kiedykolwiek szanował,
czcił,
ukochał, witało mnie, uśmiechało się, wskazywało na błękitne szlaki
w górę.
Tak przespałem wieczór i noc całą. Zbudził mnie wspaniały wschód
słońca. Ale
natychmiast podniosły się mgły, zakryły tarczę światłości, która się na
chwilę
wydała łuną pożaru, i drobny deszcz począł padać. Głód i chłód
uprzytomnił mnie.
Nieszczęsna dola moja przedstawiła mi się w całej rzeczywistości.
Pojąłem, że na
przyszłość tylko z ciężkiej pracy rąk własnych żyć mogę. Sięgnąłem
do kie-

szeni. Było tam jeszcze parę sztuk złota. Więc dalej w drogę, z
postanowieniem,
że pójdę na robotnika w jakim borze, lub, co jeszcze mi dogodniej, na
górnika.
Posiliwszy się w pierwszej po drodze gospodzie i wypytawszy o
kierunek do
najbliższej kopalni, ruszyłem zwawo. Deszcz nie ustawał, więc śmiało

przystępowałem do ludzi z zapytaniem o drogę. Raz jednak, gdym rozmawiał z biednym pasterzem, słońce nagle się przedarło przez chmurę, i jam stanął bez cienia. Przeląkł się zabobonny pastuch i zaczął krzyczeć na gwałt. Nie uspokoił się, ale przynajmniej się uciszył, gdym mu powiedział, że dopiero co powstałem z ciężkiej choroby, w której włosy i paznogie mi wyszły, a w końcu tak wychudłem, że i cień zginął, włosy odrosły, ale siwe, paznogie odnawiają się, lecz cień dotąd nie chce powrócić. Z litością spojrział na wycieńczoną mą postać. Odetchnął, gdym odchodził. Następnego dnia wszedłem w bory. Było to dla mnie ulgą, bo słońce coraz częściej przeświecało. Na jednym zakręcie przy drogach rozstajnych, gdym nie wiedział którą wybrać, zjawił się szczęściem jakiś chłop, i zapytany, nietylko rozpowiedział mi, jak mam iść dalej, ale ofiarował się aż do główniejszego gościńca towarzyszyć. Wesoły, rubaszny, pełen śmiechu i dykteryjek, bawił mnie niepomału. W jednym miejscu trzeba było przebyć wyschnięty prawie strumień. Na moją biedę słońce zaświeciło potężnie. Nim się z ciem-

ności jodeł wychyliłem, poprosiłem go, aby szedł przodem i po sterczących kamieniach w łożysku najkrótszą przeprawę mi wskazywał. Kroczył nie oglądając się, ale w samym środku koryta nagle zatrzymał się, by mi coś o spustoszeniach, które ten potok czasem sprawia, powiedzieć.

"A gdzieżeś to podział cień swój?" — rzekł, w lot spostrzegając, czego mi braknie.

— "Raz, — odpowiedziałem, — ktoś mi na niego tak silnie nastąpił, że dziurę w nim wydarł, musiałem więc go oddać do naprawy".

— "Facecya za moje facecye", — mruknął, spiesząc na brzeg drugi i tam

wskazawszy mi drogę ku gościńcowi, sam poszedł inną.

Włokłem się powoli, bo mi się lekkie obuwie, które jeszcze jako hrabia Piotr

wdziałem, do szczętu już zdarło. Pod noc doszedłem do jakiegoś miasteczka.

Pełno było ludu, gdyż nazajutrz miał się tam odbyć jarmark.

Przyczałem się w

ciemny kącik pierwszej szynkowni, którą zdybałem, i rozkazawszy dać sobie jeść i

pić, przysłuchiwałem się rozmowie tłoczących się w izbie, a dobrze już podpiłych

przybłędów. Byli to po większej części górnicy z pobliskiej kopalni żelaza.

Mówili, że pracy jest dość a rąk mało, i że przyśli zaciągać nowych ochotników.

Ucieszony tą wiadomością, postanowiłem jeszcze przededniem do tej kopalni

podążyć, i wśród gwaru głęboko zasnąłem.

Już dobrze widać było, gdym się przebudził. Z pośród pokotem leżących i ciężkim

snem zdjętych opilców łatwo mi przyszło wysunąć się. Dzień znowu był pochmurny.

Na rynku już krzątano się w ustawianiu bud jarmarcznych i straganów. W jednym

zawieszał młody chłopczyzna rozmaitego rodzaju obuwia.

Przystąpiłem, aby się

potargować. Były jedne nowe piękne buty, ale mi na to nie stało pieniędzy.
Chłopczyna widząc mój kłopot, a przytem moje zdarte chodaki, wyciągnął ze skrzyni parę starych, lecz jeszcze dość mocnych, a o takich długich cholewach, po sam pas prawie, jak noszą właśnie kopacze, co często w wodzie pracują. Targ w targ, przyszło nietrudno do zgody, zwłaszcza, że chłopczyna był niezwykle uprzejmości, i jeszcze mi podziękował za dobry w jarmarku początek. Wziąłem pod pachę tak pożądaną nabytek i opuściłem miasto co prędzej. W pierwszych zaroślach przesułem się. Jakoś od razu zdało mi się, że mię nowe obuwanie podrywa. Lekkość, giętkość, którą nabywa ciało, skoro się pozbędzie jakiego fizycznego czy moralnego przygnębienia, mogła być tego przyczyną. Ależ to podrywanie wzmagalo się w pęd coraz szaleńszy; żaden wichur, żadna chmura najsroźszej nawałnicy, tak rączo nie szybuje, jako ja gnałem. Na raz przejął mnie dreszcz, twarz zziębła, skostniały ręce. I spostrzegłem, że się znajduję nad brzegiem jakby zamarzonego morza. Odstraszone szaniami lodów, zwracam się w przeciwną stronę.

Przez nagłe przeskoki w coraz cieplejsze przenoszę się przestrzenie, aż wreszcie staję na równiku pod prostopadłymi strzałami najskwarniejszego słońca. Raz przesuвам się jak błyskawica po nad obszarami żyznych zielonych pól, to znów z Simumem mknę po piaszczystych pustyniach. Nie, nie, wątpliwości już nie było

żadnej. Siedmiomilowe to buty! Nabytek szczęśliwy, straszny, ale potężny.

Wieczny-m odtąd wędrowiec, lecz już bez cienia się obejdę.

Należało mi przeto przejąć się nowem powołaniem, zużytkować moją nową dolę.

Odepchnięty z towarzystwa ludzi, odtąd miałem obcować jedynie z naturą, ogrodem

moim miała się stać cała ziemia a celem nauka. Przepatrywałem więc, przeszukiwałem wszystko od zwrotnika do zwrotnika, aż w dal

podbiegunowych

szlaków, badając tajemnice przyrody, mierząc prąd oceanów, wichrów i burz,

zbierając wszystko, co tylko w świecie mineralnym, roślinnym i zwierzęcym

posłużyć mogło do rozwiązania zagadki, z kąd świat powstał, na jaki cel i jaki

czeka go koniec? Na skład i objęcie tych kosztowności nauki, wybrałem sobie

obszerną oazę w pustyni afrykańskiej. Tu co noc wracałem na spoczynek. Uzbierane

spostrzeżenia przekonały mnie wkrótce, że staną na szczycie nauki.

Sięgnąłem

jeszcze wyżej, po za światy, i już zdało mi się, że odkrywam

tajemnicę wszech-

bytu i wszech-życia.

Rączość pochodzenia przeszkadzała mi często w poszukiwaniach, gdym na jednym miejscu

chciał się

zatrzymać. Wdziewałem więc wtedy łapcie z palmowego łyka jako hamulec na

siedmiomilowe me buty. Jednego razu gdym badał właściwość podbiegunowych lodów,

zeszedł mnie z nienacka straszny polarny niedźwiedź. Zdążywszy tylko jeden

hamulcowy trzewik zrzucić, pomknąłem kulejąc mil kilkanaście, aż tam, gdzie morze było wolne od lodu. Ale wdrapując się na skaty, wpadłem w wodę. Przejęło mnie śmiertelne zimno. Sił ostatkiem dobywszy się znów na ląd i odrzuciwszy drugi trzewik, pogałem na pustynię libijską, aby się ogrzać. Tu całą siłą słońce uderzyło mi na głowę. Porwała mię straszliwa gorączka. Gnałem jak szalony, ze wschodu na zachód, w jednej chwili z ciemności nocnych w wyiskrzzone południe, z zimy w lato przechodząc. W bezkrotnym tym pędzie, pozbawiony przytomności, zaczepiwszy o jakąś wieżę, upadłem. I już dalej nie wiem co się ze mną stało. Ilem dni, tygodni czy miesięcy, leżałem w letargu, nie mam najmniejszego wyobrażenia. Gdy do zmysłów począł przychodzić, ujrzałem się na wygodnym pościeliu w ogromnej sali, rzędami łóżek zapełnionej. Moje — stało w samym kącie, więc wszystko mogłem dobrze widzieć. Na bocznej ścianie, pod którą leżałem, znajdowała się marmurowa tablica, a na niej złotymi literami błyszczało wyryte — mógłbymże uwierzyć? — PIOTR SCHLEMIL. Osłabiony wzrok nie dozwolił mi wyczytać kilku jeszcze wierszy pod nazwiskiem wypisanych.

Między łózkami snuły się ciche postacie. Gdy się do mnie zbliżały, zwały mnie po prostu Numerem Dwunastym. Dwoje osób najczęściej zatrzymywało się nad moim

łożem, wysoki mężczyzna i niewiasta w żałobie. Nieodgadniony pociąg zniewalał mnie ku nim, ale nie miałem sił objawić im mej wdzięczności. Może to były przywidzenia, jakie zwykły majaczyć w osłabionych organizmach, może wysilenia powracającej pamięci, która wskrzesza najprzód przedmioty najbardziej ukochane, — dość, że zdało mi się nieraz, iż w tych dwóch nawiedzających aniołach poznaję poczciwego Bendla i nieszczęśliwą Minnę. W miarę, jak mi sił przybywało, starałem się wybadać posługiwaczów, gdzie jestem, jak się tu dostałem, co się z moimi butami, moją kurtką i zieloną puszką blaszaną stało? Nie pozwolali mi mówić, przykładając do ust palce. Zrozumiałem jednak że rzeczy moje są w bezpiecznym schowaniu i że je odbiorę, skoro wstawać pocznę. Odkąd przyszedłem do zupełnej przytomności, już ani razu moich dwóch opiekuńczych zjawisk nie ujrzałem. Nadszedł wreszcie dzień utęskniony wyzwolenia. Ubrawszy się w moje suknie, które jakby odnowione znalazłem, i przewiesiwszy zieloną puszkę przez plecy, bosonogi, bo dla osłabienia lękałem się jeszcze pędu mych skorochodów, wyszedłem pospiesznie z gmachu, a przez miasteczko w kraj otwarty. Jakby z trwogi, żeby mnie kto nie pochwycił, kroczyłem prędko nie oglądając się. Dopiero na dalekim pagórku obejrzałem się, by rzucić okiem na miejsce, gdzie odzyskał życie.

Z pośród drobnych domostw i zielonych ogrodów wznosił się gmach
okazały. Długom
mu się przyglądał, co chwila zabierając się do dalszego pochodu i
znowu
zostając, gdy w tem zbliżył się do mnie jakiś wędrowny staruszek.
Zaczepiłem go,
aby się dowiedzieć bliższych szczegółów o tym gmachu. I
dowiedziałem się, że to
sławny szpital, zwany SCHLEMILIUM, bo ufundowany z majątku
pozostałego po
bogaczu Piotrze Szlemilu.
"Był to dziwak, — rzecze staruszek, — posiadał ogromne skarby,
liczne dobra,
magnacki dom i służbę, miał się już żenić, ale naraz zniknął i już ani
słychu o
nim. Narzeczona poszła potem za męża za człowieka, który wprzód był
u tego pana w
służbie i okradając go zrobił majątek. Łotr ten dalej brnąc w
zbrodniach
skończył na szubienicy, a nieszczęśliwa wdowa dla
zadosyćuczynienia pamięci
pokrzywdzonego, całe swe odziedziczone po niegodziwym małżonku
mienie obróciła
na zakład tego szpitala. Jeden wierny sługa Szlemila przyłączył do
tego
wszystkie skarby, co po nim pozostały, a tak stanął najświetniejszy
dom
miłosierdzia w świecie całym, hojnie uposażony po wszystkie czasy.
Wszędzie tam
błyszczą nazwisko pierwotnego dobroczyńcy, codzień wznoszą się
modlitwy za jego
duszę, tysiące ludzi go błogosławi, a owa wdowa i ów wierny sługa
rozpościerają
troskliwy rząd i opiekę nad wszystkim".

Staruszek chciał jeszcze dalej mówić, ale ja, aby ukryć rozczulenie, pożegnałem go spiesznie, zszedłem na drugą stronę pagórka, z kąd już miasta nie było widać, i wdziawszy skorochody, w świat popędziłem. W mem siedlisku na pustyni znalazłem wszystko nietknięte. I odtąd znowu wziąłem się do dawnego zawodu. Przeszukuję ziemię, jej skarby roślinne i mineralogiczne, badam jej magnetyczne prądy, odkrywam tajemnice atmosfery, i skoro siedm czasów zmieni się nademną, może przyniosę ludzkości rozwiązanie zagadki świata: światło, prawdę i szczęście.

* * *

"Na tem się kończą, (rzekł Władysław, powstając i lekkim poskokiem dając nam znak do drogi,) zwierzenia człowieka bez cienia. Czyli on dotąd żyje i przebywa na pustyni, nie wiem, ale jeżeli żyje i dalej po ziemi plądruje, nic tak znowu nie byłoby dziwnem, iżbyśmy go tu spotkali i żeby nim rzeczywiście był ów laskonogi w kurtce i z zieloną puszką, który mi dopiero co przywiódł na pamięć ulubioną z lat młodych powiastkę".
— "Ale przecież to wszystko bajka, jakżeż może być człowiek bez cienia?" —
zawoła prostoduszny Serb, który wciąż słuchał powieści z natężoną uwagą.

a teraz jeszcze wahał się w niepewności, czy to żart czy prawda.
— "Bajka i nie bajka, — ozwałem się, — jak wszystkie powieści. Zręczna satyra.

Chodzi tylko o sens moralny, a tu go nie widzę, i jeśli jest, to tak nierozwinięty, tak niedostateczny, że prawdziwa szkoda dowcipnego pomysłu,
któremu autor nie umiał dać odpowiedniego końca, i aby jako tako zawęzić swój
watek, nagromadził dziwacznych cudowności, kiedy już jednej wystarczało.
Siedmiomilowe buty całkiem tu niepotrzebne. Mnie się też zdaje, Władysławie, żeś
wiele z wymysłów autora opuścił, wiele okrzesał i złagodził, wszystko do swego
gustu przykroił, a streszczając rozwlekłość niemieckiego powieściarza, tak
urywanemi i rączemi rzutami do końca spieszył, jak gdybyś na prawdę gnał za
cieniem chyżo mknącego obłoku".
"Niejeden szczegół, — rzecz, — wypadł mi z pamięci. Inne naturalnym pochope
m starałem się uprawdopodobnić. I mnie zawsze niezaspokajał koniec, lubo ostatnie
słowo autora jest "Explicit". Wszakże niczego tu nie tłumaczy wyłączne oddanie
się nauce, choćby ta miała przynieść jaki nadzwyczajny pożytek ludzkości. To nie
zagłusza wyrzutów sumienia, nie zmywa grzechu, nie oczyszcza człowieka skruchą,
pokorą i cierpieniem. Szlemil jest widocznie potomkiem Fausta ale jakżeż niższym
od swego protoplasty, bo kończy na tem, od czego tamten począł, od uwielbienia
wiedzy. Faust przecież wnet spostrzega, że sama wiedza nie jest zdolną ukoić
pragnień człowieka i od-

powiedzieć jego przeznaczeniom. Przynajmniej jako okup za grzechy, za występny

żywot, męczy się i mozoli, aby kilka mórg łądu od zalewu morskiego wyswobodzić.

A tu Szlemil buja swobodnie po świecie, rozkoszuje, jak żaden śmiertelnik, bo ma

pod ręką w każdej chwili wszystkie skarby ziemi, bez pracy, bez trudów

podróżnika, i króluje nad całym stworzeniem. Gdzież tu cierpienie, gdzie pokuta,

gdzie zadosyćuczynienie? Znać oba pisarze protestanci, tylko Goethe logiczniejszy. Ale kiedy pod światłem moralnych zasad nie zdołano sobie

wytłumaczyć zamiaru tej satyry, starano się ją odnieść do sfery politycznej.

Niemiec do dziś dnia zapytuje się, gdzie jego ojczyzna? Was ist des Deutschen

Vaterland? I dla tego ze wszystkich narodów najłatwiej opuszcza swe rodzinne

kraje, rozprasza się po całym świecie, niewolniczo wszędzie uginając karku, byle

mu dozwolono zbierać grosze, pić piwo i palić fajkę. Godłem jego "ubi bene, ibi

patria". Otóż Szlemil, wędrujący po całej kuli ziemskiej, zdaje się być uosobieniem takiego bez-ojczyzniaka. Co więcej, pozbawiony cienia, może w

pomyśle autora miał być wyobrażeniem ducha niemieckiego, co krocząc po całym

świecie, nigdzie nie rzuca cienia, to jest należnego nie wywiera wpływu, a dla

czego? bo brak cienia każe się domyślać, że tam ciała nie ma, ztąd oczywisty

wniosek, że Rzesza niemiecka nie jest dotąd mocarstwem, i że dopiero wtedy, gdy

się połączy, zespoli i stanie materyalną potęgą, będzie mogła grać odpowiednią

rolę w świe-

cie a może i zapanować nad nim. Ale to jest podszywanie dziś
wzmagających się
idei i dążeń pod fantazję autora, który, wydając ją w , nie mógł
jeszcze
mieć tak daleko sięgających zamysłów, lubo budzący się właśnie
wtedy duch
patriotyczny i wyzwalający z pod jarzma francuzkiego, nasuwał
każdemu myśl
zapewne, jak koniecznym było wpajać w rodaków właściwe pojęcie
ojczyzny".
Rozmowę tę ciągnęliśmy, w dalszą puściwszy się drogę po
najwyższych stokach
Kamoru. Po tak długim, poważnym intermezzo, młodzieńcom
zachciało się figlować.
Z pustoty więc zaczęli nawoływać: Peter Szlemil! Peter Szlemil!
Okoliczne echa
roznosiły to nazwisko po wszystkie strony. Raz zdało się nawet, że
owa
tajemnicza postać gdzieś w oddali z pomiędzy dwóch skał wyrosła, i
jakby w
odpowiedzi za to szczwanie, stanęła i pogroziła zuchwalcom. Ale była
to tylko
znowu gra cieniów, i potężnie uśmialiśmy się z naszego trwożnego
przywidzenia.
Niecałą tylko godzinę od miejsca spoczynku szliśmy na sam wierzch
Kamoru, który
jest płaskogórzem i nic ciekawego nie przedstawia. Natomiast widok
bardzo
rozległy, sięga z jednej strony krańców jeziora Konstancyeńskiego, z
drugiej
obejmuje całą dolinę Renu. Zaczęliśmy schodzić na dobrą godzinę
przed południem.
Ścieżka najprzód idzie łagodną i gładką pochyłością, później
spadzisto i po
kamieniach Często uprzyjemniają ją gaje. W jednym z nich
napotkaliśmy dwie
kobiety, obciążone

ogromnemi worami kartofli. Dziwując się, jak one mogą. takie ciężary
po tak
stromych górach nosić wdaliśmy się z niemi w rozmowę. Obie
chodziły z Brüllisau
do Sennwald po tę konieczną żywność dla swych ubogich rodzin,
jedna była matką
siedmiorga, druga ośmiorga dzieci. Wczoraj, właśnie na samym
wierzchołku
Kamoru, spotkała je burza, która i nam tyle dokuczyła. "Gdzie i jaka
w takim
razie najlepsza ochrona?" spytałem. "Usiąść i przeczekać, a potem
Bóg!" odrzekła
jedna z nich, wskazując na niebo i poszła dalej.
Do żwirówki na dole zeszliśmy w wiosce Lianz. O pierwszej
stanęliśmy w ludnym
miasteczku Sennwald, nad którym sterczy skała, wychylająca się z
gęstego boru,
amboną nazwana. Ztąd miał wziąć nas dyliżans do Ragatz. W
gospodzie, w której
obiadowaliśmy, ubawił nas właściciel uroczystą zarozumiałością,
która ztąd
pochodziła, że przed tygodniem miał zaszczyt przewodniczenia
królowi saskiemu na
Kamor. Ztąd też pewnie wywiązał on sobie prawo bezwzględного
sądzenia o obecnym
stanie Europy. Bez ogródki więc wydawał doraźne wyroki na osoby i
wypadki. To
najgorzej, że kazał sobie za to wszystko porządnie zapłacić.
Wkrótce wóz pocztowy przybył. Nenadowic miał się tu z nami
pożegnać i wrócić z
przewodnikiem do Weissbad. Ale w ostatniej chwili brakło mu
odwagi. Polubił
szczerze Władysława i, jak to mówią, patrzył na niego jak w tęczę.
Więc zaczął
najprzód wypytywać się o źródła w wąwozie

Pfeffers, potem przebąkiwać, jak byłby rad je zwiedzić, a wreszcie poprosił nas, abyśmy go jeszcze jeden dzień do towarzystwa swego przyjęli. Ruszyliśmy więc razem tem weselej, że nikogo więcej w dylizansie nie było, a hojnie udarowany i nakarmiony Törick grał nam pobudkę na drogę.

* * *

ROZDZIAŁ PIĄTY.

KĄPIELE PFAEFFERS.

Podróżnik, który, jak my, zwiedził najprzód niższy bieg Renu, i podziwiając piękności okolic, przez które ta wspaniała rzeka wiedzie nurty swoje, zwłaszcza między Moguncya a Kolonią, wyobraził sobie jeszcze coś okazalszego przy jej początkach, doznaje niejakiego zawodu w miarę, jak się do jej źródeł zbliża.

Dolinę, przez którą teraz przejeżdżaliśmy, otaczają wysokie góry, przecinają liczne potoki, dążące do głównego strumienia, zdobią mnogie sioła i miasteczka, ale po jedwabnych zielonościach Kamoru, góry wydały się nam płowemi, wody mniej przezroczeni i ponętnemi, może z powodu sprawianych przez nie spustoszeń, których ślady często się tu spotyka, a wsie pozbawionemi tego znamienia, co

Szwajcaryą od innych krajów tak wybitnie odróżnia. Wszystko nam przypominało, że jesteśmy

na pograniczu, w bliskości Austrii, a może już to samo umniejszało w nas

Polakach zdolność do przyjemnych wrażeń. Jeszcze po naszej stronie wyżyny wabiły

oko swą zielonością, ale po austriackiej, obnażone, białawe, jakby wapienne,

przypominały, gdzie się zamożność wraz z swobodą kończy. Po drodze między

złocistymi sztyldami, błyszczącymi na oberżach: "Pod Winogronem", "Pod Gwiazdą",

"Pod Księżycem", "Pod Słońcem" i tak dalej, uderzył nas najbardziej jeden,

wyobrażający lwa, trzymającego w łapach róg obfitości, a nad tem wieżę z godłami

wolności, niby przestroga i nauka dla sąsiedniego kraju, że siła powinna rodzić

dobrobyt, a dobrobyt wolność.

Zamożna wieś Sevelen, otoczona rzędami ogrodów owocowych, dziwnych kształtów

odłam skały i za nią kryjący się zamek Herrenberg, wieś Trubbach a przy niej

droga, cała wykuta w skale, przez przestrzeń stóp, kilka ruin tu i owdzie

za Renem, — oto jedyne przedmioty, które zasługują na uwagę przed przybyciem do

Sarganz, a których, jadąc w nocy tą samą drogą przed dwoma dniami, nie

widzieliśmy. Ale nieraz coś się lepiej po nocy jak po dniu wydaje.

Zamek w

Sarganz, który się tak uroczo przedstawiał przy świetle księżyca, teraz

znędzniał, bo pobielany. Lecz kopuła kościołka jeszcze okazalej pod promieniem słonecznym błyszcziała. Również dolina ku Wallenstadt nęciła oko zielonością i mnóstwem wież i wieżyczek kościelnych. Przejechawszy kilka wiosek, których jednogłoskowe nazwy brzmią jak urwiska, Elm, Matt, Mels, wysie-

dliśmy w Ragatz. Tu opadli nas posługacze rozmaitych hotelów, ale butnie i drwiąco odeszli, gdyśmy zażądali tylko tragarza, któryby za nami zaniósł tłumoczki do Pfaeffers, gdzieśmy na noc zdążyć pragnęli. Przy Ragatz, który jest jakby wysuniętą z gór czatą zakładu pfaefferskiego na otwarte pole, poczyna się wąwóz, do źródeł mineralnych wiodący. Droga idzie wciąż brzegiem Tarniny. Dla przeprowadzenia jej musiano co krok przebijać skały. W wielu miejscach wystają one jak gzemsy. Podparte krokwiemi, jeszcze większą przez to trwogę wzbudzają. Wszędzie woda się sączy. W przestankach stoją ławki, zwykle przy jakim wodospadzie, których tu wiele, albo naprzeciw jakiej skały, zdumiewającej swym kształtem. Obok drogi ciągnie się rura, która prowadzi do Ragatz wodę mineralną. Ta na stopniach ciepła, które ma u źródła, traci tylko jeden stopień w całym tym przebiegu, metrów obejmującym. Wąwóz coraz bardziej się ścieśnia, a skały nad głową zdają się jedna drugiej dotykać. W czerwcu, nawet i lipcu słońce tu świeci tylko między a godziną, w szczelinę

zaś przy źródłach, gdzie prostopadłe skały na stóp się wznoszą,
zagłada
jedynie między a . Droga kończy się u bramy zakładu. Zakład ten
zewnątrz i
wewnątrz z powierzchowności wygląda na klasztor. W środku, oprócz
mieszkań dla
chorych i podróżnych, są wygodne kąpiele. Leczą się tu albo ubodzy,
albo tak

schorzali, że potrzebują wody mineralnej z pierwszej ręki.
Mrok był już zupełny, gdyśmy tam przybyli. Wkrótce zasiedliśmy do
wieczerzy.
Przyjemnie zdziwiła nas i obszerność jadalnej sali, jakby refektarz z
Chrystusem
ukrzyżowanym nadedrzwiemi, i wyborna kuchnia. Ale towarzystwo,
złożone z samych
szwargocących Niemców, wnet nas wyгнаło do pokojów, a raczej do
cel nam
przeznaczonych. Jeszcze wczesna była godzina i na spanie nam się nie
zabierało,
więc Władysław, zawsze pochopny do gawędki, pocznie rozwodzić
się nad
posepnością i tajemniczością tego ustronia, i czy to jeszcze pod
wpływem rannej
naszej rozmowy, czy w chęci igrania z prostodusznym Serbem, który
się
wszystkiemu dziwił i wielkie oczy wytrzeszczał, nuż tak się puści na
opowiadanie
o strachach; duchach, upiorach, sobowtórach, że aż biedny nasz
towarzysz raz
bladł, to znów czerwieniał, a jak dziecko, mimo trwogi, zawsze
pragnął jeszcze
więcej posłyszeć. Żeby położyć koniec tej igraszce, sprowadziłem
rozmowę na
pokrewny, lecz łagodniejszy przedmiot, na sny, do czego od mar i
widziadeł łatwe

było przejście. Więc każdy z nas jął opowiadać, ile razy mu się coś
niezwykłego
przyśniło. Okazało się, że najczęściej mieliśmy jednakich lub bardzo w
podobieństwie zbliżonych, bo też niezawodnie są takie, którym każdy,
czy chory,
czy zdrow, czy młody, czy stary, ulega, jak naprzykład, że gdy zabrać
się z ką
potrzebuje, nie może znaleźć swych rzeczy, i jeśli jedną zdybie,

to drugą gubi, albo kiedy musi uciekać przed grożącym mu ciosem, z
miejsca
ruszyć się nie zdoła, albo kiedy spada z wieży, czy w przepaść, nie
może
dolecieć do dna... itd.

"Tylko, — rzekłem, — są różnice w szczegółach, według stanu i
dziennych
zatrudnień. Myśliwemu śni się, że się ugania za zwierzyną, a gdy po
ciężkim
biegu i trudach dopadnie jej, strzelba nie chce puścić. Napróżno
ciągnie i
ciągnie cyngiel, kurek nie spada". Jeden znowu organista opowiada,
że wyuczywszy
się doskonale jakiejś fugi Sebastjana Bacha, poszedł spać zmęczony,
a ledwie
zmrużył oczy, śni mu się, że gra to arcydzieło przed ogromnym
zebraniem, ale
cóż? organy nie chcą wydać najlżejszego tonu, napróżno coraz silniej
rękami
klawiaturę uderza, na darmo coraz gwałtowniej ciśnie nogami pedały,
cisza
zupełna; budzi się nareszcie z wyteżenia, a straszny ból w rękach i
nogach
przekonywa go, że sen ten był "nie całkiem sennym".

— Pochodziż, — zapyta Władysław, — niezdolność ta dokonania
zamierzonej

czynności z osłabienia władz umysłowych, z skrepowania woli? czy
raczej z
niemocy ciała?"

"Na jawie, — odrzekłem, — skoro umysł przygotował wszystko do
czynu, popycha
materią w ruch, a ta rozkaz woli spełnia. We śnie duch nasz, widząc
niemoc
ciała, pasuje się, szarpie, szamoce, aż nas z wysilenia nie przebudzi.
Wielu też
myślicieli mniemało, że we śnie władze umysłowe nie tylko nie tracą
siły, ale
owszem potężnieją. Uderzające są

tego przykłady. Według świadectwa Cabanisa, Franklin kilka razy w
życiu znalazł
we śnie wskazówkę, jak rozwiązać trudne zadanie, któremu na jawie
podołać nie
mógł. Condillac wyznaje, że gdy pisał swoje "Cours d'études", nieraz
nie mogąc
dokończyć rozdziału, musiał pójść spać, a skoro się zbudził, już
znalazł w
głowie koniec gotowy. Condorcet najzawilsze zadania matematyczne
rozwiązywał we
śnie. Cóż potem dziwnego, że w tym stanie poeci i muzycy często całe
poemata i
opery tworzą? Voltaire i Lafontaine układali w objęciach Morfeusza
wiersze,
które z łatwością powtarzali zaraz po ocknięciu. Coleridge zostawił
nam urywek
poematu pod tytułem: "Kubla Khan", który mu się cały przyśnił
nie tylko co do
treści, rozkładu, ale i co do każdego wyrazu. Po przebudzeniu zaraz
począł go
pisać, miało być z okładem wierszy, ale wtem przerwano mu pracę, i
gdy w

godzinę potem do niej powrócił, już mu reszta spełzła z pamięci, i ztąd mamy tylko urywek. Wprawdzie niejeden utwór tego dziwnego ale potężnego poety możnaby wziąć za senne marzenie. Czemże innym na przykład być może "Christabel", pieśń dźwięczna i urocza, ale której znaczenia i zamierzonego końca nikt dotąd nie zdołał odgadnąć. Najdowodniejszym jednak w tej mierze jest świadectwo Sir Tomasza Browne, sławnego lekarza i jednego z najuczeńszych autorów wieku, który powiada, że gdyby możebnem było, wolałby odbywać swe badania we śnie, tak bowiem głęboko czuje, że umysł jego wtedy większą bystrość

posiada, i tylko brak mu pamięci, któraby po przebudzeniu wszystko dokładnie powtórzyć zdołała. Nie jestże to rękojmią i zapowiedzią, o ile władze nasze duchowe spotężnieją, gdy się z więzów ciała ostatecznie wyzwolimy? Potwierdzają to wreszcie otrzymywane we śnie ostrzeżenia, przepowiednie, które się nieraz co do joty sprawdzają". Tu dla niewyczerpanej pamięci Władysława ponętna otworzyła się sposobność do roztoczenia przed nami mnogich a wiarogodnych przykładów, że się najdziwniejsze sny często spełniają. Gdy się zatrzymał, rzekłem: "Nie pominąłeś może żadnego z najbardziej zdumiewających wypadków tego rodzaju. Pozwól, niech do twego zbioru dodam jeszcze jeden, mniej zapewne znany. Kiedym podróżował pieszo po Anglii,

zaszedłem w hrabstwie Norfolk do miasteczka Swaftham. Mały ale kształtny kościółek, cały prawie bluszczem pokryty, przynęcił moje oko; obszedłem go kilka razy, a gdy się klucznik czy organista nastęczył, poprosiłem, aby mi pozwolono wewnątrz obejrzeć. W chórze, koło ołtarza, uderzyła mnie wykuta w marmurze postać człowieka, przy którym po jednej stronie leżał pies, a po drugiej kowadło, młotki, cęgi i tym podobne narzędzia, oznaczające, że był kowalem czy kotlarzem. I dowiedziałem się, że w samej rzeczy pod tym pomnikiem spoczywają zwłoki kotlarza, który wzbogaciwszy się, kościół ten, już ruiną grożący, przebudować kazał. Jak zaś przyszedł do tak wielkiej zamożności, powieść, przechowana przez kilka pokoleń i stwierdzona niezachwianą

wiarą mieszkańców, w następujący sposób wyłuszcza. Był to bardzo zręczny i pracowity człowiek, ale obarczony liczną rodziną, ledwie na jej utrzymanie zarabiał. Jednej nocy śni mu się, że gdyby się udał ; do Londynu i stanął na drugiej arkadzie londyńskiego mostu, zbliży się doń osoba, która mu odkryje bardzo ważną tajemnicę, co cały jego los może na lepsze zmienić. Nazajutrz kotlarz opowiedział sen swój żonie, lecz ta się tylko naśmiała z niego, i nagderała, aby skwapliwiej wziął się do roboty, zamiast poddawać się takim urojeniom. Ale mu się sen ten sam i z większą jeszcze natarczywością powtarza

następnej a potem i trzeciej nocy. Nie zważając przeto ani na gniew żony, ani na wyśmiewiska sąsiadów, zebrawszy co miał grosza, biedny, ale rozgorączkowany ciekawością i nadzieją poprawienia swego bytu, puszcza się pieszo do odległego o go mil angielskich, to jest polskich, Londynu. Trzeciego już dnia przybywa pod noc do stolicy, a dobrze sobie odpocząwszy, biegnie raniutko nazajutrz na most londyński i staje na wskazanem przez sen miejscu. Stoi i stoi aż do późnego zmierzchu, ale nikt się nawet do niego nie zbliżył. Na drugi dzień to samo. Mija trzeci, wyczerpała się biedakowi do szczytu już cierpliwość, wiara w sen znikła, żal mu serdeczny, że nie usłuchał mądrych przestroż żony, postanawia więc puścić się dnia następnego skoro świt w powrotną drogę do domu. Przez resztę jednak męstwa czy wstydu pozostaje jeszcze na miejscu aż do zupełnego mroku. I właśnie gdy już zrobił krok do

odejścia, zbliża się do niego człowiek, który mu powiada, że od trzech dni widząc go przy tym samym słupie i po niespokojnem jego oku miarkując, że oczekuje czegoś, radby się dowiedzieć, co to takiego być może, a nużby wypadło, żeby mu zdołał w czem pomódz. Kotlarz zawahał się, czy ma powiedzieć prawdę, ale ujęty poczciwym wyrazem jego twarzy, wynurza mu otwarcie całą przygodę, nie wyjawiając przecież ani swego nazwiska, ani miejsca zkąd przyszedł. Nieznajomy

uśmiechnął się nad jego dziecinną łatwowiernością, radząc, aby zaraz do domu wracał, a na przyszłość żadnej ufności w snach nie pokładał. "Ja sam, rzecz, gdybym nie był od takiej śmieszności zupełnie wolnym, powinienem dziś nie znajdować się tu, ale bardzo daleko od Londynu. Przez trzy noce bowiem przeszłego tygodnia śniło mi się raz po raz, że skorobym się udał do miejsca o mil ztąd położonego, znalazłbym tam w pewnym ogrodzie na północ miasteczka, pod jabłonią doskonale mi we śnie wskazaną, ogromny skarb, skrzynię pełną złota". Tu tak dokładnie opisał miejscowość, - iż kotlarz poznał, że to było rodzinne jego miasto, własny ogród i jabłoń, którą zawsze najbardziej cenił. "Ale ja, dodał nieznajomy, mam coś lepszego tu do roboty i w takie głupstwa się nie wdaję, tem mniej, że znam tylko odległość miasteczka od Londynu, lecz nie wiem w której leży stronie. I tobie też z szczerego serca radzę, wracaj co prędzej do domu, pracuj i chroń się takich zwodnych pokus, które zamiast bogactwa, nędzę tylko i niepokój

przynoszą". Kotlarz ze zdumienia osłupiał, poznał bowiem w słowach nieznajomego potwierdzenie snu swojego i podziękowawszy mu za radę, za która tem mniej teraz iść zamyślał, udał się wesół na spoczynek, a nazajutrz z dnia brzaskiem ruszył ku domowi. Trzeciego dnia, choć o głodzie i chłodzie lekko i radośnie do swoich

powrócił, i pomimo wyrzutów i drwin żony, nic nikomu nie rzekłszy,
jeszcze tej
samej nocy poszedł z motyką i rydlem po cichu pod jabłoń. Kopie
godzinę i dwie,
żadnego znaku, żwir tylko i kilka kamieni, aż wreszcie po zgłębieniu
na kilka
łokci, motyka uderza o coś twardego i metaliczny dźwięk wydobywa.
Kotlarz z
radości odrzuca narzędzie i rękoma a paznogciami dobiera się do
spodziewanego
skarbu. I nie omylił się. Po odrapaniu skorupy ziemią namulonej,
znalazł
skrzynkę żelazną. Niewiedzieć z kąd wzięła mu się siła przeniesienia
jej zaraz do
domu. Ale chęć zysku dodaje mięśniom potęgę. Z wielką trudnością
odbiwszy wieko,
znalazł w skrzynce same złoto. Gdy to dobrze schował, począł ją na
wszystkie
ogłądać strony i ujrzał na wieku napis, którego jednak, nie będąc
wykształconym,
nawet odczytać nie umiał. Naglony ciekawością przemyśliwał w
dniach następnych,
jakimby sposobem i swej tajemnicy nie zdradzić i dowiedzieć się, co
napis
znaczy. Do następującego wreszcie uciekł się fortelu Studenta
wychodzącego ze
szkoły, często się przed jego kuźnią zatrzymywali. Wystawił więc
wieko w
nadziei, że prędzej czy później zwróci to uwagę chłopców i że ich
podśłucha,

co będą o tem mówili. W samej rzeczy stawało wielu, przypatrując się
dziwnym
starym literom, ale iednym się nie chciało ślęczyć nad odgadnieniem,
drudzy po

chwili trudu odchodzili twierdząc, że napis był nieczytelny.
Nareszcie jeden,
podżegniony uwagą kotlarza, że próżno na nich rodzice płacą, kiedy
nawet czytać
się nie nauczyli, wziął się szczerzej i wytrwalej do dzieła i
oczyściwszy napis
ze rdzy, dostrzegł że łaciński, i takie onego znaczenie podał:

Kopcie głębiej, a znajdziecie
Takie brzemień drugie, trzecie.

Nie trzeba było więcej kotlarzowi. Więc tejże samej nocy począł
kopać głębiej
pod jabłonią i znalazł dwie skrzynki lepiej jeszcze naładowane niż
pierwsza.
Wzbożaczony obywatel wystawił z wdzięczności Bogu nowe
presbiterium i cały
kościół wyrestaurował. Sen ten jest jak wiele innych, ale ma tę
szczegółowość, że
urzeczywistniona przepowiednia opiera się na zbiegu dwóch snów
odrębnych, z
których jeden bez drugiego nic nie znaczy, choć oba prawdziwe".
Opowiadanie moje rozbudziło w Władysławie na nowo żyłkę do
okazania, że nie
tylko z ustnych podań wie o wszystkich snach nadzwyczajnych, ale że
się
zastanawiał nad fizjologiczną i psychologiczną teorią tych objawów,
i że
przezierał nawet starożytnych autorów w tym przedmiocie piszących,
po-

czawszy od Artemidora, Greka współczesnego Markowi
Aureliuszowi, którego
"Oneirocriticon" dotąd uchodzi za przewodnie w tej mierze dzieło. Z
ogólnych

rozumowań przeszedł naturalnym zwrotem do wykładu, co znaczą
pojedyncze obrazy i
szczegóły we snach przydarzające się. Najobszerniej mówiło tem co,
według
uczonych w tym przedmiocie powag, należy rozumieć, gdy się nam
jaka część
naszego ciała przyśni w zmienionym, wypięknionym lub potwornym
kształcie, jeżeli
naprzykład zamarzy się nam, że czoło mamy z miedzi, lub marmuru,
albo że brwi
nam aż poniżej oczu spadają. Zabawiło nas najwięcej to, co przytaczał
o nosie.
Śnić, że się ma
wielki nos, znaczy, że czeka nas bliska znajomość z wysokiego
dostojeństwa
osobą. Gruby, szeroki, zapowiada bogactwo, cienki a długi dobrą
nowinę i radość,
choć się temu sprzeciwiają niektóre powagi, mianowicie język polski,
bo u nas
wręcz przeciwne mają znaczenie wyrażenia: dostać nosa, odejść z
długim nosem,
spuścić nos na kwintę i tym podobne. Widzieć się we śnie bez nosa
jest
przepowiednią utraty majątku, a w razie choroby zapowiedzią śmierci,
ponieważ
trupie głowy nie mają nosa. Jeżeli kto się ujrzy we śnie aż z dwoma
nosami, może
być pewnym kłótni i niesnasek, mianowicie w kole rodzinnem. Skoro
komu się
zamarzy taka ciężkość w nosie, że mu oddychać trudno, niech się
przygotuje,
jeżeli król, na zdradę ze strony najwyższego przy nim dostojnika, jeżeli
prosty
obywatel, na przeniewierstwo żony.

"Kto wie, — rzekłem, — by przerwać dalsze wyłuszczenie tej figlarnej diagnozy, możeby też zatkanie nosa przypadkiem wróżyło zbliżający się katar".
"A teraz, — dodałem, — idźcie spać i niech się wam śnią jak najgrubsze i najpotężniejsze nosy".
Noc była mglista. Szum wiru w przepaści przedziwnie do snu usposabiał. Ci, którym zaśnięcie z trudnością przychodzi, powiadają, że najskuteczniejszym ratunkiem jest wyobrazić sobie, że się słyszy szum wody. Nam i bez tego zmęczenie sklejało powieki. Spaliśmy więc wybornie, ledwie udało niewidzianym tu ale domniemanym wschodzie słońca przebudzić mych towarzyszy, a gdym zadał im pytanie, następczające się każdemu z wczorajszej rozmowy, pokazało się, że się nam nic a nic nie śniło. Jeszcześmy byli. przy śniadaniu, gdy mgła zgęstniała i drobny deszcz mżec począł. Dodawało to posepnej tajemniczości wrażeniu, gdyśmy wyszli obejrzeć jaskinie, w której woda z podziemia wybucha. Źródła te nie były jeszcze znane Rzymianom. Podanie niesie, że dopiero w XI wieku odkrył je strzelec, który zapuściwszy się za zwierzyną w wąwóz Taminy, dostrzegł ogromne kolumny pary, bez ustanku z nich wznoszące się. Bądź co bądź już od XIII wieku częsta jest o nich wzmianka w archiwach Opactwa Pfaeffers. Z wielkim mozołem spuszczano chorych powrozami w głębinę, a że to na częste narażało ich przypadki, musieli oni tam dzień i noc przez tydzień pozostawać, co uważano dla ku-

racyi dostatecznem. Gdy następnie na zrębie skały wybudowano domek, jedynem do niego wejściem był otwór w dachu, przez który i chorych i żywność codzien spuszczano, i zwało się to też spuszczeniem z nieba. W XVII wieku dano początek dzisiejszemu zakładowi. Od zakładu do samych źródeł prowadzi drewniany pomost kroków długi, przyczepiony do bocznej skały żelaznemi sztabami, a wznoszący się - o do stóp nad grzmiącą pod nim Tarniną. Z obu stron ściany skał, i więcej stóp wysokie, czarne i wilgotne, tak się coraz bardziej zbliżają i wierzchołkami pochylają ku sobie, że w końcu, nad samemi źródłami, zetknięcie szczytów staje się zupełnem i ztąd zowie się zamknięciem, "Beschluss". Za tym naturalnym mostem, łukiem czy arkadą, krawędzie skał znowu się rozchodzą i niebo prześwieca. Niczego więc tu nie brak do wzbudzenia grozy. Niepokój wzmagą się w miarę zbliżania się do krateru ziejącego" ukropem, bo coraz tam goręcej, coraz huczniej, coraz duszniej, — żar, para nabita elektrycznością przejmują kości do szpiku, — aż w końcu nie wiedzieć, czy to woda spłomieniona, czy ogień w białość zbałwaniony. Nad głównem źródłem, które w lecie tylko tryska, dając około tysiąca kwart na minutę, i jedynie do użytku chorych służy, nieprzyzwyczajony gość ledwie parę chwil wytrzymać może — zawrot głowy, duszność i jakaś dziwna trwoga tak go ogarnia, iż pragnie co prędzej wydobyć się na świeże, powietrze.

I my z wielką radością, wydostaliśmy się znowu z tej skwarnej otchłani. A jakżeż nasza radość się zwiększyła, kiedy w powrocie do zakładu usłyszeliśmy przedzierający się przez łaskoty wiru srebrny ton dzwonka, wzywającego na mszę do kaplicy. Zdało się, że niebo walczy z piekłem, i że wita nas z wędrowni od bram della città dolente. Była to niedziela. Znaleźliśmy już kaplicę napelnioną pobożnym tłumem. Iluż tam gorąco modliło się o swoje lub swych bliźnich zdrowie! I myśmy mieli za co dziękować i o tak wiele prosić. A że najbliższa obawa czy nadzieja najgłębiej dojmuje, więc też każdy z nas pewnie błagał Boga także, aby nas od wszelkiej zlej przygody, wśród niebezpieczeństwa naszej podróży, uchował. Korna modlitwa uśmierzyła wyteżenie nerwów rozdrażnionych widokiem otchłani, tak silnie przypominającej siedlisko potępionych, zatarła obrazy i widzenia, które ognista wyobraźnia w takich razach nasuwa, i ukojeni i wzmocnieni, zaraz po nabożeństwie ruszyliśmy w dalszą drogę. Kto kiedy wędrował po przepaścistych górach, wie dobrze, ile od usposobienia wewnętrznego zależy giętkość ciała i pewność kroku. Czasem mały i dość utarty przesmyk wydaje się niepodobnym do przebycia, a znów kiedy indziej wskakujemy lekko, rześko, na ścieżki i urwiska, na ostrza i igły skał, któremi chyba dzika koza bez trwogi przemknąć się zdolna. Po tej samej kładce nad przepaścią i

warczącym w niej potokiem raz przechodzimy jak po

szerokim moście, drugi raz ledwie silna ręka przewodnika nas
przeprowadzi. Dla
tego poręcz, choćby najslabsza, tak miłą jest i oku i uczuciu
niewprawnego
wędrowca. Znałem takiego, który utrzymywał, że przewidziona nitka
obok kładki
jużby go z wszelkiej obawy wybawiła.
Otóż wstępując teraz na szczyt skały, wznoszącej się po lewej stronie
Taminy,
wązką, krętą i mokrą od deszczu ścieżką, czułem, że gdybyśmy byli
zaraz po
zwiedzeniu źródeł, pod bezpośrednim wpływem jeszcze tego waru i
skwaru, tędy
poszli, możeby mi nie starczyło sił a raczej nerwów do wdzierania się
na taką
wyżynę tak śliskimi stopniami. I błogosławiłem przypadkowi, który
nas wprzód do
kaplicy zawiódł.
Towarzysze moi, daleko młodsi, mniej przezorni, mniej wrażeniom
podlegli, a może
też prędzej ich się pozbyć zdolniejsi, kroczyli tymczasem przedemną
po junacku,
śmiejąc się i żartując jakby dla dodania sobie odwagi. Wzięła ich
nawet pustota.
Przypomniawszy sobie siedmiomilowe buty i jakby to dobrze było
teraz je
posiadać, poczęli po dwa stopnie jednym krokiem przeskakiwać. Z tej
wpadli w
drugą igraszkę. Zachciało im się odnowić wczorajszą zabawkę i jęli
nawoływać:
Peter Szlemil! Peter Szlemil! Minna! Bendel!
Okoliczne echa, wyrazy te dziwnie połamanym odgłosem
powtarzając, dodawały

trziotom bodźca do przeciągania tych figlów aż do zbytku. W
niejednym nieco
obszerniejszym przestanku, gdzie ście-

żka dzieli się na dwie, z których nasza szła ku Beschluss na lewo,
chcąc
odpocząć a zarazem kroczącego tuż przedemną Władysława
powstrzymać w hukaniu,
chwyciłem go za rękę, ale właśnie przez ten wysiłek zachwiałem się,
poślizgnąłem
na ostatnim szczeblu, i byłbym niezawodnie w przepaść runął, ale
uratował mnie
szczęśliwy zwrot Władysława, już na przystani stojącego, który, silnie
porwawszy
mnie za ramię, na bezpieczne wyciągnął miejsce.

— "Otóż to jest tak zaufać sobie i puszczać się samym" — rzekłem
— bo

przewodnik, mając coś jeszcze do załatwienia, został się był w
zakładzie

kąpielnym i opowiedziawszy niemylną według niego drogę do
Beschluss wyprawił nas
z obietnicą, iż nas dogoni, nim tam dojdziemy.

— "Już ja przeczuwałem, że nam się coś złego dziś wydarzy" —
mruknął Serb
przesądny.

— "Po co daleko szukać? — przydałem — może to wasze figle
przypadek ten
sprowadziły, a uchroniła mnie modlitwa, moja i wasza w kaplicy, bo
przecież to
dziś św. Hipolita, męczennika, patrona w złych przygodach, a
ewangelia o
miłosiernym Samarytanie; tyś Władysławie stał się nim poniekąd dla
mnie, więc
sobie nic nie wyrzucaj".

— "Tak, tak — rzecze jeszcze cały wzruszony młodzian — to
wszystko ten

przeklęty Szlemil!"

I czy z przejęcia, czy z gniewu, wykrzyknął tak głośno te dwa ostatnie wyrazy,

że jakby grzotem rozległy się po skałach. Jeden potężniejszy od innych odgłos

zwrócił naszą uwagę ku arkadzie, która

teraz w całej okazałości występowała. Co widzimy? Jestże to snem czy złudzeniem?

Być-że może? Na jej szczycie stał jak kolos rodyjski ów tajemniczy człowiek,

którego domniemane nazwisko tak niebacznie wczoraj i dziś moi towarzysze

wywoływali. Zolbrzymiona jego postać przez mgłę czy przez wyższe nad nami

położenie nadawała mu postawę grozy, tryumfu, zapaśnika pewnego zemsty. Dreszcz

nas przejął, spojrzeliśmy po sobie, Serb radził, aby nie wchodzić w drogę

szaleńcowi i ścieżką na prawo udać się w inną stronę, ale rycerski Władysław

rzekł, że nie cofnie kroku i choćby sam pójdzie się z tem widmem zmierzyć. Ja

też sądząc, że ten dziwotwór był tylko płodem fantazyi mych towarzyszków,

poczuwających się teraz do winy, zawyrokowałem, że bądź co bądź należy nam iść

naprzód.

Do mostu szliśmy jeszcze kilka minut. Był czas nieco ochłonać.

Mniemałem, że za

zbliżeniem się naszym nieznajomy ustąpi. Ale nie, stał nieporuszony jak posąg, i

dopiero, gdy już tylko parę kroków nas oddzielało, zwrócił twarz ku nam. Wybijał

na niej wyraz raczej politowania niż gniewu.

— "Czekałem was tu — rzecze do dwóch młodzieńców poważnym,
ale łagodnym tonem —
aby wam powiedzieć, żeście się źle bawili, i wczoraj i dziś wywołując
szydlerczo
nazwisko, które wam nic nie zawiniło, a na którym ciąży takie
brzemie
nieszczęścia, że z nim igrać nikomu nie wolno. Szczujecie niem
nieznajomego, a
jeźlibyście przypadkiem zgadli,

omackiem natrafili na prawdę, czy wiecie, jaka rozjątrzylibyście
ranę?"
"Z nieznanem i z nieznanymi jak z ogniem ostrożnie! Rzucona z
pustoty iskra
przez dziecko może ogromne miasto w perzynę obrócić i tysiące ludzi
majątku i
życia pozbawić. Popchnięty niebacznie kamień a nawet bryłka śniegu
z wysokości
porywa za sobą olbrzymie zwały i w końcu tam na dole druzgoce
kwitnące sioła.
Wymówione nierozważnie słowo w obcym towarzystwie może w kim
otchłanie boleści
roztworzyć. A czy wiecie, co was samych w przyszłości czeka? Miłą
jest niewinna
wesołość w młodzieńcu, ale żarty, na oślep miotane, wyśmiewiska z
cudzych choćby
urojonych niedoli, zdradzają, jeśli nie serce bez czucia, to płochość,
co się
łatwo może w złośliwą naturę zmienić. Jeźliście się dotąd powagi
życia nie
tknęli, to się jej tu nauczcie. Tak jest, tu, -- w obec groźnego majestatu
tych
arcydzieł Boskiego utworu, tu, gdzie za lada krokiem śmierć grozi,
gdzie oko i
dusza, oddzielona od poziomego świata granitowemi ścianami, wprost
do nieba

wzlata, albo ciężarem swych nieszczęść i grzechów spada w tę pod
nami czeluść
straszliwą".

"Spójrzycie w nią, tam wszystko wre i kipi, przeraźliwy łoskot i
gryzące
wybuchy pary aż do nas się wznoszą, ale strącony ztąd głaz, nimby do
dna
doleciał, musiałyby się sto razy o zęby skał roztrzaskać, cóż dopiero
wątle ciało
człowieka? a my tu stoim na drobnym nad nią kamyczku i na kru-

chszej jeszcze kładce. Tu nie gwiazdy spadają, ale żuźle z wypalonych
gdzieś na

jakimś planecie wulkanów, tu stare orły strząsają ostatnie swe pióra i
poszczerbione szpony, tu nie kwiaty, nie wianki dla wróżby ciskać,
lecz stępione

dokonaną zemstą sztylety... Nad tym przestworem pochyła się nie
radość i

nadzieja, ale rozpacz i samobójstwo".

"Skoro prawda, że nagłe i wielkie przemiany dzieją się niekiedy w
duszy z

pobudek zewnętrznych, przez wpływ groźnych zjawisk natury, gdzież
człowiekowi

prędzej wstrząsnąć się i upamiętać, jeśli nie tu? Szczęśliwy, gdy
jeszcze czas

po temu i gdy nie po karę swych przestępstw tu przychodzi, lecz aby
w ten odmęt

pograćzyć grzech i pokutę, odnowić się, i jeżeli może, zapomnieć".

"Tak Peter Szlemil uczynił. W ten tu bowiem wir zraty i
zapomnienia cisnął na

zawsze ów dar szatański, co mu całe życie popsuł i duszę miał zgubić.

Tu on się

z mocy czarta wyzwolił, a następnie pokutą cień swój odzyskał. Oby
skrucha i

cierpienie ostatka dni jego dozwoliły mu oczyścić się z winy do
szczętu. Czy ja

nim jestem, czy nie, dość żeście mię przybrali w jego nazwisko, abym miał prawo do was w jego przemawiać osobie. Posłuchajcie więc, dla prawdy i dla waszej nauki, dalszych przygód człowieka, którego przedpokutne dzieje zna świat cały, ale chyba przez was się dowie, jakie pod zachód dni swoich przechodził on koleje, jak cierpiał, jaką otuchę i łaskę w znak przabaczenia z wysoka otrzymał".

To rzekłszy, usunął się z pomostu, któryśmy drżącą przeszli nogą, i wskazując na dość obszerny zakątek w zwieszanej nad przepaścią skale, kazał nam na oderwanych głazach usiąść, a sam przy zewnętrznej krawędzi stanął, i dalej tak mówił:

* * *

W wędrówkach moich po całym obszarze kuli ziemskiej starannie zawsze unikałem siedzib ludzkich. Raz tylko czy z przypadku, czy wiedziony tęsknotą, zapuściłem się aż do Szlemilium. Ale ujrzawszy przed niem dwa grobowce, a na jednym z nich wyryte Minna, na drugim Bendel, na wieżyczce zaś łączącej oba pomniki moje własne nazwisko, odskoczyłem co prędzej, pomknąłem w najodludniejsze strony, i już odtąd anim twarzy człowieczej widział, ani głosu bliźniego słyszał. Odosobniony od świata, dręczony wyrzutami sumienia, uciekłem się do nauki w

mniemaniu, że i ból mój ukoję, i sumienie zagłuszę, i stanę się
dobroczyńcą
ludzkości. Nauka wbiła mię w szaloną zarozumiałość. Szatan, który
nie zdołał
przywłaszczyć sobie mojej duszy ponętą bogactw i władzy nad
ludźmi, zapragnął
teraz podejść ją i zatracić pychę wszechwiedzy. I już zdało mi się, że
rozwiązuję zagadkę świata, początku i przeznaczeń rodu ludzkiego, że
raj na
ziemię sprowadzę, że uczynię człowieka panem wszech żywiołów i
własną jego
władzą zapewnię mu nieśmiertelność. Wszystkie od wieków

dzieła i odkrycia uczonych poczytałem za mrzonkę i dziecinna
zabawkę, wszystkie
wiary za przesad i ułudę, całe dzieje świata za gmatwaninę ślepych
losów i
przypadków. Im potężniejszą władzę chciałem nadać ludzkości, tem
większa
przejmowała mnie dla niej wzgarda. Najznakomitsi mędracy,
filozofowie, prorocy i
święci, wydali mi się ciemna rzeszą, przysłuchującą się pierwszemu
aktowi
dramatu, gdy ja jeden tylko wiedziałem, co będzie w piątym i jakie
rozwiązanie.
Pojedynczy człowiek był dla mnie pyłkiem w kurzawie, którą wicher
na wsze strony
miota, nikłą falą, co ginie, aby druga wznieść się mogła, ludzkość
chaosem,
który z bezładu wyprowadzić mnie jednemu przeznaczono. Ale
właśnie, gdym już
docierał do kresu i ostatnie miał zdobyć słowo, zaczęło mi się mięsząć
w głowie,
myśli plątały się" wyrazy nie odpowiadały myślom, pamięć nikła i
zrobiło się na

okół ciemno, jak gdyby we mnie, po zagaśnięciu słońca, na ziemi
bezludnej,
bezwierzęcej, bezroślinnej, martwej i lodowatej, ostatni umierał
człowiek. I
nie było to majaczenie, jak kiedyś poprzednio w gorączce, ale
chłodny, zimny,
ścinający się w martwość zamęt. Zebrałem siły ostatnie, szalonym
pędem pomknąłem
w świat z mego pustynnego ustronia, i już nie wiem co się dalej ze
mną działo.
Ocuciła mnie dopiero ręka alpejskiego pasterza, który mnie z pod
śniegów jakiejś
olbrzymiej góry wydobywał.
Zbawca mój przeniósł mnie do swego domku, położył na barłogu,
przykrył
łachmanami, i wławszy

mi w usta kilka kropel jakiegoś tęgiego napoju, nakazał palcem
milczenie.
Nastąpiła długa ciężkiego snu doba. Dzień był, gdym otworzył oczy,
nie ujrzałem
przecież koło siebie nikogo. Uczułem tylko miłe, gorące na piersiach
dotknięcie.
Wyciągam rękę i znajduje pod nią głowę psa pasterskiego, który,
spojrzawszy mi
litośnie w oczy, zaskomlał jakby z radości. Oglądam się w około,
pustka, parę
nabarłożonych tarczanów, nieco starych szmat, koślawy stół, kilka
zydelków, a na
półkach miski i naczynia do mleka. Był to szałas, sklecony z
nieobrobionych
kloców, w jakim pasterze przebywają, gdy swe krowy na całe lato w
góry, pod same
nieraz śniegi wypędzą. Znoszą oni mleko rano i wieczór do swoich
siół, a trzoda

pozostaje na pastwisku. Wiele tam zawsze ubóstwa i przykrości,
jedynym pokarmem
gruby chleb i ser, jedyną opieką miłosierdzie Boże.
Jeszcze się rozglądał i rozpoznawał, dokąd się dostałem, gdy pies
nagle
skoczył, wybiegł z szałas, a po radosnem naszczekiwaniu
dorożumiałem się, że
jego pan się przybliża. Jakoż wszedł ten niebawem i nie sam, bo
podpierał
zgrzybiałą staruszkę, która, znużona stromą drogą, ledwie wlokła nogi
za sobą.
Za niemi w parę minut przybyło piękne, smukłe dziewczę, uginające
się jak
trzcina pod ciężarem rupieci, które niosła w różnobarwnej płachcie.
— "Przyprowadziłem moją rodzinę — rzekł pasterz — bo nie wiem,
czybym sam umiał
dobrze was pielęgnować; moja matka zna się na ziołach

i już niejednego topielca, co w śniegu parę dni leżał do życia
przywróciła, a
moja siostra, zwinna jak giemza, potrafi w lot każdemu usłużyć".
Podziękowałem skinieniem głowy, a one poczęły się zaraz krzątać
około
uporządkowania izdebki. Był obok niej jakby alkierzyk, gdzie
stawiano naczynia z
mlekiem. Tam przezorne gospodynie przestawiły tarczan i ustały go
czem mogły
najlepiej. Pod wieczór miałem jeszcze dość sił, aby się na nowe łoże
przenieść.
Staruszka dała mi gorącego z ziół napoju i przykryła najstaranniej.
Nazajutrz obudziłem się wcześniej, ale miasto oczekiwanego
wzmocnienia, doznałem
tak gwałtownego bólu w rękach, w nogach, po wszystkich kościach,
żem się nie
mógł od jęku powstrzymać. Przybiegła czujna staruszka. Po jej twarzy

dorozumiałem się, że to znak zły i że mi na dłuższą zabiera się chorobę.
Szarpanie po kościach, klucie w stawach, stawało się z każdą godziną nieznośniejszem, pod noc przystąpiła gorączka i już dni następnych mało co
rozpoznać mogłem, co się ze mną działo, jak się ze mną obchodzono, jakie dawano
mi leki; tylko okropnym bólem czułem, że jeszcze żyję. Z władz wszystkich
pozostała mi ostatnia: władza cierpienia. Półsenne omdlenie przedstawiało mi jak
mary matkę i syna, którzy się wciąż uwijali koło mego łoża. Często nawet
gniewała mnie ich krzątania. Najłżejszy stuk, a nawet ruch przejmował mnie
boleśnie, odbijał się grzmotem pod czaszką.

Raz gdy się uciszyło, uczułem ulgę, jakby jakiś powiew błogości przemknął się
koło mnie. Ucha nie dotknął żaden szmer, nerwów nie targnął żaden ruch, a
przecież zdało mi się, że coś jasnego, lubego, uroczego weszło, zbliżyło się,
stało nademną. Tak mi było błogo, że przez chwilę nie śmiałem, nie mógł
rozemknąć powiek. Spojrzałem wreszcie. Nademną skłaniała się postać anielska,
biała, przejrzysta, jakby z mgły zwiana a tęczą owita. Pochylały ją ugięte nieco
kolana, a ręce składały się jak do modlitwy. Głowę jaśniejącą świetlanym otokiem
podnosił blask oczu, w których walczyła łza litości z promieniem nadziei. Byłże
to zwiastownik ozdrowienia, czy anioł śmierci? Jasności tej długo znieść nie

mogłem. Ciężkością powiek same zwały się znowu oczy. Słodki, nie
wiem jak długo
trwający sen, przeciągnął to widzenie w rozliczność obrazów i
nieskończoność
marzenia. Gdym się przebudził, ujrzałem postać, nieco podobną do
tamtej, ale.
jakżeż odmienną, jakby z eterycznej w cielesną przeszła. Klęczała u
stóp mego
łóża, i przesuwając paciorki na różańcu, modliła się. Przypatrzywszy
się,
poznałem siostrę pasterza. Znać, że spostrzegła w oczach moich wyraz
podziwu,
czy wdzięczności, bo jej bladą twarz pokrył lekki rumieniec, i nim
przemówić
zdołałem, znikła.
Następnych dni choroba moja wzięła obrót inny, nastąpiło niby
polepszenie, boleści
zmniejszyły się, przytomność wróciła, ale ogarnęła mnie zupełna
niemoc. Z
małomówniej i sposepnionej staruszki mo-

głem tylko to wydobyć, że trzeba się zachować spokojnie i cicho, a
zapewnie siły
same wrócą. Coraz też rzadziej przychodziła. Natomiast troskliwość
córkę, obawa
o mnie, stawała się z każdym dniem widoczniejsza. Często czuwała
nademną i w
dzień i w nocy, modląc się zawsze, i cicho jak cień przesuwając.
Mimo zakazu,
zapytałem jej raz, czemu mi matka już leków nie daje?
Odpowiedziała, że te mi
nie pomagają, ale że Bóg zawsze uleczyć może, i z westchnieniem
wskazała na
niebo. Kiedyindziej prosiła, abym modlitwę choć w myśli powtórzył
za nią. Gdym

na to skłonieniem głowy się zgodził, ośmielona, uradowana moją
powolnością,
napomknęła, czybym nie chciał widzieć starego księdza, który
mieszka w
najbliższej wiosce na dole. Skorom i na to przystał, ukłękła i wzniosła
dłonie
do góry, jakby w podzięcie.
Zaraz nazajutrz przybył sędziwy kapłan. Usiadłszy przy mem łożu i
coś o zdrowiu
pomówiwszy, zaczął najprzód ostrożnie badać, czym chrześcjanin, a
potem czym
katolik. Gdym na oba te pytania potakująco odrzekł, zagadnął, czy
umiem i czy
odmawiam pacierze? Odpowiedziałem, że matka mię ich uczyła, ale
żem wszystkie
zapomniał w zawiei i zgiełku światowym, i dopiero teraz znowu sobie
przypominam
pod natchnieniem mej pobożnej opiekunki. Natracił wreszcie o
spowiedzi. Na to
wszczęła się we mnie ciężka walka, nie z niechęci, ale z trudności
zebrania
myśli. Spozrzegł to staruszek, więc nie nalegał, tylko przy odejściu,
dając
obietnicę, że

za parę dni powróci, zalecił mi jak najczęstszą i najgorętszą modlitwę.
Nie będę przywodził, jaką kolejną rozmyślań, modlitw i skruchy
przebyłem tę
przestrzeń, co się rozpościera między ciemnicą grzechu a jasnością
zbawiennych
postanowień. Przewodniczka moja wybierała zawsze takie
rozpamiętywania, takie
modlitwy, które najlepiej odpowiadały potrzebom mej duszy, jak
gdyby ją
jasnowidzeniem przenikała, świadoma głównych w mem życiu
wypadków. W miarę

zdrowia duchowego, wracało i zdrowie fizyczne. Póki z łoża ruszyć się nie mogłem, kapłan nawiedzał nas często. Przeraziły go pierwsze moje wynurzenia, które tak były chaotyczne, że za spowiedź uchodzić nie mogły, dziwił się, nie rozumiał, nie wierzył, brał je za wymysły obłąkania, ale powoli przekonawszy się o mej rzetelności i skrusze, litował się, pocieszał, dodawał otuchy, nakazywał pokorę, pokutę, poświęcenie reszty życia twardym usługom bliźnich i umartwieniom, ufność w miłosierdzie Boże, a wreszcie rozgrzeszył, odkładając jednak przypuszczenie do Stołu Pańskiego, aż póki trudem i ofiarą nie stwierdzę mych postanowień.

Nadchodził czas, w którym powstać miałem z łoża. Była wczesna wiosna. Wszystko się radowało. Szalet nasz stał pod gęstym wieńcem lasu jodłowego, który oddzielał i zasłaniał wyższe i skalistsze piętra góry. Przodem rozścielało się pasmo stromych łąk, które, okolone rowkami do nawodniała, tworzyły jakby szachownicę z mniejszych i wie-

kszych czworoboków, sięgającą daleko, daleko, aż do samego dołu, gdzie rozsiadła się ludna wioska, a z pośrodką wybłyskiwała biała wieżyczka bluszczem owitego kościołka. Ujęte rowkami strugi błyszczały jakby srebrna siatka na zielonym smug jedwabiu. Kiedy wieżyczka ozwała się na jutrznię lub Anioł Pański, a jednocześnie zabrzękły dzwonki krówek po wyżynach, zdało się, że chęszczące

strumyki dźwięki te z jednego miejsca na drugie przenoszą i kojarzą.
Miły był
widok przedemną, miłszy jeszcze w mej duszy i myślach. Wszystko
uśmiechało się
pogodą, najpogodniej przy mnie i nademną Frenelly czyli Nelly, jak ją
matka
pieściwie nazywała.
Pod jej ożywym wpływem nędzny szalas przybrał w mych oczach
postać czarowne]
chatki. Nie raził mnie niedostatek, bo go jej ręka osłaniała ładem i
czystością,
tym wdziękiem i ozdobą ubóstwa. Po raz pierwszy od tak dawna
uczulem się
swobodnym, prawie szczęśliwym, nie nadzieją przecież rozkoszy
ziemskich, ale
otuchą, że może tu znajdę najrozleglejsze pole dla pokuty i zasługi.
Obawę, aby
mi nie było za dobrze i abym się nie dał znowu marzeniami pokusić w
inną stronę,
poskramiała troska, co będzie, skoro oni moje kalectwo spostrzegą. I
postanowiłem nie frasować się tem, nie uciekać się do wybiegów i
kłamstwa, iść
przed się, jak gdyby mi nic nie brakło, — a jeżeli się odemnie
odstrychną, znieść
cierpliwie, jeżeli wypędza, obrać sobie pustelnię między niedostępnymi
skałami,
czynić dobrze bliźnim i pokutować.

Kiedym mógł już wychodzić, siadywałem w gęstwinie między
jodłami, co domek nasz
otaczały. Nawiedzała mię tam często staruszka w poczciwej chęci, aby
zadumanego
rozerwać. Przeszłość cała zatarła mi się w pamięci, wszystka nauka
wywietrzała,
pozostało mi tylko coś ze znajomości roślin. Rozmawialiśmy więc
najzwyczajniej o

ziołach i o leczeniu rozmaitych chorób. Niekiedy jednak próbowała ona wybadać
mnie, kim jestem. Mówiła, że gdy jej syn znalazł mnie w śniegu,
poznał od razu,
żem z pańskiego rodu, pewnie bogaty, może Anglik, albo jaki inny
poganin, i że
tak się wszyscy uradowali, gdy się przy księdzu okazało, żem jednej z
nimi
wiary. Milczałem, albo zwracałem rozmowę na ulubiony nam
przedmiot o ziołach,
ona też coprędzej się cofała, aby się nie wydać natrętną. Dziwiła mnie
częsta
nieobecność jej córki. Czasem ani jej ujrzeć dzień cały. Pytam, — i
dowiaduję
się, że tak zawsze bywało, i że tylko podczas mój choroby pilnie w
domu
przesiadywała.

— "Cóż robić? — rzekła jednego razu matka, gdym się bliżej zaczął
wypytywać.

Takiem to dziewczę było od maleńka. Ani jej się bawić, ani igrać z
rówieśnikami,
ale albo się modli, albo usługuje drugim. Ledwie jednego wyleczy i
poratuje, a
już krząta się około innych. Nie ma tak strasznej choroby i nędzy,
którejby nie
ulżyła, nie ma tak odludnego zakątka, tak niedostępnej skały, gdzieby
się nie
wdała z swą pomocą i poświęceniem. Jesteśmy ubodzy. Bydełko, co
się tu pasie,
nie nasze. Ob-

sługa koło trzody jedyne nam dostarcza zarobku Tylu już
młodzianów bogatych
staralo się. o moja Nelly. Żadnego nie chciała. Wszyscy mają ją za
świętą, bo

też cudów dokazuje. Nie zna ona, co niebezpieczeństwo. Ratowała już
niejednego z
ognia, z powodzi, z zasp śniegowych i, co od wszystkiego
straszniejsze, z głębin
niewiary, zepsucia i grzechu. Gdzie siłą i bystrością nie starczy, tam
modlitwa
zdobywa. Parę temu miesiący, gdy pierwsze przyszły roztopy,
powódź porwała
dziecko. Nelly rzuciła się za niem, oboje już tonęli, cud je ocalił, ale
od tego
czasu jakoś mi nie domaga, schudła, zmizerniała, poczynam się o nią
frasować".
W kilka dni po tej rozmowie, gdy już znacznie wzmocniony ujrzał
Nelly
wybiegającą na swą zwykłą do chorych wycieczkę, zapytałem, czyby
mi nie
pozwoliła towarzyszyć sobie. "I owszem — odrzekła z największą
prostotą — mam
właśnie jedną biedę, której poradzić nie mogę, wyście odemnie
uczeńsi i pewnie
bystrzejsi, może podołacie. Ale droga ciężka, trzeba się piąć po
skałach,
przebywać śniegi i lody, macież już siłę ku temu?"
Niosła koszyk z żywnością. Wziąłem go na znak, że bądź co bądź
pójdę za nią.
Szła przodem nie obzierając się, lekko, jakby płynęła. Wznosiliśmy
się coraz
wyżej. Wskazywała mi wioski, osady, osobliwie kościoły tej ludnej
okolicy.
Ścieżka wiła się coraz trudniejszymi przesmykami. Gdzieniedzie
prawie śladu
stopy ludzkiej nie było. Wprawny do podróżowania w górach,
radziłem sobie
dobrze. Ale

w jednym miejscu tak wikłały się skaliste zęby nad przepaścią, że kto na fałszywy kamień nastąpił, już się nie łatwo mógł zamtąd wyplątać. Nelly, przebywszy te niebezpieczne wschody, odwróciła się, by mi wskazywać, gdzie i jak stopę postawić należało. Istny anioł z opiekuńczymi skrzydłami nademną. Słońce za nią świeciło w całym przepychu, a jej cień aż do mnie dochodził. Na jednym szczeblu, już pod samym wierzchem, drgnęła we mnie myśl, co się za mną dzieje, lekko się zachwiałem i niepewną nogą następnego dotknąłem kamienia. Spostrzegła to i podawszy rękę, nie siłą, ale samem jej dotknięciem, wywiodła mnie na przystanek koło siebie. Lecz miasto radości, tak litośnym okiem spojrzała na mnie, żem się dorozumiał, iż już wie wszystko. Szliśmy dalej po coraz dzikszych łomach. Milczała, a jam nie śmiał się odezwać. Przebywszy wreszcie szarą przestrzeń z błota, ze śniegu i z pasm lodowych zmieszana, stanęliśmy nad głębokim parowem. W jego środku dyszało małe jeziorko, tak czarne, że się zdało smrodliwą kałużą. Nagie na okół skały, potwornemi wygięte kształty, roztwierał tylko jeden ustęp, gdzie trochę zieloności, parę odartych jodeł, kilka zwałonych, zaledwie dozwalało się domyślać że i tam stopa ludzka dojść mogła. W głębi tego zakątka, do spodu sterczącej nad nim ściany przywierało coś nakształt nędznej, omszałej strzechy, jakby nakrycie nad jamą w skale. "Tam, — rzekła moja przewodniczka, — mieszka bardzo, bardzo biedna, zgrzybiała kobieta. Wszystko koło niej wy-

marło, trzy pokolenia, dzieci, wnuki i prawnuki. Sama została, ale mimo nędzy i najstraszniejszych chorób, trzyma się życia oburącz. Nie mów jej o śmierci, bo cię przeklnie. Ludzie powiadają, że to była rodzina przemytników, rabusiów, złoczyńców. Zowią ją. czarownicą. Nikt tu nie śmie zajrzeć. Raz na tydzień noszę jej żywność. Ona wszystkim zaraz nie potrzebuje, ale robi zapas na zimę, a jak wtedy żyje, to już nikt pojąć nie może. Napróżno starano się ją sprowadzić do wsi. Boi się kościoła".

Spuściliśmy się krętym labiryntem ścieżek ku jamie. To, co się zdaleka wydawało zielenią murawy, było tylko mchem przerosłym dzikimi ziołami. Wszędzie na nim czarne skazy, jak plamy wypalone stopą upiora na smugach cmentarnych. Zwalone jodły tworzyły niby szaniec przed wejściem. Trzeba je było przeskakiwać. Na progu siedział straszny kot z siwymi ślipiami, z brwią najeżoną jak u złośliwego starca. Gdyśmy się zbliżyli, zdało się, że nam pryśnie w oczy. Poznał jednak dobrodziejkę, co mu żywność przynosiła i tylko zamruczał. W środku czarna, ciasna jama, na ścianach wilgoć, pleśń jakby trąd, w głębokim kącie kupa łachmanów, a pod niemi coś zwiniętego w kłębek, sine i martwe, niby przyczajona ropucha. Tylko z pośród węzła zmarszczek, dwoje iskrzących się jak u żmii oczów wydawało, że to żyjąca istota.

"Przyprowadziłam wam, — rzekła Nelly łagodnie, — lekarza, co wam może poradzi".

— "Nie chcę go, nie chcę, — zgrzytnęła wiedź-

ma — nie potrzebuję i ciebie. Po coś tu przyszła? Na zwiady? Nie dręcz mnie".

Przysunąłem się do niej i coś rzekłem o zdrowiu, o nadziei w Bogu.

Rzuciła się,

podniosła jakby konwulsyjnym kurczem, oczy jej zakipiwały wrzątkiem jadu:

"Znam ciebie, — wrzasnęła, — przeniewierco, zdrajco, odstąpiłeś nas.

Strach ci

śmierci, więc podle tarzasz czoło przed niebem, z którego całe życie się

naigrawałeś. Podajesz się w niewolę kłamcom, obłudnikom,

szalbierzom, księżom,

co cię udręcza długich lat pokutą, a potem puszcza z kwitkiem, bo się w końcu

pokaże, że to wszystko na nic się nie zdało. Gdzież będziesz potem na nich

dochodził zawiedzionej wypłaty? Ufaj lepiej temu, co dziś jeszcze może stratę

powrócić i życie odnowić. Aleś ty zmiennik, tchórz nikczemny! Nie wierz mu, ty

święta laleczko, nie przyczepiaj się do niego, on i tobie nie dotrzyma.

I ty jej

nie wierz. Na wiośniwym listku jest już rdza jesieni. Kwiat raz drugi nie

kwitnie. Nieskazitelny chyba, gdy w pączku zaschnie. Precz ztąd! Na oczy mi się

już nie pokażcie! Radźcie sobie, nie mnie. Pójdę ja jeszcze za waszą trumną!"

Odskoczyłem od niej, bo byłaby mi oczy wydarła. Nelly dała mi znak, że dziś nie

ma na nią rady. Wyłożyła z kosza żywność, jakiś kawałek bielizny i flaszeczkę z

lekarstwem, odjęła krzyżyk od szyi , i chyłkiem przyczepiła go do ściany nad
łożem, a potem pożegnawszy złošnicę dobrem słowem,

wzięła mię za rękę i wyszliśmy oboje smutni, gnani wyrzekaniem i
przekleśstwami
ze wnętrza jaskini.

"Nie trzeba się zrażać, — rzekła Nelly, gdyśmy odetchnęli,
wydobywszy się z tego
zakłętego parowu, — chora dusza więcej jeszcze niż ciało. Zawsze
ona na mnie

wyrzeka, zakazuje odwiedzin, ale nigdy jeszcze do takiej wściekłości i
przekleśstw jak dziś się nie posunęła. Może to przełom. Ufajmy".

Dzień w dzień odtąd odbywaliśmy wspólne wycieczki. Kto podziwia
te żyzne i

pięknę góry Szwajcaryi, ani posądza, ile w ich załamkach mieści się
nędz,

nieszczęść i chorób. Nelly znała i wspomagała wszystkie niedole w
okolicy. Skąd

starczyło jej na to zasobów, czasu, zdrowia, to było tajemnicą między
nią a

Opatrznością, która często najlichszych narzędzi używa do szafunku
swych darów.

Z początku wprawiała mię ona w pokonywanie rozlicznych trudności
swego

powołania, następnie wysuwała mnie zawsze naprzód, zniżając siebie
do

podrzednego znaczenia, a w końcu wyręczała się mną, gdzie tylko
mogła. Do jednej

tylko owej złošnicy już mnie nigdy nie zaprowadziła. Ale nim
wprawy nabyłem,

wiele miała ze mną trudu. Nieraz brakło mi sił, zdolności, odwagi do
sprostania

jej bohaterstwu. Nie byłam bowiem bohaterką, gdy przebywała
godzinami w domach

zarazy, do których nikt zbliżyć się nawet nie śmiał, gdy obmywała
najbardziej
odrażające rany, albo co więcej, gdy raz po raz odtrącana pogardą lub
złorzeczeniem, wracała do zatwardziałego grzesznika z niezmienną
pogodą na
twarzy i natręctwem

miłosierdzia. Nie starczyłoby mi dnia całego, gdybym wam chciał
opowiedzieć
główne tylko wypadki, w których chyba nadprzyrodzona łaska i
potęga przez
nią działały. Sił ducha trudno zgłębić i zmierzyć, ale siły fizyczne
mają swe
wyraźne granice. Nie tyle więc zdumiewał mnie w niej nadmiar i
nadmierzalność
pierwszych co drugich. Piąć się na najwyższe skały, przedzierać się
przez
przesmyki chyba dzikim kozom znajome, rzucać się w piorunową
burzę lub śniegową
zawieję, było dla niej trudem powszednim. Nie jedno też zbłąkane
wśród zamieci
dziecko odprowadzała rozpaczającym rodzicom, nie jednego
wędrowca, grzęznącego w
zaspie śniegowym przywracała do życia, — ludzie, zwierzęta i
żywioty zdały się
zarówno jej władzy ulegać.
Być może, że to tylko wdzięczność ludzka, co | doznana łaskę tak
łatwo podnosi w
cudowność, przyodziewała ją takim urokiem. Wierzono, że mgły się
przed nią
rozstępują, burze milkną, a pioruny nie szkodzą. To pewna, że wśród
najstraszliwszych nawałnic i zawiei umiała zawsze znaleźć drogę i
żadnego
szwanku nigdy nie poniosła. Widoczniejsza i łatwiejsza do
wytłómaczenia była jej

władza nad zwierzętami. Pies zawsze u jej nóg leżał, krówki miłośnic
na nią
poglądały i gdy się ozwała, same biegły do doju, a zgubione w
gęstwinach
koźlątko w skok do niej wracało. To wszystko nie jednej pasterce już
się zdarzyć
mogło. Alem sam widział, jak gienza czterma nogami na jednym
punkcie skalistym
stojąca, która pierzchała za lada przelotem

ptaka, patrzała pieściwie na przechodzącą Nelly, i z miejsca się nie
ruszyła; i
jak raz ten straszny sęp alpejski, zwany Lämmergeier, porwawszy
jagnię, na jej
krzyk przerażenia, pod same jej stopy nieuszkodzoną zdobycz upuścił.
A ludzie?
Było kilku upornych, kilku obojętnych, ale natomiast jakąż czcią i
miłością
wszyscy dobrzy ją otaczali. Ubodzy ją błogosławili, bogatsi
błogosławili i
wspierali przez nią ubogich. Matki modliły się za nią i jakby do niej.
Stawiały
ją za wzór dzieciom, a dziatki biegły w jej objęcia jak do własnych
matek.
Wy młodzi, pewnie chcielibyście wiedzieć, czy dla mnie była ona
zawsze jedynie
aniołem, a nigdy — tylko kobietą. Nie mówiłem wam o jej piękności,
lecz choćby
nawet była w tej mierze upośledzoną, unadobniał ją wdzięk duszy,
jakaś światłość
wewnętrzna, co przejmowała wszystko na okół i kazała niepomnieć,
że się ma
ziemską istotę przed sobą. Fale tego światła biły o najposepniejsze i
najtwardsze brzegi, i jeśli ich nie kruszyły, to rozwidniały. Władza
spojrzeniem, nagradzała uśmiechem, odgradzała wszelkie myśli
ziemskie prostotą i

niewinnością.

Żadnym słowem ani znakiem nie dała mi ona nigdy poznać, że wie o mojem

kalectwie. Jam też prawie zapomniał o niem. Było to łatwem, póki odwiedzaliśmy

odludne ustronia i samotne szalety. Ale wkrótce namówiła mnie, abym chodził do

kościółka i stopniowo począł się między ludźmi ukazywać. Przy pierwszych próbach

widziałem w niej nieco trwogi, podziwiałem z jaką zręcznością umiała

stawać przy mnie, za mną, by zakryć mą ułomność. Później, czy dzięki jej

zwinności i wprawie, czy to, że wyższa laska odejmowała ludziom bystrość w

spostrzeżeniu, dość, że chodziłem wszędzie bezpieczny. Tylko czasami dało mi się

słyszeć: oto doktor i cień jego. Sposób to mówienia, bo nas zawsze razem

widziano, a przecie w tej przenośni ileż było prawdy? Zapuszczaliśmy się

niekiedy i w dalsze okolice. Zwiedzaliśmy miejsca słynne z pobożnych

pielgrzymek. Byliśmy i w Einsiedeln na święto Wniebowzięcia. Nelly, która

chodziła zawsze w jak najskromniejszej odzieży, przywdziała wraz z krewniaczką,

która nam w tej pielgrzymce towarzyszyła, wszystkie przybory i ozdoby swego

kantonalnego szwyckiego stroju Myślałem, że to uczyniła, aby się nie odróżniać,

ale spostrzegłszy moje lekkie zdziwienie, rzekła, że może to ostatni raz będzie

na takiej uroczystości, i że idzie przed Matką Boską ślub złożyć, ofiarować swe

życie za zbawienie jednej duszy, która jej miła. Modliła się też długo i gorąco przed cudownym obrazem, i mnie na tę samą intencje modlić się kazała.

Tak upłynęły nam pogodne miesiące wiosny i lata. Pod jesień wątpła zawsze postać dziewczęcia, wątlejsza jeszcze od owego wypadku w czasie powodzi, poczęła widocznie chwiać się, chromieć i niknąć. Napróżno matka przestrzegała, błagała, by ją skłonić do przerwy i zwolnienia w trudach. Moje prośby również były bezskutecznem!. Ulegała im tylko o tyle, że coraz więcej dozwalała mi wyręczać się w trudniejszych w góry wycieczkach, sama dzień

cały obsługując bliższe zagrody. W chwilach spoczynku wyliczała mi wszystkich swoich biednych i chorych, uczyła jak im radzić, jak leczyć, kazała mi to wszystko powtarzać sobie, bym czego nie zapomniał. Jak promień zachodzącego słońca na śniegach alpejskich, chorowity rumieniec coraz smętniej na jej blade oblicze wybijał. Na ciemny jedwab jej włosów padał połysk srebrzysty, niby lepszego życia świtanie. I gasła nam w mgnieniu oka, jak dzień w południowych krajach, bez stopniowego zapadania cieniów, bez przejść, bez zmierzchu, dopiero świetne słońce a jużci noc. Poddawała się lekcom przez uległość i pokorę, ale znać było z jej wejrzenia, iż nie wierzyła, aby jej cokolwiek pomódz mogło. Nie było też żadnej choroby,

żadnych cierpień, tylko omdlenie, jak gdy za podmuchem jesiennego
chłodu kwiat
więdnie i opada. Wyczerpało się życie, nie wyczerpała moc ducha i
czułość serca.
Jeżlim kiedy stanął przy jej łożu, spojrzała tęskliwie i odprawiała
mnie zaraz
do chorych. Matka najtroskliwiej ją pielęgnowała, biadając. Gorliwy
kapłan
często przychodził, ale nie ja, jeno matkę potrzebował pocieszać.
Jednego
wieczora, dając mi polecenia na dzień następny, rzekła: "Ale najprzód
pójdźcie
do kościoła, raz jeszcze odprawcie spowiedź z całego życia, może
wreszcie
świątobliwy nasz ojciec spełni wasze pragnienie i uznając waszą
pokutę za
dostateczną, przypuści do stołu pańskiego. Potem go poproście, aby
do mnie z
wijatykiem przybył".

O rannej nazajutrz godzinie, cała nasza gromadka klęczała obok jej
łoża. Kapłan
trzymał wzniesioną hostyą nad nami. Pierwsza moja komunია była jej
ostatnia.

Nelly była piękną za życia, ale jakżeż piękniejszą po śmierci!
Późna już szarzała jesień. Gęste mgły wieszały się po górach. Śnieg
czasem
pruszył. Od dni już wielu ze wszystkich łąk okolicznych spędzono
trzody na dół
do wiosek. Z naszą ociągał się pasterz od dnia do dnia, bo chorej
siostry
nigdyby nie opuścił a przenieść się do wsi nie chciała.
Trzeciego dnia po owym poranku, pasterz niósł trumnę, schodząc
powoli po stromej

ścieżce. Za nim szedłem ja, wspierając matkę. Opodal ciągnęły krowy,
dzwonekami
swemi wtórując i głosząc naszą żałobę. A jeszcze dalej za nami
wlokła się jakaś
żebraczka. Gdym się jej bliżej przypatrzył, poznałem wiedźmę z
jaskini.
W kościołku był natłok, gromnic i wieńców bez liku, ciche
westchnienia i łzy
jeszcze cichsze. Uroczysty ten spokój przerwało tylko wejście
żebraczki, która
się rzuciła krzyżem na ziemię i głośno płakać poczęła.
Grób wykopano tuż obok kościoła. Spuściliśmy weń trumnę lekką jak
piórko. Drogie
zwłoki cicho wsunęły się w mogiłę, jak gdyby się kładł anioł ze
zwiniętymi
skrzydły. Nad grobowym otworem ci-

snął się tłum, każdy chciał jeszcze raz spojrzeć na wieko, każdy
garstkę ziemi
nań rzucić. Dziaatki wspięte na ramionach matek, ciskały podawane
sobie przez
ojców grudki. Wnet się otwór zapełnił. Na mogiłę posypały się wieńce
i umaiły ją
wonna zielenią.
Nie prędko rozeszła się ciżba. Matkę i brata oderwali od grobu bogatsi
gospodarze i wzięli do siebie. W końcu pozostałem ja tylko sam i
żebraczka
klęcząca za węglem kościoła.
Długom jeszcze wstać nie mógł, jakby wryty kolanami w świeżą
ziemię, aż wtem
nagle zaświeciło słońce, lekka mgła przesunęła się po mogile,
podniosła mnie...
coś za mną zaszumiało, niby drgnięcie rozwijających się skrzydeł... i
ujrzałem
za sobą cień... czy zmarłej? Niby jej i nie jej. Przecież jej cień byłby

drobniejszym, kształtniejszym, przejrzystszym! Nie! — ten cień, to mój własny!
Taki znany, taki prawdziwy, jak gdybym go był nigdy nie stracił.
Klękam znowu,
wstaję, poruszam się, wszędzie on mi najwierniej towarzyszy. Boże, bądź tobie
chwała na wysokościach, a mej wybawicielce wdzięczność, łza i modlitwa, hołd,
ofiara wszystkich mych cierpień, mej pokuty aż do zgonu!
Gdym odchodził, żebraczka wyciągnęła do mnie ręce i rzekła:
Błogosław ci Boże!
Rodzina mej wybawicielki stała się odtąd moją, i nie tylko rodzina jej własna,
ale owa tak liczna, wszystkich nędznych i chorych w okolicy. Nauka, wprawa i
pomyślność w leczeniu uczyniły mnie

wkrótce głośnym i pożądanym wszędzie. Trzymam się jednak mego okręgu i tylko w
lecie chodzę w dalsze strony po zioła, których gdzieindziej znaleźć trudno.
A teraz żegnam was. Jeżeli macie wiarę, módlcie się za mnie, jeżeli nie, przynajmniej nauczcie się szanować cudzą, choćby niezrozumiałą wam niedolę.

* * *

Te słowa rzewnie dopowiadając, wskazał nam na ścieżkę do wsi Pfaeffers, a sam
spiesznie w inną rzucił się stronę.
Jeszcześmy nie ochłonęli ze zdumienia, gdy nadbiegł przewodnik. Na wyrzuty
Władysława, odrzekł cały trwogą przejęty: "A chwała Bogu, że się wam nic złego
nie stało. Jam tu już od dawna blisko was. Skryłem się za skały, gdym ujrzał, że

z wami ten czarownik. Truchlałem, by którego w tę przepaść nie
wtrącił. On tu
zawsze o te czasy koło niej krąży, wpatruje się i coś ciska. Nikt wtedy
nie śmie
tędy przechodzić, bo pomost drży a wir kipi i bucha szalenię. Dzięki
Bogu, że
odszedł; i nam czas w drogę coprędzej".
Nie tak jednak łatwo było przyspieszyć kroku. Ścieżka wspinała się
znowu
wschodami, jeszcze trudniejszymi od poprzednich. Tylko zręczność i
pomoc
przewodnika, choć jeszcze przerażonego, wyprowadziła nas po kolei
na wierzchołek
skały.

Tu otworzyła się przed nami śliczna i żyzna dolina. Prawie zawsze tak
w
Szwajcaryi; nie ma stopniowania, obok skalistego pustkowia bujna
zieloność, obok
grozy lubość, obok zimy lato, stokrótki obsiadają tłumnie brzegi
lodospadu.
Szliśmy w milczeniu, raczej pod wrażeniem tego, cośmy przebyli i
słyszeli, niż
uroczego widoku, który powinien nas być rozpogodzić.
Wieś Pfaeffers wślawiło opactwo benedyktyńskie, które panowało nad
tą okolica
przez jedenaście przeszło wieków. Założone w roku , zniesionem
dopiero
zostało przed ósmioma laty, to jest w . Opaci nosili tytuł książąt, mieli
ogromne dochody, a wykupiwszy się z zależności od biskupstwa w
Chur w XVII
wieku, podlegali jedynie Stolicy apostolskiej. Jak wszystkie
benedyktyńskie
klasztory, tak i ten j uderza wyborem miejscowości. Wzniosłe
położenie,

rozliczność pięknych widoków, obok wodospad przeszło stóp
wysoki, dalej
ruiny zamku Wartenstein, wszystko to składa się na obraz cichego, ale
czarującego ustronia. W środku opactwa, o którego dawnej
zamożności świadczą
jeszcze obszerne korytarze i krużganki, stoi kościół zbudowany w r.
Oprócz
czarnych marmurowych kolumn i ciekawej zakrystyi, nic w nim
uderzającego.
Schodzimy do Ragatz doskonałą drogą.
W Ragatzerhof, dokąd zdążyliśmy na obiad, przyszła chwila rozstania
z naszym
pocziwym Serbem. On miał wracać do Weissbad dylizanssem, który
po południu z
Chur do Sennwaldu i dalej

przechodził, my zaś najęliśmy sobie powózkę do Chur, gdzie nam
nocować wypadało.
Przy obiedzie, po kilku kieliszkach wina, rozwiązały się dopiero usta
młodzieńcom. Oczywiście rozmowa skierowała się od razu za ranna
naszą przygodę.
"Ale czyż może być, — zapytał Serb, — aby to wszystko, co on nam
rozповідаł,
było prawdą? Wierzycież mu?"
— "Bóg go tam wie, — rzekł Władysław, — wiele prawdy, wiele
twardej
rzeczywistości, trochę urojenia i przywidzenia, to wątek dziejów
zbołałego serca
i znękanej duszy. Wyznam przecież, że cała jego powieść za nadto
trąci nauką
moralną, aby mogła we wszystkich szczegółach tak składnie w istocie
się zdarzyć.
Zdaje się, jak gdyby podsłuchał, cośmy mówili o niedostatecznym
rozwiązaniu
znanej poprzednio nam części tej dziwnej historyi. Za wiele przytem
unosił się,

barwił i zarywał w poetyczne zachwyty. Znamieniem szczerzej prawdy
jest spokój i
prostota. Obłąd to może i fantazyja, ale jakież człowiek, strudzony
długiem,
nadzwyczajnymi wypadkami powikłanem życiem, nie widzi swej
przeszłości urównaną
w jeden ciąg logicznie rozwijających się zdarzeń, wyidealizowaną,
podniesioną z
powszedniego poziomu pod światło nadprzyrodzonych, cudownych,
wpływów i
przeznaczeń? Połóż zamiast zgubionego cienia stratę wiary i cnoty, a
allegorya,
z wyjątkiem obrazowych przydatków, stanie ci od razu wyjaśnioną
przed oczy. Lecz
to wszystko, dobre i pouczające w książce, nie tłómaczy nam jeszcze
naszej
przygody".

— "Żałuję, — rzekłem, — że was muszę ściągnąć z krain
czarodziejstwa i fantazyji
na padół pospolitości. Czyż nie widzicie, że to wszystko żart, który się
wybornie temu nieznanemu udał. Oryginał to, dziwak może, ale nie
brak mu
zimnej krwi i dowcipu. Rozjątrzyliście go waszem nawoływaniem.
Nikt nie znosi,
aby w jego postaci, ruchach, mowie, lub jakiegokolwiek właściwości,
upatrywano
podobieństwo do jakiego wzoru, czy rzeczywistego w świecie, czy
urojonego w
powieści, zwłaszcza jeżeli ten wzór jest karykaturą. Przyczepiliście mu
miano
Szlemila, więc przyjął on jego rolę na prawdę i postanowił się zemścić
a zarazem
dać wam przestrozę. Wystawiam sobie, jak się naprzód cieszył z
waszego

zdumienia, może przestachu, gdy wam nad przepaścią zajrzy w oczy
i zagrzmi
przeraźliwie swem przybranem nazwiskiem. Znać żal mu się zrobiło, i
wolał zemstę
przemienić w naukę. Improwizował widocznie, ale wy, ciekawi
końca, nie
zważaliście na usterki i nierówność opowiadania. W końcu tak
wniknął w swój
przedmiot, że się rozczulił i stał się poetycznym. Bądź co bądź, nic nie
zaszkodzi, jeśli to wszystko weźmiecie za prawdę, byle przestroga nie
poszła w
las. Bardzo ona potrzebna wszystkim młodym, co się chcą otrzeć
między obcymi,
osobliwie Polakom".
— "A może i Serbom", — przerwał Władysław z uśmiechem.
— "Powiedz w ogóle Słowianom, — pochwyliłem dalej, — ale
mówmy tylko o sobie.
Ideałem jest dla

nas Zachód. Niepowściągliwa żądza wypycha nas z rodzinnego kraju,
skoro tylko
skrzydła się nam wypierzą. Każdy, kogo stać, choćby i nie zupełnie,
spieszy za
granicę. Tam, jak mniema, pierwsza próba jego mękości, dojrzałości,
tam się
pasuje na rycerza. I powraca do dom, jak gdyby spełnił jaki czyn
bohaterski. Ale
czy się po bohatersku tam sprawował? Najczęściej tylko jak arlekin
lub matador.
Krzyczy, hałasuje, zaczepia wszystkich, ubiera się jaskrawo. Zamiast
go razić,
pochlebia mu to, że wszystkich uwagę zwraca na siebie. Nam, tak
nieszczęśliwym,
tak przez świat upośledzonym, należałoby jak najciszej,
najniepostrzeżeniej

wśród niego się przesuwać. Tymczasem młody nasz wędrowiec, albo się popisuje
łamanym obcym językiem, albo mówi do rodaka głośno po polsku,
robi dotkliwie
uwagi o przytomnych, rzuca słowa na wiatr, żarty, domysły, przytyki,
jak gdyby
miał pewność, że go nikt prócz towarzysza zrozumieć nie może. Ileż z
tego nieraz
było przykrości, obrazy, zgorszenia? A jaka znowu butność, jaka, i to
w nas
wydziedziczonych ze wszystkiego, pochopność do popisywania się
wielkimi
tytułami, nazwiskami, zwłaszcza przed służbą hotelową, za co trzeba
później
porządnie płacić!"
— "Bo też, — rzecze Władysław, — gdy ta gawiedź, czy na ulicy,
czy przy stole
wzrok na ciebie wytrzeszczy dla tego, że się inaczej nosisz, inaczej
mówisz,
inaczej wyglądasz, taka ochota bierze zaimponować jej jakim
gromkiem słowem,
tytułem

nazwiskiem, coby zmusiło natrętą ciekawość do spuszczenia oczów
lub do zdjęcia
kapelusza".

— "Prawda, — dodałem, — że i mnie w pierwszych czasach pobytu
za granicą było
nader przykrem, gdy mi się zdało, że w oczach każdego przechodnia
widzę
zapytanie: Kto jesteś? Alem wkrótce się z tem oswoił, bom też
przeszedł dobra
szkolę. Wiecie, jak pospółstwo w Londynie jest grubiańskim.
Jednego roku grano
tam sztukę, w której najwięcej wrażenia sprawiała scena, gdzie rabuś,
wszedłszy

kominem do domu bogacza, i niespodzianie zastawszy go
czuwającego i
przygotowanego na przyjęcie złoczyńcy, nie traci kontenansu, ale z
najzimniejszą
krwią zapytuje go: Who are you? Kto jesteś? Tak się to podobało, że
poszło w
przysłowie. Dzieci, prostacy, starzy i młodzi niem cię zaczepiali.
Często zgraja
uliczników ściagała przechodnia tem zapytaniem, zwłaszcza
cudzoziemca, aż do
znużenia. Nieraz powstawały zbiegowiska i bójki. Policya poradzić
sobie nie
mogła. Właśniew pod ten czas przybył po raz pierwszy do Londynu.
Bardzo mię z
początku jątrzyły te nagabywania. Gdym się uskarżał jednemu
Anglikowi, ten dając
mi radę, aby w takim przypadku nie gniewać się, ale, albo całkiem na
zaczepiających nie zważać, albo żartem i śmiechem rozbroić ich i
odeprzeć,
opowiedział mi, co mu się samemu w podobnej okoliczności we
Włoszech zdarzyło.
Będąc w jednym z pomniejszych miast w górach, które rzadko
cudzoziemcy
zwiedzają, wyszedł na ulicę w wielkim o bardzo szerokich skrzy-

dłach kapeluszu słomianym. Czy jego postawa, czy coś niezwykłego
w ubraniu, czy
też rozłożysty kapelusz, dość, że zaraz go opadł motłoch i począł
coraz bardziej
dociskać. We Włoszech to nie żarty. Ktoś krzyknie, że to
czarnoksiężnik i zaraz
sztylet w robocie. Mój Anglik poważnie zwrócił się i rzekł: "Cóż to,
nie
poznajecie mię? Jam Homer, ojciec poezyi!" Homer, ojciec poezyi!
Napastnicy

roztworzyli gęby, zgłupieli, a Anglik spokojnym oddalił się krokiem. I
wam radzę
ten sposób, gdyby z was kto kiedy był tak szczwanym, ale sami nie
ścigajcie, nie
wywołujcie Szłemiłów".
Tak gawędząc, jeszcześmy siedzieli u stołu, gdy dyliżans a razem i
nasza powózka
zajechała. Pożegnawszy serdecznie Nenadowica i wsadziwszy go
obok konduktora,
sami w przeciwną ruszyliśmy stronę.

* * *

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

ŹRÓDŁA RENU.

Jest coś w nazwisku, co nas pociąga do nieznanego przedmiotu lub
odeń odstręcza,
a przynajmniej wpływa na pierwsze wrażenie. I teraz, w miarę jak
zblizaliśmy się
do kantonu Gryzonów, zdawało się nam, że wszystko szarzeje.
Zieloność wyglądała
mniej bujną i barwną, góry bardziej obnażone i jałowe, Ren nie tak
przezroczy, a
jego brzegi coraz smutniejsze, bo wylewami spustoszone. Jak
gwałtownymi muszą
być wybryki tej rzeki, okazuje droga w wielu miejscach zasiekami i
krokwiemi
podparta. Niebawem przejeżdża się z lewego brzegu na prawy
mostem, który stanowi
granice między kantonem St. Galleńskim a Gryzońskim. Miasteczko
Zizers, gdzie
połowa drogi, nosi jeszcze znamie średniowieczne. Przez bardzo
ciasne ulice,

napełnione ludźmi wychodzącymi z kościoła, ledwie przebić
zdołaliśmy

się. Zresztą nic po drodze, ani jak daleko wzrok zasięgnąć może,
zasługującego
na wzmiankę, prócz ruin zamków, których na wysokości naliczyliśmy
kilkanaście.

Począwszy bowiem od Ragatz, położonego między dwoma ruinami
Freudenberg i

Nydberg, ściągają po kolei wzrok wędrowca: stara, zębata wieża
zamożnego miasta

Mayenfeld, postawiona jeszcze w czwartym wieku przez Rzymian,
dalej

Krottenstein, Liechtenstein. — pamiętne i z tego, że gdy książę tego
imienia,

który ztąd początek swego rodu wywodzi, budował sobie w przeszłym
wieku pałac w

Wiedniu, kazał z tych ruin brać kamienie, czem jeszcze przesadził
Barberinich,

co w Rzymie Kolizeum rozburzali, aby gmach mieszkalny sobie
wystawić, —

wreszcie, między wielu innemi, szczątki zamku Haldenstein u stóp
góry Calanda,

której śnieżysty wierzchołek panuje nad całą okolicą.

Już było ciemno, gdyśmy do Chur przybyli. Stanęliśmy pod
Steinbokiem. Usłużny

gospodarz poznał, żeśmy z północy i zaraz pochwalił się, że i on był
w Berlinie.

Przy wieczerzy częstował nas krajowem winem, zwanym
"Kompleter", pochodzącym z

okolicy miasteczka Malans, które dopiero co przejeżdżaliśmy,
aleśmy winnic nie

widzieli. Wino drogie, lecz jak Władysław nie omieszkał dodać,
kompletnie dobre.

Wieleśmy przytem nadowiadywali się u ochoczego do rozmowy
gospodarza tak o
przeszłości jak o obecnym stanie kantonu.
W Szwajcaryi każdy kanton ma swe odrębne dzieje, które niezależnie
od innych
okręgów tworzą

zajmującą i pouczającą całość. W każdym z tych zakątków,
obwarowanych ścianami
gór piętrzących się jedne nad drugie, ugnieździł się, jeśli nie zasklepił
mały
światek, w którym te same prądy, namiętności, spory i walki, co na
wielkim
świecie rozwijały lub tamowały postęp, ścieśniały lub
rozprzestrzeniały wolność,
opóźniały lub przespieszały pochód w nieodgadnioną przyszłość.
Drobne to dzieje,
jeżeli się weźmie na uwagę szczupłość ziemi i ludności, ale może tem
więcej
zajmujące dramatycznością wypadków. Historia Gryzonów nie jest
mniej ciekawą od
innych oddziałów kroniki szwajcarskiej. Owszem wzbudza większe
zajęcie pod tym
względem, że nigdzie jak tu nie pomiejszało się tyle narodowości,
języków,
zwyczajów i odmiennych urządzeń społecznych, a nawet klimatów. W
najdawniejszych
czasach kraj ten zwał się Rhaetia. Zamieszkiwali go Retowie czyli
Toskanie,
wypędzeni z Italii na wieków przed Chrystusem. W późniejszej epoce
opanowali
go Rzymianie, którzy przeciw barbarzyńcom wciskającym się z
północy stawiali tu
liczne warownie. Następnie podlegał on Allemanom, Ostrogotom,
Frankom, Hunnom. W
średnich wiekach, aż do r. należał do książąt Szwabii, a raczej był

samoistną dzielnicą cesarstwa niemieckiego, w której przewodzili Biskup z Chur, opaci z Dissentis i Pfaeffers, i liczna rzesza panów, co się z sobą wciąż ścierali i walczyli, lud strasznie uciemniając. Pamiątką po nich zostały jeszcze nazwiska miejscowości i mnogich zamków ruiny. Biskup był jedyną opieką

i obrona, uciśnionych. Ztąd nieustanne rozterki między panami świeckimi a duchownymi. Nareszcie w pod przewodem Biskupa Werdenberga kilkanaście gmin w Engadinie utworzyło związek przeciw gnębiicielom, tak zwaną Ligę Domu Bożego, "Lia da Ca (casa) De". Za tym przykładem poszły gminy w dolinie górnego Renu, na zachód od Churu i zawiązały w Trons Ligę Szarą, "Lia Grischa". Trzecią utworzyły w gminy wschodnie, od góry Scaletta aż po rzekę Plessur, która przepływa przez Chur i wnet potem wpada do Renu. Związek ten nazwał się Ligą Dziesięciu Jurysdykcji, "Lia dellas desch dretturas". W r. wszystkie trzy ligi zawarły z sobą wieczne przymierze i odtąd kraj ten począł się zwać Związkiem Szarym, Graubiinden, Ligue Grise, a mieszkańcy Graubündner, les Grisons. Jeszcze przed końcem wieku Rzesza Szwajcarska przyjęła ten związek w poczet swych sprzymierzeńców (Zugewandte Orte). W Gryzonowie zdobyli Valtelinę, Bormio i Chiavennę, które niebawem książę medyolański odstąpił im na

wieczne czasy. Odtąd z wyjątkiem drobnych zatargów, kraj ten był i wzorem zgody i wzrastającej zamożności, zwłaszcza że tędy przechodziła droga ruchu handlowego z Niemiec do Włoch. Wcielony przez akt medyacji w do Rzeszy Szwajcarskiej, stanowi jeden z jej kantonów. Dawny jednak podział wewnętrzny dotąd się utrzymuje, trwają dotychczas wszystkie trzy ligi. Te dzielą się na jarysdykcyi (Hochgerichte, drettures, dretturas), a z tych okręgów

rozpadających się jeszcze na mniejsze jarysdykcyje, każdy tworzy osobną rzeczpospolitą, rządzącą się własnymi prawami i zwyczajami. Trudno sobie

wyobrazić większej różnorodności, a przecież wszędzie tu ład i zgoda.

Taką

autonomię, samoistność, posiadała chyba jedna gmina słowiańska.

Kanton ten

zajmuje szóstą część całej Szwajcaryi, ale nie ma nawet , ludności. Ta rozsiadła się na przeszło dolinach, wązko wrzynających się w góry, i oddzielonych od siebie trudnymi do przebycia grzbietami. Ztąd ta różnorodność

zwyczajów i urzędzeń, oraz bezpieczeństwo i trwałość onych.

Protestantów jest

/, katolików / — romańskiego szczepu / a germańskiego /.

Najciekawszą

jest jednak różność mowy. Większa połowa mieszkańców mówi po romańsku. Język

ten, nieznanym żadnemu innemu krajowi, był, jak się zdaje mową owych wygnanych z

Italii Retów, zaczęło poszło mniemanie, że pierwotkowo jest ten sam, jakiego

używał według Liwiusza prosty lud rzymski. Zepsuty następnie przez przymieszkę

rozmaitych plemion, które tędy wędrowały, dzieli się dziś na wiele
dialektów, z
których wyróżniają się dwa główne:) Ladin, najbardziej zbliżony do
łacińskiego, przeważający w dolinie Engadine niższej, —)
Romansch, używany w
dolinach Bregaglia, Oberhalbstein, Schams, Ilanz, Dissentis i innych
przyległych. W języku tym Rhin znaczy wodę płynącą. Oto ustęp z
psalmu :
"Chante al Segner, celebre sieu nom, annunzie ogni di sien salüd
Requinte
traunter ils paevels sia gloria, traun-

ter tuottas naziuns sias ovras müravigliusas. (Śpiewajcie Panu, sławcie
imię
jego, zwiastujcie codzien zbawienie jego. Opowiadajcie między ludy
chwałę jego,
między wszystkie narody dziwy jego). Ksiądz Conradi wydał w i w
Zurichu pierwszą i gramatykę i dykcyonarz języka romańskiego. Jest
około
książek w tym języku, po większej części religijnych. W zaczął w
Chur
wychodzić dziennik pod tytułem "Il Grischun Romansch".
Przebiegając go,
znalazłem kilka wyrazów słowiańskich. Język niemiecki jednak czyni
coraz większe
w tych i stronach postępy. Po włosku mówi ludność w dolinach na
południe
wysuniętych.
Tak ujęliśmy gospodarza wypytywaniem się o jego kanton i pilnem
przerzucaniem
znajdujących się w jego bibliotecze książek dla zebrania dat powyżej
przytoczonych, że życząc dobrej nocy, zapowiedział nam, że jutro
rano będzie na
nasze usługi i po mieście sam oprowadzi. Jakoż nazajutrz już o szóstej
byliśmy z

nim na ulicy. Miasto dzieli się na dwie części, wyższe i niższe.
Nazwisko
widocznie pochodzi od łacińskiego "Curia". Wyższe, obmurowane,
mieści w sobie
katedrę, pałac biskupi, seminaryum, kanonije, klasztor kapucynów, i
rozmaite
inne zakłady to dobroczynne to wychowawcze, a wszystko to stanowi
odrębną
jurysdykcję, podlegającą jedynie Biskupowi. Oprócz duchownych,
stan ten w
stanie, czy państwo w państwie, liczy przeszło osób, zależących
wyłącznie od
Biskupa. Natomiast nie mogą one żadnych cywilnych urzędów w kan-

tonie sprawować, ani też praw politycznych wykonywać. O
starożytności i
pochodzeniu rzymskim murów świadczą jeszcze dwie wieże:
Marsoel (Mars in
oculis) i Spinoël (Spina in oculis). Gród ten już w wieku był siedzibą
Biskupa.
Z późniejszymi dziejami tego biskupstwa łączy się pamiątka
nieobojętna dla nas.
Feliks V, obrany Papieżem przez sobór bazylejski, w r. mianował
kardynałem
św. Wawrzeńca in Damaso, Alexandra księcia mazowieckiego, syna
Ziemowita i
Alexandry Olgerdówniej, rodzonej siostry Władysława Jagiełły.
Protegowany przez
Jagiełłę, Alexander po śmierci Piotra Wysza przedstawiony był w r.
na
kandydata do biskupstwa poznańskiego, ale się nie utrzymał, więc za
granicą
szukał sobie kariery, na dworze zwłaszcza rakuskim, na którym
Cymbarka, jego
rodzona siostra, wydana za Ernesta Żelaznego, rej wodziła. Przez nią
tedy i męża

jej został Biskupem trydentskim, będąc poprzednio od r.
proboszczem
metropolitalnym gnieźnieńskim, a w roku rektorem Akademii
krakowskiej. W
został patriarchą akwilejskim, administratorem biskupstwa Chur w
Szwajcaryi
i proboszczem św. Szczepana w Wiedniu, gdzie umarł czerwca i tam
ma piękny
nagrobek. Jako Kardynał Był w Polsce po dwakroć, posługując od
antipapy Feliksa.
Po śmierci Kardynała tenże Feliks przysłał kapelusz kardynalski
Arcybiskupowi
Wincentemu Kotowi z Dębna, który na naleganie Zbigniewa
Oleśnickiego zrzekł się
tej godności października

. Nie zawadzi tu wspomnieć, że to nieporozumienia w kwestyi, kto ma
pierwszeństwo, czy Kardynał, czy Prymas Arcybiskup gnieźnieński,
były
niewątpliwie powodem, iż tak mało mieliśmy Kardynałów.
Katedra, założona w wieku przez Biskupa Thello, zachowała jeszcze
znamie swej
starożytności
w portyku zdobnym kolumnami, wspartemi na lwach. Wnętrze
okazałe, cała podłoga
pięknym kamieniem wyłożona, ciekawe kapitele, pełno nagrobków z
marmuru, na
których kapelusze kardynalskie i inne insygnia wysokich duchownych
albo
świeckich dostojników. W wielkim ołtarzu znakomita rzeźba z
drzewa, złożona i
malowana, w bocznych obrazach pędzla Alberta Dürera, Holbeinów,
Rubensa, w chórze
ciekawą rzeźbioną stalle z wieku, Nie można pominąć krypty czyli
spodniej

kaplicy, w której zasługuje na uwagę równie sklepienie o śmiałych łukach, jak niska, gruba, krępa kolumna, która niezawodnie z pierwszych czasów chrześcijaństwa pochodzi. Pałac biskupi także co krok przypomina odległe czasy, komnaty obszerne, wszędzie nad głową wiązania z drzewa, w pośrodku herby. W jednej śród portretów historycznych znaleźliśmy wizerunek Leszczyńskiege. W innej, jakby znak zubożenia czy utilitaryzmu naszych czasów, stoi magiel po środku. Kaplica, bardzo starożytna, może pierwszy tu przybytek chrześcijański, mieści się w murach owej wieży Marsoël. Za katedrą, poświęconą św. Lucyuszowi, stoi klasztor tegoż imienia, dziś przerobiony na se-

minarium. Ztąd pono najlepszy widok na dolinę Renu, na Calandę, na Mitten, dwie góry stanowiące główną ozdobę tego krajobrazu, i na rzekę Plessur. — W dolnem mieście, które liczy około domów i mieszkańców, jest tylko do widzenia, komu czas starczy, to co się wszędzie spotyka, ratusz, dom. rządowy, wzorowy szpital, założony przez Kapucynów, szkoły, bibliotekę, gabinet historyi naturalnej i kilka dość pokaźnych domów bogatego obywatelstwa. Murowany nowy most na rzece Plessur, wart obejrzenia. Mając zamiar jeszcze tego samego dnia stanąć na nocleg w Hanz, wyjechaliśmy w południe. Lekką kolaską zwawy siwy konik zawiózł nas w godzinę do Reichenau. Droga szła pobliżem Renu, ku którego źródłom na zachód od Churu dążyliśmy. Czas

był przecudny. Szare od paru dni niebo rozjaśniło się w lazuruwe
przezrocze.
Zdało się, żeśmy we Włoszech. Na tem tle i pod tem słońcem, pola,
łąki i wyżyny
przywdziały znowu najbarwistszą zieloność. Tak to wrażenia nasze
zależą często
od światła zewnętrznego, a od wewnętrznego najczęściej. Prawda, że
ta dolina
górnego Renu jest jedną z najbujniejszych w Szwajcaryi. Przed nami
wciąż lśniła
odwiecznymi śniegami wspaniała Calanda. Jeden z jej wysuniętych
szańców,
Felsberg, coraz bardziej się obsuwa i grozi zdruzgotaniem położonej
pod nim
wiosce tegoż nazwiska. Jak w Neapolu Wezuwjust nad miastem
roskoszy, tak tu
odrywające się szczyty nad bogatemi siołami są ciągłą trwogą i
przestroga

Szczerby te bardzo niemile rażą oko wędrowca i przypominają, że
każdy kraj ma
swoje utrapienia. I nie dziwić się temu Wielkopolaninowi, który nie
mogł nigdy
wytrzymać w górach, bo ciasno, duszno, i co prędzej na swe
swobodne płaszczyzny
i pod rozległe horyzonty umykał. Przejechaliśmy wioskę Ems z
kościółem na górze,
i z ruinami zamku Hohen-Ems po drugiej stronie. Wieś ta ma swoją
bohaterkę,
której odwagę chlubi się historia szwajcarska a szczyką się w
opowiadaniach i
śpiewach dziewice gryzońskie. W roku Francuzi tak tu nacisnęli
opierających
się im krajowców, że już przegrana tych ostatnich była widoczną, gdy
w tem

wypada dwudziestoletnia Anna Marya Bühler, rzuca się na
nieprzyjacielskie
działa, toporem powala kilku kanonierów, a za jej przykładem odwaga
wstępuje w
pierzchające szeregi, zwracają się, nacierają i zadają ciężką porażkę
napastnikom. Kościółek posiada cudowny obraz Matki Boskiej, który
miał Renem z
gór spłynąć i tu się zatrzymać. Pod samem Reichenau przebywa się
most, z prawego
na lewy brzeg Renu. Tu także łączą się dwa ramiona tej rzeki, Vorder-
Rhein i
Hinter-Rhein. Kilkanaście domków, stary klasztor, przerobiony na
oberżę, i pałac
z pięknym ogrodem, dawniej należący do Buol-Schauensteinów, oto
całe Reichenau,
ale ten pałac ma dziś i wiele rozgłosu po świecie. W drugiej połowie
zeszłego
wieku, Tscherner, burmistrz z Chur, założył tu szkołę dla bogatszej
młodzieży.
Sławny historyk Zschokke był w niej nauczycielem. W , młody

Francuz, ubogi, bo pieszochodziec, z kijem w ręku i małym
tłómczkiem na
plecach, nie świętego imienia bo się zwał panem Chabot, przybył tu
z listem
rekomendacyjnym do pana Jost, dyrektora zakładu. Ten poznał się
zaraz na jego
zdolnościach i przyjął co do grona nauczycieli. Przez ośm miesięcy
młodzieniec
wykładał tu historię, matematykę i język francuzki. Polubili go
niebawem równie
koledzy jak uczniowie. Tym młodzieńcem był książę Chartres, dziś
Ludwik Filip,
król Francuzów. Mieszkał on wprzód w Bremgarten, w Argowii, ale
przed

wkraczająca armią francuzką musiał szukać dalszego schronienia i przybrać obce nazwisko. Jeden tylko pan Jost znał jego tajemnicę. Pracę pilnemu nauczycielowi przerwała wiadomość, że jego ojciec, Egalite, skończył pod nożem gilotyny, a matka wygnaną zozostała do Madagaskar. Dziś pałac ten jest własnością jednego z najbogatszych obywateli kantonu, p. Planty, który go odnowił, przyozdobił, a ogród równie powabnym dla zwiedzających, jak ciekawym dla botaników uczynił. Pokój księcia Chartres starannie jest utrzymanym. Zdobia go dwa portrety przez Winterhaltera, z których jeden przedstawia Ludwika Filipa jako młodzieńca, drugi jako monarchę. Przytem dziękczynny list Montaliveta, jednego ministrów króla, za szkło oprawny. Na stole kilka książek odnoszących się do dzisiejszego panowania, a między nimi Żywot Ludwika Filipa po niemiecku. Wspaniała pogoda zachęciła nas do odbycia dalszej ku Dissentis podróży piechotą. Tragarz do

niesienia tłumoczków zaraz się znalazł. Zwinny i wesoły chłopak, chciał nas rozmaitemi figlami i powiastkami bawić, skorośmy tylko w pochód ruszyli. Ale Władysław tak był milczący, tak czegoś zadumany, że wkrótce i nasz przewodnik ucichł.
— "Znakomity to musi być człowiek ten Ludwik Filip, — (ozwał się wreszcie), — szczęśliwa Francya, co takiego monarchę posiada, — gdybyśmy taką głowę mieli,

jużbyśmy dawno z naszej biedy podnieśli się".

— "Nie tak to piękne i wielkie (rzekłem), jak się zdaleka, osobliwie nam Polakom, wydaje. Sam się wkrótce przekonasz. Dzisiejsza polityka Francyi nie polega na jakiegokolwiek moralnej zasadzie, ale na zręczności, co się często staje filuteryą i oszukaństwem. Dowodem tego świeżym owe małżeństwa hiszpańskie, czem sobie na długo zrażono Anglię, tak potrzebną i dla bezpieczeństwa Francyi i dla wpływu dwóch wolnomyślnych narodów na resztę Europy, dotąd ciężkiem jarzmem przygniecionej. Wkrótce też zobaczymy, co się z Krakowem stanie. Zginie ten ostatni szczątek niepodległości polskiej. Francya będzie tylko dla ceremonii grzecznie protestowała. Jakiż to wpływ może mieć rząd, który ogłosił zasadę bezwarunkowej nieinterwencji i posługuje się wciąż takimi godłami, jak na przykład: że krew Francyi jedynie do Francyi należy, że każdy winien działać u siebie i tylko dla siebie, chacun chez soi et pour soi. Dobrze to prawidło dla Szwaj-

caryi, ależ po Francyi świat powinienby się czego innego spodziewać".

— Przyjdzie przecież czas (przerwał Władysław), gdy się ten wielki naród znudzi takim samolubstwem, krew w nim zakipi, odżyją wielkie wspomnienia cesarstwa, pochwyci go niewstrzymany niczem pęd ku wielkim dziełom, porwie w stronę naszą,

nie darmo co rok izby powtarzają: La nationalité polonaise ne périra pas".

— "Otóż to bieda (ciągnąłem dalej), że się takimi frazesami łudzimy. Sami Francuzi żadnej do nich ważności nie przypisują. Do Moskwy mają wiele pociągu, potrzebna im dla równowagi przeciw Anglii, przeciw Austryi i Prusom; Thiers zawsze powiada, że Polska jest za daleko, inabordable, za obrębem działalności francuzkiej, a Ludwik Filip o nic więcej nie dba, jak o łaskę tego, co go pogardliwie nazwał Roi du Carrefour. Kiedy przyszła wiadomość o rzezi galicyjskiej, wpadł na biednego Władysława Sanguszkę z wyrzutami, że Polacy wszędzie rewolucyę wzniecają i że to szlachta ruch galicyjski wywołała. Tak to Francuzi znają nasze położenie i stosunki".

— "Cóż więc nam począć?" — zapytał rozpaczliwie mój towarzysz. "Jeśli nam i Francya jeszcze ubyła, to już nie ma dla nas nadziei!" — "Owszem jest, — odpowiedziałem, — i daleko większa, niż jeślibyśmy się wciąż oglądali za pomocą Francyi, i jak dotąd z każdą wiosną wyczekiwali wojny. Jest pewniejsza, bo w nas samych.

Naród tak zubożony, zgębiony, rozbity, musi się wprzód w sobie odrodzić, wewnątrz niepodległym zostać, zanim wyteży swe siły ku odzyskaniu niepodległości zewnętrznej. Wielkość narodu, trwałość, bezpieczeństwo, nie polega na kształtach zewnętrznych, ale na cnotach, na tradycyi, na niezłomności charakteru i w

wierze. Gdybyśmy te postradali, gdybyśmy, jeżeli osłabły w niedoli lub
skrzywiły
się niewolą, nie wzmogli się w nich, nie sprostowali na nowo, to
choćby zbieg
przyjaznych wypadków, wojna europejska, druga taka jak
napoleońska, przywróciła
nam niezawisłość, zostawieni sami sobie, upadlibyśmy powtórnie, z
większą jak
wprzód sromota, i już niepowrotnie. Póki tylko ufać będziemy w
orężne walki,
póki zrywać się będziemy do broni bez obliczenia sił własnych a
potęgi wrogów, i
jedynie, aby okazać, że nie ustępuję przodkom w odwadze, dopóty
pomagać będziem
naszym gnębiicielom do wyniszczenia kraju do reszty i do wtlaczania
coraz
cięższego jarzma na nasze karki. Majątek nasz, narodowość, język,
religia,
wszystko to po kolei stanie się ich pastwą. Sami będą nam mnożyć
pokusy,
podzegać do powstań, ażeby za każdym razem po przytłumieniu
odebrać coraz więcej
z pozostałych nam skarbów narodowych, zniszczyć szlachtę
majątkowo, jej wpływ i
znaczenie, a lud pozbawiony swych naturalnych przywódców
przerobić na obce
plemie. Lud ten ma obyczaj i poczucie polskie, instynkt, ale brak mu
jeszcze
świadomości czem to poczucie jest, jakie mu daje prawa, jakie

wkłada obowiązki. Oto i teraz pierwsze jego przebudzenie było
zbrodnią.

— "Dojdzie (rzekł Władysław) nasz włościanin do tego
samopoznania, skoro
zostanie obywatelem, a będzie nim jak tylko otrzyma własność, co się
już stało w

Polsce pod rządem pruskim, co się dziś staje pod austriackim, a co
lada chwila
pod rosyjskim stać się musi. A wtedy będziemy mieli miliony
bagnetów na nasze
zawołanie, same z pod ziemi wyskoczą".

— "Tak, Władysławie, mówią zacni lecz zbyt pochopni teoretycy; ale
zładże ta
pewność? Obce rządy nie dozwolą szlachcie, aby sama początek
zrobiła i uposażyła
włościan. Będą się do końca sprzeciwiały jej najlepszym chęciom, a
potem w danej
chwili same to uskutecznią, całą zasługę sobie przypisując. Co gorzej,
zawikłają
sprawę, z umysłu źle oznaczają między włościaninem a panem co twoje
a moje, aby
antagonizm wciąż wzrastał, a gdyby zniknął, podsycą go znowu
nadzieją coraz
większego udziału w majątku dworskim, aż do zupełnego
komunizmu. Zgadzam się, że
pomimo tego należy nam wszystkimi siłami dążyć do uwłaszczenia
kmiotków; sprawa
to żywotna, nie powinniśmy się dla niej cofnąć przed najcięższymi
ofiarami;
trzeba nam zająć się nią szczerze nawet wtedy gdy nam jej kierunek
wydartym
zostanie, ale nie mam pewności, czy chytre i podstępne rządy nie
użyją jej do
swoich niecznych celów, czy przez nią nie zdołają jeżeli nie odstręczyć
i
zwaśnić, to odosobnić na długi czas dwa stany, w których je-

dności cała nasza przyszłość spoczywa. Ale jest i na to rada".

— "A jaka ? — zagadnął porywczo młodzieniec.

— "Oświata ludu i coraz większa z nim zażyłość".

— "Lecz jeżeli nie pozwolą nam oświecać go, uczyć po naszemu?"

— "Jest i na to sposób. Gdzie się nie da książką. i szkołą, to bliższem

obcowaniem, rozmową, radą, a gdzie s i tego nie można, to przykładem. I oto tu wracam do mego założenia. Trzeba nam szlachcie najprzód w sobie się odrodzić. W zakresie moralności i wiary zejźmy do katechizmowych prawideł, nie mędrkujmy, nie przyjmujmy nowinek z zagranicy, żyjmy tradycją i obyczajem przodków. Lud w Galicyi najbardziej pastwił się nad tymi, których nigdy w kościele nie widywał. Przy oświacie dla ludu, o własnej pomyślmy. Opuściliśmy się w naukach. Bawimy się obcą i to najlżejszą literaturą. Poziom umysłowości naszej przerażająco się zniżył. Prąd wieku wiedzie ku naukom ścisłym, praktycznym. My najmniej do nich pochopu czujemy, bo one wymagają najwięcej mozołu i wytrwałości. Tymczasem praca, cicha, nieznużona, tak w zawodzie praktycznym jak umysłowym, kardynalnem winna być dla nas prawideł. Stracić w jednej chwili wszystko można, ale odrobić tylko długie lata trudu zdołają. Prawda, że wszyscy u nas do pracy nawołują, lecz mało kto do niej się bierze, postępu nie ma, bo krok w miejscu nie jest pochodem. Na drogowskazach u nas nie brak, ale

drogi puste. W Anglii szyderczo drogowskazami przezywają pastorów, jakoby ci drogę wskazywali, lecz stojąc w miejscu, sami nią nie szli. U nas więcej jeszcze takich mentorów. Nie uważamy jeszcze pracy jako obowiązku, uświęcenie, ukrzepienie ducha. Choćby skutek jej był niepomyślny, choćby zysku nie

przyniosła, samo przewyciężenie siebie jest już zasługą i rękojnią
charakteru,
a żywot dobry składa się z ciągłych wysileń i zwycięstw człowieka
nad sobą
samym. Raz nad brzegami Francyi rozbił się i okręt chiński.
Wyratowano tylko
dwóch chłopców. Aby ich czemś zająć, zapytano czem byli we
własnym kraju i do
czego mają ochotę. Chłopcy odpowiedzieli, że się zajmowali
ogrodnictwem i że
się chcą dalej temu zawodowi poświęcić. Dano im przeto
odpowiednie zatrudnienie.
Ale gdy się do rydla przyłożyć nie chcieli, wciąż igrając po ścieżkach,
i gdy
ich za to strofowano, nic z nich nie było można wydobyć, tylko
odpowieź, że u
nich ogrodnictwem się nazywa przechadzka i zabawa w ogrodzie.
Jakżeż to
podobne do tych pozorów pracy, któremi my nasze lenistwo
osłaniamy! Nie dość
pracować, trzeba jeszcze umieć oszczędzać. Cóż przybędzie z tego
krajowi, jeżeli
rzemieślnik, gdy mu się co od potrzeb życia okroi, zaraz to przepije
lub
przemarnotrawi, lub jeżeli obywatel jedzie za granicę roztrwonić to, co
mozoląc
się przez lat kilka, z ziemi swej wyciągnął. Patrz na Szwajcaryę. Tu
milionowcy
chodzą, jak prości wyrobnicy, w burych półfraczkach, z srebrnym
zegarkiem i
łańcuszkiem u kamizelki,

a posażne ich córki same chodzą do doju i wyrabiają masło i sery.
Dobra jest
podróż młodemu za granice dla otrzaskania się w świecie, lecz u nas
stało się to

już chroniczną chorobą. Za kapitały, które obczyzna z naszej kieszeni wyciąga, możnaby wykupić wszystką ziemię, co w skutek naszego marnotrawstwa i nieogłędności przeszła już w ręce Niemców i Żydów".

— "Szczęściem (wtrącił Władysław), że pierwszy to raz wyjechałem, bo musiałbym i ja uleść tej naganie".

— "Nie wątpię przecież, że poznawszy zachodnie kraje, nazbierawszy, ile tylko można, wiadomości użytecznych ojczyźnie, osiędziesz stale w swych dobrach, i jeżeli ci się powiedzie, wiele przy kupisz, a może i niejednego rodaka uratujesz i wybawisz od konieczności wyjścia z torbą i kijem z dziedzicznego majątku.

Święta to prawda, że trzeba nam najprzód baczyć, aby naród utrzymywał się duchowo na wysokości swych nadziei i przeznaczeń, ale i materyalna podstawa jest konieczną. Bez niej, żyć zawsze będziemy jakby zawieszeni w obłokach, niczego nigdy nie dokonamy. O męztwie, o poświęceniu Polaków nikt nie wątpi, lecz dopiero wtedy odzyskamy stracony mir w Europie, gdy się dowodnie okaże, że umiemy wytrwale pracować, oszczędzać, postępować za przemysłem bogatszych krajów, i że na przypadek odzyskanej niepodległości potrafimy się sami rządzić. Ład i zamożność, więcej niż towarzyskie

i umysłowe przymioty, więcej niż świetność literatury, więcej nawet niż najwznioślejsze bohaterstwo, czy na polu bitwy czy w kaźniach męczeństwa,

zdołają w zmateryalizowanym dziś świecie zdobyć nam i
poszanowanie u wrogów i
przyjaźń a chlubę u zachodnich narodów, stojących na czele postępu i
cywilizacji. Niech tylko zrozumieją i ci i tamci, że muszą się z nami
rachować,
a przyszłość nasza wypromieni się wszystkim w nieodzowną
pewność. To grunt
teraz, aby każdy z nas działał tak, jak gdyby na nim jednym losy
ojczyzny
spoczywały, jak gdyby od niego jednego miała się cała społeczność
odrodzić.
Kiedy kto straci najdroższą osobę, kiedy z bogacza stanie się nagle
nędzarzem,
kiedy mu wszystko, co miłował, dla czego żył, odebranem zostanie,
cóż go
wstrzymuje nad przepaścią rozpaczy, co go znowu wiedzie w czynne
życie, w życie
obowiązku i trudu, oto głos sumienia, głos Boga: "Esto vir". I
każdemu z nas po
utracie wielkiej i niepodległej ojczyzny, pod ciosami uderzającymi
coraz
groźniej we wszystko, co nam drogiem jest, ten sam głos nakazuje:
Bądź mężem. I
gdyby nas ze wszystkiego odarto, jeszcze na żalosne pytanie: I cóż ci
pozostało?
każdy jak Medea odpowiedzieć winien: Ja. Otóż to Ja, gdziekolwiek
postawione, do
jakiegobądź stanu lub zawodu należy, winno się uzbroić w niezłomną
wolę, i tak
żyć, tak działać, jak gdyby zeń miał znowu wyrósć i wykształcić się
wielki i
potężny naród, Skoro każda jednostka weźmie na siebie i ile sił spełni
to
zadanie, całość w danym czasie od razu się

złoży. Są to komunały. Może mnie także nazwiesz martwym
drogowskazem. Mniejsza o
to, byłeś osiadłszy w domu przypomniał sobie jeźliś co słusznego i
użytecznego
znalazł w mych uwagach".
Władysław nie rzekł słowa. Wciąż dumał. Dobry to znak,
pomyślałem. Przed kilkoma
jeszcze dniami byłby mnie zasypał tysiącem projektów co do
uwłaszczenia chłopów,
a może wszczął tak wszędzie dziś głośny spór, co lepsze, czy doraźne
nadanie
własności, czy wieczyste dzierżawy, Teraz ja musiałem go kusić w
rozmowę. Droga
szła coraz bardziej w górę. Ale nie wydał on okrzyku podziwienia ani
na
wspaniały widok z Trins i ruiny wieży kwadratowej Pepina, a w
oddali zamków
Bellmont i Bowis. ani na śliczną górę gęstym uwieńczoną lasem, która
nas
oddzieliła od Renu, ani na precudne niebieskie jezioro w amfiteatrze
ciemnych
jodeł, nad którym panuje starożytne miasteczko Flims. Krótkie te,
najczęściej
jednosylabowe nazwiska mają widocznie pochodzenie łacińskie.
Flims wywodzi się
od ad flumina, gdyż otoczone jest siecią strumyków, które się nieraz
w gwałtowne
potoki zamieniają. Czasem znowu te nazwy mają bardzo miłe
znaczenie. Po drugiej
stronie Renu jest wioska Bonaduz, Pan-a-tots, chleb dla wszystkich.
Co za
szczęśliwy zakątek, jeśli rzeczywistość odpowiada nazwisku.
Strudzeni trzygodziną drogą, zatrzymaliśmy się w Flims na
odpoczynek. Aby
zdażyć na nocleg do Hanz, wypadało nam tu najać powózkę.
Zaprowadzono nas do
Landmana. Dostojnik ten, Christian

Braun, był zarazem oberżystą. Grzecznie nas przyjął, ale układy o podwodę ciągnęły się długo, bo jego mowa była jakąś dziką mieszaniną romańskiego języka, upstrzonego w wyrazy niemieckie i francuzkie. Myśmy po niemiecku przemawiali, lecz on nam chciał koniecznie pokazać, że umie po francuzku, bo przed kilkunastoma laty był jako cukiernik w Lyonie. Po skończonym targu wybadywał nas z wielką ciekawością z kąd jesteśmy. Napróżno powtarzaliśmy mu na wszystkie sposoby Polen, Pole, Pologne, Polonais. Nie mógł zrozumieć. Kazał żonie przynieść jakąś brudną, zatłuszczoną kartę, która miała niby Europę przedstawiać. Wskazaliśmy mu na bieg Wisły. I to nie pomogło. Wreszcie na raz krzyknie Krakau, Warschau, Ostrolenka, i pocznie nas serdecznie ścisnąć, wołając ze wzruszeniem: Meine Klopiki, meine Skryneki. Gdy ochłonał, dowiedzieliśmy się, że właśnie w czasie naszego powstania był on w Lyonie, i że z największem zajęciem czytywał gazety i unosił się nad bohaterstwem Polaków. Nastąpił oczywiście traktament. Pani Landmanowa przyniosła wódki z gentiany, chleba i masła. Wypytywała nas jak się to lub owo zwie po polsku. Ucieszyło ją niepomału podobieństwo romańskiego języka z naszym w wyrazach diuin, dzień, nocz, noc. Wywodziła ztąd pokrewieństwo. Nie chcieliśmy psuć jej uprzejmego domysłu objaśnieniem, iż w obu razach źródłosłów jest łaciński. Przy rozstaniu daliśmy

gospodarzowi na pamiątkę nasze nazwiska, a on nam swoje. I tak
tanim kosztem
wieczny sojusz,

czy też po tutejszemu Liga Domu Bożego, między nami zawartą
została.
Rozchmurzyło to Władysława. Wsiadając na powózkę, nie mógł się
wstrzymać od
powiedzenia: "Przecież nasze powstania na coś się zdały, utrzymują
na dawnej
wysokości nasze imię w Europie, inaczejby o nas zapomniano".
Trochę to za
kosztowne, pomyślałem, a za mało użyteczne, ale nie chciałem
przerywać mu
wracającej wesołości. Rozpogodził go do reszty nasz poprzedni
przewodnik, który
mając jakiś interes w Hanz, chętnie do nas się przysiadł. Miarkując, że
teraz
może sobie pozwolić, bawił nas rozmaitemi figlami i powiastkami.
Droga szła w
dół, osobliwie od Laax, nad którym stoi zamek Langenberg. Znowu
Ren nam się
ukazał. Powózka toczyła się prędko, a jeszcze prędzej gawęda. Anton
Welts miał
nieprzebrany zasób anegdotek. Śmiał się sani najprzód. Poważniał
jednak ilekroć
wpadł na opowiadania o pobożności lub patryotyzmie ludu
świadczące. Z tych
następne zapamiętałem.
Glarus i Uri sprzeczały się o granicę na Scheidek. Ułożono się
wreszcie, że
oznaczonego dnia, skoro kur zapieje, jeden pasterz wyjdzie z Glarus a
drugi z
Altorfu, a gdzie się spotkają tam będzie granica. Kobiety w Altorfie
nie dały

nic jeść swemu kogutowi, a ich współzawodniczki w Glarus
zbytecznie swego
nakarmiły. Oczywiście ten, co nie jadł, zapiał wcześniej, Wolf z
Altorfu rychlej
wyszedł i o znaczną odległość wkroczył w dzierzawy sąsiedniego
kantonu. Widząc
to zapóźniony Dietz z Gla-

rus, wpada w rozpacz błagając Wolfa, aby mu przynajmniej część
zdobyczy
odstąpił. Ten przystaje, że mu odda taką przestrzeń, przez jaką go na
swych
barkach uniesie. Dietz bierze potężnego przeciwnika na ramiona,
dźwiga póki mu
tchu staje, wręście upada i umiera. Dotąd pokazują w Schachen Thal
strumień, do
którego doszedł. Jakżeż często takie sprawy, lubo z rozlicznymi
odmianami,
powtarzają się w dziejach świata. Valerius Maximus opowiada bardzo
podobne temu
zajście między Kartaginą a Cyrene. O umówionej porze mieli z obu
stron wyjść
zapaśnicy, a gdzieby się spotkali, tam będzie granica. Kartagińscy
bracia
Philani wyszli wcześniej o godzinę. Cyreneńczycy odkryli zdradę i nie
przystali
na odstąpienie osiągniętej podstępem przestrzeni, chyba, że Philani
dadzą się
żywcem na granicy zakopać, czemu się ci z radością poddali.
W jednej wiosce pod Ems, gdzie jak wspomniałem znajduje się
cudowny obraz Matki
Boskiej, był starzec, który zrobił ślub, że nigdy inaczej tylko na
własnych
nogach bez żadnej obcej pomocy tam do kościoła chodzić będzie. Z
czasem, gdy już

oczy poczęły mu niedopisywać, ozwał się przed nim dzwonek, który
go krok za
krokiem przez całą drogę aż do drzwi kościoła prowadził. Raz
staruszek
przechodząc przez las spotkał człowieka, który ciosał kije. Ten,
widząc jego
chód chwiejny, wcisnął mu potężny kij w rękę. Nazajutrz starzec
wychodząc z domu
już dzwonka nie usłyszał. Doszedłszy więc do owego miejsca, gdzie
napotkał
nieznajomego, rzucił pałkę, przeżegnał się,

coś się szyderczo zaśmiało, a dzwonek znowu się ozwał.
Przy Gersau u stop Rigi jest kaplica, co się zowie Kindleinmord's
Kapelle.
Postawiono ją na miejscu, gdzie ojciec swego syna zabił. Wyrodny ten
człowiek
był muzykantom. Włócząc się po jarmarkach i szynkowniach, strwonił
cały majątek.
Żona i dwoje dzieci umarło z głodu. Jeden mu synek pozostał. Razu
jednego grał
przez parę dni na weselu, a dziecię nic nie jadło. Gdy wrócił do domu,
niebożatko woła chleba. Ojciec rzuca mu kamień i zabija go. Z trwogi
przed karą
ucieka i zaciąga się do obcego wojska. Po bardzo wielu latach, gdy już
porządnie
się zestarzał, wraca w swoje strony. Niepoznany, włóczy się znowu po
karczmach.
Raz w hulaszczem towarzystwie upija się tak mocno, że zasypia
strętwiąły, jak
kamień. Napróżno towarzysze usiłują go przebudzić. Gdy im się to
wreszcie po
wielu próbach udało, utrzymują dla żartu że spał dwa dni całe.
Pogadanka przy
kieliszku na nowo się ożywiła. On miał zawsze wiele do opowiadania
z swych

przygód żołnierskich. Przyszła mowa o zbrodniach. Jeden z obecnych twierdził, że każda wyda się i po latach, "Oj nie, odpowiada rozmarzony muzykant, wczoraj, kiedym spał, minęło lat od dnia, w którym zabiłem syna". — "Nieprawda, krzykną wszyscy, tyś dwóch dni nie spał, dziś rocznica". Zaczem pojмали go i pod sąd oddali. Ubogiemu węglarzowi w Flimserwald, (obok którego szła nasza droga, gdyśmy do Flims się zbliżali),

urodził się syn. Biedak nie miał za co chrzcina sprawić. W kłopotcie chodząc po księżycu w lesie, spotyka nieznajomego w kusym czarnym ubiorze, z kapłoniami piórami na głowie. Usłużny wędrowiec, wybadawszy czemu się tak frasuje, przyrzeka urządzić mu wspaniałe chrzciny, ale pod warunkiem, że jeżeli w czasie biesiady węglarz kichnie trzy razy, a nikt mu z gości nie powie Helf-Gott, wtedy zapisze się w służbę za życia i po śmierci swemu darodawcy. Węglarz poznał z kim miał do czynienia, ale się nie mógł oprzeć pokusie. Nadeszły chrzciny. Biedny ojciec modlił się gorąco i postanowił sobie, że będzie całe życie pracował, aby pożyczone pieniądze kusicielowi zwrócić. W czasie biesiady kicha raz, dwa, goście tylko Vivat krzyczą. Kicha raz trzeci, i przerażony nie słyszy znowu nic prócz tego samego okrzyku. Wszystko zaczyna się chwiać, dach trzeszczy, wpada

tłum czarnych potworów, chcą go już porwać, — w tem odzywa się z kolebki głos
"Helf-Gott", rzesza szatańska znika, a węglarz zbawiony.
— "Jakby to dobrze było (rzecze Władysław, gdy tej powieści wysłuchał), puścić taką przestrogę między lud nasz, aby nigdy nie odszedł od tak pięknego zwyczaju, jaki dotąd zachowuje, poczynając wszystko od Boga i pozdrawiając w imię Chrystusa. Słyszę jednak, że w Poznańskim landwerzysci wracający z wojska rzadko już witają cię dawnem "Niech będzie pochwalony", lecz natomiast po junacku z niemiecka łaskawie ci życzą "Dzień dobry". Jeszcze nasz Anton miał pewnie sporo powia-

stek w zapasie, gdyśmy wjechali w poczerniałe mury tego starożytnego grodu, co się dawniej po romańsku Ilon, jakby Iljon, nazywał. Jedna z kronik VIII wieku mówi o nim jakby o najpierwszym mieście nad Renem. Dzisiejsze Hanz nader niepokojnie wygląda. Mury zębate wałają się. Ulice ciasne i kręte. Wypłowiały fresk na bramie, Herby na starych domostwach, jedyny przedmiot, co zwraca uwagę. Ren przecina miasto i nieco rozwesela jego ponurość. Tu była stolica Ligi Szarej, tu sejm tej Ligi zbiera się jeszcze co trzy lata, a archiwa jej przechowuje ratusz. O ile miasto zawodzi oczekiwanie podróżnych, o tyle znowu nagradza im widok na okolicę i na całą prawie dolinę, tak na wschód ku Reichenau, jak na zachód ku Dissentis. Ciągnie się ona blisko mil naszych. Od

północy oddziela ją od kantonów St. Gali, Glaris i Uri olbrzymia
ściana gór, z
których Calanda, Toedi i Crispalt najwyższe. Od południa Alpy
Retjańskie, z
mnóstwem wrzynających się w nie dolin, z których kilkadziesiąt
strumieni dąży do
Renu. Główna dolina, w ogóle wązka, rozszerza się nieco przy Ilanz.
Poboczne tak
ciasne, że możnaby je drzwiami zamknąć. Klimat najrozmaitszy.
Orzech włoski
rośnie tylko do Tavanasa, jabłoń i grusza do Dissentis, wiśnia do
Sedrun,
jęczmień do Chiamut, jarzyny do Selva. Stanęliśmy na nocleg pod
Lwem. Gospodarz,
gadująca jeszcze większy, niż ten, co nas po Chur oprowadzał, nie dał
nam chwili
wolnej przy wieczerzy. Dowiedziawszy się, żeśmy Polacy, częstował
nas
opowiadaniem o na-

szych rodakach w Szwajcaryi. Rozwodził się mianowicie o jakimś
hrabim R., co
zyskawszy obywatelstwo w Tessynie, rzucił się z okna i zabił. Pewnie
to mowa o
znanym obywatelu z Poznańskiego, ale nie chcieliśmy dalej w tę
smutną co do
sprawców i przyczyn nieodgadnioną tajemnicę wchodzić. Unosił się
także nad
Polską, a to z tej miary, że jego przyjaciel Walter doskonale interesu w
Warszawie robi. Pragnął i on tam się dostać. Ztąd to bowiem, równie
jak z doliny
Engadin najwięcej cukierników w Polsce osiadłych pochodzi. Tak to
Szwajcar,
jeżeli opuszcza swój kraj, to jedynie dla zysku. Dobrze przynajmniej,
że nam
słodzi życie, inni cudzoziemcy je zatruwają.

Nazajutrz już przed szóstą ruszyliśmy w dalszy pochód. Aż do wioski Ruvis zła bardzo droga. Tu przeszedłszy na prawy brzeg Renu, wyborną ścieżką puściliśmy się przez łąki, nad którymi panuje piękna wieś Ober-Saxen, a nad nią ruiny aż czterech zamków. Z dołu nie dobrze ją widać. Kobiety w czarnych kapeluszach z rozciągniętymi skrzydłami, koszą siano. Znać protestantki. Gdzie rola uprawna, tam wszędzie tylko konopie, kukurudza, a po bokach berberys. Następnie przebywa się Ulatschbach, który, nim się rzuci do Renu, tworzy piękną kaskadę. Za Tavanasa, gdzie ostatnie orzechy włoskie rosną, przeszliśmy po chwiejącym się moście znowu na lewy brzeg rzeki. Wszędzie na wyżynach ruiny zamków, a przytem gustowne szałety, drzewa owocowe, a daleko nad niemi śniegi. Tu na północ otwiera się ku

Glaris przesmyk Panix, którą Suwarow, spłoszony zwycięstwem Francuzów nad Korsakowem pod Zurich, przedzierał się w początkach października z Glaris na dolinę Renu, z kądem dostał się do Bawaryi, straciwszy całą artylerię i blisko połowę ludzi. Przed samem Trons znajduje się kaplica świętej Anny. Obok niej stoi stary platan, pod którym w zawiązano Ligę Szarą. Przysięgę ponawiano co lat dziesięć. Czterechsetletnią rocznicę obchodzono tu bardzo uroczyście maja . Pień jest stary, musiało pierwotne drzewo zwalić się albo spróchnieć, ale

nowe okazale od pnia wyrosło. Gdym się schylał, by na pamiętkę
odłamać kawałek
spróchniałego, wyleciał piękny motyl, zwany atalanta. Stały mi
przed oczyma
miejsca rodzinne, gdzie chłopięciem uganiał się za podobną, a
potem cała
Polska, i nie mogłem się odjąć nadziei, że kiedyś może i między
rodami
słowiańskimi związek takiej trwałości powstanie. Na bocznych
ścianach kaplicy
freski, niedawno odświeżone, z których jeden przedstawia pierwsze
zaprzysiężenie
Ligi w , drugi ponowienie jej w . Nad portykiem o czterech
kolumnach
wielce nas pouczający napis:

In libertatem vocati estis.
Ubi Spiritus Domini, ibi libertas.
In Te speraverunt patres;
Speraveniunt, et liberasti eos.

W Trons stanęliśmy w zupełne cztery godziny z Hanz, właśnie na
czas, by być na
wielkim nabożeństwie jako w święto Wniebowzięcia. Do kościoła

na. wzniosłości prowadzi droga krzyżowa. Pełno księży, dwóch
Kapucynów przy
wielkim ołtarzu. W ławkach osobno mężczyźni i kobiety a po bokach
panny i
dzieci. Trons z resztą nie zawiera nic ciekawego, prócz może
wielkiego gmachu,
gdzie rezyduje jeden z dygnitarzy opactwa Dissentis, gdzie się
znajdują
wizerunki wszystkich Landrichter od , i gdzie dziś właśnie miała się
zebrać

kapituła. Nie mając czasu, ruszyliśmy w godzinę dalej. Gęste wioski, oberże pod olbrzymim Wilhelmem Tellem, Zum einen Glass Wein i t.p. Wieś Sumvix (summus vicus), nadobnie na wzgórzu rozłożona, z rozległym widokiem na dolinę tegoż nazwiska, ciągnącą się na południe, którą zamyka wspaniała piramidalna góra Greina. Coraz lesiściej, droga często przerywana wodą i naniesiona kamieniami, nie brak kaskad, liczne mosty. Przed samem Dissentis, do którego z Trons szliśmy trzy godziny, ruiny zamku Castelberg z zębatego wkoło murami. Dissentis (Disertinum, désert, pustynia, po romańsku Monster czyli Monasterium) leży pod lesistą górą Vakarara, przy spływie wyższego Renu ze średnim (Vorder-Rhein i Medelser czyli Mittel-Rhein). Nad wsią wznosi się sławne benedyktyńskie opactwo, założone w VII wieku przez szkockiego mnicha Siegbert, jednego z towarzyszy św. Gallusa. W opat Piotr Pultinger głównie się przyczynił do zawiązania Szarej Ligi. W opat Krystyn de Castelberg, groźny przeciwnik protestantyzmu, został wyniesiony przez Maksymiliana II na

godność księcia cesarstwa. W Francuzi spalili opactwo, mszcząc się za wyrżniętych tu grenadyerów w czasie ogólnego powstania, wywołanego przez Austryę. Spłonęła liczna i znakomita biblioteka, a w niej pełno kronik, manuskryptów i dzieł szacownych. Kościół obszerny, błyszczący wewnątrz od złota, zastaliśmy otwarty ale pusty, znać wszystka ludność wyruszyła do Trons lub na

inny jaki odpust w okolicy. Nie mogliśmy przeto odszukać, gdzie
leża ciała
świętej Bazylei i św. Liberata, wielce tu od pobożnego czczone ludu.
W ogóle,
opactwo nie odpowiedziało naszemu oczekiwaniu. Natomiast nie
mogliśmy się dość
nacieszyć widokiem, który ku wschodowi sięga aż do Chur, a na
południe do
lodospadów Medels i przesmyku Lukmanier. Jest to jeden z najmniej
wzniesionych
przesmyków między i Szwajcaryą a Włochami. Już Pepin i Karol
Wielki przebywali
go z licznem wojskiem w wojnie przeciw Lombardom. Dziś jest
mowa, że tamtędy ma
być ', przeprowadzoną droga żelazna.
Posiliwszy się w oberży Pod Orłem, lubo już mocno strudzeni,
ruszyliśmy z
przewodnikiem dalej, aby stanąć na noc w Ruaeras. Droga przykra.
Lud już mówi
tylko po romańsku. Gęste lasy, Ren mały, ale szumi w przepaściach,
okrażając
kamieniste wysepki. Po ciężkiej w górę drodze wchodzimy na
urodzajną dolinę
Tavetsch, okoloną śnieżystemi wyżynami, z których co rok straszne
spadają
awalansze i niszczą dobytek mieszkańców. Ludność silna, zdrowa,
urodziwa,
osobliwie kobiety. We dwie go-

dziny od Dissentis stanęliśmy w stolicy tej doliny, w Tavetsch czyli
Sedrun. Tu
przyłączył się do nas młody ksiądz. Temu towarzystwu zapewne
winniśmy byli, że w
dalszej drodze wszędzie nam kobiety jak najuprzejmiej dygały.
Wymienia on nam

góry okoliczne, z których Baduz, Piz-Cocken i Mota najczęściej
spustoszeń swemi
śniegozwałami zrzadzają. Przeszedłszy jeszcze parę osad, stajemy z
radością w
Ruaeras o szóstej, po dwunastogodzinnej drodze. Było to dobrem
przygotowaniem do
trudów, które nas dalej czekały.
Ruaeras, którego nazwa jak wielu innych tu miejscowości od rus
pochodzi,
wystawionem jest na częste klęski z powodu śniegów zsuwających się
z góry
Crispalt. Już raz jedna awalansza na sto stóp wieś tę pokryła.
Odkopano
ludzi, straciło życie. Teraz na stokach pobudowano zasieki i tamy, ale
jakżeż
to słaba obrona. Stanęliśmy w oberży, którą nam wszędzie wprzód
chwalono, a
która się niegodziwą okazała. Gospodarza nie było, wyjechał gdzieś
na wybory.
Zastępowała go i królowała w tem drobnem państwie jego córka
Fausta prawdziwie
po rzymsku. Chcieliśmy nazajutrz dotrzeć do źródeł Renu.
Wypytujemy się, prosimy
o przewodnika, ale nikt o nich nie wie, a piękna ale zachmurzona tych
miejsc
władczyni odpowiada gniewnie, że Ren źródeł nie ma. Usłużny
ksiądz, który z nami
przybył, tłumaczy nam wreszcie, że tak ich jest wiele, iż jednego
głównego
naznaczyć nie można. Prosiliśmy go, aby nam przynajmniej wymienił
te, co są
najdal-

sze, najobfitsze i co dają początek tym strumieniom które w swym
biegu najczęściej
innych chłoną.

— "Trzeba wam wiedzieć — rzekł — że są trzy główne Reny. Pierwszy, Vorder-Rhein (przodowy, wyższy, naczelny), wypływa z małego jeziora Toma, znajdującego się w zagłębieniu góry Baduz. Wątpię, żebyście chcieli wziąć liczne strugi, co się w to jezioro sączą, za początek rzeki. Potok ten przy Chia mut zwiększają dwa inne. Pod Dissentis łączy się on z Renem środkowym, który wychodzi z jeziora Dim przy Lukmanier położonego. Tak wzbogacony, i już zasługujący na miano rzeki, zwiększą się od Dissentis do Reichenau przeszło sześćdziesięcioma strumieniami, z których każdy już złożony z wielu i innych, do nazwiska Ren przybiera przydomek od doliny, z jakiej wybiega. Pod Reichenau wreszcie wpada weń Hinter-Rhein (tylny, niższy), wypływający z lodospadu pod górą Adula, i już znakomity połączeniem mnogich strumieni i kilku rzek znaczniejszych. Które z tych trzech ramion jest najpotężniejsze, trudno powiedzieć. Ren nie jedno, ale i ma kilkaset źródeł".

— "Tak — zauważyłem — dzieje się mniej więcej ze wszystkimi rzekami. I wartoż to tyle trudu, tyle ofiar, co już naprzykład wyszukiwanie źródeł Nilu kosztuje?

Prawda, że w ten sposób odkrywają się kraje nieznanne".

— "Dla was — dodał ksiądz — niech będzie kolebką Renu jezioro Toma. Może się i nie pomylicie tak sądząc. W każdym razie, jeżeli koniecznie pra-

gniecie dotrzeć do jednego z główniejszych początków naszej rzeki, tego

najbliżej jesteście".'

— "A czy tam — wtrącił z uśmiechem Władysław — ujrzemy przynajmniej grono ruszałek i najad podobne temu, o jakim Moore powiada, że

Pląsa radośnem kołem przy kolebce Nilu,
Witając pierwszy uśmiech dziecięcia-olbrzyna".

— "Chyba dzikie kozy i orły — odpowie ksiądz — i dla tego radzę wam wziąć

raczej strzelbę jak fujarkę".

Nie wiedząc zatem czy warto docierać do początków tak niepewnego rodowodu, a jak

Władysław zauważył, wodorodu, zamówiliśmy przewodnika na cały dzień następny z

warunkiem, że po drodze namyślimy się czy zboczyć do jeziora Toma, czy iść

wprost do Andermatt przez Oberalp.

Nazajutrz ranek był zimny, bośmy już weszli bardzo wysoko, podobno o stóp

nad morze. Tem pewniejsza pogoda. Słońce wspaniale wschodziło.

Rzesko też

puściliśmy się w drogę, nie czując najmniejszego zmęczenia po dniu wczorajszym.

Nie było to zasługą ani wygodnego noclegu, ani uprzejmego przyjęcia przez

Faustę, — która owszem obdarłszy nas niegodziwie, jeszcze z przededrzwi, zamiast

życzyć pomyślnej podróży, rzucała na nas gromy gniewnego wzroku.

Gdyśmy się

pytali przewodnika, czy ona zawsze tak przyjmuje gości,

odpowiedział na wpół

tajemniczo, że to

tylko tak wczoraj, bo korzystając z niebytności ojca, pewnie się z kim zejść

umówiła, a tu myśmy jej przeszkodzili.

Z początku droga wiodła stromo w górę. Zastępuje nam stado kóz, przez które ledwieśmy się przedarli. To może korybantki broniące przystępu do kolebki Renu.

Na prawo widać wieś Mittelplatte, później Giuf pod górą Crispalt, z lodospadem,

który często podróżni zwiedzają. Na lewo zwraca uwagę stara kwadratowa wieża,

wysunięta na sam czubek prostopadłej skały, pod którą warczy Ren w przepaści,

dalej wioska Selva czyli Auf dem Holze, a za nią Chiamut,

wzmiankowana raz ztąd,

że to jest może najwyżej położona wioska w Europie, gdzie jeszcze zboże,

osobliwie jęczmień, się rodzi, powtóre, że jej mieszkańcy pierwsi powstałi

przeciw Francuzom w r. Od Chiamut na lewo otwierają się dwa wąwozy. Bliższy

podchodzi pod wierzchołki i lodospady góry Cornera, z kąd wedle naszego

przewodnika prawdziwy Ren wypływa, ale aż godzin drogi do samych źródeł.

Dalszy wąwóz, kreto się Załamując, idzie pod sam Baduz, gdzie na jednym z

płaskogórzów znajduje się jezioro Toma. Pod Chiamut oba te Reny się łączą.

Przewodnik nasz twierdzi, że pod Baduz żadnych źródeł nie ma, tylko woda ze

śniegów, i że jezioro Toma nie warte widzenia, bo małe, a zielone i bezrybne, co

także dowodzi, iż z wód źródłanych nie powstaje. Przystanęliśmy w miejscu, gdzie

się ścieżki rozchodzą. Tu należało wziąć postanowienie. Po długich naradach

puściliśmy wybór na większość głosów. Władysław był za poświęceniem kilku godzin dla jeziora Toma, choćbyśmy tego dnia do Andermatt na noc nie mieli zdążyć. Ja zaś i przewodnik z rozmaitych pobudek woleliśmy z drogi nie zbaczać.

— "Zachowaj — rzekłem Władysławowi — ochoczość i nogi twoje dla daleko piękniejszych miejsc, które nas oczekują. Tam będzie wybór trudny, gdyż wszystkiego zwiedzić nie podobna. Tu utrudzilibyśmy się, a nie moglibyśmy nawet wrócić z przekonaniem, żeśmy do źródła choć jednego z trzech głównych Renów dotarli. Pocieszmy się wreszcie tem i osiągnijmy ztąd naukę, że również na próżno mozoliłby się ten, coby czynom ludzkim i wypadkom historycznym wynajdował jedno tylko źródło i pobudkę. Może też Rodan łaskawiej nam tajemnicę swych początków odkryje. Korzystajmy z pogody, by ku niemu pospieszyć". Pomknęliśmy więc wprost ku dolinie Urseren. Władysław długo jeszcze spozierał za siebie jakby mu żal było rozstać się z ulubionym Renem i z myślą, że dotrze do jego źródła. Droga szła najprzód ciężko w górę, potem nieco w dół i równo, wreszcie nadzwyczaj stromo do samego przesmyku Oberalp, przeszło stóp nad poziom morza wyniesionego. Przesmyk ten, położony między górą Baduz od południa a Crispalt od północy, stanowi granicę Gryzonów. Weszliśmy w kanton Uri. Zaraz po drugiej stronie grzbietu jezioro Oberalp. Tu właśnie lat temu (sierpnia) Austriacy stoczyli krwa-

wą i niepomysłną, bitwę z Francuzami, którzy ich przepędzili w
Gryzony. Dotąd z
jeziora, sławnego f z swych pstrągów, rybacy wydobywają, czaszki i
kości
potopionych żołnierzy. Na niem dwie wysepki, łódka u brzegu.
Przewodnik radził,
abyśmy się przewieźli i tam śniadali, ale nam ochotę odjęła pamięć na
to, co te
głębie w sobie jeszcze kryją. Poszliśmy dalej, i nadybawszy wielki
płyt
kamienny, Siedliśmy, by odpocząć i posilić się. Mieliśmy w zapasie
ser doskonały
z Tavetsch, szynkę i wódkę z gentiany. Dwa są wedle kwiecica gatunki
tej rośliny,
którą się wszędzie tu spotyka: gentiana lutea i purpurea. Z tej pędzi się
mocny
ale zdrowy, i nawet w chorobach przez mieszkańców zalecany napój,
zwany Enzene
Wasser. Przy największem zmęczeniu nieraz nas maluczki kieliszek
wybornie
pokrzepił. Gdyśmy wstawali do dalszego pochodu, Władysław
spozrzegł trzy
krzyżyki na kamieniu. Przewodnik powiada, że te wyryto dla
odstraszenia
czarownic, które tu dawniej harce odprawiały. Schodzimy to łąkami,
to obszarami
zwalonych skał, po przykrych kamykach, ciągle nad Hinter-Reuss,
która z jeziora
Oberalp wypływa. Stopniowo odkrywa się widok na całą dolinę
Urseren aż do Furca.
Po przebyciu wioski Oberalp sławnej z wyrobu serów, stajem dobrze
przed
południem w Andermatt.
Jak pierwszy od wschodu wolny gościniec z Niemiec do Włoch szedł
przez Chur i
Splügen, tak tędy jeszcze większy i sławniejszy przechodzi ku
przesmykowi Śgo

Gotarda. Postanowiwszy podążyc

na zachód przez Furca do źródeł Rodanu, nie mogliśmy zboczyć ani na południe ku szczytom Śgo Gotarda, ani na północ ku Altorf nad jeziorem Czterech Kantonów, choć oba te kierunki są pełne miejsc ciekawych. Tak to w Szwajcaryi wybór jest trudny, nikt nie może wszystkiego, nawet znakomitszego, widzieć, i trzeba silnego postanowienia, aby wytrwać przy raz obranej drodze. Że jeszcze była godzina do obiadu, poszliśmy obejrzeć Pont du Diable na drodze ku Altorf. Jest mniemanie, że dolina Urseren była niegdyś jeziorem, w które wpływała rzeka Reuss, jedna od Śgo Gotarda, druga z jeziora Oberalp wychodząca. Ta wieki pracowała nad tem, aby przebić ścianę, co ją oddzielała od spadzistego wąwozu, wiodącego do jeziora Czterech Kantonów. Nareszcie przedarła się, a rozwaliny tej strzaskanej ściany tworzą dziś miasto olbrzymich i dziwacznych łomów, jakby szczątki granitowej twierdzy wysadzonej w powietrze. Rzeka zdobyła już sobie drogę, ale ludzie jej jeszcze nie mieli. Musiano się wdzierać na te łomy diabelską (jak tu wszystko) górą nazwane, i rzucić most po nad rzeką, która opryskując go swą pianą, dała mu miano die staubende brücke. Most, ten, lubo utwierdzony na łańcuchach żelaznych, na zbyt częste przypadki narażał przechodzących Wybito więc obok galerye na stóp długą w r. i to się

Urnerloch zowie. Dawniej tylko ludzie i konie mogli nią, przechodzić.
Teraz
rozszerzona daje dwom powozom łatwo się minąć. Po za nią schodzi
się kilkoma
skrętami śmiało rzuconej drogi do

djabelskiego mostu. Nie djabeł jednak, ale pobożny opat Gerard z
Einsiedeln w
dwunastym wieku pierwsze tu przejście zbudował. Dzisiejszy, nowy
most, w
postawiony, przeskakuje jedną arkadą przez pieniającą się rzekę. O
jakie dziesięć
stóp niżej utrzymuje się jeszcze stary, wązki, bez parapetów, cały
mchem okryty,
i zdaje się swą sędziwością nowemu dumniejszemu ten sam los
przepowiadać, gdy
może kiedyś tędy droga żelazna przechodzić będzie. Silne wrażenie
wzmaga tu
jeszcze rzeka, która wysokim spadkiem rzuca się w przepaść, tumany
pary na okół
ciskając. Było południe, słońce nie tylko w całym przepychu świeciło
ale grzało,
chłód więc tej rosy był bardzo orzeźwiającym. Dodawały jeszcze tej
scenie uroku
prześliczne tęcze. Nie mogliśmy się ich zmianom i powiewnym
blaskom napatrzeć, i
bylibyśmy długo jeszcze tu pozostali, gdyby nie nadchodzący dyliżans
od Altorfu,
który całą czeredę Anglików przed mostem wysadził, a ci okrzykami
podziwu,
czerpaniami z Murraya, bo więcej w swe czerwone książki niż na
otaczający widok
patrzeli, spędzili nas z mostu od razu.
Zjadłszy w Andermatt pod Trzema Królami obiad na prędcie,
umykając przed

Anglikami, zabraliśmy . się w drogę ku Furca, aby przynajmniej w
Realp u
Kapucynów zanocować. Obok drogi do Hospenthal jak murowane
wieże stoją dwie
szubienice, bo Andermatt, stolica tej doliny, miało dawniej swe
udzielne
sądownictwo. W Hospenthal, które wywodzi swe nazwisko od już nie
istniejącego
hospice,

wstąpiliśmy na zaleconą nam przez przewodnika kawę do oberży
Müllera. Po
ścianach obrazy przedstawiające zwycięstwa Rosyan nad Turkami.
Moskale w
pochodzie swoim przez tę dolinę strasznie ją zniszczyli, wycięli
jedyne las,
który się na niej znajdował i który chronił Andermatt od
śniegozwałów. Mimo tego
zachowuje się tu dla nich wielki respekt. Może też pochodzi to z
podziwu dla
Suwarowa i jego armii, która z armatami i całym rynsztunkiem
przedzierała się
ścieżkami, zaledwie najodważniejszym pasterzom znanymi. Na skale
przy drodze
wrytą jest data września roku, jako dnia, w którym Suwarow,
odparłszy
Francuzów, tędy przechodził. Bił on się jeszcze z nimi i przy
Urnerloch i przy
Moście Diabelskim. Zdołali go oni wstrzymać o tyle, że nie mógł
przybyć
Korsakowowi w czas na pomoc pod Zurich, a nie znalazłszy w Altorf
żadnych
przewoźnych statków, bo je tamci byli zabrali lub zniszczyli, musiał
puścić się
w tę awanturniczą po górach wycieczkę a potem ucieczkę, która go
połowy ludzi i

całego ryzsztunku wojennego pozbawiła. W tymże roku przy Moście Diabelskim (sierpnia) bili się także Francuzi z Austryakami. Ci nie mogąc się oprzeć, zniszczyli most po części, ale tamci pnąc się jak kozy dzikie po skałach prawego brzegu rzeki, przepędzili ich ku Oberlap, a zwyciężywszy ich powtórnie we dwa dni później nad jeziorem tegoż nazwiska, wepchnęli resztę do Gryzonów. Patrząc na te niedostępne góry, trudno po-

jać, że tu się mogły rozgrywać walki tak odległych narodów. W Hospenthal opuściliśmy drogę bitą do św. Gotarda, a skierowaliśmy się mniejszą., prawie ścieżka, do Realp. Tu wypadł nam nocleg bardzo wcześnie, bośmy wkrótce po czwartej przybyli, ale dalej aż do Grimsel (cały dzień drogi) nie było żadnej gospody. Klasztor Kapucynów, założony w , przyjmuje tu podróżnych, bardzo łaskawie z nimi się obchodząc. Widok okazały z jednej strony na zębata Spitzliberg, z drugiej na Mutthorn z lodospadem Weisswasser. W mojej celi, mając tę ostatnią przed oknem, zabrałem się zaraz do mego dziennika, bo mi chodziło o dokładny opis naszej wędrówki po Gryzonach, które mało kto odwiedza. Gdyśmy zeszli do refektarza na wieczerzę, zastaliśmy już trzech innych gości. Jeden mały, niepoczesny człowieczek, z okiem ruchliwym i głosem jak derkacz, zaraz się do nas przyczepił i pompatycznie wymieniwszy swe nazwisko, godność swą docenta przy jakimś uniwersytecie niemieckim, zapytał jakiej jesteśmy

narodowości, a gdy się dowiedział żeśmy Polacy, począł rozwodzić się nad
wzniosłem, poetycznym, ale próżnym bohaterstwem Polski, "en pure
perte", a raczej
"en bure berte", jak złą wymową dodawał. Znać od razu było
stronnika Rosyi, więc
milczeliśmy. Unosił się nad Orłowem, z którym miał zaszczyt raz
rozmawiać. "To
mi śliczne nazwisko (prawił), godne takiego człowieka, Orloff, oręł,
adler,
aigle, aąqila, aetos!" Ale gdyśmy i w tę nomenklaturę językową
wdawać się

nie chcieli, zagabnął nas coś z filozofii, oświadczaiąc że jest
Pitagorejczykiem, i że w jego mistrzu cała mądrość ludzka się mieści,
do której
nic dodać, od której nic odjąć najdalsze wieki nie zdołają. Chodzi
tylko o to,
aby wszyscy nią się najszczerzej przejęli Bagatela! Na dowód
wszechstronności i
prawdziwości tej nauki, ofiarował się przytoczyć na każdą potrzebę
ludzką
nieodzowne prawidło i radę. Jakoż gdy soli brakło na stole, do którego
zasiedliśmy, zawołał: Salem apponito, bo bez soli wszystko
niezdrowe. Odsunął
zaś z pogardą postumencik, gdzie był ocet, pieprz i musztarda, grożąc:
Acetarium
vas abs te removeto, gdyż nic tak nie psuje żołądka, jak te przyprawy.
Podano
pieczeń, zajadał smacznie, ale gdy przyszła jakaś potrawka, rzekł ze
wstrętem:
Testa et cor animalium ne comedas. Postawiono na stół fasolę. Zaraz
wtrącił: A
fabis abstineto. A gdy ujrzał, że jeden z jego towarzyszków bierze do
ust ser

lewą ręką, wstrzymał go rozkazem: Sinistra cibum ne sumito. Ktoś
chciał podjąć
kawalek chleba, co mu upadł, a Pitagorejczyk zaraz: Quae ceciderunt
e mensa ne
tollito. Dość mieliśmy już tego, i skoro wieczerza się skończyła,
powstaliśmy ze
stołków pod pozorem, że musimy pójść do siebie, aby przepakować
tłomoczki. I
tego nam nie darował, ale życząc dobrej nocy, wołał jeszcze za nami:
Stragula
semper convoluta habeto. "A to oryginał (rzecze Władysław
zamykając drzwi za
sobą), jaka fakunda, któżby się domyślił, że jest wyznawcą mistrza,
który za
pierwsze kardynalne prawidło stawiał mil-

czenie i uczniom swoim na kilka lat usta zamykał". — Dobra nauka
(pomyślałem)
dla Władysława, jeżeli takie uczone gadulstwo odstręczy go do reszty
od
popisywania się i głośzenia innych nawałem wiadomości i frazesów,
co mię w nim
przy pierwszym poznaniu niemile uderzyło, a w czem się znacznie już
umiarkował.

* * *

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

LODOSPADY RODAKU I AARY.

Jeżeli nic pożądaniejszego w podróży jak miły towarzysz, to znów
prawdziwą kieską

jest natrętnik, który zdaje się na to tylko ruszył w drogę, aby innym psuć przyjemne wrażenia. Skoro cię raz uchwyci, już się odeń nie odczepisz, musisz wysłuchać wszystkich jego przechwałek, rad i nakazów, być przygotowanym, że zawsze pierwsze przed tobą zabierze miejsce, czy w hotelu, przy stole, czy przy oglądaniu jakich ciekawości, i że ci zedrze urok z każdego widoku swemi niewczesnymi uwagami, a gdybyś jakim przypadkiem zdołał mu się wymknąć, niezawodnie znajdziesz go czyhającego na ciebie na następnej stacyi lub noclegu. Taka bieda miała na nas spaść teraz, bo gdyśmy nazajutrz wybrali się w drogę, już nas u drzwi czekał Pitagorejczyk, głośno oświadczając, jak jemu i jego dwom przyjacio-

łom miłem będzie towarzyszyć nam do źródeł Rodanu i dalej. Zaraz też począł uprzykrzać się nam swemi sentencyjami. Przewodnikowi, obarczonemu tłumoczkami, chciał Władysław nieco ulżyć i sam wziąć jakąś torebkę, ale profesor na to: *Hominibus onus simul imponendum, non detrahendum*. Ledwieśmy ruszyli, zaszło nam drogę bydło i kozy idące na paszę. Pitagorejczyk woła, byśmy się usunęli, bo *Praegredienti gregi a via cedendum*. "Nie pozbędziemy się go — szepnąłem Władysławowi — jedyna rada, masz silniejsze płuca, przegadaj go". Jakoż zaczęła się zaraz między niemi dwoma żwawa rozmowa o polityce, o Rosyi i Polsce.

Przyspieszyłem kroku by się oddalić i niesłyszeć. Dwaj ostatni pozostali w tyle.
Zdało mi się, że Moskale. Przez grzeczność zapewne nie odzywali się oni wcale,
skoro dowiedzieli się, żeśmy Polacy. Zresztą, gdy profesor raz głos zabrał,
trudno było co wtrącić. Znać jednak, że Władysław coraz więcej brał nad nim
górze, gdyż coraz donośniej mówił. Tak szliśmy rozciągniętym szykiem, pnąc się ku
skalistym widłom, które temu przesmykowi nadały nazwisko. Spoczawszy nieco na
dolinie Sidlialp, gdzie kilka chat, i gdzie podobno botanicy wszystkie skarby
alpejskiej Flory znajdują, wdarliśmy się wreszcie, po blisko trzygodzinnej
mozolnej od Realp drodze, na Furca.
Zachwalany podróżnikom ten przesmyk, z daleka odpowiada w pewnej mierze swemu
nazwisku, ale nie z bliska. Widziałem prawdziwe granitowe widły w Pireneach w
Col de Venasque, którądy droga

do Maladetty. Tam zaledwie jeden człowiek przecisnąć się może. Tu zaś dość
obszerne na kilkanaście kroków miejsce między skalami, a te nawet nie tak
zestawione, aby mogły bramę wyobrażać. Obejrzałem się raz jeszcze ku wschodowi na
dolinę Andermatt. Za Oberalp, która wydaje się drugą Furką, taje w błękitach
Baduz i Crispalt. Wśród bezlesistej przestrzeni, nagich skał i płowych pastwisk,
oko zatrzymuje się jedynie na ciemnym lasku nad Andermatt.
Natomiast

najokazalszy widok ku wschodowi na Oberland Berneński, osobliwie na Finsteraarhorn. Jungfrau nieco na prawo wygląda. Nie jest to najlepsze położenie, by objąć cały obszar i wszystkie wierzchołki tego majestatycznego amfiteatru; gdzieindziej przedstawia on się rozciąglej, dokładniej, ale kto tu pierwszy raz go widzi, oniemieje z wrażenia Długo też Władysław milczał. Nawet profesor mu nie przeszkadzał. Wszystko, co dotąd widzieliśmy, drobniało przez porównanie. Tak byliśmy zajęci widokiem tyłu szczytów, tyłu lodospadów, iż nie prędko spostrzeżliśmy, że na śniegu stojemy. Ależ można było to wziąć za posłanie kwiecica białego, bo słońce dogrzewało a motylki przelatywały po kwiatkach przebijających się przez puch śniegowy. Krzyż oznacza tu granicę między Uri a Vallais. Nieco o podal znaleźliśmy skałę wystającą sklepieniem naprzód. Tam usiedliśmy dla ochrony od słońca; przewodnik odpakował kobiałkę z prowizyami i wzięliśmy się do śniadania, nieco wstydząc się, żeśmy mogli myśleć o krzepieniu ciała, tam gdzie było tyle

pokarmu dla ducha. Ale temu także winniśmy byli niemała ulgę, bo się nasz prześladowca usunął na bok z swemi towarzyszami. Nie na długo jednak, bo gdy po skończonej uczcie Władysław wybiegł, aby laską zapisać na śniegu datę naszego tędy przejścia, usłyszeliśmy z pod przeciwległej skały: In nive ne scribito. "A

imie twoje zapisane na wodzie" — odkrzyknął Władysław. Nic to nie pomogło, bo profesor spostrzegłszy, że słońce bije w oczy jego przeciwnikowi, zawołał: Ad solem versus ne loquitor. Dla przygotowania się do ciężkiej drogi, która nas jeszcze do samego wieczora czekała, Władysław, jako doświadczony już wędrownik, usiadł, aby się przezuć, a tu gdy trzewiki wkładał, słyszy znowu: Dextrum pedem primum calceato, sinistrum vero primum lavato. "Niechże cię nudziarzu!" — wrzaśnie zniecierpliwiony młodzieniec po polsku, dodając potem po niemiecku: "Lepiejbyś pan zrobił, żebyś poszedł za moim przykładem, bo choć tego Pitagoras nie uczy, obetrzesz sobie nogi, jeśli się na każdym odpoczynku nie przezujesz". Profesor przytoczył na to parę nowych sentencji, — nudis pedibus adorato, — angustum annulum ne gestato, — wykrętnie z nich wywodząc, że w obec wspaniałych widoków należałoby dla oddania im czci zrzucać obuwie, i że nie trzeba nosić ciasnych trzewików, ale już mu to nie szło tak gładko, i trochę zmięszany wyjął jakąś książeczkę, a podając ją Władysławowi, rzekł: "Tu w krótkich maksymach jest nauka mego mistrza, a przeto

cała mądrość ludzka; znajdziesz tu pan prawidła na wszystko". — "Dobrze — odrzekł dziękując Władysław — nauczę się na pamięć, ale nie obiecuję panu, iżbym tu, gdzie wszystko podnosi ducha w sfery poezyi, prozą tą obciążał sobie

skrzydła". To mówiąc, ruszył żwawo naprzód, ja za nim, a profesor, jak gdyby zrozumiał przytyk, pozostał w tyle z swemi towarzyszami. Z tej to ofiarowanej przez niego książeczki wypisałem sobie później tę mnogość przytoczonych zdań pitagoresowych, których inaczej nie mógłbym był spamiętać. Stromą nader ścieżką zeszliśmy, a raczej zbiegliśmy szybko ku lodospadowi. Nim się dojdzie do czeluści, z której Rodan wypływa, już jego szum słychać pod ścianami lodu, popękanego u dołu w szczeliny, a piętrzącego się górą w łomy stożków i wieżyc. U samego zaraz brzegu pełno kwiecica, kampanul, smołek, a na nich pszczoł roje. Lodospad ten wypełnia całą przestrzeń między trzema wspaniałymi górami, Geltner, Gersten i Galenstock. Wznosi się licznymi a coraz okazalszemi piętrami przez przeszło milę naszą, tak że gdy u spodu wysokość jego nad poziomem morza jest stóp , u góry przechodzi stóp. Cała jego długość, bo się na wszystkie strony rozlewa, wynosi podobno przeszło trzy nasze mile, które mało kto dotąd przejść zdołał. Rozciągłość, białość, kształt, przedstawiają w nim obraz zamrożonej nagle katarakty. Gdy mi to porównanie, łatwo każdemu nastęrczające się, zrobił Władysław, rzekłem mu: "Szkoda, że wy tak

mało znacie poezye naszych wieszczów-tułaczy. Znalazłbyś oryginalniejsze i piękniejsze porównanie w Słowackim, który mówi:

I szliśmy razem do stóp tej lawiny.
Gdzie śnieg przybiega aż do stóp człowieka
Spłaszczoną płetwą, jak delfin olbrzymi.
Para mu z nozdrza srebrzystego dymi,
A Rodan z paszczy błękitnej ucieka!" —

"Ale i Victor Hugo — rzecze Władysław — rzucił piękną myśl o tych
tajemnych
początkach Rodanu. Umiem ten wiersz na pamięć, bom się męczył
nad jego
przekładem, ale ani podołać. — Mówi on:

Mon petit lac engendre, en l'ombre qui l'abrite,
La riante Amphitrite et le noir Neptunus;
Mon humble étang nourrit, sur des monts inconnus,
L'Empereur Neptunus et la Reine Amphitrite.
Je suis le nain, grand père des géants,
Ma goutte d'eau produit deux océans.
Je verse de mes rocs, que n'effleure aucune aile,
Un fleuve bleu pour elle, un fleuve vert pour lui.
J'épanche de ma grotte, où jamais feu n'a lui,
Le fleuve vert pour lui, le fleuve bleu pour elle,
Je suis le nain, grand pere des géants,
Ma goutte d'eau produit deux océans.
Une fine émeraude est dans mon sable jaune,
Un pur saphir se cache dans mon humble écrin,
Mon émeraude fond, et devient le beau Rhin,
Mon saphir se dissout, ruisselle, et fait le Rhône,
Je suis le nain, grand père des géants,
Ma goutte d'eau produit deux océans.

— "Śliczny pomysł (zauważyłem), ale szkoda najprzód, że nie ma
żadnej podstawy
w rzeczywistości, bo Rodan nie wychodzi z jeziora; żółty piasek na
skalistych

górach i grota, w której nigdy ognia nie było, są tu chyba dla rymu.
Znać z
całego toku, że poeta, kiedy pisał, nie widział był jeszcze tego
majestatycznego
obrazu Lecz jeśli się nie godzi wymagać po poecie dokładności i
zgody z
rzeczywistością, jeśli mu wolno snuć bez granic z imaginacji, to
przynajmniej
winien zachować harmonię w obrazie i nie psuć go zbyt zbytnimi
wtętami. Co tu
robi cesarz Neptun i królowa Amphitrite? A i karzeł nie odpowiada
wdziękowi
pomysłu o dwóch drogich kamieniach, z których Ren i Rodan
powstają. Szkoda, że
temu genialnemu pisarzowi zawsze brak prostoty. Ale jeśliś łamał
sobie głowę nad
przekładem, toś może, jak się zwykle w takim razie dzieje, sam myśł
Victora Hugo
na swój sposób przerobił".
Po zaiskrzonym oku Władysława spostrzegłem, że zgadł, nalegałem
więc, aby się
nie drożył, a on też, wielce się tłumacząc z swej śmiałości, po
niejakim oporze
zadeklamował:

Spiętrzonych lodów góra kryształowa
W tajnym swem Jonie dwa strumienie chowa.
Jeden mknąc szumi: Ja Ocean tworzę!
A drugi szemrze: Ja Śródziemne Morze!
Ów toczy zieleń, ten jasne lazury,
Bo jest jaskinia w samym wnętrzu góry,

Gdzie pod przezroczym stropem Juków szklistych,
Jakby przed latem chroniąca się zima,
Lśni czarodziejka, co w dłoniach przezczystych,
Dwóch mórz rodzice, dwa klejnoty trzyma.

W tej taje szafir — i Rodan się rodzi, —
A w tamtej szmaragd — i Ren w świat uchodzi!

— "Nie pochlebiam ci (rzeknę) wolę twój wiersz od tamtego, choć myślę, że gdyby Słowacki na ten pomysł był napadł, byłby coś cudownego z niej wysnuł. W istocie, kto to wie, co się pod temi obszarami gór i lodów dzieje. Nie potrzeba poetycznego domysłu, geologia może przypuścić że Ren i Rodan łączą się gdzieś swemi początkami pod spodem, a może i Aara i Reuss kojarzą się z niemi, a tak cztery największe rzeki Szwajcaryi, z, których dwie w dalszym biegu stają się główną, ozdobą Europy, miałyby wspólną kolebkę. Wczoraj byliśmy prawie u źródeł Renu, i staliśmy nad jeziorem Oberlap, gdzie się jedno ramię rzeki Reuss poczyna, tu mamy pierwszy wypływ Rodanu, a za parę godzin będziemy blisko źródeł Aaary; — jezioro genewskie jest powiększonym Rodanem, Brięńskie i Thuńskie rozszerzoną Aarą, jezioro Czterech Kantonów rozwięlmóznioną Reuss, a Konstancyęńskie spotęźnionym Renem, — ile to więc cudów w tym tu ciasnym rodzi się zakątku!" I oto stanęliśmy nad otworem, z którego Rodan wybiega. Czasem przy jego wyjściu tworzy się tylko szczelina, lub prosty otwór, niekiedy wykształca się nad nim lodowa kopuła. W tym roku zaokrągliła się tam dość obszerna grota, tak że kto się nie

obawiał rączego strumienia, mógł wejść pod sklepienie. Władysław,
cały
rozmarzony, długo w nią patrzył, ale wkroczyć nie śmiał, jak gdyby na
prawdę
mniemał, że to przybytek jego czarodziejki, a ja zgadując jego myśli,
powtórzyłem mu z cicha wiersz naszego poety:

Tam ją obielił dzień alabastrowy,
I mróz na czole mej jasnej królowej
Perłami okrył wszystkie polne róże,
I ze sklepienia Izy leciały duże;
A we Izach Sylfy z jasnością ogromną
Deszczem spadały na białą i skromną.
Tak nieruchoma stała, a koło niej
Igrały tęcze w blaski rozmaite...

W tem gdy tak dumał, przesunęła się koło niego, z za węgła lodu
wychodząc, jakaś
biała postać, a tak blisko, że zdało się, że ręką jego ramienia dotknęła.
Spojrzał i drgnął, jak gdyby jego marzenie przyoblekło się w
rzeczywistość. W
istocie trudno było odjąć się złudzeniu. Stało przed nami dziewczę
przecudnej
urody. Biała, lekka, powiewna szata, przepasana błękitną wstęgą,
dodawła jej
wzrostu i powagi. Rozwite po pas jasne włosy, ujęte tylko na głowie
w pajęczy
kapelusik słomiany, okalały pieściwie jej twarz, szyję i ramiona
cudniejszej nad
śnieg białości, przez którą" błękit żyłek drobnych przebijał". Lekki jej
rumieniec zdał się pierwszym odbłaskiem zorzy na kwiatowym
puchu. A oczy? ni
zielone ni modre, ale tej przemiennej gry między

dwoma barwami, która często morze pod Neapolem tak uroczem i
wymownem czyni. Po

chwili milczenia Władysław skłonił się i nie wiedząc co rzec, szepnął tylko:

Mon émeraude fond et devient le beau Rhin,
Mon saphir se dissout, ruisselle et fait le Rhône.

A ona,

Dłonie na ściany kładąc kryształowe,
Jak ta co imię ukochane kreśli,
Lub o błękitnych jakich czuciach — myśli,

ukazała, jak gdyby widzenie Władysława odgadując, na serdecznym palcu u jednej ręki pierścionek z turkusem, u drugiej ze szmaragdem. Ale, niestety, proza życia tak prędko zawsze poezyę płoszy. Proza ta, ciężka, ospała, rumiana aż do siności, przybyła teraz w postaci grubego Anglika, który począł od gderania na córkę, że tak prędko biegła, iż za nią zdążyć nie mógł. Za nim przywlekła się chuda, o długich zębach jejmość, wsparta na ramieniu jakiejś młodszej towarzyszki. Anglicy, byle nie z rodakami, lubią się zapoznawać w podróży z każdym, co im się nawinie. Sami pierwsi łamaną najczęściej francuzczyzną zaczepiają. Nasz gentleman też, zaprezentowawszy nam siebie, żonę i córkę, jako pana, panią i pannę Mellish, a kuzynkę jako pannę Smith, wdał się od razu z nami w długą rozmowę o spoistości lodu, o stopniu ciepła śniegowej wody, o kubicznym wymiarze całej tej zamro-

zonej przestrzeni. Nie zajmowała go grota lodowa, z której Rodan
wybiegał,
owszem twierdził, że to tylko sina woda ze śniegu, a dopytywał się
coraz
głośniej o trzy źródła, z których rzeczywiście Rodan ma wynikać.
Poszliśmy
przeto do małego szałasu opodal zbudowanego, gdzie jest ochrona i
pożywienie dla
podróżnych. Gospodyni, w czarnym kaszkiecie walezańskim,
zaprowadziła nas zaraz
do owych źródeł. Są one letnie, woda w nich nie przechodzi stopni
Réaumura,
smak ma nieco siarczany i składa osad czerwonawy. Ztąd mieszkańcy
zowią je
Rotte, ztąd i miano Rodanu, choć niektórzy utrzymują, że nazwa ta
składa się z
dwóch wyrazów celtyckich Rho albo Rhod, rączy, i dan strumień,
rzeka. Struga
sącząca się z tych źródeł wpada niebawem w potok z lodospadu
wybiegający, a że
wielu utrzymuje, iż ten ostatni jest tylko wodą śniegową, z rozmaitych
kierunków
w jeden prąd połączoną, więc i te czerwone a całkiem niepoetyczne
źródła dzielą
z nim zaszczyt rodzicielstwa Rodanu. Już starożytni pisarze znali tę
rzekę pod
tem samym nazwiskiem i opiewali ją jako "tryskającą z
najtajniejszych głębin
ziemi, wybiegającą z paszczy wiecznej nocy a od podnóża kolumny
słońca". I w
samej rzeczy, gdy słońce zabłyśnie, możnaby wziąć ten lodospad za
jego kolumnę.
Władysław poznawszy się bliżej z panną Mellisch i ochłonawszy z
pierwszych
wrażeń, stał z nią długo nad trzema źródłami, podczas gdy ja z ojcem
rozmawiałem. Nie wiem, czy dla jakiego doświadcze-

nia, czy ze zmięszania, czy z żartu, rzucił w jedno z nich kamyczek, aż
tu za
nim odzywa się głos: Lapidem in fontem jacere scelus. Gorsza i
nudniejsza więc
jeszcze proza zjawiała się w osobie pedagoga. Ja też zapoznawszy
Anglika z
Niemcem, i obawiając się, aby mi się Władysław z piękną córą
Albionu nie
zabałamucił, pociągnąłem go w dalszy pochód. Z widoczną niechęcią
podał się mej
uwadze, że trzeba nam spieszyć, bo jeszcze dziś należało zwiedzić
lodospad i
źródła Aaary, i pożegnawszy grzecznie angielskie towarzystwo, a
ledwo
obejrzawszy się na Niemca, pospieszył za mną. Droga po za
lodospadem Rodanu do
Grimsel nader uciążliwa. Ilekroć z po za łomów skał mogliśmy rzucić
okiem na
dolinę Rodanu, Władysław upatrywał, czy jeszcze nie dojrzy swej
czarodziejki.
"Żał ci (rzekłem), żeśmy tak prędko z niemi się rozstali, ale tak lepiej,
bo cię
przestrzegam, że Angielki biorą wszystkie słowa za prawdę, nie
rozumieją
zalotności bez celu, i milsza ci zostanie pamięć na przyszłość, gdyż
mogło
przyjść prędkie odczarowanie, a tak będziesz ją sobie zawsze
wystawiał pod
postacią sylfa czy wróżki Rodanu. Jesteśmy w kraju nietylko cudów
natury, ale i
czarodziejskich zjawisk. W Valengin jest krynica, z której, według
wierzeń
ludowych, wyskakuje wąż ognisty. W Bevaix stara wierzba ogłasza
przepowiednie,
wyrocznie. W Verrières wieża sama chodzi po nocy. W Merlingen
głęboką krynice

zamieszkuje biała wróżka czy najada. W Grindelwald granitowa
kolumna zmienia się
w kaskadę, ilekroć

iaka w kantonie dziewczica umrze siódmego dnia po nowiu. Niechże i
tobie wydaje
się, żeś zaklęciem wywołał z tajemnej groty czarodziejską władczynię
tych opok
lodowych, i że ukazała ci się na chwilę jak wróżka Alp Manfredowi w
postaci
nadobnej ziemianki, a potem znów wróciła w swą kryształową
jaskinię. A jeżeli w
tej krótkiej uroczej chwili, dumna potęgą swych wdzięków, kazała ci
przysiąc
podległość swój woli, mam nadzieję, żeś jej jak Manfred
odpowiedział:

Nie przysięgnę. Podlegać? Komu? Duchom, które
Jawią się na mój rozkaz. Jaż mam być służalcem
Tych, co mi służą? Nie, nigdy, przenigdy!

Ale żart na stronę, powiedz mi, czyś nie zmiarkował po jej rozmowie,
kędy jej
towarzystwo podąży, boć i tego Niemca i tych Anglików musimy
omijać, inaczej
zawadzaliby nam w drodze".

— "Wiem tylko, (odpowiedział), że dziś chcą jeszcze w powrocie do
Interlaken,
z kąd przybyli, stanąć na nocleg przy spadku Aary w Handek. Mają
cały tabor
przewodników, mułów i lektyk, a więc, jeżeli zboczymy do lodowca
Aary, pewnie nas
wyprzedzą".

Spostrzegłem po zająkliwym tonie jego odpowiedzi, że właśnie miał
nadzieję, iż

się tak nie stanie, alem udał, że podzielał jego przypuszczenie, i tem
skorzej
przyspieszyłem kroku. Nie łatwem to było, bo szczeblista ścieżka
coraz stawiała
się przykrzejszą. Stok ten zowie się Mayenwand, chyba dla tego, że
kilka na nim
łączek, a między skałami pełno

róż alpejskich (Rhododendron). Napróżno przestrzegałem
Władysława, aby się nie
oglądał za swoją Eurydyką, bo mu całkiem zniknie; wciąż się
obzierał, a gdyśmy
stanęli u szczytu, gdzie się ścieżka na drugą stronę góry przegina,
długo mię
zatrzymał, by się raz ostatni widokiem doliny Rodanu nacieszyć.
Szczyt ten
stanowi granicę między kantonem walezańskim a berneńskim. Ztąd w
bliskości widać
dwa jezera, jedno maluczkie, drugie obszerniejsze zowie się Jeziorem
trupów,
Todten-see, gdyż, jak niesie podanie, rzucono weń dawniej ciała
podróżnych,
którzy w tych górach śmierć znaleźli. Świeższy jednak wypadek
wyraźniej to
nazwisko usprawiedliwia. Tu bowiem w sierpniu osadził się oddział
wojska
austriackiego, broniąc Francuzom przejścia z doliny Aary w dolinę
Rodanu.
Daremniemi były kilkakrotne natarcia tych ostatnich, aż wreszcie
znalazł się
chłop z Guttanen, który obiecał, że ich krótszą drogą przeprowadzi na
tyły
Austryaków, pod warunkiem, że mu dadzą górę, którą ich
przewiedzie, na własność.
Jakoż przewiódł ich lodospadem Gelmerhorna. Austriacy, z tyłu
zaskoczeni,

rozpierzchli się. Wielu się w tem jeziorze potopiło. Inni poginęli w lodospadzie Aary, gdzie dotąd mieszkańcy wydobywają zbroje, resztki mundurów i kości. Zdradziecki przewodnik dostał górę, ale tak jak dzieci żartem dostają wszystkie ptaszki w lesie na własność, bo jej objąć nie mógł, a w kilka miesięcy potem rząd berneński odebrał mu nawet darowaną przez Francuzów siedzibę w Raeterichsboden.

Zejsście jeszcze przykrzejszy Będzie jednak niedługo inaczej, bo spotykamy pełno ludzi pracujących nad wyźłobieniem nowej drogi. Cała okolica pusta, skały nagie, ledwie trochę mchu ludzi oko wędrowca zielonością. Wnet na dole ukazała się nam gospoda Grimsel a przy niej dwa jeziora. Jest ona własnością rządu, który ją gratis wydzierżawia pod warunkiem, że ubodzy znajdą w niej zawsze bezpłatny przytułek i pożywienie, i że nawet przez zimę będzie tu strażnik mieszkał. W marcu lawina zgruchotała całe domostwo z wyjątkiem jednej izby, w której strażnik i jego pies cudem się uchowali. Lawiny są pięćiorakie.) Staub-Lauinen, złożone z miękkiego, jeszcze mrozem niezbitego śniegu, jakby zamieć pyłu. Te spadają w zimie i są bardzo niebezpieczne, bo wichur, który je pędzi, obala wszystko przed sobą, domy, drzewa, a nawet lasy. Łatwe jednak do rozkopania, pozwalają czasem uratować się ludziom i bydłu.) Wielkie Lawiny, obrywają się tylko na wiosnę, gdy śnieg

pocznie tajać, i gdy podmyte wodą z niego pochodząca, toczą się ze skał porywając ze sobą ziemię, pnie drzew, kamienie, ale trzymając się w zwartej kolumnie. Rzecz dziwna, te są mniej szkodliwe dla tego, że spadają niemal zawsze z jednych miejsc, w jednym kierunku i łatwo przewidzieć czas ich zlotu.) Schleich-Lauinen, ześlizgliwe, są te, co po nie zbyt stromych pochyłościach suną się zwolna, zatrzymując się przy każdej silniejszej zawadzie, a jeśli jej nie zwałą, rozdzielają się na kilka. Zdarzają się one tylko na południo-

wych stokach gór.) Schlag Lauinen, grzmotną, tworzą się na tych górach, które u swej podstawy mają prostopadle ściany. Twardy śnieg, zsuwający się na wiosnę z najdalszych wyżyn, często się zatrzymuje jedną ściśniętą opoką nad samym zrębem tych ścian prostopadłych, nieraz nawet szerokim okapem po za nie wysterczając. Ciężar wreszcie przemaga, i wtedy lada ruch powietrza strąca lawinę. Dość na to nie już wystrzału, ale trzasku bicza, a nawet dźwięku małego dzwonka, jaki krowy noszą. Te śniegozwały są najniebezpieczniejsze. Pozbawiają one życia wielu ludzi często na walnych gościńcach, jak na drodze Śgo Gotarda, i pełno też można spotkać krzyżów, gdzie się takie nieszczęście wydarzyło. Przy takim pogromie pęd powietrza tak jest potężnym, że znajdowano przewrócone i zdruzgotane chaty, ludzi potłuczonych lub uduszonych, w znacznej odległości od toru, którym lawina

runęła.) Gletscher-Lauinen spadają tylko w lecie i to w najwyższych
piętrach
gór, a zatem mało szkodzą ludziom i bydłu. Przedstawiają one
wspaniały widok
jakby odrywającego się lodozwału. Zda się rzeka srebrzysta, otoczona
tumanami
jaskrawego śniegu. Wzmaga się ona zeskakując z skały na łaskę, a
każdemu skokowi
towarzyszy silny grzmot, który echa w tysiącnych odgłosach
przeciągają. Takich
grzmotów można się nasłuchać w Oberlandzie berneńskim. Ale i
przed oberwaniem
się lawiny, nie tylko tego rodzaju, ale i innych, słycać grzmot
przytłumiony,
jakby głos przestrogi. Ów strażnik w Grimsel sły-

szął go już w dniu poprzednim, a drugi raz przed sama katastrofą.
Zdaje się, że
ten huk sprawia wewnętrzne łamanie się i odrywanie lawiny, zanim
się cała w
niepowstrzymany bieg rozpędzi.
Kroniki szwajcarskie zapisują od najdawniejszych lat straszne szkody,
zrządzone
przez podobne katastrofy. Nieraz rzeki przez nie z łoża wypchnięte
zalewały całe
doliny, nieraz wielkie wsie pod ich zasypem znikwały w jednej chwili.
W r.
lawina pozbawiła życia karawanę z przeszło osób przechodzącą przez
górze Śgo
Bernarda. W spadła z góry Cassedra w Tessynie taka ogromna, że
zabiła
ludzi. Opowiada przytem kronika cudowne wybawienia. W lawina,
pędząca z
Dent-de-Jaman, porwawszy mnóstwo jodeł i próżnych stodół, ścięła
jakby

ostrzem noża dach na karczmie w Allières, nie sprawiwszy żadnej szkody licznym gościom w izbie zebranych. W zasypała w Avers dom, gdzie było -
dziatek.

Rodzice wszystkie żywe odkopali. W Ruaueras, gdzie, jak już wspomniałem, ludzi straciło życie w , lawina tak się cicho w nocy zsunęła, że te osób, które rano jeszcze żywe odgrzebano, mniemały, że tylko spały tak długo, a przecież domy ich o kilkaset kroków posunęły się naprzód. Lasy są najdzielniejszą obroną przeciw tym klęskom. W wielu miejscach są zasieki, a nawet murowane bastiony w kształcie ostrego trójkąta, aby, jak izbice na rzekach, rozbijać śniegową nawałę. Pod wrażeniem to tych klęsk, które nam widok osamotnionego Grimselu i otaczającej go pustyni

przywiódł na pamięć, zeszliśmy na dół po dwugodzinnej drodze od źródeł Rodanu.

Budynek obszerny, ale drewniany, nosi na sobie wszystkie znamiona tymczasowości,

jakby stał na straconej czacie. Na kilkunastu kwadratowych stopach naniesionej z

daleka ziemi, parę grządek karłowatego warzywa, dalej jezioro, za nim jedyna

łązka, na którą w lecie wyganiają dwie krowy do gospody należące do potok

Sassbach, który nim wpadnie do jeziora, tworzy piękną kaskadę, a wyszedłszy zeń,

dąży około zakładu do Aary, oto wszystko, co nieco ożywia ten smutny krajobraz.

Posiliwszy się też na prędcie wzięliśmy przewodnika i pospieszyliśmy do lodowca

Aary, mimo tego, że już była godzina druga, a wycieczka najmniej godzin trwać miała. Ale raz rozmachawszy się, wszystko ochoczo podejmowaliśmy, a ja tem więcej, żem się spodziewał, iż tymczasem minie nas angielska karawana. Szliśmy ku zachodowi, z tyłu za nami na wschód pozostał lodowiec Rodanu. Dwa te wielkie obszary lodowe, lubo ztąd niewidzialne, przedziela właśnie łańcuch wyżyn, przez którego jeden przesmyk przy byliśmy do Grimsel. Gdyby można było wznieść się jak ptak wysoko, ujrzałoby się na okół daleko rozleglejsze przestrzenie lodu, niż skał i ziemi. Dwa są lodowce Aary, wyższy i niższy, czyli południowy i północny, przedzielone zębatą górą Zinkenstoecke. Dążyliśmy do niższego, północnego, bo bliższy przystępniejszy i piękniejszy. Z początku droga w dół, dość łatwa, po płytach kamiennych. Wchodzi się

tu na dolinę Aarboden. Dawniej zwała się ona kwiecista, Blumlisalp, z powodu żyznych pastwisk. Z czasem przez obrywanie się skał i przez kamienie spychane coraz dalszym pochodem lodowców, stała się posepnem rumowiskiem. Przeszedłszy most na Aarze, pniemy się znowu w górę. Tu dwa dziwnego kształtu pagórki zwane niedźwiedziami. Na lewo zęby Zinkenstoecke, a w nich jakby w widłach słońce przypominało nam, że musimy się spieszyć. Nie było więc czasu dojść do otworu, zkąd Aara z pod lodu wypływa. I tak, już nie żadna ścieżką, ale na przełaj

skacząc z kamienia na kamień przewodnik nas co żywo prowadził ku
miejscu, gdzie
najłatwiejsze wejście na lodowiec. Nim jednak do niego się dojdzie,
trzeba
szczeblować przykro w górę, a potem jeszcze przykrzej po głazach
moreny.
Skład, kształcenie się i ruch lodowców zostały w tych czasach
przedmiotem
pracowitych badań, a lubo nauka nie przyszła jeszcze do stanowczych
wniosków,
wyjawiła już wiele arcy-ciekawych spostrzeżeń. Poczynają się one
zawsze w
zagłębieniach między wielkimi szczytami, a napotkawszy równiny,
rozlewają się
na nich i tworzą tak zwane morza lodowe, z pośród których występują
owe szczyty
jakby wulkaniczne wyspy z łona oceanu. Te morza przelewają się
wąwozami na
niższe stopnie gór, i te to odnogi są właściwymi lodowcami. Sam u
szczytu
początek jest zaspą odwiecznego śniegu. Śnieg ten bryłkowy,
ziarnisty, zowie się
névé, a po niemiecku firm. Lubo tam, gdzie on leży, temperatura o
wiele

nie dochodzi zera, słońce jednak podczas lata, a niekiedy deszcz topi
go nieco,
a woda ztąd powstająca zapełniając jego dziurkowatość, ścina się w
nocy w
kryształki ostrokątne. A ponieważ woda coraz gwałtowniej i obficiej
dąży ku
dołowi, więc im niższe piętro lodowca, tem większe są te kryształki,
tak że
często ich średnica od do centymetrów wy nosi. Lód ten jest zupełnie
odmiennym od zwyczajnego. Różnicę można spostrzedz wyraźnie na
samym nawet

lodowcu, bo na nim w krótkich letowych nocach małe z deszczu lub z odwilży kały pokrywają się pospolitym lodem. W tamtym kryształki układają się warstwami. Kształt lodowców jest bardzo rozmaity. Najczęściej bywają nieco wypukłe w środku, gdyż boki ich topnieją od ścian skalistych. "Wierzchnia ich białość, bez połysku, przechodzi w głębi w piękną barwę niebieską i zieloną, czem wędrowca tak nęcą rozpadliny. Im bardziej idzie w górę, i im lód staje się mniej spoistym, tem w nich kolor niebieski więcej blednieje a zielony się wzmacnia. Szczeliny te są najrozmaitszych kształtów. Niektóre sięgają aż do dna lodowca, inne dochodzą tylko pewnej głębokości. Najwięcej jest takich, które łatwo przeskoczyć, ale są i tak szerokie, iż trzeba je obchodzić, albo za pomocą położonego drąga lub drabiny przebywać. Saussure napotkał jedną przeszło stóp szeroką, a dna jej dojrzeć nie mógł. Zdaje się jednak, że one najczęściej od do stóp głębokości dochodzą. Zmieniają się łatwo, stare nikną

nowe powstają. Hugi stojąc przed swoim szałasem na niższym lodowcu Aary widział przed sobą rozpadającą się szybę, szczelina w mgnieniu oka przebiegła stóp . Saussure w powrocie z wierzchołka Mont Blanc musiał znaczną przestrzeń okrążyć, by ominąć szeroką rozpadlinę, której nie było przed kilkoma godzinami. Pęknięcie to przypisują uczeni rozmaitemu stopniowi ciepła, a raczej zimna w licznych a

wciąż na siebie oddziaływających warstwach lodowca. Czasem śnieg tak te

czeluście zasklepia u góry, że łatwo może oszukać niedoświadczonego podróżnika.

Przypadki jednak są rzadkie. Dwa przez swą szczególność zasługują na wzmiankę.

Na lodowcu Grindelwald wpadł w rozpadlinę, gospodarz Christian Bohren. Spadając

złamał rękę i omdlał. Gdy przyszedł do siebie, uczuł, że się znajduje między

dwoma ścianami lodu. Ciemność była zupełna. Nogi podmywała mu woda. Schylił się

więc i raczkami a omackiem poczołgał się za jej biegiem i wyszedł na dzień

biały. W pastor Mouron, badając na tym samym lodowcu wielką szczelinę zwaną

Valchiloch, pośliznął się i wpadł w przepaść. Posądzano przewodnika, że dla

rabunku o śmierć go przyprawił. Urażone tem podejrzeniem całe grono

przewodników, postanowiło wybrać losem jednego z pomiędzy siebie, któryby

spuścił się w rozpadlinę, a jeżeli znajdzie ciało pastora, a przy nim pieniądze i

zegarek, będzie to dostatecznym dowodem, że śmierć była przypadkowa. Los padł na

młodego i silnego Burgenena. W dniu oznaczonym wszyscy mieszkańcy

doliny Grindelwald wylegli na lodowiec. Burgenen zawiesiwszy sobie latarnię u

szyi, trzymając w jednym, rękę dzwonek, w drugiej kostur, by się odpychać od

ścian ostreimi kantami najeżonych, przepasany silnym powrozem, który czterech

ludzi stojących u brzegu powoli odwijają, spuścił się w głąb. Dwa razy dał się dzwonek słyszeć, musiano go wyciągnąć, gdyż mu brakło powietrza
Za trzecim razem, po zdwojonym ciężarze poznano, że znalazł zgubionego. Jakoż wydobyto go, ale z wielkim trudem i trwogą, wraz z pokaleczonym ciałem pastora.
Znalezione przy trupie pieniądze i zegarek dowiodły niewinności przewodnika.
Cały ten wypadek jest dokładnie opisanym na grobowcu pastora.
Oprócz szczelin znajdują się na lodowcach okrągłe wydrążenia, jakby studzienki, dochodzące zwykle do i o stóp głębokości, a trzech stóp średnicy. Nie kiedy przebijają się aż do spodu. W pierwszym razie zowią się wanienkami, w drugim młynkami. Wydrąża je sobie woda płynąca po wierzchu lodowca, albo też wpadając do napotkanej rozpadliny, powoli ją zaokrągla i wygładza. Kiedy lodospad w swym pochodzie nadybie cieśninę lub nader stromą pochyłość, wtedy odbywa się w nim wzburzenie i tłok, który na jego powierzchnię wysadza te śmiałe i fantastyczne igły, które są szczególną jego ozdobą.
Atoli ma on także plamy i brudy. Temi są tak zwane moreny. Są to odpadki ze skał, które zalegają czasem całą powierzchnię lodowca. Liczniejsze przy krawędziach, sprawiają, że w razie spotkania

się dwóch lodowców, występuje grzbiet kamienisty, i wtedy zda się, że mamy przed sobą olbrzymią rybę, białą po bokach, z czarną i najeżoną pręgą w środku.

Wewnętrzna praca lodowców sprawia także, że wyrzucają na wierzch wszystkie obce ciała. Ponieważ zaś własną ciężkością głazy posuwają się coraz niżej wierzchem lodospadu, nie ma też moren u szczytu, a najwięcej ich jest i najobszerniejsze u dołu. Przymieszka ziemi i drobnych odłamków skalistych zmienia je nieraz w szlamiste obszary i bagna. W końcu lodowce spychają część tych ciężarów na grunt już przez siebie nie zajęty, i te stanowią jakby ich przedpiersie. Wielkie odłamy skał, jeżeli w znacznej od siebie | odległości zalegną lodowiec, tworzą na nim tak zwane stoły. Głaz ogrzany przez słońce roztapia szeroki okrąg na około siebie, pozostaje osłonięta nim od wpływów atmosferycznych jakby słońcochronem kolumna lodu, która w ten sposób wykształca się w jego postument. Łatwo zrozumieć, że najskładniej się to dzieje, kiedy głaz jest płaski, gładki, obszerny a nie gruby. Często on wtedy brzegami swemi znacznie wystaje za swą podporę. Jeżeli są stoły na lodowcach, nie brak i kwiatów. Pod noc w lecie, gdy temperatura spadnie niżej zera, woda sącząca się po chropowatej powierzchni, nagle marznąc wystrzępia, jakby z kielichów tą chropowatością wydętych, wzorzysty puszek, podobien do tego, którym się często u nas w zimie drzewa okrywają. To są kwiaty, ale białe. Znajdują się jednak, choć rzadko,

i czerwone. Te naśladuje śnieg ubarwiony przez jakąś roślinkę, a jeszcze prędeziej przez mikroskopiczne żyjątka czerwonego koloru. Mnóstwo bowiem jatek rozmaitego koloru i rodzaju żyje na lodowcach. Gdzie tylko odchyłisz maluczki kamyk, spostrzeżesz pod nim jakby miseczkę wody, a w niej roje muszek, najzwyczajniej ciemnych. Gdzie są ogrody, muszą być i kretowiny. Tak nazywają mieszkańcy stożki żwiru, które woda wirując wznosi i zaokrągla. Najciekawszą przecież właściwością lodowców jest ich ruch nieprzestanny. Niektórzy przypisują go samemu ich ciężeniu ku dołowi, inni sprężystości wody znajdującej się w szczelinach i w niezmiernie dziurkowanym tego gatunku lodzie, Woda mogłaby się rozprężyć tylko w lecie, kiedy dni są gorące a noce zimne. Ztąd pochodzi twierdzenie, że lodowce w lecie posuwają się naprzód, w zimie się kurczą. Może prostszym wytłomaczeniem byłaby uwaga, że woda w dzień ciepły zewsząd cisnąca się ku dołowi, a powstająca z deszczu, z odwilży lodów i śniegów, marznie w nocy i tym sposobem powiększa lodowiec; gdy tymczasem w zimie nie ma jej, śniegi przybywają, ale nie topnieją, a przez ewaporację wiele lodu ubywa. Dotąd jednak w tym względzie nic stanowczego nie oznaczono. Jedne lodowce, wprawdzie podrzędniejsze, bardzo się zmniejszyły, albo nawet znikły zupełnie. Drugie zawały przejścia dawniej uczęszczane przez ludzi i trzody. Tam, gdzie się piętrzy teraz jeden z lodospadów w Grindelwald, jeszcze w wieku stał lasek jodłowy. W liczna we-

selna kalwakata tamtędy do kantonu walezańskiego przechodziła.
Lodospad Rodanu,
który od wielu poprzednich lat ani piędzi nie zabrał był dolinie, w o
stóp posunął się naprzód. Niższy lodowiec Aary postępuje wciąż,
kiedy wyższy się
ściąga. Nie odkryto więc dotąd żadnego ogólnego prawidła. Ale bądź
co bądź czy
te zwały przedłużają się u samego spodu czyj nie" to pewna, że
osobliwie w lecie
w bezprzestannym są ruchu. Trąc się o skały, wyźlobiają one na nich
rysy i pręgi
brzeżnemi kamieniami, które niosą. Podobieństwo tych pręg do
karbów, jakie się
znajdują na skałach w mniej górzystych okolicach Szwajcaryi, gdzie
nigdy
lodowców nie było, i w wielu innych poziomszych krajach, podparło
teorię, że
była epoka, w której ciepłe i żyzne przestrzenie zaległ i zniszczył
potop
lodowy. On to miał pozanosić daleko na piaski i równiny, skąd nawet
gór żadnych
nie widać, ': owe wielkie granitowe odłamy, które zowią wędrownemi
skałami
(blocs erratiques). Ale wewnętrzne ognie ziemi w końcu go
przemogły. Te
podniosły tu i owdzie skalistą skorupę i wysadziły grzbiet
niebotycznych
szczytów. Alpy, które wtedy powstały, wciągnęły za sobą szatę
lodową, jakby
płaszcze królewskie; a niższe przestrzenie po stajaniu na nich lodu,
stopniowo
się ogrzały i znowu przyodziały się roślinnością. Zajmująca to teoria,
ale
więcej w niej poezyi niż ścisłości naukowej. Cóżkolwiekbadź, badania
i

doświadczenia, któremi dziś zajmuje się tylu uczonych, muszą doprowadzić do ważnych odkryć. Pole jest bardzo obszerne. W Szwajcaryi znajduje

się lodowców, z których wysyła swe wody do Renu a do Rodanu. Obrachowano ich powierzchnię na kwadratowych mil szwajcarskich (lieues, takich idzie / na jeden stopień południka zawierający mil niemieckich); a jeżeli cała rozciągłość Szwajcaryi, choć dotąd nigdy ściśle wymierzona nie została, wynosi mil takowych, to jej przestrzeń lodowa zawiera szóstą część całego obszaru. Patrząc na mapę, zdaje się to niepodobieństwem. Najskromniejsze jednak obliczenia odstępują lodom dziesiątą część Szwajcaryi. Gdyśmy się przedostali na sam lodowiec, lubo dobrze już przygotowani powyżej tu przytoczonymi wiadomościami, nie mogliśmy oprzeć się najgłębszemu wrażeniu. Sama myśl, że te zmrożone łąny sięgają grzbietu najwyższych i najpiękniejszych gór szwajcarskich, (Mont Blanc leży już w Sabaudyi), że się przelewają we wszystkie kierunki, że idąc niemi można we godzin stanąć po drugiej stronie tego gór łańcucha, przejmowała nas podziwem, a zarazem i pokusą, aby biedz coraz dalej. I gdybyśmy się byli tam rano wybrali, bodaj czybyśmy nie byli ulegli temu pociągowi. Powierzchnia zdziwiła nas swą równością. Nie można było dość nacieszyć się szczelinami. Z początku niejaka obawa więziła nasze kroki, ale wnet skakaliśmy przez nie z upodobaniem. Władysław figłował. Przeskakując jedną

zbyt zamasyście, wysypał wszystkie drobne pieniądze z kieszeni.
Pocieszyłem go
uwagą, że to haracz boginiec tych obszarów, która tam gdzieś

w głębi w swym pałacu kryształowym króluje. Ciekawie też, jak
gdybyśmy chcieli
jej dojrzeć, zaglądaliśmy w rozpadliny. Trudno sobie wystawić
piękniejszego
koloru, niby lazuruowy, niby zielony, a im głębiej, tem ciemniejszy, aż
wreszcie
zda się, że tam oczy tygrysie na dnie świecą. Bawiło nas także
odrywanie
kragłych kamyków, pod którymi rzesze muszek igrają.
Tak posuwając się coraz dalej, spostrzegliśmy dwie szare postacie,
uwijające się
koło jakichś żerdzi czy kołków na lodzie postawionych, jak gdyby
drogę na nim
wytykano "Co to znaczy?" — zapytałem przewodnika. "Ot, podobno
chcą skępować
nasz gleczer", — odpowiedział gniewnie. Jego zły humor przypomniał
mi odrazę,
jaką nasi włościanie mają do mierników, mniemając że oni swemi
łańcuchami chcą
wziąć ziemię w kajdany. "To pewnie (rzekłem) wasz uczony
Agassiz", — "O nie
(odrzekł), tamten tu był dawniej, widzicie ową lepiankę z kamieni pod
wystającą,
skalą, tam on się chronił przed wichrami i burzą, w niej dotąd mieszka
jego
sługa, czy pomocnik, który zawsze coś po skałach obziera a na lodzie
kołki
stawia. Ale ten jegomość, to jakiś Anglik, który tu już przed
tygodniem przybył,
ponawozził instrumentów, i z tym pomocnikiem wciąż coś mierzy, na
noc tylko do

gospody w Grimsel wracając". — "A jakże się zowie?" — "Bóg go tam wie, jakoś tak Furb, czy Furbs". — Im bardziej zbliżaliśmy się do niego, tem więcej zdało mi się, że go już gdzieś widziałem. Naresztem poznał, że to był

ten sam, jakby z szarej bibuły wycięty wyspiarz, którego spotkaliśmy na parowcu

płynąc po Renie. "A widzisz (rzekłem do Władysława), sprawdza się com mówił, ten

Anglik nie dla zabawy, nie bez pożytecznego celu w świat wyjechał, spieszył tu,

aby czegoś dopełnić, a gdy swe spostrzeżenia i rachunki zbierze, wróci do domu

nierozmarzony ani cudownością tych gór ani wdziękiem wrózek alpejskich".

Znając nieprzystępność Anglików, co nie dla zabawy podróżują, nie chciałem go

zaczepiać, ale Władysław póty się koło niego kręcił i w rozstawione instrumenta

zazierał, aż wyspiarz sam do niego pierwszy przemówił. O ile w tłumie na statku

i w hotelu mogunckim był milczącej ponurości, o tyle teraz rozmarszczył się w

uprzedzającą uprzejmość.

— "Rad jestem panowie, (rzekł po francuzku, jak gdyby i on nas sobie

przypomniał, zwłaszcza Władysława, którego pełna powierzchownych wiadomości

gadatliwość na statku reńskim musiała i jego zwrócić uwagę), rad jestem, że was

tu widzę, bo może zdołam w was wzbudzić zajęcie dla przedmiotu, nad którym już

od lat wielu pracuję. Może się da was zagarnąć do tej drobnej jeszcze liczby

badaczów, którzy śledząc ruchy lodowców, mają nadzieję, co mówię,
pewność, że
przemiany i kształcenie się kuli ziemskiej odgadną. Już przed
pięcioma laty
napotkałem tu Agassiza, przypadkiem, jak wy mnie teraz, który mnie
do głębi
poruszył pierwszymi swemi spostrzeżeniami. Były to jednak tylko
domysły, w żadną
naukową ścisłość nieujęte.

Geolog z powołania, postanowiłem zbadać przedmiot ten umiejętnie.
Odtąd co rok w
tym celu zwiedzam Szwajcaryę. Zaraz następnego lata udałem się do
Chamounix i
tam na mer de glace począłem moją pracę. Pierwszem i głównem
zadaniem było
oznaczyć szybkość pochodzenia lodowca, i nie tylko w całej jego
objętości, ale we
wszystkich składowych częściach, a mianowicie, czy się jego środek
czy boki
prędzej posuwają. Wejrzenie gołym okiem nie mogło tu do żadnych
stanowczych
wniosków i obliczeń doprowadzić. Trzeba było przyrządzić
odpowiednie znaki i
instrumenta. Widzicie te znaki po skałach. Tu zaś mam ustawiony
teodolit,
narzędzie, jak wam wiadomo służące do mierzenia kątów, zaczem
poznaje się
odległość przedmiotu i kąt, jaki z tej odległości przedmiot zakreśla w
naszem
oku. To jest dostatecznym, by się przekonać, czy lodowiec ruch
odbywa i jaki.
Tego też trybu od razu użyłem na mer de glace w Chamounix.
Wybrałem miejsce na
lodzie, ustawilem teodolit, a nakazawszy przewodnikom pomalować
znaki czerwone

na skałach w jednej, poziomej linii, wymierzyłem kąty. Nazajutrz w tem samym stanowisku urządziłem teodolit, i spoglądając przez lunetę na pierwszy znak czerwony, ujrzałem że się został w tyle o / cali. W ten sposób miarę pochodzenia lodowca w przeciągu jednej doby ściśle obliczoną otrzymałem. Dalsze doświadczenia i obrachowania przekonały mnie, że ruch ten jest regularny, prawie jednaki w dzień i w nocy, jeżeli czasem trochę prędszy, to z powodu upałów, i że środek lo-

dowca z większą szybkością postępuje naprzód niż jego boki. Następnego lata wróciłem na me stanowisko i obliczyłem, że lodowiec posuwa się stopy na rok. Tym sposobem kamień z najdalszego krańca de la mer de glace w Chamounix potrzebowałby lat do dojścia aż tam, gdzie się lodowiec kończy. Teraz tu począłem moje dalsze poszukiwania. Nie wszystkie lodowce mają ruch jednakowy. Zależy to od wielu względów, najwięcej od mniejszej lub większej pochyłości, po której się zsuwają. Ten oto, ile dotąd zmiarkować zdołałem, posuwa się corocznie stóp . Po d sam koniec ruch jest największy. Hugi powiada, że lepianka, którą tu sobie zbudował w r. na samym brzegu lodowca pod tą wychyloną naprzód skałą, co tam widzicie, a co się "im Abschwung" zowie, posunęła się przez lat , to jest do roku, o stóp, a zatem o stóp na rok. Ale to jest przypadkowość, którą za stanowcze prawidło przyjąć nie można. W ogóle,

wiele jeszcze pozostaje do roboty, nim się prawa tych ruchów
zupełnie wyjaśnią.

Lecz, panowie, musimy już myśleć o odwrocie, bo inaczej nie
zdążymy do gospody
zanim mrok zapadnie. "

Począł więc składać i pakować swoje miernicze narzędzia, a my
tymczasem
pospieszyliśmy jeszcze obejrzeć dwa bardzo okazałe stoły. Na jednym
z nich jak
na ołtarzu ofiarnym Władysław złożył ostatni pieniążek, który mu
pozostał.

Spojrzeliliśmy jeszcze raz na majestatyczny na około nas amfiteatr gór,
na których
ostatnie blaski słońca spoczywały. Hügel-

hörne, zęby po lewej stronie Wetterhornu, Finsteraarhorn, Rothorn,
to w

lazurowych, to w purpurowych siedziały płaszczach. Gdyśmy się
zblizali do

Anglika, szepnąłem Władysławowi, żeby się dowiedział o jego
nazwisko, bo to nie

żaden Furb albo Furbs, ale zapewne sławny profesor Forbes. Jakoż
wymieniwszy mu

nasze, otrzymaliśmy nietylko stwierdzenie mego domysłu, ale
zaproszenie byśmy go

w Londynie, jeśli kiedy tam będziemy, odwiedzić nie omieszkali.

Władysław miał coś w sobie tak naiwnego i pociągającego, że każdy z
nim

zaznajamiał się bardzo prędko. W powrocie też, lubo dla spóźnionej
pory

musieliśmy zwawo biegnąć i dobrze na głazami najeżoną ścieżkę
zważać, rozmowa

między nim a Anglikiem nie ustawała ani na chwilę. Ten wypytywał
się go o

gospodarstwo rolnicze w Polsce, o gatunki ziemi, o pokłady
geologiczne. Wiedział

o Wieliczce, o marmurach w Krakowskiem, o rudach żelaznych, a nawet o galmanie tamże się znajdującym. Władysław, wbrew dawniejszemu swemu zwyczajowi, nie próbował popisywać się przed nim rozlicznością luźnych wiadomości, ale po większej części przyznawał swą nieświadomość i brak ścisłej nauki. Profesor zachęcał go do gruntownych studyów i prosił, aby za powrotem do kraju dostarczył mu wyczerpujących odpowiedzi na zapytania, które mu teraz czyni. Zmierzch już zapadł, gdyśmy wrócili do gospody. Zastaliśmy ją zapelnioną gośćmi. Zawsze w lecie tak tu bywa. Choć podobno jest kilkadziesiąt stancyi,

często wolnego kątką znaleźć nie można. Szczęściem żeśmy wprzód łóżka zamówili. Z pewną niespokojnością wypytywałem się o Niemca. Powiedziano mi, że obtarł sobie nogi i musiał zaraz się położyć. Również Władysław zasięgał z ręcznie wiadomości o kalwakacie angielskiej, ale nic pewnego dowiedzieć się nie mógł. Posiliwszy się i pożegnawszy pana Forbes, wstaliśmy co prędzej od gwarnej wieczerzy i udaliśmy się na spoczynek. Ale pomimo ogromnego zmęczenia, bośmy trzynaście godzin i to po nader ciężkich drogach, prawie" bez przestanku na nogach byli, zasnąć było niepodobna. Wciąż hałasowano, uwijano się po korytarzu, a za każdym stąpieniem budynek skrzypiał, chwiał się, jak gdyby okręt kołatany na morzu. Ledwieśmy na parę godzin zasnęli. Przebudziwszy się nazajutrz o wschodzie słońca, uczuliśmy się tak rozbici, że

ani zebrać członków, ani oparzonych stóp na podłodze postawić. Ale uwaga, że jak kołek kołkiem, tak trud trudem się wybija, strach przed Niemcem, a u Władysława może pociąg za gołąbką, która już przeciągnęła, dodał nam odwagi i siły. Przewodnik oddawna czekał, Dowiedzieliśmy się też, że pan Forbes już od godziny wyruszył na swe stanowisko. Sam więc wstyd naglił. Z początku szliśmy jak na szpilkach po drodze kamienistej co najprzykrzejszej. Młodzieniec podrwiwał, ale znać było, że raczej dla przeżartowania bólu jak z szczerzej wesołości. "Nie uważaj (rzekłem), wnet się nogi rozchodzą, a kto taki

dzień trudny jak wczoraj i to bez najmniejszej złej przygody przebył, temu już wszystko inne fraszka". — "A Niemiec, a moje pieniądze, czy to nie fatalność?" — "Niemczyk może nas już nie dogoni, twoja zdawkowa moneta bodaj czy parę franków wynosiła; jam się, szczerze mówiąc, innej fatalności, pod ponętными pozorami jawiącej się, dla ciebie obawiał, ale i ta jak mgła przemknęła". — "Jeżeli fatalność, to mnie nie minie". — "Otóż powiem ci, że takie przesady trzeba koniecznie zwalczać od razu, bo się powoli wpiją i już trudno je potem odegnąć. Masz na mnie przykład. W naszej wojnie byłem w dwóch bardzo nieszczęśliwych bitwach. Obie wypadły siedemnastego. Druga, najdotkliwsza dla mnie, bom się, dostał do niewoli, sierpnia. Odtąd uważałem dzień ten za fatalny, zwłaszcza,

zem w jakiejś kabalistycznej książce wyczytał, że i znaczy człowieka
a śmierć
z kosą nad nim. Walczyłem długo z tą zmorą, ale ani się jej pozbyć, i
niechętnie
w ten dzień cokolwiek przedsiębrałem, nawet po hotelach unikałem
numeru . I o
mało już nie przyszło do tego, zem chciał cię namówić, abyśmy dzień
wczorajszy
gdzie spokojnie na dolinie Andermatt przebyli. Ale wstyd mnie
ogarnął,
przemogłem się i rad byłem, że właśnie na ten dzień przypadła nam
najniebezpieczniejsza wycieczka. Nic łatwiejszego nad przygodę po
takich
przepaścistych. drogach, na Furca, na lodowcu pokrajanym w
szczeliny, w
gospodzie, która już tylekroć lawinami zgruchotaną została. A
przecież wyszliśmy
cało, i odtąd jestem pewien, zem się mego

przywidzenia pozbył na zawsze". — "Dziwna rzecz (rzekł
Władysław), i mnie ten
dzień tkwi w pamięci a z bardzo błahej przyczyny. Moja niańka, która
lubiła
składać częstochowskie wiersze, śpiewała mi między innymi: Na św.
Jacka,
przyjdzie coś z nienacka, a nie da ci placka. Wszakże to wczoraj było
święto
tego naszego wyznawcy?" — "A może i coś przyszło (rozśmiałem
się), tylko nie
goń, bo placka nie dostaniesz, chyba ten co boli".
Droga wciąż nieznośna, same kamienie, ani drzewa ani murawy.
Ukazuje się
wreszcie parę chatek w Raeterisboden nad bagnistymi łąkami, gdzie
dawniej miało
być jezioro, potem o podał jakaś kaskada, ale podróżnik nie prędzej
poczuje, że

się wydobywać zaczyna z pustyni, aż stanie na jednołukowym moście nad Aarą. I znowu drugi, ale mniejszy mostek, i znowu kaskada spływająca z jeziora Gelmer, a zawsze droga kuta w skale, pod nogą ogromne płyty kamienne, często karbowane, aby konie się nie ślizgały. Z tych olbrzymich tafli jedna zowie się Hoellenplatte, to jest płyt piekielny, albo jak inni utrzymują, Hellenplatte, jasny, — druga Die boese Seite, złe przejście. Wnet potem, a po niemal dwugodzinnej drodze od Grimsel, zbliżyliśmy się do słynnego spadku Aary w Handek. Pominąwszy szalet, co śmiesznie rości prawo do nazwiska oberży, schodziliśmy szybko tam, dokąd nas przyciągał grzmot rozbijającej się nawały. Na urwiskach pierwsze jodły. Sam już przystęp do tej strasznej otchłani przejmuję grozą. Cóż dopiero gdy się sta-

nie nad jej brzegiem i z wysoka ujrzy rzekę spadającą na przeszło stóp dwieście. Gwałtowność prądu jest tak wielka, że do połowy spadku woda pędzi jednolitą kolumną i dopiero poniżej rozbija się o skały. Właśnie w połowie, z boku wpada inny strumień, Aerlenbach, i wzmaga tem dziwowisko, że choć go potężniejsza rzeka porwie, jego białawe fale długo jeszcze znać wśród zielonawej Aary. Od spodu w tumanach pary tęcze to się wznoszą to opadają, jak gdyby wymierzały swą wstęgą wysokość katarakty. Trudno było się oderwać od tego widoku. Musieliśmy

jednak na zamówione śniadanie do szaletu wstecz pospieszyć. Tu
Władysław
dowiedział się, że cały tabor angielski tam nocował, a gdy się dziwił
jak się
tak liczne towarzystwo mogło w ciasnej izdebce pomieścić,
powiedziano mu, że
dwie panienki prawie całą noc nad spadkiem spędziły; to prawdziwie
awanturniczość i wytrwałość dzieci oceanu.
Nader strome zejście z Handek wiedzie przez las jodłowy. Tu bowiem
dolina
przybiera już żywniejszą nieco postać. Jodły, choć skarłowaciałe, coraz
gęściej
się ukazują, pastwiska zielenią się z rzadka między łomami od skał
odpadłymi. Na
dole jeszcze raz boczną ścieżką poszliśmy podziwiać spadek od
samego spodu. Za
lasem wciąż się przez mosty przechodzi. Mniejszych spadków Aary
ani policzyć.
Głos jej uroczysty wciąż nam towarzyszył. Nareszcie po
półtoragodzinnej od
Handek drodze ujrzeliśmy pierwszą wioskę, w dość obszernej
kotlinie, po obu
stronach rzeki rozłożoną. Guttanen ma przeszło

mieszkańców, ale sioło to bardzo ubogie. Drewniany most łączy dwie
jego połowy,
z których jedna zwie się, jakby w Rzymie, stroną słoneczną., druga
stroną
cienia. Zebrane kupy kamieni okazują, że już tu pastwiska zdobywają
sobie coraz
więcej przestrzeni. Odtąd też dolina ta, Hasli nazwana, po raz trzeci
zmieniając
swą powierzchowność, przywdziewa nareszcie szatę zamożności.
Coraz liczniejsze
trzody krów. Czarniawe, na grzbiecie płowe, w Gryzonach i same
białe. W Imboden

żyzne łąki. Nad ich okręgiem nadobnie rozsiane chatki. Wieśniaczki w czerwonych chustkach, związanych na głowie jak u naszych chłopek. Ale jak nie nasze, chodzą, krzątają się koło domu, pończochę robiąc. Dalej droga albo w skale kuta nad przepaścią, gdzie rzeka przebija się przez rozgruchotane skał odłamy, albo gdzie przestrzenie obszerniejsze i równiejsze, wije się przez laski sosem, wiązów i buków. Co kilkaset kroków, mosty, kaskady, dziwne urwiska, chatki pojedynczo lub kilka razem. W Imhoff zaczyna się droga równiejsza, Aara, pobocznymi tamami z kamieni ściętna, spokojnie płynie. Kościółek pod górą. W minut potem wielki obudowany most. Grund, urocza dolina, od której się dwie inne po bokach rozchodzą, niegdyś jezioro, dziś pasmo łąk i dostatnia wioska. Szczytów skalistych lub śniegowych, które się chowają jedne za drugie, to znów występują, trudno policzyć. Już na lewo skrył się Schreck, na prawo zawsze świeci Noegelisgrat i Pfaffenkopf swymi wieżycami. Wchodzimy na wyżynę Kirchet,

która oddziela wyższą dolinę Hasli od niższej. Najpiękniejszy ząd widok na Grund i całą przestrzeń. Przez tę górę Aara przecięła sobie drogę i dziś płynie między dwoma prostopadłymi, stóp wzniesionymi skałami. Naturalny ten kanał zowie się Finstere Schlauche czyli ciemna szyja. Za nią przebywamy gęsty las,

i oto Meyringen, ludna i zamożna stolica doliny, z szczególnej struktury kościołem, przy którym stoi dzwonnica, niegdyś turma władców tej okolicy. Szeroką tu na pół mili naszej przestrzeń, otaczają strome ale lesiste góry. Z Hasliberg spływają trzy strumienie, tworząc mnogie i wspaniałe kaskady, ale często zalewając dolinę i nanosząc na nią nie tylko wielkie odłamy skał, ale błoto z łupku, którego pokłady znajdują się obficie w tych górach. W zbudowano tamę na stóp długą, ale ta okazała się bardzo niedostateczną. W powódź napęliła kościół tem błotem aż do stóp wysokości. W Meyringen stanęliśmy po dziewięcio-godzinnej drodze od Grimsel o z południa. Dalej iść już nam sił nie starczyło. Zjadłszy więc obiad pod "Wilder Mann", gdzie w istocie jak dziki człowiek obszedł się z nami opasły a niegrzeczny gospodarz, ruszyliśmy najętą powózką do Brienz. Coraz żyzniejsze łąny, ludność silna i urodziwa, kobiety potężne, rumiane, zawsze w czerwonych na głowie chustkach; spotykamy dwie na rosnących karych koniach, oklep ale bokiem siedzące. Tradycya równie jak stare kroniki niosą, że ludność ta, odrębnych rysów i najpiękniejsza w Szwajcaryi, pochodzi ze Szwecyi i Ost-

fryzyi. W piątym wieku miało Szwedów, połączywszy się z Ostfryzyczykami, wywedrować z przyczyny głodu pod wodzą naczelnika Hatis, pochodzącego z miasta Hasle, i osiąść najprzód około góry Piłat pod Lucerną, a

potem przeszedłszy przesmyk Brünig, zająć tę dolinę, którą, od
rodzinnego miasta
swego wodza, Hasli nazwali. W trzynastym wieku, wzrosli w siłę jej
mieszkańcy
już stawiali dzielny opór cesarzowi, a dla większego bezpieczeństwa
zawarli
przymierze z Bernem, wielkie sobie przywileje warując. Gdy jednak
w szesnastym
nie chcieli żadną miarą przystać na wprowadzenie protestantyzmu,
przyszło do
walk zaciętych, w których naostatek zwyciężeni, musieli się poddać
Bemowi.
Uczeni szwedzcy, badając język, zwyczaje, rysy, przyznają im blizkie
pokrewieństwo z swym narodem. Nawet rasa koni, tak podobna do
ostfryzyjskich,
zdawałaby się dowodzić, że z północy tu pierwiastkowo przybyły.
Słyną oni także
z zapasów gimnastycznych, któremi się na uroczystościach ludowych,
w lipcu i
sierpniu odbywanych, popisują.
Droga do Brienz przebywa wiele strumieni dążących do Aary.
Mnóstwo więc kaskad i
mostów. Wioski liczne, choć zagrożone i wzbieraniem potoków i
obsypującymi się
górami. Góra Wildgerst zapadła się jak Rossberg koło Rigi. Pokazują
pełno
wiosek, które już nieraz zasypanymi zostały. Dwie z nich pod
Brienzgrat,
założone na miejscu dawnego Kienholz, zniszczonego zasypem w ,
doznały tegoż
samego losu w . Osieroconym mie-

szkańcom rząd berneński ofiarował ponieść kosztą przeniesienia ich w
bezpieczniejsze miejsce. Odmówili i odbudowali się na zrujnowanej
siedzibie. W

szlam łupkowy zalał ich znowu, a w dokona! takiego spustoszenia,
że
już nie było po co wracać. Minąwszy drogę, która w górę do
przesmyku Brüni
prowadzi, i objechawszy Bullenberg, stanęliśmy w Tracht. Hôtel de
Bellevue w
Brienz z kwiecistym ogródkiem stoi nad samym brzegiem jeziora.
Tam zaraz
wsiedliśmy w łódkę, by w czas do Interlaken na noc zdążyć. Tu już
wnikliśmy w
kraj tak szczegółowo przez wszystkich podróżników opisywaną,
żem tylko
Władysławowi, unoszącemu się nad okazałością jeziora, wskazywał
gdzie sławny
spadek Giessbachu, gdzie wyspa Syren, gdzie kościółek pod górą
Ringenberg,
zostawiając aby sam sobie swobodnie nazajutrz te ciekawości obejrzał.
Wieczór był pełen barw i woni. Ciepłe, sprężyste powietrze napawało
piersi
swobodą i odejmowało nam wszelkie poczucie utrudzenia.
Radowali się
wspominając drogę, którąśmy przebyli od rana. Z najdzikszej pustyni,
z
wulkanicznych wąwozów, rumowiskami skał schodziliśmy stopniowo
w coraz szersze,
żyźniejsze i ludniejsze okolice; zbiegliśmy nakoniec w dolinę wielkiej
zamożności, silnego, czerstwego i najpiękniejszego pokolenia w kraju.
Jakież to
przeciwieństwo, kiedy się spogląda, czy rzeczywiście czy oczyma
duszy, z tych
granitowych

urwisk na spokojne a bogate łany u spodu, jakąż prawda są te słowa:

Ze skał zrębu, na gór szczycie,
Gdzie zamarło świata życie,

Widzisz u stóp dookoła
Skrzętną pracą możne sioła.
Tu piorunnych chmur gromada,
Tam ożywcze słońca blaski,
Bo wszechmocną ręką włada,
Tu Bóg grozy, tam Bóg łaski.

* * *

ROZDZIAŁ ÓSMY.

INTERLAKEN.

Jak zwykle o tej porze, Interlaken przepelniała ciżba elegancka. Po hotelach nie było miejsca. Znaleźliśmy wreszcie w tym, z którego najlepszy widok na Jungfrau, jeden pokój na pierwszym, a drugi aż na trzecim piętrze. Wybrałem ten ostatni, aby mieć jak najwięcej spokoju do pisania, a widok rozleglejszy. Przyjemność to nie miała dostać się po długich trudach na parodniowy spoczynek w przystań opatrzona we wszelkie wygody, ale jakżeż przykro po wspaniałych widokach i uroczystych głosach pustyni uderzył nas gwar i drobiazgowość tego wystrojonego, a tak małodusznego, bo zajętego sobą, zbiegowiska ze wszystkich stron świata. Zaraz przy wieczery towarzystwo naszego hotelu wystąpiło przed nami w całej swej różnobarwności i mieszaniu charakterów i usposobień. Grupy Anglików, którzy

zawsze i wszędzie odosobniają się i urządzają właściwe sobie home,
obsiadały
stoliki po kątach. Przy długim stole po środku gwarzyło więcej
łączliwe
zebranie. Niemcy i rozmaite odcienia teutońskie, Szwedzi, Holendrzy,
poważnie
rezonowali; Moskale patrzeli z pyszną jakby zdziwieni, że się znaleźli
w tak
mieszanem towarzystwie; Francuzi głośno szczebiotali, zaczepiając
wszystkich jak
gdyby świat cały do nich należał; my jedni tylko milczeliśmy, jako
wykluczeni z
rzeszy narodów, a raczej przez obawę, aby nas nie wciągnięto do
rozmowy, która w
takich razach zwykle kończy się na pytaniach o stanie naszego kraju i
na próżnem
politowaniu.
Zdałoby się, że w takim miejscu żadna inna nie przystała pogadanka
jak o
wspaniałościach okolicy. Tymczasem mówiono o wszystkim, tylko
nie o Szwajcaryi.
Stół nasz aż trząśł się od krzyżujących się nowinek z Wiednia, z
Paryża, z
Londynu. Wiedeńczyk opowiadał o najnowszej operze i tancerce,
Nadreńczyk, który
był tylko co z Londynu przybył o oburzeniu wywołanem w Anglii
maryażami
hiszpańskimi, a Francuz dyszkantem wyśpiewywał skandale ze
dworu Ludwika
Filipa. Z drugiej strony przy zakręcie stołu siedziały naprzeciw nas
dwie już
podstarzałe ale krzepkie jeszcze panie, tak z twarzy, ubioru i ruchów
podobne do
siebie, że można było jedynie po tem je rozpoznać, że ta po lewej, a
owa po
prawej stronie ogromną jaskrawą kokardą przy kapeluszu, jakby
dwójka w zaprzęgu,

świeciła. Oczywiście były to siostry, a że Angielki,

to czerwone nosy i długie zęby od razu wykazywały. Dzięki zakrętowi stołu stanowiliśmy z niemi jakby oddzielne grono. Zaraz też nas zaczepiły, to po francuzku, to po niemiecku, a gdym ja ozwał się do nich po angielsku, natychmiast nam się przedstawiły jako znane podróżniczki: Miss Eliza i Miss Mary Oliphant. Wiedziałem coś o ich podróżach, więc też rozmowa stała się zaraz i ożywioną i poufałą, jak gdybyśmy się znali od lat wielu. Uradowane tem, jęły nam opowiadać swe przygody po rozmaitych krajach, a z taką szybkością, że trudno było nawet proste zapytanie wtrącić. Zwykła to wada, a może i przymiot w osobach, zwłaszcza kobietach, które wiele się po świecie kręciły i widziały, ale tu była ta rzecz szczególniejsza, że jedna drugiej nie przeszkadzała, a każda miała równy wymiar w opowiadaniu, nie tylko co do wątku, ale prawie i co do słów ilości. Gdy bowiem Miss Eliza poczęła wyłuszczać jaką anegdotę, młodsza siostra odbierała słowo w połowie, i do końca ją prowadziła. A grze tej w odbijanego dawał znak zawsze jeden frazes: Tak właśnie, kochana Elizo, — even so, my dear Eliza, — poczem koniec historyi następował. I tak na przemian, raz ta, drugi raz owa poczyniała, a zawsze inna kończyła. Dowiedziawszy się, żeśmy Polacy, niezmiernie żałowały, że dotąd im nie przyszłej zwiedzić naszego kraju, ale

obiecowały zaraz w następnym roku to uczynić. Natomiast, zapewne, aby nam choć w części tę ujmę nagrodzić, rozwodziły się szeroko nad Węgrami i Czechami, jako pobra-

tymczym naszemu narodzie. Dwie anegdoty z ich wędrówki nad Dunajem i nad Mołdawą, utkwily nam w pamięci i częstośmy je sobie później powtarzali, nie tak dla osobliwego dowcipu, jak dla sposobu opowiadania, który jednak na piśmie oddać niepodobna.

— "Gdyśmy były w Peszcie — rzecze Miss Eliza — zaprowadzono nas do jakiegoś muzeum. W dolnych salach między innymi ciekawościami przewodnik wskazał nam na czaszkę Rakoczego. Niezwykła jej wielkość i okrągłość przywiodła nam na pamięć rozliczne przygody tego awanturnika. I pomnisz my dear Mary, jak oglądaliśmy ją długo, i z jej wypukłości tłumaczyłyśmy sobie jego ambicję i szaleństwa".

— "Even so, my dear Eliza — poderwie młodsza siostra — doskonale to sobie przypominam, ale nie byłoby w tem nic szczególnego, gdyby nie to, co nam się w innym oddziale tegoż muzeum wydarzyło. Wchodzimy na pierwsze piętro, aż tu nam znowu pokazują czaszkę Rakoczego, tylko o wiele od tamtej mniejszą. "Jakto może być? — wraz obie zawołałyśmy — wszakże tam na dole już jedną przed nami się popisywano". — A na to przewodnik: "To co innego, tamtą miał gdy umarł, a tę, gdy był dziecięciem".

I uśmieły się jak gdyby po raz pierwszy zdarzenie to opowiadały.
Przyszła kolej
na młodszą. Więc tak poczęła:

— "Ale w Pradze równie coś zabawnego nam się zdarzyło. Pokazują
tam w
bibliotece na Hradczynie manuskrypt własną ręką Zyski pisany.
Wiadomo, że Zyska
umierając, polecił, aby po śmierci zdjęto z niego skórę i obciągnięto
nią
taraban dla postrachu nieprzyjaciół."

— "Even so, my dear Mary — rzecz starsza — Otóż oglądałyśmy
pomieniony rękopis
razem z jakimś kupczykiem. Słyszał on coś o owem przedśmiertnem
poleceniu Zyski.

Więc się śmiało przewodnika zapyta: Czy to w istocie Zyska na
własnej skórze ten
manuskrypt spisał?"

Nic więcej gadatliwe osoby nie zniewala, jak potulne słuchanie.

Rozstaliśmy się
też z naszymi Angielkami w najlepszej komitywie. Dowiedziawszy
się, żeśmy parę
dni mieli w Interlaken zabawić, prosiły nas, abyśmy zawsze to samo
miejsce przy
stole zajmowali, a tak znajdą sposobność miłszej z nami, jak się
wyróżały,
rozmowy, niż z innymi o mdłej polityce lub gorszących nowinkach
światowych.

— "I to one zowią rozmową — rzekł Władysław, gdy się ze mną
żegnał na wschodach

— ten monolog we dwie osoby?"

— "To coś — dodałem — nakształt tego, co mówią o małżeństwie,
że jest egoizmem
we dwoje".

— "Prawdziwe au moral siostry siamskie. Gdyby się też udało je
pokłócić i

rozerwać ten łącznik między niemi, to zabawne even so! Nie zły byłby figiel".

— "Wiem, żeby ci to było nie trudnem, Władysławie, ale lepiej przypomnij sobie owego młodzieńca, co na statku reńskim sam jeden swoją rozmową całe towarzystwo zajmował".
Zrozumiał mnie pocziwiec, i serdecznie uściskawszy rękę, odszedł do siebie, wołając za mną wstępującym na wyższe piętro: Ale im się przynajmniej nie dajmy!
Nazajutrz mój towarzysz, porządnie strudzony, długo spoczywał, a ja tymczasem przywykły wstawać o jednej godzinie, wyszedłem rano do Unterseen, aby się na poczcie o listy przepytać i zarazem odwiedzić dwóch znajomych mi Polaków, od dawna tu osiedlonych. Nie zastałem kapitana Siekierskiego, który jako stary wojak, mieszkał w baszcie należącej do murów, co niegdyś to miasteczko opasywały. Trudnił się on dostawą bydła szwajcarskiego do ziem polskich, rzadko więc w miesiącach letowych w domu przebywał. Natomiast pana Izydora Jackowskiego, kupca a nieco i bankiera, ożenionego ze Szwajcarką, zawsze można było zastać w jego sklepie z najrozmaitszych towarów złożonego, i o przejezdnych rodakach się dowiedzieć. On mię też uwiadomił, że pełno na mnie czeka listów na poczcie, że ci i owi z moich przyjaciół już przejechali, i że żadnego Polaka w tej chwili w Interlaken nie było, a co gorsza, że ostatnie nabożeństwo

katolickie odbyło się przeszłej niedzieli. Zabrawszy więc pakę listów z poczty pospieszyłem do hotelu je odczytać. Trzeba było na wszystkie zaraz odpisać, a że u nas

nikt się nie kontentuje krótkimi odpowiedziami, wiedziałem, że mi na to dwa lub trzy dni ledwie starczy. Przyszła mi przeto myśl wyprawienia samego Władysława w góry, tem więcej, że znając podobne jemu usposobienia młodzieńcze, mogłem łatwo przypuścić, iż miło mu będzie znaleźć się znowu na zupełnej wolności.

Z gotowym więc planem na trzy lub cztery dni następane wszedłem do przecierającego zaledwie oczy Władysława. Nie chciał z razu żadną miarą przystać choćby na chwilowe rozłączenie się ze mną, zwłaszcza, że już zbliżał się koniec naszej wspólnej podróży. Zgodził się wreszcie, ale pod warunkiem, że mu dokładnie drogę po oberlandzie berneńskim wytknę, wszystko co godnem widzenia opowiem, i dzień a nawet godzinę, w której napowrót ma się u mnie stawić, ściśle oznaczę. Stanęło na tem, że odpocząwszy dzień cały, miał nazajutrz, w niedzielę, puścić się z przewodnikiem do Lauterbrunnen, tam obejrząwszy sławną kaskadę Staubbach, iść dalej w górę tej doliny aż do mniej słynnego, lecz równie godnego uwagi wodospadu-Schmadribach, i wrócić, choćby późno wieczorem, na nocleg do gospody w Lauterbrunnen. Następnie radziłem mu, aby poniedziałek poświęcił

jednej z najciekawszych wycieczek, to jest przejściu przez
Wengernalp do
Grindelwald, samym spodem tego majestatycznego amfiteatru,
którego wieżycami są
Jungfrau, Moench, Eiger, Finsteraarhorn, Schreckhorn i Wetterhorn.
Trzeciego
dnia po noclegu w Grindelwald i obejrzeniu wiel-

kich dwóch lodospadów, mógł łatwo przez Scheideck dostać się do
Meyringen, a
zamtąd drogą już raz przebytą stanąć wieczorem w Interlaken.

Ponieważ często
dla niepogody trzeba się i całą dobę w jednym miejscu zatrzymać,
przydałem mu
jeszcze dzień jeden, termin powrotu na środę wieczór nieodzownie
naznaczając.

— "Zaraz po obiedzie — rzekłem odchodząc — na który, proszę cię,
staw się jak

najwcześniej, gdyż brakłoby czasu naszym pocziwym Anglikom do
wypowiedzenia

wszystkich przysposobionych dla nas na dziś historyjek, pójdziemy
sobie na wolną

przechadzkę do któregokolwiek z najbliższych ciekawych miejsc w
okolicy, a wtedy

opowiem ci obszernie, co masz w tych trzech dniach zwiedzić".

Gdym przybył do stołu, już zastałem Władysława. Wnet zjawiło się i
oczekiwane

przez założone obok nas krzesła towarzystwo. Ale tylko starsza
ukazała się

Angielka, i witając nas jakby już znajomych od wieku, oświadczyła
jak mocno jej

siostra żałuje, że chwilowa słabość nie dozwoli jej dziś korzystać z
rozmowy z

tak wykształconymi jak my gentlemanami. Po twarzy Władysława
przeleciał cień

zawiedzonego oczekiwania, co Miss Eliza wzięła oczywiście za
szczerę
współczucie i komplement, a w czem ja nie mogłem nie dojrzeć
potwierdzenia
domysłu, że pomimo mej uwagi przygotował on był sobie jakiś plan
pomieszania
szyków niezmiennemu dwóch sióstr dyalogowi. Rozchmurzył się
jednak, gdy w
towarzystwie, co za sobą przy-

wiodła Angielka, ujrzał małą, zgrabną, wesołą Francuzkę, która od
razu zalotnem
podbiła go wejrzeniem. Oprócz tego było dwóch mężczyzn, — jeden
wysoki, łysy, z
szerokiem czołem, na którym nie wiedzieć co wyraźniej, czy duma i
lekceważenie
wszystkiego na okół, czy zadowolenie z siebie samego, przeważało,
— drugi młody,
przystojny, ale z taką kwaśną miną jak zakuty Anglik, co się pierwszy
raz w
wesołem gronie cudzoziemców znajduje. Przedstawieni sobie
nawzajem przez Miss
Elize, dowiedzieliśmy się od razu, że starszy Anglik był mężem
Francuzki, a
młodszy jego bratem. Panie zajęły dwa naczelné miejsca u stołu, ja
przy
Francuzce a naprzeciw starczego wyspiarza, Władysław po lewej mej
stronie a vis-
a-vis młodszego. To rozłożenie da lepiej poznać niż wszelki opis
fizyognomię
naszego grona.
Rozdano zupeł. Trójka angielska ledwie jej dotknęła. My i Francuzka,
przeciwnie,
smacznie w lot ją sprzątnęliśmy, a Władysław nawet powtórnej edycyi
od
posługaczów zażądał.

— W długich moich podróżach — rzecze Miss Eliza — nauczyło mnie doświadczenie, że nigdzie tak dobrze i tak prędko nie rozpoznaje się rozmaitych narodowości jak przy jedzeniu. Jeżeli ze sposobu zachowania się przy stole zaraz znać stopień wychowania w biesiadniku, to nawet w najwykształceńszem zebraniu, a przeto najlepiej umiającym trzymać się na wodzy, przebijają odrębne właściwości narodowe. Niecierpliwy Polak rzuca się gwałtownie na

pierwsze danie, którem jest najczęściej niepożywna zupa, by co prędzej głód zaspokoić, nie bacząc, że najposilniejsze i najlepsze potrawy dopiero później przychodzą. Poważny i przezorny Anglik tylko jakby z grzeczności bierze do ust parę łyżek tego, co za granicą zowie najczęściej pomyjkami, a czemu u siebie jedynie wtedy przebacza, jeżeli jest składem ekstraktu mięsnego i pieprzu. Dla niego początek i koniec obiadu jest obojętnym; środek, złożony z doskonale a zdrowo przyrządzonych mięs, to grunt. Francuz wszystkiego po trochu kosztuje, ciesząc się więcej smaczną przyprawą niż istotą. Moskal wybiera tylko to, co wykwintne, co pozór magnackiej kuchni nosi, zwykle jak parwenjusz i dorobkowicz. Żarłoczny Niemiec wszystko pożera od początku do końca, nie przebijając i niczemu nie przebacząc, zda się, że pochłonąłby, a przynajmniej chciałby zabrać i półmiski".

— Mnie się zdaje — przerwałem, widząc że jakiś po środku siedzący Teuton już strzyże uszami — iż różnice plemienne uwydatniają się jeszcze bardziej w rodzaju pożywienia, jaki w tym lub owym narodzie przemaga, równie w pospolitej strawie spólstwa, jak w gustach gastronomicznych wykwińskiego świata. Zależy to od klimatu, od miejscowych płodów, od tradycyi i przyzwyczajzeń, a nieraz i od przypadku. Mieszkaniec północnego kraju potrzebuje więcej mięsa, południowiec więcej jarzyn. Hołdujący we wszystkim naturze Anglik, praktyczny, nienawidzący pozorów, musi mieć przed sobą po-

trawę tak daną, aby jak najmniej ukrywała swe pochodzenie. Jeżeli surowego mięsa już nie jada, to przynajmniej chce, aby wyglądało jak surowe i krwią pieczeń podlewa. Przeciwnie, artystyczny Francuz całą swą sztukę wyteżga na przystrojenie, na, że tak powiem, uidealizowanie grubego pierwiastku, i nic go więcej nie cieszy, jak gdy tak przyrządzi potrawę, że się domyśleć trudno z czego się ona składa. Jakżeż rad, jeżeli cielecą główkę wystroi w pozór i smak ryby, a rybę w królika lub zająca. Ztąd też tak jest przemyślnym i tak poetycznym w dobieraniu nazw najprostszym pokarmom. Do zabawnych to często wiedzie sprzeczności. Ale najpocieszniejszą jest bezwzględność, z jaką jeden kraj wyśmiewa przemagające gusta w drugim. Anglicy i Francuzi zrozumieć nie mogą, jak Słowianie mogą się tak w kwasach lubować. Dla nich nasz barszcz

podwójnie jest barbarzyńskim, bo i w smaku i w swej nazwie tak,
trudnej do
wymówienia. My znowu nie pojmujemy, jak mogą Anglicy
smakować w pieczonych
jagniętach i to z sosem kminkowym, a cóż dopiero w leguminie z
rumbabarum?
Drobne te wyłączości są miarą, jak i w wyższych, ważniejszych
przedmiotach mało
jeszcze jesteśmy wyrozumiałymi jedni dla drugich. Dzisiejsza dążność
kosmopolityczna pewnie zatrze niebawem te różnice, przynajmniej w
wyższych
klasach. Oby tylko obrazem tego ujednostajnienia nie była owa
mięszanina, co się
w Anglii zowie "mince-pie", a która składa się z najroznorodniejszych
w świecie
ingredyencyi, mięsa, tłuszczu, ryby, jarzyn, owo-

ców, rodzenków, konfitur, wszystko zagniecione w ciasto.
— Przyznasz pan jednak — rzecze Miss Eliza — że to dziwactwo
jest przecież
bardzo smaczne. A wiesz, że to nie żadnem wyrachowaniem i
przemysłnością, ale
tylko trafem się stało. Kucharka przyrządziwszy obiad na stolnicy, nie
wiedziała
co zrobić z resztek i okrawków, pomieszała wszystko, zagniotła w
ciasto, i
wyszedł z tego cud gastronomiczny. A w świecie politycznym czy to
nie traf i
przypadek mięsza z sobą i zespala najsprzeczniesze żywioły,
najodmienniejsze
narodowości? Tacy zdobywcy jak Bonaparte, co marzą o monarchii
powszechnej, co
pragnęliby wszystkie ludy zaamalgować, czyż nie na oślep tylko
zagniatają
ludzkość w jedno ciasto?

— Tylko — zawoła Władysław — żaden z tego cud polityczny nigdy nie wyniknął i nie wyniknie. Przeciwnie, same nieszczęścia i gorsze jeszcze między narodami nienawiści, gdy po krótkiej dobie przymusowego połączenia, każdy znowu sobą samym się stanie. Kto dzieło Boże różnobarwności narodowych niszczy, ten sam upada i sprowadza na ludzkość nieprzeliczone klęski i rany, których długie wieki często zagoić nie zdołają.

— To właśnie — rzecze Miss Eliza — powinno nas nauczyć, że obok przywiązania do naszych plemiennych właściwości, winniśmy mieć wyrozumiałość i tolerancję dla drugich i nie szydzić z siebie nawzajem. Cóż to uwłacza chwale dawnych Rzymian że specyałem dla nich były szarańcze w miodzie

szczury nadziewane, żołądek wieprzowy zbity w jedną miazgę z surowemi jajami i ananasami, a wszystko podlewane owem, sławnem garum czy liquamen, które w Grecyi z najbezpieczniejszych zgnilizn wyrabiano Co to szkodzi zasługom naszych przodków, że ostrygi cukrem posypywali? Niech dziś jeden mieni przysmakiem kwas, drugi żabki, trzeci gniazdo jaskółcze, czwarty rumberbarum, byle to innym nie zawadzało, a będzie pokój i zgoda.

— "Tem więcej — dodałem — że takie wstręty i wyśmiewiska najczęściej z nieświadomości pochodzą. I tak ci, co tylko z daleka słyszą o rubarbpie, i nigdy tego przysmaku nie kosztowali, mniemają, że go tworzy korzeń, który jest

przykrem lekarstwem, gdy tymczasem dostarcza mu materiału bardzo niewinna, a raczej niezmiernie miłego, winnego smaku łądyga tej rośliny". Rozmowę naszą, która ku mojej obawie o mało co z nader drobnego przedmiotu nie zabrnęła w politykę, ucięło na chwilę wniesienie ogromnych roast i boiled beefów. Posługacze postawiwszy je przed biesiadnikami jakby dla zaostrożenia apetytu, przynosili potem półmiski na boczne stoły dla pokrajania. Olbrzymią pieczeń w naszym rogu zastawioną, Anglicy nie dali już zebrać, twierdząc, że cudzoziemcy krajać nie umieją. Jakoż w Anglii stanowi to osobną i dość trudną sztukę. Każdy rodzaj mięsa, a nawet każdą część jednego zwierzęcia inaczej nóż tam zacina. Znaczący utrzymują, że i tu umiejętna metoda podwaja smak i dobroć. Ponieważ u stołu

angielskiego sam gospodarz lub jego zastępca kraje i obdziela wszystkich, młodzież prawie od dziecka wprawia się do tego dzieła. Przed kilkoma laty w dziennikach londyńskich zawsze stało ogłoszenie, że młody kawaler lub panna zabierająca się do zamełcia może we dwunastu lekcyach za gwineę nauczyć się doskonałego krajania. Jak u nas konkurent płatając w powietrzu kapłona składał dowód, że gozdzien zostać mężem, tak tam świadectwo dojrzałości zdobywa się doskonałem pod włos cięciem. Mistrzostwa w tym względzie dawał nam teraz

przykład starszy Anglik, który w mgnieniu oka obdzieliwszy nas
smacznymi
kąskami, każdego wprzód zapytując, z jakiego miejsca i jak
upieczony, well-done
czy under-done? kawałek mieć chce, sam wreszcie zabrał się z
wielkim animuszem
do jedzenia, nagradzając sobie zwłokę obfitością zdobyczy. Na jego
twarzy
malowało się to zadowolenie, które Dickens tem tłumaczy w jednym z
swych
romansów, że taki smakosz czuje się dumnym, iż chlubę ludzkości
przynosi
puszczając w bieg najdoskonalszą w świecie maszynę, to jest żołądek.
— "Piękny to w Anglii zwyczaj — rzekłem — że gospodarz sam
swych gości
obdziela, i że, o ile być może, służba jak najmniej przy stole się kręci.
Rozmowa tem jest swobodniejszą. Ale zapytywania, jakiego kto sobie
życzy
kawałka, narażają często cudzoziemców na niemały kłopot Łatwo
zrobić wybór
między skrzydełkiem a piersią kapłona, ale nie znając biegle
nomenklatury ogromu
wołowego, jakże

trudno w nim wyszczególnić jedną od drugiej cząstkę? Anglicy to
umieją na
palcach, my się wcale o to nie troszczymy, byle mięso było kruche i
głód dał się
prędko zaspokoić. Lecz i u was w tej dowolności wyboru nie
jednakowa panuje
reguła. Byłem raz w Londynie na objedzie z jednym rodakiem, który
dopiero co
przybywszy do tego miasta znajdował się po raz pierwszy u stołu
rodziny
angielskiej. Dano najprzód rybę. Już mój towarzysz trochę zmięszał
się gdy go

gospodyni zapytała, czy woli od ogona czy od głowy? Ale że i w Polsce wydarzają się takie zapytania, odpowiedź poszła jeszcze dość gładko. Tylko gdy gość zaczął krajać rybę nożem, powstało ogólne zdziwienie. Zwyczaj bowiem nakazuje łupać rybę widelcem, a pomagać sobie kawałkiem chleba w drugiej ręce. Jest oraz przekonanie, że żelazo rybie smak odbiera, a z powodu używanych do niej ostrych sosów, może nawet zdrowiu zaszkodzić. Postawiono następnie ogromny joint. Nowy kłopot dla gościa, gdy go zapytał gospodarz, z kądem ma mu ukroić? Gość nie umiając sobie dać rady słowem, wskazał na oślepie palcem. Przychodzi kolej na cietrzewia czy bażanta. Znowu nieborak w ambarasie co wybrać, bo u nas przez grzeczność skrzydełka damom się zostawia. Dano wreszcie przy końcu objadu jakiś ser, który choć nierówny, bo są w nim jedne części więcej zepsute i ostrzejsze od drugich, w jednakowe płatki się kraje. Gość chcąc nagrodzić za poprzednią nieśmiałość i wahanie się w wyborze, wskazał od razu

na miejsce w serze, które mu się najwięcej podobało. Nowe zdziwienie. Pokazało się, że w mięsie wolno wybierać, ale w serze bynajmniej. — "Tak — ozwała się może nieco podrażniona Angielka — każdy kraj ma swe prawidła dobrego tonu przy stole. Nas oburza, gdy widzimy jak cudzoziemcy nożem zajadają, lub resztki sosów z talerza zmiatają chlebem. Na wschodzie jeszcze

gorzej, bo tam gospodarz aby uczcić gościa, zagniata na swej dłoni
kawalek

baraniny w gałkę z ryżu i w usta mu pakuje. Ale i w tem czas już
wiele zmienił i

coraz więcej zbliżać będzie wszystkich pod jedną regułę. Wszakże
jeszcze

niedawno we Włoszech nikt nie brał macaroni do ust jeno palcami, co
się dotąd u
ludu zachowało".

— A pamiętacie — wtrąciła Francuzka — jak Richelieu u swego
stołu poznał
człowieka źle wychowanego po tem, że ten widelcem nie palcami brał
oliwki?

Dawniej jeszcze gorszy był zwyczaj. Resztki niedojedzonej zupy
przelewano w
talerz obok siedzących a zapewne niższych wiekiem lub stanowiskiem
towarzyszów.

Widać to z książeczki "La Contenance de la Table", w której między
regułami
przyzwoitości, wierszem wyłożonemi, jest i następująca:

Le residu de ton potaige
Jamais à aultruy ne présente.

— "Nie śmiesz dodać — rzekł mąż Francuzeczki ze zwykłą angielską
rubasznością —
coś mi nieraz

przytaczała, że jakiś wasz dawny autor napomina, iż wolno obrusem
usta ale nie
nos ucierać".

— " Tak, za lat sto lub dwieście — szybko dorzuciłem, żeby
przerwać Anglikowi
koncepta, na które mu się zabierało — nasi potomkowie będą się
może naśmiewali z

dzisiejszych zwyczajów. Jakże naprzykład może im się dziwnem
wyda prowadzenie
dam do stołu pod rękę i pochód parami, albo stukanie w kieliszki przy
toastach,
albo ta różnica godzin obiadowych w sąsiednich nawet krajach, co
niedługo, skoro
koleje żelazne jeszcze prędzej niż dziś szybować będą, i skoro pod
cieśniną
kaletańską nowi Brunellowie tunel wydrążą, dozwoli zjeść jeden
obiad w Paryżu, a
na drugi zdążyć jeszcze do Londynu".
— "Przepraszam — rzecze Miss Eliza — ale z takich zwyczajów,
które okazują hołd
dla dam, i wiodą do coraz większej uprzejmości i łączności
towarzyskiej, jak ów
pochód parami do stołu, lub wymiana przyjaznych uczuć przy
kieliszku, chyba
wtedy ludzie naśmiewać się zaczną, gdy zdiczeni przez absolutną
równość będą
się hurmem pchali do zastawionych biesiad, każdy myśląc tylko o
sobie, jak to
już dziś się dzieje przy wielkich festynach osobliwie w Ameryce. Co
zaś się
tyczy późnej godziny obiadów w Londynie, to ma swój słuszny
powód. Każdy kupiec,
artysta, literat, musi się najprzód uprzątnąć z swą dzienną robotą,
zanim mu
wolno pomyśleć o wygodnym obiedzie w rodzinnem kole. Nasza
stolica jest tak
wielką, że te części miasta, jak na

przykład City, w których praca się skupia, są nader odległe od
domów, w których
byle trochę zamożniejsze rodziny dla świeższego powietrza
mieszkają. Gdzież

sposób iść tam wcześniej na obiad i znów wracać do pracy? Cóż dopiero bankierowi, i w ogóle bogatszym obywatelom City, którzy najczęściej mają ville daleko za miastem? Następnie, nocne posiedzenia parlamentu, na które członkowie zbierają się dopiero po odprawieniu obowiązków do swego powołania prywatnego przywiązanych, są także przyczyną późnej godziny obiadowej. Co może cudzoziemcom wydawać się dziwnem, to niezawodnie ta szczególność, że nasi prawodawcy na czczo zbierają się na swe posiedzenia około piątej z południa, a dopiero gdy po załatwieniu spraw potocznych poczną się rozprawy nad ważnym jakim przedmiotem, i jeden z nich do dwu lub trzygodzinnej mowy wstanie, wtedy wszyscy biegną na obiad, zostawiając w Izbie tylko Speakera i kilkunastu słuchaczy, i nie wracają aż przyjdzie czas na głosowanie. W tych wyższych kołach zwykle na zaproszony obiad zbierają się goście o ósmej. Wellesley Pole był znanym z tego, że zapraszał na dziewiątą a często siadano u niego do stołu dopiero o jedenastej. Lord Londonderry dopuszczał się jeszcze większego dziwactwa. Gdy goście już byli zebrani, siadał na koń i wyjeżdżał sobie, jak zwał, na ranny spacer". — "A czy powracał? — zapytałem. Taki dziwak najlepiej byłby zrobił, gdyby zechciał naśladować Chińczyków, którzy zebrawszy przyjaciół na

uczcie, wychodzą z domu, żeby ich w jedzeniu nie żenować. Przypomina to zwyczaj

arabski, który nakazuje gasić światło przy stole, aby gość mógł jeść ile tylko mu się podoba".

— "Mniejsza o wybryki takiego oryginała, jak Lord Londonderry — odpowiedziała

Miss Eliza — lecz to pewna, że tak późna pora obiadowa i tak długie jak u nas

siedzenie u stołu jest zabójstwem i zdrowia i czasu. Dziś już tak nie jest, ale

bywało dawniej objad przeciągał się dobrze za północ. Właściwy wprawdzie trwał

tylko godzinę lub dwie, ale gdy po deserze damy odeszły, mężczyźni politykowali

jeszcze bardzo długo przy winie, przesuując wciąż rząd butelek czy karafek

jakby kolejną żelazną jeden do drugiego. Ztąd Teodor Hook w zabawnej swojej

apostrofie napomina pijaków, aby sami nie jadali, bo butelka za nadto często

powraca. Spijano się też na dobre i pod stołem kończono zabawę. Znaną wam jest

zapewne anegdota o panu Huddleston, który ród swój wywodził od saksońskich

królów heptarchii, i o Howardzie księciu Norfolk pochodzącym od królów

normandzkich. Przy jednym obiedzie u księcia, pierwszy, dobrze sobie podpiwszy,

pod stół się powalił. Młody krewniak Norfolkka chciał go podnieść, ale on go

odepchnął mówiąc: Nigdy się nie pokaże, żeby głowa domu Huddlestonów miała

potrzebować wsparcia od młodszej gałęzi Howardów. — Na to również pijany książę:

Głowa Howardów nie zdolna ci pomódz, więc zrobi jedynie na co ją stać, położy

się obok twojej. — I legł jak

długi przy swym towarzyszu. Lecz wasi przodkowie panowie Polacy
jeszcze podobno
tężej jedli i pili od naszych".

— "Dobrze jedli i pili — rzekłem — to prawda, ale jednak wam
musieli nieraz
palmę pierwszeństwa przyznać. Czy pani sobie nie przypomina owej
świstawki,
której Burns balladę poświęcił? Duńczyk jakiś objeżdżał całą Europę
wyzywając
wszystkich do kufła. Kto z grona pijących zdołał ostatni zadać w
świstawkę, ten
dowiódł najtęższej głowy i otrzymał ów klejnot na znak zwycięstwa.
Nikt w całej
Polsce nie potrafił zmódc Duńczyka. Dopiero pobito go w Szkocyi.
Świstawka dotąd
przechowuje się w rodzinie Cutlara Fergussona, przyjaciela Polski,
rzecznika
naszej sprawy w parlamencie, który odzie dziczył po przodkach
równie tęgą głowę
jak szlachetne serce".

— "A przecież — odezwał się starszy Anglik — tyle w książkach
czytamy o
polskich biesiadach, o festynach na dworze magnatów, że się zda, iż
żywot
Polaków był jedną ciągłą ucztą. U nas prawi legenda tylko o jednym
obiedzie co
trwał trzy lata. Ale moja żona wam tę zagadkę wyłuszczy, bo ona
lepiej umie
opowiadać".

— "Zwykle jak legenda — pochwyliła Francuzka — coś jest i nie ma
nic. Przybył
do Anglii jakiś ksiądz włoski. Idzie do Arcybiskupa Yorku. Powiadają
mu, że
właśnie siadł do obiadu. Wraca za godzinę. Jeszcze Jego Wielbność
biesiaduje.
Gdy za trzecim nawrotem taką samą dano mu od-

powieź, Włoch odjechał i już więcej nie próbował widzieć się z Arcybiskupem. We trzy lata potem spotkał się w Rzymie z kamerdynerem, który mu ową potrójną dał odprawę, i zapytał go żartobliwie: Czy jeszcze Arcybiskup nie skończył obiadu? Ztąd urosła owa powiastka".

Władysław, który dotąd oczami tylko rozmawiał z zalotną Francuzką, a snać pragnął co prędzej dorwać się z nią do słowa, rzekł pospiesznie: "Ale to nie zmyślenie i nie legenda, że tylu królów angielskich pomarło z niestrawności, Henryk I. najadłszy się minogów, król Jan napiwszy się młodego piwa po spożyciu kilku brzoskwiń. Nie ma może ani jednego, o którym milczałyby kroniki gastronomiczne. Weźmy tylko późniejszych, nowożytnych. Czytałem w jakimś zbiorze anegdot historycznych, że gdy Henryk VII. raz zbłąkał się na polowaniu, zaszedł do jakiegoś opactwa i prosił o posiłek. Opat miarkując po mowie i ubiorze, że to jakiś magnat, kazał zastawić wspaniały i obfity obiad, a widząc jak Henryk zajada za dziesięciu, ozwał się, iż dałby połowę swych dochodów za taki apetyt. Król niepoznany opuścił gościnne progi, ale w parę dni potem zamiast dziękczynnego daru, kazał porwać opata, uwięzić go i trzymać przez miesiąc cały o chlebie i wodzie. Oczywiście, że ten odzyskał apetyt, a król potem przechwalał się z swego konceptu. Sama otyłość Henryka VIII. okazuje, iż musiał nieźle zajadać. Elżbieta i w tym względzie była godną jego córką. Właśnie dogryzała

indyka, gdy przyszła wia-

domość o rozproszeniu armady. Ztąd też podobno w rocznicę dnia tego na stole angielskim musi koniecznie indyk figurować. Karol II. umarł po najedzeniu się twardymi jajami. Wilhelm III. przesiadywał po kilka godzin przy stole. Gdy podawano półmisek zielonego groszku, ulubioną jego potrawę, zmiatał wszystko, nic innym nie zostawiając. Księżniczka Anna przepadająca także za groszkiem, w odwecie zwała za to króla Kalibanem. A o czterech Jerzych ileż to zabawnych w tym rodzaju powiastek obiega?"

— "Widać — rzekła Miss Eliza — że wielcy ludzie odznaczają się i wielkością apetytu. Co naprzykład o Karolu V. cesarzu zapisuje kronika, aż się wierzyć nie chce. Od piątej rano śniadał po kilka razy. O dwunastej spożywał obiad z dwudziestu potraw. Wieczerzał dwa razy, po nieszporach i o północy. Tak samo obiałał się Fryderyk wielki. Mirabeau, który był w Berlinie w czasie choroby i śmierci króla w lipcu i sierpniu roku, nie może się wydziwić, że król do samej prawie śmierci jadał na śniadanie węgorza, potem łakocie, owoce, a w końcu dopiero mięso. Gdyby dobrze poszukać, to okazałoby się może, że i u was królowie umierali z nadużycia pokarmu lub napoju. Taki otyły Sobieski lub Batory nie musieli prowadzić życia poszczących pustelników".

— "Nie, pani — odparł Władysław. U nas monarchowie piękniejszą śmierć, i z

szlachetniejszych nadużyć miewali. Nawet jeszcze na wpół-dziki Król Litwin Jagiełło umarł zaziębiwszy się po całonocnem

słuchaniu słowików. Obżarstwo i opilstwo wzmogli u nas dopiero królowie Sasi, a ci byli Niemcami".

— "Bądź co bądź — rzekłem — wracając do tego z kądem wyszliśmy, pewnie się na to zgodzimy, że czy król czy prostak najskorzej odsłania swe pociągi i usposobienia przy stole. W tak mieszanem i przypadkowo zebranem towarzystwie jak obecne, w czemże moglibyśmy znaleźć lepszą wskazówkę, nad zachowanie się u stołu, do jakiego narodu lub stanu ten lub ów należy i jakie wychowanie odebrał?"

— "A ubiór?" — zapyta Francuzka.

— "Prawda — odpowiedziałem — ponieważ mówimy tu tylko o sądach z pierwszego wejrzenia. I nie dziwi mię to skwapliwe pani zapytanie, gdyż wiesz, że twój naród w obu tych względach, przy stole i przy toalecie, odznacza się wykwinnością i elegancją. Byłoby jednak nader smutną rzeczą, gdyby ludzi według ubioru ceniono".

— "Oczywiście — odrzekła — że jest wiele innych i mniej zawodnych wskazówek, ale przecież sam pan powiedziałeś, że tu mowa tylko o pierwszym rzucie oka.

Wyborną ilustracją w tej mierze jest przygoda, która spotkała naszego malarza Gérarda. Będąc jeszcze bardzo młodym, poszedł z polecającym listem do słynnego Lanjuinais. Ten, ujrzawszy przed sobą młodzieńca niedbale ubranego, przyjął go

bardzo chłodno. Ale im dalej zachodził z nim w rozmowę, tem więcej się przekonywał o jego zacności i zdolnościach, i przy pożegnaniu odprowadził go aż do przedpokoju. Szczery Gérard nie mógł na twa-

rzy ukryć wyraża zdziwienia zkaąd taka zmiana. Odgadując je, rzekł Lanjuinais:

Widzisz, mój młody przyjacielu, nieznajomego przyjmuje się według ubioru, a żegna według wartości".

— "Dziś — zauważyłem — coraz mniej godziłoby się sądzić ludzi z powierzchowności, bo ubiory tak się zbliżyły w kroju i kolorze, iż trudno rozpoznać pana od wyrobnika".

— "Wierz mi Pan, zawsze będzie odcień, który nie dozwoli żadnej pomyłki.

Trudniej schwytać od razu różnicę między mężczyznami, ale u kobiet są tysiączne drobiazgi w toalecie, które w mgnieniu oka odkrywają stan, wychowanie i gust zły albo dobry".

— "Lecz na to potrzeba mieć biegłość w tej sztuce i przenikliwość, którą tylko panie posiadacie, bo się też jedna dla drugiej stroi. Nam się zaś wydaje, że kiedy dama jest bien gantée et bien chaussee, to już wszystko. Dalej nasza nauka nie idzie".'

— "A czemże się dzieje, że najlepszymi modniarkami są u nas mężczyźni?"

— "Bo najzgrabniej, z przeproszeniem, blagować umieją. "

— "Powiedz Pan raczej idealizować, jak potrawy tak i toaletę.

Wchodzisz do

jednego, służący ci powiada, że się nikt z mistrzem dziś widzieć nie może:

Monsieur n'est pas visible, "il compose". Targujesz u drugiego kapelusik, cena ci się wydaje za wysoką, ale co poradzić, kiedy ci modniarz odpowie: Parole d'honneur, Madame, il m'a couté trois

nuits d'insomnie seulement pour l'imaginer. Inny i tego nie potrzebuje, bo

zarecza, że utworzył swe arcydzieło dans un moment d'enthousiasme.

I jakaż

kobieta zdołałaby się oprzeć takiej ponęcie i zachętom?"

— "Jednak dzieje mody nie uwieczniły tylu mistrzów w linii męskiej co żeńskiej.

Biorąc tylko ostatnie czasy, nazwiska takie jak pań Herbault, Victorine,

Beaudran, Palmyre, Oudot-Manoury, są znane w całym cywilizowanym świecie".

— "Ale, gdyby wejrzeć bliżej, pokazałoby się zapewne, że za temi paniami stali

i tworzyli ich mężowie".

— "To dowodziłoby, że ta sama ręka umie zarówno igłą i nożyczkami jak orężem

władać, i nie dziw, że naród, co świat podbił męztwem i umiejętnością wojenną,

drugi raz go modą shołdował".

— "Muszę się za naszą płcią ująć — przerwała Miss Eliza ten długi nasz dyalog,

który ja przedłużałem tylko, aby Władysława do słowa nie dopuścić

— za nadto

mało nam a za wiele mężczyznom pan przyznajesz. Na cóżby się zdały

najświetniejsze krawców pomysły i wyroby, gdyby kobiety nie posiadały tajemnicy

jak je, każda na swój sposób, przydzielać do swej twarzy, kibici i ruchów.

Przecież to jest pewnikiem, que la manière de porter la toilette en fait tout le prix, a pani de Genlis już powiedziała, że nie ma kobiety, coby nie miała swego osobnego secret de toilette".

— "Chwalicie się za nadto — rzeki starszy Anglik, który zaczął odpoczywać po obfitem spożyciu kilku mięsnych potraw a pogardliwie poglądał na zastawiony właśnie dessert, częstemi kielichy xeresu swoją pogardę zapijając; — kobiety we Francyi jeszcze ujdą (tu z przymileniem spojrział na swoją żonę, która mu się dość obojętnie odśmiechnęła), ale mężczyźni to sami trefnisie. Z wierzchu pstrocizna, połysk, a pod spodem? nie pytaj. Nie powiem, jak jeden z naszych podróżników, który twierdzi, że nie spotkał Francuza, coby się nie pysznił, jeźli zawdzieje czystą koszulę. Lecz to pewna, że każdy się tak ubiera, aby jak najwięcej przechodniów za nim się obracało i palcem wskazywało. — Quod monstrer digito praetereuntium (dodał, odwracając się do mnie z widoczną przyjemnością, że sobie sentencję z ław szkolnych przypomniał)".

— "Tak mówisz — ofuknęła się żona — boś tylko zważał bulewarowych elegantów. Zupełnie jest innem dobre u nas towarzystwo. Cudzoziemcy najczęściej widzą tylko tamtych i z nich o całym społeczeństwie sądzą. A to właśnie lalki na pokaz, zwykle wysyłane przez krawców dla przynęcania zagranicznych gości. Ztąd też ci

naśladować najgorsze, najjaskrawsze nasze wymysły, kiedy wyższe
nasze stany
ubierają się i skromnie i przyzwoicie, z dziwną sztuką zgadzania się z
modą bez
najmniejszej przesady. Bo czemuż jest elegancją prawdziwa, jeżeli nie
prostotą w
zbytku? Ani za mało, ani za wiele, w tem sekret. A trzeba bardzo
delikatnego i
wykształconego zmy-

słu, aby utrafić w samą miarę, nie przesadzać w modzie, a dociągać do
niej tak,
aby nikogo nie razić. A czy tak jest w Anglii? Czemuż tak rażą za
granicą
synowie i córki Albionu, jeżeli nie brakiem owej miary?"
— "Przynajmniej — rzeki urażony mąż — jest u nas i w
najdrobniejszym szczególe
szczerść, nikt nie udaje, blichtrzem nie świeci. U was we wszystkim
przeciwnie.
Demokracja, równość, a za czczemi tytułami się uganiacie.
Najzawołany apostoł
waszej demagogii, Béranger, nie pogardzał przyrostkiem "de", z
którego
najniezgrabniej się tłumaczył w tyle znanej piosnce:

He quoi? j'apprends que l'on critique
Le de qui precede mon nom.

— "Jest to słabość dzisiejszego wieku — wtrąciłem, uważając, że się
Anglik
coraz bardziej zaperza — dziwny kontrast z innymi prądami naszych
czasów. Ale
nietylko Francuzi podlegają tej chorobie. Ręczę, że połowa
zapisanych w naszym
hotelu hrabiów i baronów nie posiada żadnego tytułu. Pasują ich
zwykle na

rycerzy kelnerowie, hojną za to wybierając zapłatę, a co pochlebne
służalstwo
wymyśliło, później próżność utrwała. Ponieważ mówimy tu czem
przy pierwszym
spotkaniu człowiek daje wyobrazenie o swym rodzie, stanie,
wychowaniu, bez
wątpienia, że i tytuł czyni wrażenie i ułatwia przychylnę przyjęcie.
Lecz nie
mniej, a może i więcej sprawia

to przy miłym i szlachetnym układzie nadobna postać i oblicze".
— "Być może — ozwała się Miss Eliza — ale od tego mnóstwo jest
wyjątków.
Kondeusz, który umiał tak wszystkim się podobać od razu, używał w
pełni tego
przywileju, który pani de Sevigné przyznaje mężczyznom, le privilège
dont
jouissent les hommes d'être laids. Mirabeau sam się opisywał jako
tygrys
podziobany ospą. Nikt przecież nie miał więcej od niego de bonnes
fortunes.
Najpiękniejszego mężczyznę w swoim czasie, Lorda Townshend,
brzydki Wilkes
wyzywał o zakład, że go uprzedzi w zdobyciu łask u najpierwszej
wdziękini, byle
go dopuścił przed sobą do rozmowy, bo mawiał: ty zaufany w twej
urodzie
pominiesz pełno grzeczności i attencyi, ja zaś je podwoję, by moją
brzydotę
umilić i zagadać".
— "Ale na odwrót — rzecze Anglik — czyby się z pięknym
mężczyzną tak udało
choćby najdowcipniejszej lecz niepoczesnej kobiecie?"
— "Czemu nie? — odpowiedziałem — są i na to przykłady, choć w
ogóle prawdziwym

jest francuzkie przysłowie: Avec les hommes l'amour entre par les yeux, avec les femmes par les oreilles".

— "Niezawodnie — rzekła Miss Eliza wstając od stołu — nad wszystkie inne sposoby ujęcia sobie nieznajomych, jest miła, a jeżeli być może, dowcipna konwersacya. Tegośmy tu doznały, i jeżeli ją w tej chwili przerywamy, to w nadziei odnowienia jej jutro przy tym samym stole".

Towarzystwo nasze ruszyło się pierwsze. Damy jak najuprzejmiej nas pożegnały.

Starszy Anglik kiwnął z góry głową. Młodszy, który przez cały obiad słówka nie

wymówił, chyba do kelnerów, nie raczył nawet spojrzeć na nas.

Władysław poszedł

z jakimś Francuzem na cygaro do ogrodu, ja do siebie na spoczynek, przypomniawszy mu, że nad wieczorem mamy odbyć wspólną przechadzkę.

Po całodziennych i trudnych wędrówkach wśród gór, nic nie ma przyjemniejszego

nad swobodny spacer w dniach odpoczynku. Jest to jak gdyby wolność po przymusie.

Idzie się bez celu, można spocząć gdzie i jak długo się chce, wrócić z kąd się

podoba, nie ma się obawy zabłąkania, spóźnienia na nocleg, zgoła nic nad rokosz

wałęsania się po mozolnej i jakby obowiązkowej podróży.

Doznawaliśmy oba tej uciechy, gdyśmy nad wieczorem puścili się w stronę góry

Harder, na której podnózu wije się pełno ścieżek, a zewsząd przepyszny widok na

dwa jeziora i majestatyczną okolicę. Szliśmy w milczeniu, którem się często

smutek ale nieraz i zachwyty i wewnętrzne ukojenie pokrywa. Nie dbając gdzie nas oczy poniosą, zbacząc już w tę, już w ową ścieżkę, natrafiliśmy na ławeczkę, a na tej siadłszy i nasyciwszy się śliczną perspektywą, ozwałem się nareszcie:

— "Dziwiło cię zapewne, że ja przy obiedzie nietylko moją osobą ale i rozmową odgradzałem cię od miłej Francuzeczki, i że tak chętnie przeciągałem po-

gadanek w przedmiotach jeżeli nie wstrętnych, to nader mi obojętnych. Nie lubię osobliwie przy stole mowy o jedzeniu. Zostawić to należałoby pasibrzuchom i smakoszom, bo to ich rokosz i powołanie. Ja przeciwnie, pragnąłbym, aby się wtedy toczyła taka zawsze rozmowa, coby jak najdalej odrywała myśl od

upokarzającego dowodu, żeśmy wraz z zwierzętami "fruges consumere nati". Ale przebaczysz mi ten fortel, gdy ci powiem, że mi chodziło o ciebie. Anglicy są niezmiernie zazdrośni, osobliwie ci, co mają żony cudzoziemki. Zdaje im się, że każdy obcokrajowiec jest takiej żony rodakiem, i że ona może jak najłatwiej przyłgnąć do niego. Uważałem jak ów mąż spostrzegł, żeś mile z jego figlarną małżonką oczkować poczynał, i bałem się, żeby do jakiego starcia nie przyszło".

— "Ależ ja — odpowiedział Władysław — nie miałem żadnej ochoty i pochopu do gawędy. Oniemiały mnie te dwie zimne postacie, które przed sobą widział.

Jeszcze nic ten starszy, ale nigdy jeszcze w życiu nie uczułem do kogokolwiek

takiej antypatii od razu, jak do tego młodszego, co mi się wydał
obrazem dumy i
zarozumiałości, pychą bałwana z lodu. Niemniej przeto starałem się
skorzystać z
waszej rozmowy: Uderzyły mnie osobliwie wasze uwagi o ubiorze i
tytułach. Zaraz
też postanowiłem sobie wszystko jaskrawe z mej toalety wyrzucić, a
po obiedzie w
skok pobiegłem do gospodarza, aby z tablicy kazał wymazać tytuł
hrabiego, którym
mnie, widząc że wybieram pokój na pierw-

szem piętrze i dobrze płacę, z szcudrobliwości swojej obdarzył".

— "Jakto? pozwoliłeś na to, zwłaszcza po rozmowie, którąśmy
przed kilkoma

dniami w tej mierze w Ragatz prowadzili?

— "Nie pozwoliłem, lecz nie miałem odwagi naprawić, gdy mię na
tablicy z

tytułem wypisano. Ale już teraz zawsze od razu utnę, gdy mnie
garsony lub

właściciele hotelów ośmiela się tytułować".

— "A gdyby ci jeszcze przyszła kiedy chęćka stchórzyć w tym
względzie,

przypomnij sobie jaki to wstyd i śmieszność sprowadza na ludzi ta
słabostka,

skoro się prawda odkryje, pomnij, że właśnie najwięksi szalbierze,
najnędnniejsze figury, przybierają sobie za granicą godności, których
nawet w

naszym kraju nie było. Mógłbym ci wiele pociesznych a i smutnych
historyjek z

naszego tułactwa z tej kategorii naszych grzechów przytoczyć.

Niektórzy nawet

mniemali, że taki tytuł jest zasługą. Jakąż to śmiesznością na całe
życie okrył

się ów młodzieniaszek, który po prawdziwej czy zmyślonej audyencji
u Ludwika

Filipa, opowiadał, że gdy swój tytuł wymienił królowi, ten z
zadziwieniem
wykrzyknął: Si jeune et déjà comte? Ale zamiast odstręczających
przykładów wolę
ci postawić wyższą pobudkę, a tą jest pamięć jak nasi wielcy
przodkowie
pogardzali blichtrzem takich czczych odznaczeń. Złote są te słowa,
które Firlej,
kasztelan wojnicki, pisał do syna: "Jeden jest stan, którego prawa i
swobody
wspólny równa użytek. Ten, co się wynosi tytu-

łem, zasługuje na śmiech i pogardę, a hańba i niesława spada na tych,
którzy się
za cudzoziemskimi cackami uganiają". Dosadniej jeszcze wyraził to
późniejszy
obywatel i poeta, mówiąc:

Obce zaszczyty, królu, naszych żądz nie wabia,
Wszyscyśmy równi hrabiom, acz nikt nie jest hrabią.
Nie mitry u nas różnią, lecz męztwo i czyny,
Rył to mieczem Zamoyski jeńcom u Buczyny".

Władysław podał mi tylko rękę na znak przyrzeczenia. Wzięliśmy się
do powrotu,
bo już mrok zapadał. Szliśmy znowu w milczeniu, zapomniawszy
zupełnie, żeśmy się
mieli jeszcze obszerniej rozmówić co do wycieczki, którą zamierzał
dnia
następnego rozpocząć Władysław w Oberland Berneński. — Czemże
się dzieje, że
szara godzina tak zawsze usposabia do dumania? Czy nie tem. że
między jednym a
drugim jest ściśle podobieństwo i łączność. Jak bowiem zmierzch
zaciera

przedmioty i zlewa je w jedną mglistą przestrzeń, tak w zadumę
spływają myśli i
wrażenia coraz niewyraźniej, aż się ulotnią w nieokreślony i
bezkresny zachwyty
lub tęsknotę. Tak w cichości marząc wróciliśmy już prawie po ciemku
do hotelu, u
którego progów dopiero rozbudził nas gwar hałaśnych podróżników, a
tyle nam
sprawił przykrości, że tylko uściskawszy się poszliśmy każdy do
swego pokoju.
Nazajutrz Władysław miał tylko chwilkę, by wpaść do mnie i
pożegnać się na
prędcę, bo już przewodnik od godziny nań czekał.

Dnie jego nieobecności wydały mi się nader długimi. Człowiek
nawet
przyzwyczajony do samotności, gdy ja przerwie miłem
towarzystwem, tęskni, aż
znów do niej się nie przyzwyczai. Miałem Anglików dla
roztargnienia, ale jakoś
nie szło. Mimo nawet usilnej piśmiennej pracy, którą sobie zadałem,
co chwila
wzmagało się we mnie pragnienie, by już środa nadeszła i mój
towarzysz powrócił.
Nadeszła i środa, ale o Władysławie ani słyhu. Gdy i we czwartek"
rano go nie
było, począłem się niepokoić. Wpadł wreszcie około południa.
Dostrzegłem w nim
zaraz jakąś obawę i zmieszanie.
— "Cóż takiego — zawołałem — czy jaki przypadek?"
— "Nie przypadek, ale awantura".
— "Byle nie romansowa, i nie pojedynek".
— "Coś trochę z pierwszej, lecz nie było rady".
— "Nie pomniałeś na moją. A przecież nie brakło ci odemnie
ostrzeżeń przeciw
cudzoziemkom, osobliwie Angielkom".

— "Właśnie Angielka, i do tego nasza znajoma od źródeł Rodanu: Miss Mellish.

Ale nie gniewaj się kochany Mentorze, nic się tak złego nie stało. Wystaw sobie, po obejrzeniu w niedzielę Lauterbrunnen i najbliższej okolicy, wyprawiłem się do podnóża Jungfrau. I kogoż na Wengern Alp zastaję? Oto opasłego pana Mellish, chudą jego połowicę, kwaśną kuzynkę Smith i zawsze lubą, przejrzystą, powietrzną Miss Annę. Już tam od trzech dni siedzieli. Ojciec obawiający się zawsze upałów, kazał

sobie wystawić szalas i ani rusz. Wątpię, aby pisał drugiego Manfreda, ale coś tam mierzył i eksperymentował. Napróżno matka, w wiecznej obawie, że jaka lawina na nich spadnie i zgruchocze wszystko do koła, nagliła do powrotu. Napróżno pokaszająca kuzynka zaręczała, iż niezawodnie galopujących suchot tam dostanie. Nawet ulubiona córka nic wskórać nie mogła, choć wciąż przypominała, że jeszcze na zeszłą niedzielę dali byli rendez-vous w Interlaken jakimś przybywającym do Szwajcaryi przyjaciołom. Stary jak się uparł tak uparł. Prawda że trudno sobie wyobrazić coś cudniejszego nad widok ztamtąd na Jungfrau, a jaka pogoda, jak lekko tam oddychać, ile nowych co chwila odkryć i wrażeń, chciałoby się u stóp dziewiczej góry jak najdłużej pozostać. Mnie każda minuta tam spędzona utkwi w pamięci na zawsze. Prawda, że to po największej części winien towarzystwu Miss

Anny. Co za wzniosłość duszy, jakie uczucie w sercu, ile nauki i zdolności, ile poezji, a przytem sama miara i rozsądek. Coby to była za żona! Półtora dnia nam zeszło w mgnieniu oka. Ona rysowała, zbierała do swego zielnika dzikie kwiatki, a spuszczać się z przewodnikami w wąwozy między jodły, rodzicom jako wielką rzadkość poziomki znosiła. Wszystko z taką prostotą, tak naturalnie, jak małe dziewczę. Ale i ten idealny pic-nic skończyć się musiał. Nie wiem, czy to ostrożność względem mnie, czy obawa że się zmieni pogoda, bo pan Mellish poczynął szarpanie po kościach uczuwać, dość że sam zapowie-

dział, iż nazajutrz rano do Grindelwald powędrujemy". "Jak zwykle bywa po wielkich upałach, gęsta mgła zaległa góry, gdyśmy wczoraj rano w drogę się wybierali. Potem drobny deszczyk mżyć począł i nieco się rozjaśniło. Przewodnicy zaręczali, że doskonale widać i że droga wyborna. Pochód otwierał pan Mellish na mule, potem niesiono dwie lektyki ze starszemi paniami, w końcu Miss Anna także na mule, a ja z kosturem tuż za nią kroczyłem. Przednią i tylną straż tworzyła rzesza przewodników. Od mgły i deszczu kamienie były oślizły. Na jednym skręcie nad przepaścią zsunął się muł Miss Anny jedną nogą na niższy kamień. Ona, siedząc bokiem na siodle a frontem do skalistej ściany, w mgnieniu oka jak piórko zleciała na stopkę mchu, który szczęściem w tem miejscu

jakby gniazdko uścielał, i tylko rękawiczkę z lewej ręki zgubiła.
Przerażenie
było ogromne, osobliwie moje, ale cała scena trwała tak krótko, że
nawet rodzice
się nie spostrzegli. Przyklękniętej podałem rękę do powstania. Lotem
błyskawicy
była znowu na mule. Tak jednak silnie z trwogi schwycić ją
musiałem, że
niechcący z jej palca ściągnął pierścionek. Był to ten sam szmaragd,
co przy
pierwszym spotkaniu sprawił mi złudzenie, że ona jest ową wróżką
Wiktora Hugo,
trzymającą w dłoni klejnot, z którego Ren się sący. Przez dobrą
chwilę ani ja
wiedziałem, com zdobył, ani ona, co straciła. Nareszcie się
spostzegła,
zaniepokoila i poczęła koło siebie trwożliwie szukać.

Już miała wołać na przewodników, by wracali po zgubę, kiedym ja
opamiętawszy
się, pokazał jej z tryumfem zdobycz moją. Szalona mi w tej chwili
myśl przyszła.
Począłem ją prosić, by mi na pamiątkę tego wypadku darowała ów
pierścionek.
Odrzekła, że żadną miarą nie może. Wtedy poprosiłem, aby mi
przynajmniej
dozwoliła do wieczora go nosić. Po długich targach przystała, ale z
lekkim
rumieńcem czy obawy czy niechęci".
— "Na co się to panu zda?" — mówiła.
— "Fantazya, a może i coś więcej".
— "Cóż takiego?"
— "Może wróżba".
— "Wrózba? Nad przepaścią! Takiej panu nie życzę".
"I nastąpiło długie milczenie. Przerywał je huk spadających lawin.
Deszcz coraz

silniejszy padał. Im niżej, tem droga była równiejsza, ale za to
błotnistsza. W
lasku olszowym przed samem Grindelwald taki czarny ił, że
wierzchowce ledwie się
zeń wydobyć mogły, a my piechotni jakby po polowaniu na kaczki
obłoceni
wyglądaliśmy. Przeszedłszy padoł czy wąwóz, na którym rozsiane
liczne domostwa,
stanęliśmy wreszcie, zmoczeni i strudzeni po trzygodzinnym
pochodzie, w
Grindelwald pod Niedźwiedziem. Uciążliwość drogi nie dozwalała ani
rozmawiać
swobodnie, ani porządnie myśleć. Kołatałem się z przypuszczeniami,
nie mogąc
dociec prawdziwego znaczenia wyrazów Miss Anny. Zawsze przecież
w końcu
tłómaczyłem sobie wszystko na

najlepsze zostawiając bliższe rozpoznanie na chwilę gdy wieczorem
będę jej
zwracał pierścionek".
"Unużeni i przemokli pospieszyliśmy najprzód się przebrać. Gdym się
dowiedział
od służby, że moje towarzystwo kazało sobie obiad w swoich
pokojach a raczej
izdebkach, bo cały budynek jest lichy z tarcic skleconym, zastawić, i
ja
postanowiłem po rzymsku, to jest odpoczywając na łóżu biesiadować.
Po raz
dziesiąty tymczasem oglądając pierścionek, spostrzegłem w środku
cieniutko
wryte dwie cyfry, jedna A. M. — druga S. S. Co znaczyła ta druga?
czy
przyjaciółki, czy kochanka? Obiad mi nie smakował. Kazałem go
sprzątnąć co

prędzej. W tem podwójnem S. zdało mi się słyszeć syk węża. Bijąc się
ze smutnemi
przecuciami, zasnąłem. Musiały być bardzo ponure, bo gdym się
przebudził i
ujrzał śliczną znowu pogodę, uradowałem się niezmiernie i w
wyiskrzonym blasku
słońca niezawodny promień nadziei pochwyciłem. W jednej chwili
byłem na nogach,
w drugiej już ubrany, w trzeciej na balkonie, gdzie się podróżni
zbierali, i
gdzie niebawem zasiadło i moje towarzystwo. Parę godzin było
jeszcze do zachodu.
Postanowiliśmy zużytkować je na odwiedzenie sławnych lodospadów,
a raczej
jednego z nich, co się nazywa wyższym".
"Droga skalista już była oschła. Tylko nieco spieniona Lütschina,
którąśmy po
kruchym mostku przebywali, pokazywała, że w górach musiał deszcz
ulewny padać.
Tuż pod lodospadem jedwabna murawa, zasiana stokrotkami, dociera
do samych

zrębów zamarzonego olbrzyma. Prześliczna jest w tym roku
kryształowa w nim
jaskinia. Starsi wahali się wejść do niej, bo otwór trochę, za niski. Ale
my
dwoje znaleźliśmy się pod jej kopułą bez namysłu. Cudowna, ani
porównania z
tamtą, z której Rodan i wypływa. Światło przenikając szyby lodowe
spływało w
niebieski widnokrag, jakoby siedzibę chórów anielskich. Ale ja nie
miałem oka na
te dziwy. Wpatrzony w moją przewodniczkę, stałem jak zaklęty.
Wszystko co
ziemskie, wszystko co dotąd unadobniało ją jako kobietę, odwiął od
niej jakiś

urok tajemniczy. Czulem, że to dla mnie wyroczna chwila może na
całe życie. Ale
ani na jedno słowo zdobyć się nie mógł. Chciałem jej oddać
powierzony zakład.
Strętwiona ręka odmówiła ruchu. I tak byłbym stał bez końca. Lecz
obok Mirandy
czyha zawsze jakiś Kaliban. Wzogał się on teraz w osobie
przewodnika, którego
pan Mellish wysłał, by nas na zewnątrz przywołać. I wraz zniknęło
piękne
marzenie i obraz uroczy. Wyszedłem pierwszy, za mną przewodnik,
Anna na ostatku.
Gdy stanęła przy otworze, niebieskawa bladość kryształowej jaskini
pokrywała jej
oblicze. Wtem padła na nią różowa barwa właśnie zachodzącego
słońca, ta sama, co
kрасiła w tej chwili śniegowe gór szczyty, jakby „zarumienienie się
ziemi w
objęciu niebiosów”. I czarodziejka stała się znowu ziemianką”.
"Gderanie pana Mellish, który wymawiał córce, że tak długo pod
lodem bawiła i
gotowa się zaziębić, choć w rzeczy samej cieplej tam bywa niż ze-

wnątrz, przebudziło mnie z ostatków marzenia. Anna niby dla
rozegrzania się,
poskoczyła naprzód. Pobiegłem za nią. Gdy posłyszała me kroki tuż
za sobą,
odwróciła się nagle i rzekła:
— "Już wieczór, proszę o zwrot mej zguby".
— "Oddaję kiedy muszę, ale niech mi pani wytłómaczy, co znaczy ta
druga cyfra w
pierścionku?"
— "To sekret".
— "Czy i dla mnie?"
— "Byćby i dla pana powinien, bo tylko najbliżsi moi wiedzą, co to
znaczy, ale

jeżeli się spotkamy w Interlaken, to może... może... pan się o wszystkim dowiesz".

"I wymówiła to z taką figlarnością, że pozostał w niepewności czy to żart, mistyfikacja, zalotne przekomarzenie się, czy uczucie moich próba? W dalszej jednak rozmowie, i później wieczór cały, tak była uprzejmą i wesołą, że znikł z mej duszy wszelki cień wątpliwości i wielkiej znowu nabrałem otuchy. Dziś wróciliśmy, a że i oni w naszym hotelu stanęli, pewnie się spotkamy przy obiedzie i cała rzecz się wyjaśni".

— "Wszystko to — rzekłem — bardzo mi się nie podoba. Zawikłałeś się. Jam cię tyle razy ostrzegał, jak ostrożnie trzeba być z Angielkami. Wiesz dobrze, że panny w Anglii mają daleko większą swobodę niż mężatki. Łatwość w obejściu sprawia, że one mają za nic owe z swój strony grzeczności, które u nas kawaler wzięłyby za dowód skłonnych ku sobie uczuć, lub nawet za przyrzeczenie. Skądinąd znowu ka-

waler winien mieć się na baczności. Jeżeli list napisze choćby z niewyraźnym oświadczeniem, jeżeli da lub weźmie jak ty pierścionek, może z nierozwagi lub figłów zabrzeć w zobowiązanie, z którego już się wycofać nie zdoła. I ciebie czeka albo szybkie rozczarowanie, albo, co gorsza, gotowa cię twoja szlachetność popchnąć do związków z osobą i rodziną, o której nic zgola nie wiesz. Jabym

wolał, żeby pierwsze cię spotkało".

— "O nie mów tego — zawołał z uniesieniem — byłby to ciężki cios na samym

wstępie do życia. Zresztą zobaczymy co dalej będzie, a ja ci

przyrzekam, że nie

postąpię dalej kroku bez twojej rady".

I wybiegł jeszcze bardziej rozogniony niż przybył.

Gdy nadeszła pora obiadowa zbiegłem do jego pokoju na pierwszym piętrze. Chodził

niespokojony, chciał a bał się zejść na dół. Zadzwoniono. Wziąłem go za rękę i

zeszliśmy razem. Goście zbierali się w ogródku przed salą jadalną.

Nasze dawne

angielskie towarzystwo już tam było, ale jakież nasze zdziwienie

gdyśmy ujrzeli

je w poufalej rozmowie z panem Mellish i jego rodziną. Zwykle

bowiem Anglicy za

granicą stronią od siebie, a jeśli się łączą, to dowód, że dawni znajomi i

przyjaciele. Władysław powitawszy wszystkich po kolei, podbiegł ku Miss Annie,

która stała nieco na uboczu zajęta rozmową z owym młodszym

Anglikiem, co na nas

tak nieprzyjemne zrobił był wrażenie. Zarumieniła się widząc

podchodzącego

Władysława, a gdy ten zmięszany podał jej

rękę, a na jej towarzysza nawet nie spojrzął, rzekła drżącym do niego głosem:

"Czy panowie się jeszcze nie znacie? Prezentuję panu mego narzeczonego, pana

Sydney Smith". Władysław zbladł, przygryzł wargi. Na szczęście stałem obok i

zacząłem obsypywać Miss Annę pytaniami co do odbytej przez nią wycieczki, a

tymczasem Francuzka pociągnęła Władysława jakimś figlarnym
spostrzeżeniem w
inną stronę.

— "Uciekajmy!" — rzekł do mnie, gdy towarzystwo poczęło
wchodzić do sali
jadalnej.

— "Nie, bo to byłoby niegrzeczności, brakiem wychowania,
tchórzostwem, uznaniem
ich wyższości i tryumfu".

Zasiedliśmy nasze dawne miejsca. Powiększenie towarzystwa
zmieniło porządek.

Krzesło Miss Anny obok jej narzeczonego nie wypadło na przeciw
nas, czegom się

obawiał, ale dalej ku środkowi stołu. Władysław milczał. Ona raz
tylko spojrzała

nań i to z wyrazem smutku. Obiad włókł się ponuro. Szczęściem, że
obie panny

Oliphant były w najrozkoszniejszym humorze i nieprzerwanym
tokiem opowiadań

wyręczały we dwie ogólną rozmowę. Gdyśmy nareszcie wstali, przy
odejściu

oświadczyłem głośno, że już nazajutrz musimy wyjechać, bo już i tak
jeden dzień

dłużej nad zamiar zabawiliśmy, ale że mamy nadzieję jeszcze
wieczorem z niemi

się pożegnać. Starsza panna Oliphant, wynurzając żal, że z tak miłemi
gentlemanami rozstać się im wypa-

dnie, zaprosiła nas na herbatę do jednej z licznych na podgórzu
restauracyjnych
altan.

— "Spotkał cię zawód" — rzekłem do Władysława gdyśmy się sam
na sam znaleźli. —

"Serdeczny żal mi ciebie. Ale wyborna to nauka na początek twojej
podróży. Twoja

łatwość w pozyciu mogła cię zawikłać w coś daleko gorszego. To cię może ochroni od większych niebezpieczeństw. Ileż to ja smutnych widziałem następstw z niebaczących umizgów i z przyczepiania się w podróży do pierwszej lepszej wdziękini. Młodzieniec wyjeżdża za granicę dla nauki, dla zwiedzenia obcych ciekawości, lecz zaledwie obejrzał się po nieznanym mu świecie, zahacza się jakimś lekkomyślnem lub urojonem uczuciem, traci czas, pieniądze, i nie dopiąwszy celu podróży, wraca do domu rozczarowany, zniechęcony na długo przeciw założeniu domowego ogniska w kraju, marzący o nowych wycieczkach i nowych podobnych awanturach wśród cudzoziemek. To jeszcze pół - biedy. Inny daje się schwytać na dobre. Zawiera związek, nie znając zgoła rodziny i stosunków w które wchodzi. Małżeństwo z cudzoziemką rzadko się udaje. On przyzwyczaić się nie może do nowego położenia, ona chciałaby zostać u siebie. Cóż dopiero, gdy zajdzie różnica religii, charakteru i wyobrażeń. Ale to jeszcze nic w porównaniu z losem tego, który da się ułować przez te mistrzynie, co polują na młodych cudzoziemców w wielkich miastach, u wód modnych, w siedzibach gry i zabaw, na przesmykach i węzłach gościńców europejskich. Twoje przy-

najmniej złudzenie było bardzo krótkiem i w dobrym tonie, bo znać, że to przyzwoita osoba".

— "Jej też mi żal największy. Ona takiego oswiałego nudziarza kochać nie może.

Pewnie ją rodzice do tego związku zmusili".

— "Widzę, że jeszcze trwasz w twym złudzeniu".

— "Ah! bo było tak uroczem. Za nic nie chciałbym się go pozbyć".

— "I owszem, nie pozbywaj się, jeżeli ci ma pozostać czystym ideałem. On cię

przynajmniej na czas podróży może uchronić przed innymi pokusami. Nie jestem ja

zdania, że młodość wzbogaca się każdym nowym marzeniem, a starość każdym, które

traci. Jeżeli pragnąłbym, żeby młodość umiała rozróżniać między przelotnymi

złudzeniami a trwałymi i wzniosłymi ideałami, to znowu litowałbym się nad

dojrzałym wiekiem, któryby się nie tylko pierwszych ale i drugich pozbywał.

Więc zgoda, snuj sobie dalej twe marzenie, jeżeli chcesz o pięknej Angielce, lecz

przyrzecz sobie, że ilekroć podobna ułuda pociągnie cię znowu, obraz pierwszej

obroni cię od niej".

— "Nie, nigdy Anny nie zapomnę!"

— "Dobrze, bo to najniezmienniejsze, to bez skazy i uszczerbku jedynie trwać

może, co się we wspomnienie skryształizuje. Jakżeż prawdziwym jest owo zdanie:

Nous ne sommes sûrs de garder intact que ce que nous avons perdu".

— "Ale czyż już straciłem ją na zawsze? Byćże to może?"

— "Już nie mówmy o tem. Jeszcze dziś raz z niemi się zjedziemy. Tylko nie

zdradzaj zbyt dużego smutku".

Wieczór przeszedł poważnie. Anglicy prześcigali się w uprzejmościach. Wszyscy

nas zapraszali do swych domów w Anglii. Anna pożegnała
Władysława serdecznie.
Nawet ponury jej towarzysz podał mu rękę.
Nazajutrz przepłynęliśmy jezioro Brienz a dalej puściliśmy się konno,
a raczej
na mułach, przesmykiem Brünig ku Lucernie. Jest to bardzo łatwa
przejażdżka. Z
początku mało zajmująca. Dopiero na samym wierzchołku,
wznoszącym się o blisko
dwa tysiące stóp nad jeziorem Brienz, warto się zatrzymać i przyjrzeć
rozlicznym
widokom na dolinę Hasli, na bieg Aary, jeziora, mnogie kaskady, i na
cały
Oberland, przecięty wstęgami lodospadów. Tu granica kantonów Bern
i Unterwalden.
Wszędzie kamienne płyty jakby szańce. Na schyłku po drugiej stronie
spotyka się
pierwszy las. Musiała też to być bardzo lesista okolica, z kąd i
nazwisko
Unterwalden. Niebawem dojechaliśmy do Lungern, jednej z sześciu
parafii tego
małego kantonu. Na dolinie tej było niegdyś piękne jezioro. Dziś o
połowę
mniejsze, prawie kałuża, stało się przestrogą dla tych, co tylko za
zyskiem
goniąc, gwałt zadają naturze a w końcu najczęściej się
przegospodarzą. Zachciało
się bowiem mieszkańcom w końcu przeszłego wieku osuszyć to
jezioro, dla
pozyskania nowych pastwisk. Podjęto ogromną pracę i wielkie koszty.
Lat temu
kilkana-

ście przebito nareszcie tunel w górze dla odpływu wody. I cóż się
stało? Większa

część wody odpłynęła, ale pozostawiła po sobie tylko twarda opokę,
na której i
ździebelko trawy rosnąć nie chce. Co gorzej, przyległe pastwiska
znędzniały z
braku wilgoci. Tak sama natura pomściła się za swą krzywdę. O małą
godzinę dalej
leży wieś Gysweil, gdzie drugie błotniste jezioro stoi pomnikiem
podobnejże
nieroztropności i kary.
Następnie przejechaliśmy bez zatrzymania się wieś Saxelen, ślicznie
położoną
wśród pasma ogrodów owocowych. Tu się urodził sławny Mikołaj de
Flue, który
przywiódł do zgody zwaśnione przy rozdziale łupów po pobiciu
Karola Zuchwałego
kantony. Był to ostrego bardzo życia pustelnik. Mieszkał na skale i
ząd jego
nazwisko (Flue albo Fluh znaczy skałę). Zwłoki tego
Błogosławionego spoczywają
tu w pięknym kościółku. Odwiedza je co rok mnóstwo pielgrzymów,
bo grób słynie
cudami.
Najznakomitszą jednak miejscowością po drodze tej jest Sarnen,
stolica
zachodniej połowy kantonu, zwanej Obwalden. Tu zatrzymaliśmy się
na obiad. Po
zwiedzeniu kościoła, dwóch klasztorów i ratusza, gdzie się znajdują
wizerunki
wszystkich Landamanów Obwaldenu, począwszy od XIV wieku,
poszliśmy obejrzyć
miejsce sławnego zamku na pagórku Landenberg. Tu mieszkał
cesarski wielkorządcza
tegoż nazwiska, który może najwięcej się przyczynił do powstania
pierwotnych
kantonów pod wodzą Wilhelma Tella. Za jakieś drobne przewinienie
kazał

on wyprządz od pługą i zabrać parę pięknych wołów Arnoldowi Melchthal. Wysłany z tym rozkazem pacholek, nietylko pochwycił woły, ale jeszcze natrząsał się biadającymu rolnikowi, mówiąc: "Jeżeli chłop chce mieć chleb, to niech się sam zaprzęże do pługą." Oburzony tem Arnold, uderzył pacholeka kijem i dwa palce mu przetrącił. Sam zaś uciekł w lasy. Przez zemstę Landenberg kazał wyłupić oczy ojcu Arnolda. Było to na początku roku . Wkrótce potem chłopów przyszło na zamek z rozmaitemi daninami. Landenberg właśnie do kościoła wychodził. Gdy odszedł, chłopci nasadzili ostre żelaza na kostury swoje, a świątynię przywoławszy trzydziestu innych, w pobliskim ukrytych lesie, opanowali zamek. Landenberg uciekł ku Alpnach. Dognano go, ale skoro przyrzekł, że już nigdy do tych okolic nie wróci, puszczone go swobodnie. Tak się poczęło wielkie szwajcarskie powstanie. Mieszkańcy tego kantonu, równie jak na dolinie Hasli, wywodzą się od osiadłych tu wychodźców z północy, którzy mieli w te strony przybyć pod wodzami Rumo i Resti, towarzyszami Suitera i Swena. Przyjąwszy wcześniej wiarę chrześcijańską, już cesarzowi Honorjuszowi pomagali do wypędzenia Gotów z Rzymu, i otrzymali od Papieża Anastazego chorągiew, .na której klucze św. Piotra wzorzyste sa wyszyte. Musieli być bardzo życzliwymi i pomocnymi Stolicy Apostolskiej, gdyż Grzegorz IV zowie ich opiekunami i obrońcami Kościoła. W godzinę po opuszczeniu Sarnen stanęliśmy

w Alpnach. Jest to port jeziora czterech kantonów u samego spodu
góry Pilat
Ztamąd łódka przybyliśmy do Lucerny i wysiedliśmy w hotelu pod
Wagą. Dano nam
parę dużych pokoi na pierwszym piętrze, z balkonem
występującym nad rzeką
Reuss. W najprzejrzystszej wodzie tysiące tam płasa pstrągów.
Tradycja niesie,
że Chateaubriand przebywał tu parę tygodni, zabawiając się
karmieniem rybek
okruszynami chleba. My też poszliśmy zaraz po posileniu się za jego
przykładem,
co też nas znacznie rozweseliło. Przez całą bowiem drogę Władysław
był smutnym i
młczącym, a ja pragnąc, aby sam się uspokoił, nie zważałem mu.
Rozpogodziwszy
się więc figlami pstrągów, wróciliśmy stopniowo do zwykłych
pogadanek. A czas do
tego naglił, bo już tylko trzy dni mieliśmy być z sobą, i należało nam
je jak
najlepiej zużytkować, a plan jak najlepszy ułożyć. Stało na tem, że
jeszcze
tego dnia Władysław obejrzy Lucernę, sławnego Lwa i mosty,
nazajutrz zaś
popłynie statkiem, który zwiedza wszystkie ciekawości jeziora aż do
Altorf, ową
historyczną dziedzinę wielkich dzieł Wilhelma Tella. Ja musiałem
zostać w
Lucernie, bom miał kilka ważnych interesów w mieście, a prócz tego
jezioro
znanem mi już było dokładnie. W niedzielę po nabożeństwie
postanowiliśmy udać
się na Rigi, nocować na szczycie tej góry, i w poniedziałek wróciwszy
do
Lucerny, rozjechać się we wtorek.

Nazajutrz Władysław wypłynął bardzo rano, ja zaś po odebraniu listów z poczty, udałem się do Sig-

warta Müllera, ówczesnego naczelnika Sonderbundu, do którego miałem polecenia.

Prawdziwy to republikanin, taka prostota i skromność, chociaż nazwisko jego tak głośnem wtedy było w całej Europie. Mieszkał w maluczkim, ubogim domku na bocznej ulicy. Stara służąca, jedyna w całym domku, otworzyła mi bez pytania drzwi do izdebki na pierwszym piętrze. Siedział zadumany nad mapą kantonu.

Łóżko, nad niem krucyfiks, kilka nieosobliwych litografii na ścianach, szafka,

komoda, pół tuzina stołków i stół po środku, większej biurko pod oknem, i oto

wszystko, a przecież tak zacieśniało izdebkę, że ledwie się w niej ruszyć można

było. Skoro mię spostrzegł, przywitał bardzo uprzejmie, nie powiem uniżenie, ale

potulnie, a gdy przebiegł okiem listy, które mu przywiozłem, zaczął jak

najpoufalej rozmawiać. Było to wkrótce po odparciu frajszarów. Jam mniemał, że

po tak ciężkiej nauce nie odważą, się już radykaliści atakować Sonderbundu. On

jednak przewidywał wojnę, i to wydaną przez rządy radykalnych kantonów. Prochu i

broni miał dość, ale wodza nie było, a szance tylko jakby na żart. Wiadomo, że i

między naszymi generałami szukano dowódcy, i starano się to o Skrzyneckiego, to

o Chłapowskiego, ale ci nie chcieli mieszać się do spraw obcych. Po długiej, a

dla mnie wielce zajmującej rozmowie, rozstaliśmy się bardzo serdecznie, ja z wyrazem wysokiego szacunku dla jego prostoty a rozumu, on z słodkim, prawie dziecięcym uśmiechem wdzięczności za me odwiedziny, ja życząc mu powodze-

nia, on polecając siebie i sprawę swoją modlitwom moim. Jeden z rodaków naszych, Litwin, mieszkał w willi położonej w pobliżu miejsca, gdzie stoczono bitwę z frajszarami. Ten mnie zawiózł na cmentarz w Littau, o który się ostatecznie rozbił napad nieprzyjacielski. Z pagórka tego można było doskonale osądzić o przebiegu bitwy. Litwin z podwójną dumą opowiadał mi szczegóły, bo mu pobojowisko przypominało swą nazwą kraj rodzinny. Niedziela sierpnia. Byliśmy na kazaniu i mszy śpiewanej w kościele Jezuitów, najbliższym naszego hotelu. Wielka okazałość obrządku, natłok pobożnych, coś dziwnie poważnego a razem smętnego, zdradzały jakby przeczucie, że i ztąd niezadługo zasłużony ten i wielce dobroczynny zakon będzie musiał ustąpić. Po obiedzie przeprawiliśmy się małą łódką do Weggis, a ztąd odprawivszy nastreczajacy się tłum przewodników i wziawszy tylko małego chłopca, Gottlieba Balgis, do niesienia dwóch lekkich naszych tłumoczków, tylko niezbędne rzeczy na jeden nocleg zawierających, ruszyliśmy wygodną ścieżką ku szczytowi góry Rigi.

* * *

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

RIGI.

Nic więcej nie ma malowniczego jak góry, a przecież mało znalazły one
zwolenników wśród mistrzów pędzla. Równiny posiadają ich tak
wielu, morze ma
swych Claude Lorrainów, Vernetów, Van den Veldów, Turnerów, a
góry, jeżeli
natchnęły kiedy jakiego znakomitego malarza pięknym pomysłem, był
to niezawodnie
jakiś drobny szczegół, dolinka i parę chatek, kaskada, skalisty wąwóz
łomami
jodeł obwarowany, żaden jednak mistrz nie ważył się objąć w jednym
obrazie
takiego amfiteatru szczytów jak Oberland Berneński. Czemże się to
dzieje? Czy
dla tego, że kolory piętr wyższych, szara nagość skał, ciemna mchów
zieloność,
obok białości śniegów i lodów, nie tworzą tej różnorodności, co w
zgodną jedność
spływa? Czy brak życia na wyżynach, czy wreszcie sam ogrom i
majestat, prze-

razą i ubezwładnia sztukę naśladowczą? Byłby to nowy dowód, że
prawdziwej
wielkości ani podnieść ani upiększyć ani sprostać artystycznie
człowiek nie
umie.

Ale zdałoby się, że muzyka i urodzić się musiała i panować głównie w
górach

powinna. Już samo zwiastunne i służebne echo kolebkę jej i dwór królewski tam
naznacza. A jednak jakżeż mało one dostarczyły wątku i natchnienia wielkim
twórcom harmonii. Oprócz kilku śpiewów szwajcarskich i tyrolskich, nic z nich
nie utrzymało się w pamięci muzycznej narodów. Już jedna nasza Ukraina sówiciej
powszechną dziedzinę melodyi wzbogaciła. Opera, ta naczelną i najzamożniejszą
przedstawicielką sztuki muzycznej w naszych czasach, nic górom znakomitszego
nie zawdzięcza, chyba "Wilhelma Tella" i "Dama Białą".
Góry nazywano zawsze poezją ziemi. Niemi ona się wyrzyna ku niebu. Na nich Bóg
przemawiał do pierwszego zakonodawcy. Z nich zstępowali prorocy i patryarchowie.
Na ich szczycie pierwszą i najokazalszą cześć stwórcy oddawano. Mitologia na
nich usadowiła swe bogi i muzy. Z tamtąd jej spływały źródła natchnienia. Rzadko
też taki wieszcz, czy pogański czy chrześcijański, któryby coś z swych obrazów,
przenośni, porównań, nie był górom winien. Ale nie ma takiego, coby im wyłącznie
a choćby tylko przeważnie swój nastrój poświęcił. Stepy mają swych poetów, morze
swoich, a nie wznosił się nad

innych żaden mistrz słowa, którego by poetą gór mianowano. Czy może poezja ludowa objawia się polotniejszą, obfitszą, bogatszą, na górach
niż na równinie? I to nie. A czemu? Bo groza, przestrasz, czarownictwo, czem
najpotężniej góry przemawiają do wyobraźni ludowej, nigdy tak płodnym źródłem

dla uczucia być nie zdołają, jak miłość, swoboda, łagodna tęskność,
która na
bujnych żyznością ziemi a pracą człowieka przestrzeniach panuje.
Tam odrębność,
tu spójność, tam niedostępna zastołość, tu życia najrozliczniesze
objawy
spływające w jedność, tam dla ducha pełno przerażeń i wstrząśnień, tu
dla serca
więcej daleko lubyh pochopów, radości i ukojeń. Lud też przypisuje
górom więcej
szataństwa niż boskości. Są one dlań siedliskiem djabłów, czarownic,
złych
duchów. Kiedy na dolinach tyle nazw odnosi się do Boga, do cudów,
do
błogosławieństw Bożych, do Świętych, (Boża Wola u nas, Bożydar,
Świętopole), —
to ileż gór przeklętych (Maladetta), ileż w nich skoków djabelskich,
szlaków
szatańskich, jaskiń zaczarowanych, bram piekielnych. Dobrze
powiedziano, że
góry, jak wszelka ziemska wielkość, uderzają wyobraźnię ludzi i
wrażają się w
ich pamięć nie tem co dobrego, ale tem co złego mają w sobie.
Lecz i na nieprzesadnego a przemądrzałego człowieka szataństwo gór
działa
tysiączeniem! pokusami. Wznosząc go, poniża. Im wyżej ciągnie, tem
niżej strąca.
"Czego chcesz od nas dziecie z błota?" —

mówi duch gór do Manfreda. Kusicielstwo to nęci śmiałków w
bezpłodne
bohaterstwo, wbija ich w pychę nagląc w niebezpieczeństwa bez celu,
rodzi w nich
przesyt i rozpacz po dokonaniem bez pożytku szaleństwie. Iluż to
zginęło nim

dotarło do szczytu, a gdy szczęśliwszy zuchwalec stanął na nim,
poznał marność
swego wysiłku, i byłby żałował, gdyby nie próżność i nadzieja
przechwałek na
całe życie. Czarodziejska owa potęga i przemoc rozdziela człowieka.
Jeżeli go
czyni panem własnego ducha, to zabija w nim serce. Serce ciągnie go
do życia i
do ludzi, odserdeczniony duch pcha go w samobójstwo. Góry — to
pustelnie
szaleńców, klasztory bezbożników. Wordsworth je zowie
konfesyonałami rozpaczy.
A przecież będą one zawsze obrazem wielkości, szlakami podniosłych
myśli, drogą
do nieba. Dla niesamblubnych i wyższych dążeń nie ma gościńca
obwarowanego
szańcami wygody i bezpieczeństwa. Opłotki, które gnuśności stawia
zbytek, jeden
podmuch zmiata. Duch i serce ukrzepia się w przygodach, hartuje w
niebezpieczeństwie. Kto nigdy nie stąpił śmiałą nogą na zrab
przepaścisty, ten
struchleje i cofnie się przed pierwszą w życiu przeszkodą. Szatan kusi
śmieiej
na wyżynie, ale też i Bóg strzeże i wspiera potężniej na wysokościach.
Jeżeli
człowiekowi łatwiej żyć, rozmnażać się i wzbogacać na poziomie, to
widok gór
wyrywa go z doczesności, przypomina niebo, i nakazuje mu dążyć
coraz wyżej, gdy
nie stopą to duchem. Excelsior!

Takie na przemian, raz przychylnie to znów nieprzyjazne górom myśli
dostarczały
nam obfitego wątku do rozmowy, gdyśmy wygodną ścieżką
wstępowali na coraz wyższe

pokłady skał, które się zbiegają u szczytu jakby w koronę
niezrównanej
piękności. Nie potrzebuję dodawać, że to Władysław resztką złego
humoru z
doznanych zawodów wyrażał tak ostro swą niechęć przeciw górcom.
"Pogodzisz się z
niemi — mówiłem — gdy je wszystkie jutro przy wschodzie słońca
ujrzesz w całym
majestacie, zapomnisz o szataństwie, a uwielbisz ich anielskość".
Całą górę okrywają żyzne pastwiska. Dziś już nie godziłoby się
wywodzić jej
nazwiska od Rigidus Mons. Raczej przystoi drugie jej miano: Regina
Montium. Spód
jej jakby wiankiem otaczają bogate sady owocowe. Na południowej
stronie dojrzewa
nie tylko słodki kasztan, ale i migdał i figa. Sto kilkanaście szaletów
gnieździ
się na pochyłościach. Pastwiska te żywią w lecie przeszło sztuk
rozmaitego
bydła. Pokłady skał sterczą tylko jakby dla świadectwa silnej posady,
dla
rozgraniczenia łąk, i dla obwarowania dróg, które wiodą do szczytu.
Taką
postępowaliśmy teraz, co chwila nowym, szerszym, przypatrując się
widokom. Od
kapliczki Heiligenkreuz poczyna się droga krzyżowa. Na jednym
krzyżu ujrzałem
dwa wielkie klucze. Modląca się pod nim dziewczynka powiedziała
mi, że to klucze
do nieba. Następnie wznosi się prawie prostopadle skała, na którą
wdziera się
ścieżka

w ziggzag wykuta. Dalej przechodzi się przesmyk między czterema
olbrzymiami

skalami (Hochstein albo Felsenthor), których arkady tworzą wspaniałą bramę.

Ztamąd przez spadziste łąki dociera droga do Kaltbad, gdzie źródło zimnej jak

lód wody dało początek zakładowi kąpielnemu, bardzo skutecznemu na reumatyzmy.

Źródło to zowie się "Fontanna Sióstr", gdyż tu niegdyś miały się schronić trzy

siostry przed prześladowaniem ciemieżców austriackich, i ztąd całą okolicę

ubłogosławiły uczynkami wielkiej pobożności i miłosierdzia. Obok stoi kapliczka

poświęcona Matce Boskiej. Przy niej kończy się droga krzyżowa.

Długie potem

pasma pastwisk doprowadza najprzód do granicy kantonu Schwytz, gdzie konie i

muły opłacają kopytkowe podróżni zaś myto, a następnie do Staffel, gdzie jest

dość wygodna gospoda dla tych co nie chcą na samym kulmie nocować. Tu nas jednak

taki wicher napotkał, żeśmy tem spieszniej na sam szczyt pospieszyli, by się za

odłamy skał, które tworzą najwyższą piramidę góry, skryć i nad nawałą zapanować,

gdyż, rzecz szczególna, najczęściej na samym kulmie cisza, kiedy tu wiatr dmie w

najlepsze. Prądy bowiem jak na jeziorze Czterech Kantonów, tak i tu zmieniają

się według przesmyków, któremi płyną. Podobnież wśród ciasnych uliczek miasta,

na jednej gwałtowny przeciąg powietrza, na drugiej pokój.

Jakoż dość trudnemi stopniami dobiwszy się do Kulmu, znaleźliśmy się tam w

zupełnej ciszy. Jest to dość znaczna przestrzeń, ale ani jednego drzewka

na niej, tylko troche murawy. Na pochyłości ku południowi stoi
drewniana
gospoda, mogąca w potrzebie do stu podróżnych pomieścić. Ale choć
pragnęliśmy
jak najrychlej w niej spocząć i posilić się, zwróciliśmy się najprzód ku
jakiemuś drewnianemu rusztowaniu, które służy zarazem za podstawę
do ręcznego
telegrafu, za cel do wymiarów trygonometrycznych, i za rodzaj
belwederu dla
gości. Gór takich jak Rigi, co do pięknego kształtu i obfitych
pastwisk, jest w
Szwajcaryi bardzo wiele, ale ona tem ma nad innymi pierwszeństwo,
że odosobniona
i że stoi jakby w wybranem umyślnie miejscu na obserwatoryum,
przed którym
rozciąga się niemal cały poczet najwyższych szczytów alpejskich.
Jakżeż przeto
śmiesznem jest to spinanie się człowieka na paluszkach drobnej pychy
i stawianie
drewnianej strażnicy, by o parę łokci podnieść szczyt, który na stóp
nad
ziemią panuje.
Pieszochodźcy, którzy przybywają na wysokie płaskogórza, gdzie się
jaka gospoda
lub uchrona znajduje, winniby nieobzierając się w około, w niej
najprzód
odpocząć. Ale rzadko komu ciekawość dozwala posłuchać tej rady. I
my także, nie
bacząc na ciężko uznojone czoła, poczęliśmy od rozglądania się na
wszystkie
strony. Trudno nawet w Szwajcaryi o widok rozleglejszy, a tak
wydatny i
wyrazisty, że wszystko znać jak na dłoni. Wprawdzie szczyty
najwyższych gór,
lekką mgłą zasnutę, zaledwie odznaczały się na nieboskłonie. Ale za
to
wszystkie niższe piętra, doliny, wody, niezliczone miasteczka,

wsie i pojedyncze zagrody, występowały dobitnie i wypukło jak na obrazie. Oprócz kilku rzek, widać czternaście jezior. Różne przybierając kolory, błyszczą one jak rozsiane na bujnych przestrzeniach perły, turkusy lub szmaragdy. Parę wydawało się tylko kropelkami rosy niebieskiej. Dla gołego nawet oka widok sięga z jednej strony do Lucerny, z drugiej do Zug, z trzeciej do Schwytz. O wschodzie słońca niepomiarnie on się jeszcze rozszerza. Jak nad Neapolem, miastem zbytku i rozkoszy, stoi Wezuwiusz niby groźba zniszczenia, tak i w tym cudnym krajobrazie, wzorze pokoju, zamożności i szczęścia, sterczy naprzeciw Rigi wpół rozbity Rossberg, i szerokim pasem rumowisk zdaje się naigrawać 'okolicznym wspaniałościom i bogactwu. Góra ta zawałiła się września roku. Część jej zachodnia obsunęła się na długość przeszło pół mili naszej, na szerokość tysiąca a na głębokość stu stóp. Zarzucając dolinę u swego spodu ogromnymi odłamami skał, zniszczyła cztery ludne wsie, zburzyła kościołów, silnie zbudowanych domów, szaletów. Życie postradało w tej katastrofie mieszkańców. Uderzenie tak było gwałtowne, że ciężki dzwon jednego kościoła znaleziono zagrzebanym o ćwierć mili dalej. Można by zajmującą powieść napisać ze strasznych pojedynczych wydarzeń, okropnych zgonów, a cudownych wybawień, które dotąd przechowały się w mieszkańców pamięci. Dla Rigi i dla licznych a wesołych tłumów, które ją odwiedzają, Rossberg tem

silniejszą powinienby być

przestroga, że w już coś podobnego, tylko w daleko mniejszych rozmiarach, wydarzyło się i na niej.

Są jeszcze inne smutne pamiątki przywiązane do tego miejsca, które zwykle wre uciechą i zabawą. W piorun zabił tu jakiegoś Anglika. W oficer pruski zaszedłszy za daleko nad przepaść, zsunął się i zginął w oczach żony i dzieci.

Na kilkanaście dni przed naszym przybyciem jakaś para nowożeńców z Hamburga

zbliżywszy się za nadto do północnego zrębu, który jest najurwistszym,

ześlizgnęła się w otchłań i przepadła. Postawiono teraz w tem miejscu poręcz,

ale tak słabą, że zamiast zapobiedz podobnym wypadkom, pomnożyłaby je

niezawodnie, gdyby nie była zarazem odstraszać pamiątką. Jakże to często tak

przerywają się miodowe miesiące! Prawda, że wtedy najwięcej się podróżuje, a

szczęście ma swą zarozumiałość i zuchwalstwo. Widziałem nad jeziorem Gaube w

Pireneach pomnik postawiony młodej parze angielskiej, która w pierwszym miesiącu

po ślubie znalazła śmierć w odmętach, niebacznie pomimo przestrogi przewodników,

puściwszy się kruchą łódką na wzburzone tonie.

Nas nie żadna straszna przygoda, ale przykry zawód czekał tu na wstępie.

Zabałamuciwszy się długo rozglądaniem po niezmiernym w około obszarze,

nieznaleźliśmy już w gospodzie dogodnego na nocleg pokoiku. Dano nam jakąś

ciasną na strychu komórkę o jednym łóżku. Na drugie już nie

było miejsca. Władysław biorąc na siebie całą winę opóźnienia, zaręczał, że spać nie będzie, i że woli czekać na wschód słońca, byle tylko dano mu maluczki stoliczek i dobrą świecę, przy której mógłby pisać. Na dole były dwa duże pokoje, jeden jadalny, przystrojony wkoło rycinami, między którymi ujrzelśmy pomnik Kościuszki w Zuschweil pod Soloturn, drugi mniejszy, niby czytelnię, którą stanowiło kilkadziesiąt romansów w rozmaitych językach. Nie do nich wzięliśmy się czekając na wieczerzę, ale do przezierania księgi podróży. Tu znaleźliśmy zapisanych pełno osób znakomitych, wiele nazwisk polskich, i nieco znajomych naszych. Były tam wpisy wierszem i prozą, rzadko które udatne. Aleksandra Dumasa długi wiersz do słońca był tej treści: „Jeżeli o wschodzie zazierało do mojej sypialni w Paryżu i znajdowało mię zawsze pogrążonego we śnie i ukrytego za kotarą mego łoża, to teraz w odwecie (si tu veux prendre ta revanche) —, bądź, jak twemu majestatowi przystoi, wspaniałomyślnem, i wschodząc nie skryj się za mgły zasłone”. Ale i wstrętnych imion nie brakło. Na jednej stronie był zapisany Adam Gurowski, a po nim dość znaczny odstęp, jak gdyby następny gość wzdragał się tak blisko swoje miano położyć. W odśpiewie tym zaraz Władysław napisał.

Przyszedł zbrodnie knować nowe.
Nie zabiłżeś go piorunie?
Na takiego zdrajcy głowę,
Chyba drugi Rossberg runie!

Gurowski po powrocie z Ameryki i po paroletnim urzędowaniu na jakimś wicegubernatorstwie w Rosyi, właśnie był teraz wyjechał na zachód, aby w Rzymie intrygami wspierać Błudowa, który miał polecenie zawrzeć podstępna ugodę ze Stolicą Apostolską. Jakkolwiek oburzenie Władysława było szlachetnem i słusznem, nie mniej zrobiłem mu uwagę, że nie przystało nam tak publicznie skarżyć się i wyklinać. Cudzoziemcy zrozumieją z tego tylko, że między Polakami trwa zawsze niezgoda. Ztąd zanosilo się już między nami na dysputę polityczną, ale dano znak do wieczery, i my też pospieszyliśmy zająć nasze miejsca. Zgiełk był nie do opisanania. Kilkadziesiąt osób hałasowało, strzelało do siebie dowcipkami, wrywało sobie talerze i potrawy. Mężczyźni, pod pozorem usługiwania damom, sami się najprzód raczyli. Dorwawszy się kawałka zimnej wołowiny, spożyliśmy ją na prędcie i wybiegliśmy na dwór. Właśnie słońce zachodziło. Zmiana światła i cieni tak tu jest szybką i przemożną, że zupełnie inny przedstawił się nam obraz niż przed dwiema godzinami. Słońce zapadało za Lucernę i zdało się brać dla niej w posiadanie cały ten obszar. Lekka mgła u szczytów nie dała nam widzieć gry kolorów na śniegach i lodach, którąśmy tyle razy przy zachodzie

słońca podziwiali, a co więcej, nabawiała nas trwogą czy jutrzejszy poranek będzie pogodnym. Długo jeszcze siedzieliśmy na przyczółku jednej skały, aż dopiero, gdy całe niebo zaiskrzyło się gwiazdami, zdołałem na-

kłonić niechętnego Władysława do powrotu w gospodę. Ta, rześcisto oświetlona, zdawała się i blaskiem i zgiełkiem urągać gwiazdom i majestatycznemu spokojowi przyrody. Co rychlej więc wsunęliśmy się do naszej izdebki. Po nowych targach kto ma jedyne w niej łóżko zająć, spocząłem na niem, a Władysław wyjąwszy papier, pióro i atrament ze swej teki, usadowił się przy stoliczku, na którym ledwie jeszcze jedna świeca zmieścić się mogła. Ale spać nie było mi podobieństwem. Na dole w sali rozpoczęły się tańce. Kruchy domek, który drgał za lada stąpieniem, teraz chwiał się i skrzypiał jak statek na burzliwym morzu. Przypomniało mi to mą podróż przed dwoma laty z Liverpool do Dublina. Była śliczna noc miesięczna. Tylną część parowca zajmowało bogatsze towarzystwo i cały czas tańczyło. Na przodowej leżała, pokotem gromada biednych, obdartych Irlandczyków, którzy ze żniw w Anglii wracali. Kontrast był uderzającym; tu zbytek, tam nędza, tu wesołość i swawola, tam cichy szept, pacierze lub westchnienie tęsknoty. Lekkomyślność ludzka nigdzie tak nie razi jak w obec wielkich obrazów i cudów natury. Władysław jednak zdawał się obojętnym na hałasy

u dołu. Zatopiony w marzeniach, chwycił tylko czasami za pióro i coś kreślił.

Może i trzęsienie ziemi nie byłoby mu wtedy przerwało wyższego nastroju.

Domyśliłem się niebawem, że pisze wiersze. Przystojniej na wulkanie rymować choćby licho, niż tańczyć.

Nad ranem ucichło i ja się też zdrzemnąłem, Obudził mnie róg alpejski, który na godzinę przed wschodem słońca daje znak gościom kilkakrotnym powtarzaniem narodowego Ranz des Vaches, że już czas wstawać. Gdym otworzył oczy, już

Władysława nie było. Wraz ruch począł się w całym domu, ale ani porównania z

hałasem wieczornym. Znać znużeni tancerze jeszcze spali. Oby za karę i przespali wschód słońca, — szepnęła mi myśl złośliwa, gdym się podnosił z ciężką głową i

szumem w uszach po tartasie nocnym i niedostatecznym wywczasowaniu. Wtem wpadł

Władysław, i oznajmiając, że się prześliczny poranek zapowiada, otrzeźwił mię i rozpogodził.

Było jeszcze szaro, gdyśmy wyszli z gospody. Kilku tylko podróżnych snuło się na

wzgórzu jak zaklęte duchy. Niektórzy zaledwie pół-ubrani. Są tacy, co dopiero w

ostatniej chwili zrywają się, i biorąc na się kołdry flanelowe, spieszą powitać

słońce. Wielu to czyni dla zimna, które z rana często tu jest przenikającym. Na

ścianach gospody wszędzie wisi ostrzeżenie, że nie wolno kołder zabierać. Ale to

jest raczej zachętą do przekroczenia zakazu niż odstąpieniem.
Anglicy nieraz
umyślnie się tego dopuszczają dla figłów, a potem za to hojnie płacą.
Niejeden z
nich mniema, że w obcych krajach wszystko za pieniądze im ujdzie,
jak ów Lord,
który zabiwszy kelnera, oburzonemu gospodarzowi odpowiedział
tylko: "I to pan
połóż na rachunek".

Odsuwaliśmy się też jak najdalej od coraz liczniej przybywającej i
coraz
hałaśliwszej tłuszczy podróżników. W sam czas przyłączył się do nas
przewodnik
zamówiony do sprowadzenia nas przed południem na drugą stronę
góry do Art. Ten
ustawił nas teraz na wyskakującym rogu skały, z którego, jak
twierdził,
najlepiej cały obszar okiem objąć się daje, ale zarazem zalecił jak
największą
ostrożność, bo o jeden krok dalej, przepaść. Pocziwiec już zawczasu
trzymał nas
za ramiona, lecz gdyśmy go zapewnili, że każdy z nas ma pewną nogę
a zawrotu
głowy nie doznaje, zastrzegł sobie tylko, że obok stać będzie i
wszystkie nam
szczyty wskaże po kolei.
Szczyty te, głównie od południa i wschodu cieniować się wkrótce
poczęły jak
lekkie obłoki. Stopniowo zdawał się cały świat olbrzymów jakby z
pod wody
wynurzać i przybierać tytanicznie- posagowe kształty. Ze
wzmaganie się światła
nie tylko gra kolorów coraz cudowniej się przeobrażała, ale i
perspektywa

zmieniała się co chwila. Raz zdało się że z swych posad chyłą się ku
nam te
olbrzymie posagi, jak gdyby nas zagarniały do swej olimpijskiej
rzeszy... już...
już prawie ich ręką dotknąć, aż tu znów, usuwają się w niezmierzoną
odległość.
Uroku dodawała obawa, bo wałęsające się mgły na szklanej
przestrzeni jeziora,
to podnosząc się, to opadając, utrzymywały niepewny umysł między
nadzieją i
trwogą, czy w samej najuroczystszej chwili nie wzbiją się w górę i nie
przesłonią słonecznego oblicza. W miarę jak widniało, rozliczność
barw spływała

w toń jednostajniejszej jasności. Na raz z za grzbietu i góry Sentis
wystrzeliły
dwa ogniste wytryski, jakby mojżeszowe płomienne rogi. W oka
mgnieniu
rozstrzępiły się one, niby aureola, w otok tysięcznych Opromieni. I
oto jednym
rzutem wstępuje całe słońce na niebosiężny tron rozbudzonej radośnie
ziemi. Lecz
zaledwie dotknęło jego krawędzi, już się od niej odrywa i rączo ku
wyższym dąży
stropom. Słowo na ustach, zamiera. Duch w piersiach wstrzymuje się.
Dusza,
zachwycona dusza może tylko w głębi swej zawołać z prorokiem:
Domine nescio
loqui — i modlić się. U dołu, z każdą chwilą wzrasta życia śpiew i
ruch. Z
dziedziny mroku, złudzeń i snów, wychyla się na dzień biały
rzeczywista postać
krajobrazu. Ten sam co wczoraj przed wieczorem, a o ileż świeższy,
odmłodzony,
radośniejszy! Lecz ani malarz ani poeta nie zdołałby objąć całości w
jej

rozlicznych kształtach i barwach. Cóż dopiero pospolity wędrowiec?

Temu

pozostaje tylko opis topograficzny.

Widok na zachód sięga najdalej. Kraj z tej strony wydaje się niższym, a z tej

wysokości, obok amfiteatru gór południowych i wschodnich, prawie płaszczyzną. Na

krańcu jeziora uśmiecha się biała Lucerna, nad którą z lewego boku panuje ponury

i zębaty Piłat. Za miastem lśni się wstęga rzeki Reuss, dalej jezioro Sempach,

wślawione pamiątką jednego z najświetniejszych zwycięstw szwajcarskich i

bohaterstwem Winkelrieda, a oko zatrzymuje się dopiero na nienajwyższych w

przeźwyczeniach gór jurajskich.

Na północ, u stóp Rigi, miasteczko Art; między niem a Zug podługowate jezioro

tegoż nazwiska; dalej wyżyny góry Albis, za którą przebłyskuje kilka domów

przedmieścia zurichskiego i dwie części tamtejszego jeziora.

Horyzont

ograniczają bory Czarnego lasu. Bliżej ku wschodowi, obok góry Rossberg, widać

jezioro Egeri, nad którym Szwajcarowie wygrali sławną bitwę Morgarten.

Wschodnia część długo jeszcze po wyblasku słońca była pogrążoną w cieniu. Ale za

to tem dobitniej odznaczały się wierzchołki gór, jak Doedi na pograniczu

Gryzonów, Glaernisch w kantonie Glarus, Sentis w Appenzel. Na tle góry Mythen (

tak nazwanej, bo ukoronowana jak gdyby Mitrami), skromnie ale nadobnie, obok

jeziora Lowerz, odbija miasteczko Schwytz, kolebka Szwajcaryi. Tu rozsypane wszędzie pamiątki z bohaterskich dziejów Wilhelma Tella, a choć wzrok nie wszystkie dosięga, wdzięczność i cześć stawia je przed oczami duszy. Najwspanialszą jednak jest strona południowa i Przedmurze Rigi tak występuje naprzód, iż zasłania większą część jeziora i zdaje się dotykać górzystych brzegów kantonu Unterwalden. Nad temi panuje łańcuch najwyższych szczytów, począwszy od Oberlandu berneńskiego, od Jungfrau, Mönch, Eiger, Finsteraarhorn, Schreckhorn, Wetterhorn, aż do Titlis, najwyższego wierzchołka w Unterwalden, do Rothstock, do Bristenstock, między którą a Seelisberg przechodzi droga św. Gotarda. W ten sposób widać z Rigi całą północną Szwaj-

caryę, i wyjąwszy Mont Blanc, najokazalszą w Alpach dzielnicę. Co jeszcze zwiększa zajęcie, to wzgląd że tu roztacza się przed nami niemal w zupełności pierwotna historia zwycięskiej Republiki, od Schwytz do Zurich, od Morgarten do Sempach. Nie było nam spieszno zabierać się do odwrotu. Tymczasem wzgórze wyludniło się z podróżnych. Przedłużaliśmy tem chętniej nasze rozpatrywanie się na wszystkie strony, żeśmy się uczyli od przewodnika najprzód nazwy najwyższych wierzchołków, potem niższych, a wreszcie rozmaitych na padole miejscowości. Opowiadał on nam,

że i Rigi miewa czasem swego sobowtóra. Dzieje się to, gdy mgły
wzniosą się pod
górze od strony przeciwnej słońcu, nie ogarniając, przecież
wierzchołka. Wtenczas
na tle tych obłoków odbija się niekiedy powiększony znacznie obraz
Kulmu z
osobami na nim stojącymi. Zjawisko to widzieć się daje rano przy
Küssnacht, w
południe przy Art, wieczór ku Lowerz. Podwaja się nawet jeżeli ściana
prostopadła
obłoków jest bardzo gęstą. Nad niem przegina się zawsze wspaniała
tęcza.
Posiliwszy się, ruszyliśmy około godziny dziewiątej w stronę ku Art.
Schodzi się
z Kulmu najprzód tą samą, co wiedzie w górę, ścieżką, ale na Rigi
Staffel droga
skręca się na lewo w wąwóz, z którego nic już nie widać. Tęsknota
przejęła nas w
tej ciasnocie i odosobnieniu, jakby po rozstaniu się z dobrymi
przyjaciółmi.
— "A co? — rzekłem do zadumanego Władysława — czyś się nie
pogodził teraz z
górami. Czyś

nie pokochał ich, nie zapomniał o ich szataństwie, nie uznał boskiego
piętna na
nich, czy ci każdy tu szczyt nie wraził się w pamięć jak obraz
drogiego
przyjaciela, który już cię całe życie nie opuści? Przyznaj, żeś już
nawet
należny im hołd oddał nietylko w duszy ale i na piśmie, bom widział
po twojem
zadumaniu, a potem gwałtownych ruchach w nocy, żeś był w
zachwycie i niezawodnie
wiersze pisał".

Nie mógł zaprzeczyć, ale się drożył z udzieleniem mi swego utworu.
Wreście
stało na tem, że mi przeczyta, lecz wprzód jeszcze coś innego
napisze.
Dochodziliśmy właśnie do kościołka Najświętszej Panny Śnieżnej,
która cudami
słynie. Pątnicy, nawet z daleka, licznie się tu zbierają, osobliwie w
dzień
sierpnia. Obok stoi klasztor Kapucynów i kilka domostw już dla
ugoszczenia
pielgrzymów, już dla chorych, którzy na mleczną czy na serwatczaną
kurację w
lecie tu przybywają. I nas, gdyśmy się pomodlili w kościółku, jakiś
pocziwy i
Kapucyn zaprosił na mleko. Przyjeliśmy, aby nie obrazić. Ale gdym w
najlepsze
rozgadał się z nim o powstaniu tej osady, Władysław wysunął się,
znać że mu
pilno było napisać co przyobiecał. Jakoż gdym wyszedł, bo czas było
w drogę,
zastałem go siedzącego na pobliskiej ławeczce i właśnie składającego
zapisany
papier do pugilaresu.
— "Teraz już mi się nie wykręcisz — ozwałem się, gdyśmy w pochod
ruszyli. —
Czytaj".
Po niejakiach wymówkach, Władysław bojaźliwie, jakby co złego
popęłił, podał mi
do przeczy-

tania papier, a sam naprzód co skorzej popędził. Był to długi wiersz
liryczny,
pełen błyskawic i gromów, widm i czarów, przez który przebijał
niesmak, pogarda
życia, pogoń za jakimś niedosiężnym ideałem czy utracona kochanką,
fantazya,

przechodząca w dziwactwo.

— "Masz wiele imaginacyi — rzekłem, gdym go dognał
przeczytawszy rękopis — ale
strzeż się tej chorobliwej wybujałości. Proste uczucie zawsze się w
końcu okaże
najobfitszem a najzdrowszem źródłem poezyi. Za nadtoś zawierzył
zdaniu Goethego,
któreś dał jako nagłówek twemu wierszowi: Welcher Unsterblichen
soli der höchste
Preis sein? Mit Niemand streit' ich, aber ich geb' ihm der ewig
beweglichen,
immer neuen, seltsamen Tochter Jovis, seinem Schosskinde, — der
Phantasie! Już z
samego tu wyrażenia znać, że to pogański, nie chrześcijański żywioł.
Ale nie
wiem, czyby i Jowisz przyznał fantazyę za swe najdroższe dziecko.
Grecy mało jej
mieli, a Rzymianie bynajmniej. Wylęła się ona wtedy, gdy
pogaństwo psować się
zaczęło i gdy retorowie w samych dziwactwach się przesadzali. Dziś,
gdy świat
poczyna się wyrzekać chrześcijaństwa, gdy się myśl czystości a
uczucie prostoty
pozbywa, fantastyczność wraca z nadmiarem i staje się chorobą
wieku. Gdzie wiary
nie ma, tam zabobon panuje. Gdzie czyste natchnienie słabnie, tam
fantastyczność
się wzmaga. Może niezaszkodzi pewna jej doza w młodości, jako,
mówiąc po
gospodarsku, zarób, zacier, z którego ma się wywarzyć

wyższa zdolność poetyczna. Alchemia doprowadziła do chemii, a
junakieryą, którą
u nas także fantazyą zwano, może zrodzić prawdziwą waleczność. Nie
. poddawaj

się jej przecież ani za wiele, ani zbyt długo, bo nietylko twe pisma,
jeżeli
kiedy wyjdiesz na autora, ale i życie mogłaby ci skwasić i skrzywić.
Masz, jak
widzę, żyłkę poetyczną, szkodaby jej zmarnować. Zatrzymam ten twój
wiersz na
pamiętkę, choćby tylko dla tego, abyś mi kiedyś, jeżeli się znowu
spotkamy,
przyznał słuszność."
— "O nie, nie, broń Boże, — zawołał dopominając się gwałtem o
rękopis — już
jeżeli mam dać koniecznie pamiętkę, to chyba to, com dziś rano ułożył
a teraz
napisał".
I nie czekając, jakby dla zatarcia wrażenia pierwszym wierszem na
mnie
sprawionego, począł mi następujący czytać:

Błysła jutrzienka — tak hoża, dziewicza,
Jak gdy raz pierwszy nad świata padołem,
Bóg jeden promień odjąwszy z oblicza,
Zatoczył słonecznym kołem.
A że zbyt mogły nagłe światła tonie
Przerazić ziemi oczy niemowlęce,
Więc w mglistym rąbku, w różanej osłonie,
Kazał biedz naprzód jutrzence.

Błysła jutrzienka, dziewicza i hoża,
Jak gdy zawitał nad potopu wody,
Od Opatrzności zbłąganej podnoża,
Najpierwszy promień pogody;

I gdy w obłokach spiał tęczę ku arce,
Ścieląc po falach złociste koleje,
Przedpotopowe by pocieszyć starce,
Że im powraca nadzieję.

Błysła jutrzienka na alpejskie szczyty,
Na szańce śniegów i odwieczne lody,
Gdzie skrzy się napis gromami wyryty:
Twierdza męztwa i swobody.
I rozwidniła i wioski i miasta,
Co się w tych szrankach mnożą i bogacą,
Gdzie wolnych ludzi potężny ród wzrasta
Braterstwem, zgodą i pracą.

O Polsko moja! kiedyż i nad tobą
Ciężyc ucisku czarna noc przestanie,
Kiedyż i tobie, okrytej żalobą,
Błyśnie wolności zaranie?
Wierz, krzep się, ufaj, bo wnet i te lody,
Któremi północ tłoczy cię i nęka,
Może okrasi rumieńcem swobody
Taka jak w Alpach jutrzienka.

— "To już o wiele lepsze — rzekłem — i myśl mężka i uczucie
zdrowe, — znać, żeś
tamtę w nocy, a to na dniu białym pisał. Już nie przesyt, nie bóle i
rozczarowania osobiste samolubnie wygrzmiewasz w skargach na
świat i na ludzi,
ale współczujesz z milionami. Mógłbym może i tu zarzucić jakiemu
szczegółowi,
lecz w każdym utworze chodzi głównie o pomysł pierwotny, a ten
wydaje mi się tu
dobrym. Masz, widzę, i pochop poetyczny i nieco

wprawy. Nie śmiałybym jednak ani wróżyć ci wielkich w tym
zawodzie przeznaczeń,
ani zachęcać do poświęcenia się onemu wyłącznie. U nas za nadto się
w ostatnich
czasach rozwierszowano. Jakiś gorączkowy liryzm, a przytem
chorobliwa

czułościowość zniewieściła, spaczyła duch narodowy. Prawda, że niewymowny ból, który nas wszystkich dręczy, szukać nieraz musi ulgi w wulkanicznych wybuchach. Ależ naród nasz potrzebuje przede wszystkim ukojenia, męzkich postanowień, żelaznej wytrwałości w powszednim obowiązku. Niezawodnie, byłby to fatalny znak, gdyby poezja u nas miała całkiem zamilknąć. Winna ona nad prozą życia się unosić, nawoływać na wyższe tory, krzepić wiarę, i nadzieję, ale gdyby zniechęcała, odstręczała od zajęć pospolitych, a jak u nas z odrazą mówią, poziomych, gdyby pochłaniała żywotne siły społeczności, wtedy przestałaby być posłanką niebios. Dał nam Bóg dziś grono wielkich wieszczów, jakich ani Polska przedtem, ani żaden naród jednocześnie nigdy nie posiadał. Kiedy mgła spustoszenia zasłoniła wszystko u dołu, oni, jak w tem widmie wierzchołka Rigi, o którym rano mówił nam przewodnik, stoją jedni widzialni na szczycie, a odbici na tle naszej niedoli, rosną w olbrzymy i przewodzą narodowi. Przecież, pod brzemieniem tej mgły, nie ustaje tu praca, gromadzą się zasoby, trwa trud powszedni. U nas przeciwnie, zapatrzeni w oblicza naszych proroków, zakładamy ręce, a byle kto, dobrawszy się głosu, już chce wieszczyc, jak oni. Wszyscy mamy usposobienie, tempe-

rament poetyczny, lecz to nie jest jeszcze mistrzostwem myśli, minstrelstwem

słowa. Kochać poezję trzeba, uprawiać ją można, byle nie odrywała nas od

powinności powołania naszego na poziomie. Nic także nie mam przeciw wierszowaniu

jako zabawce. Wierszomania należała zawsze do fantazyi szlachcica polskiego.

Jakżeż miło powinszować rymem sąsiadowi, wnieść zdrowie wiązaną mową, dziatkom

napisać wiersze na imieniny matki! Nieco we wszystkim poetyczności, to powab i

ozdoba ogniska domowego. Nie zniechęcam cię więc, dumaj, marz, i czasem chwytaj

za lutnię w wolnych chwilach; tylko pragnąłbym, abyś nie uległ pokusie, i

pożytków prozy życia dla niepewnych na parnacie zdobyczy nie poświęcał".

Władysław milczał. Żal mu zapewne było postradać, a choćby tylko przytłumić w

sobie nadzieję, tak przygodną jego wiekowi, że kiedyś może stanie w pierwszym

rzędzie piewców naszych. Ja też, aby złagodzić poprzednie me wyrazy, dodałem co

prędzej:

— "Prawdziwe powołanie przebije się przez największe przeszkody i zniechęcenia.

Tem świetniej wy błysnie, im one były liczniejszemi i dolegliwszemi.

Szekspir

mówi: Nikt nie zdoła kuli słonecznej w lód zamienić wachlując ją pawiem

piórkiem. A byłoby to pawią zarozumiałością, gdyby zużyta i skrzepla starość

ważyła się ziębić święty ogień młodości. Doświadczaj się więc, próbój, ale jeśli

ci skrzydeł nie starczy, miej odwagę zwinąć je zawczasu, byś ich nie złamał w

zbyt górnych i bezowocnych zapasach.

Zresztą, kto wykształci styl swój w trudnościach wiersza, temu lżej przyjdzie dobrze pisać prozą. A prozy, jędrnej i jasnej, wspartej gruntowną nauką, brak nam we wszystkich kierunkach. Naród nasz oświatą niegdyś równał się najpierwszym, często je przewyższał. Dziś katastrofy polityczne, zubożenie majątkowe, ucisk, brak szkół wyższych, tryb publicznego wychowania w warunkach wstrętnych jego przeszłości i duchowi, utrudniają mu pochód niezmiernie, jeżeli jeszcze nie całkiem zamknęły drogę do dotrzymywania przynajmniej kroku innym narodom w umiejętności i ogólnym postępie. Ale do czego gościńcem dotrzeć nam trudno, to ubocznymi ścieżkami doścignąć usiłujmy. Niech praca umysłowa, wykluczona od zachęt i ułatwień, od współzawodnictwa i zaszczytów na walnych wiecach życia publicznego, na zapasach i popisach nauki, schroni się do zacisza domowego, i tam tem dołożliwiej krząta się około uzbierania nowego majątku duchowego, nowych zasobów, w miejsce tych, które nam wrogowie zabrali lub poniszczyli. I chociażby nie od razu wydostać się na jaw zdołała i narodowi przynieść pożytek i chlubę, wysunie się ona kiedyś tem wspanialej, jak owa wieża, która budowana pomału, kryła się w ziemię z każdego dnia przyrostem, aż ukończona, gdy na jej szczycie zatknęli krzyż pokorni ja wytrwali robotnicy, wybiegła w górę cała na podziw, a co więcej na przykład świata". — "O znam dobrze — rzekł Władysław — tę piękną legendę o dzwonnicy peczerskiej.

I przy-

znam się, że mojem marzeniem było kiedyś z jej wątku wysnuć
poemat. Bo w
istocie, jakaż ona wielką dzisiejszym smutnym losom naszym niesie
naukę i
pociechę Cokolwiek zamierzymy, to w sa mym zawiązku marnie
ginać się zdaje.
Ledwie co budować zacznem, a już rozstępuje się ziemia, by naszą
prace i
nadzieje pochłonać. Nad czem dziś się mozolimy, to się rozwieje
wprzód jeszcze,
nim opa dnia mgła porankowa przed wschodzącem jutra słońcem. I
wszyscy załamują
ręce. Jedni na widok daremnych znojów odchodzą i już nie wracają
więcej.
Ufniejsi w Bogu krzepią się i budują dalej. "Wytrwałości!
wytrwałości! — (woła
sumienie, wołają przedniejsi narodu mężowie). Przyjdzie kiedyś anioł,
który wam
każe dzieło wasze szczytem zgody i jedności uwieńczyć, a na nim
krzyż, godło
wasze, postawić. Spieszcie się wtedy, byście zdołali znamie to trwale
na wiek
wieków i bez chyby umocnić. Spracowani, uśniecie, — uśniecie może
na wieki, jak
owych dwunastu braci budowniczych dzwonnicy peczerskiej, i nie
ujrzycie dzieła
waszego, lecz skoro się wypełnią czasy i nad tym krzyżem błysnie
laska Boża,
skoro ojczyźnie wybije godzina wybawienia, wszystkie prace wasze
wysuną się
wiecznotrwałym pomnikiem na dzień słoneczny, a żadna cegielka,
żadna chwila
trudu zapomnianą nie będzie".

— "Wybornie, wybornie! — zawołałem. — Widzę, żeś jeszcze w nastroju poetycznym.
Do czego doświadczenie tylko długim trudem zdołałoby się dobrać,
toś pochwycił w
lot natchnieniem. Więc

pisz twój poemat, a choćby pięknemu pomysłowi wykonanie nie odpowiedziało,
pozostanie zawsze przedziwna nauka, którą sam, jako jej rzecznik,
będziesz
zobowiązany najprzód i najściślej praktykować".
— "A jeżeli zadanie okaże się nad moję siły, może przyjdzie mi, jak
owemu z
dwunastu braci, który dnia ostatniego na rozkaz anioła krzyż
wieczorem na tej
wieży zakładając prosto go nie osadził, usnąć na wieki z przykurczoną
nogą".
— "Abyś tylko przy pracy nie chromał a statecznie wiary się trzymał,
to na
budowie twego pocziwego żywota sam anioł prosto krzyż utwierdzi,
i zaśniesz w
łasce u Boga a w czci i wdzięczności u ludzi".
Tak rozmawiając, szybko zbiegaliśmy na dół. Ścieżka stroma, częste
kamieniste
schody, gdzieniegdzie jodły i pełno szyszek, to znów pastwiska
ogrojdzone i
wrota, obok stacye drogi krzyżowej, a przy każdej szałas. Doszedłszy
do Unter
Doechli, Siedliśmy w szałasie przy czternastej a raczej przy pierwszej
stacyi,
bo droga krzyżowa wiedzie ztąd w górę do Maria zum Schnee. Gdy
przewodnik,
udarzony od nas małym poczesnem, oddalił się do obok stojącej
karczemki, gdzie
się zawsze wielu pasterzy zbiera, gdyż tu zbiegają się drogi z Art i z
Goldau,

ozwałem się do zapadającego znowu w milczenie Władysława, jakby
przeczuwał, że
to może ostatnia chwila swobodnych naszych pogadanek.
— "Nie wiem czemu — rzekłem — zawsze mi teraz droga na dół
przykrzejszą jest niż
w górę. Jestże

to smutne uczucie, że już koło mego żywota coraz niżej się stacza i że
grób
niedaleki? Żal mi, zwłaszcza oto widząc ciebie tak pełnego zapału i
nadziei, że
już przeszedł czas, w którym kroki moje pięły się na wyżyńę. I mnie
niegdyś
unosilo nad poziom tysiące szlachetnych zamiarów, dążeń i nadziei.
Niektóre sam
zwichnąłem, więcej zmarnował los zawistny, pozostało z nich jeszcze
nieco, jedna
towarzyszyć mi będzie aż do grobu. Ale nie skarżę się, i gdybym raz
drugi miał
począć życie, nie chciałbym innego bodźca, jak zapal młodzieńczy i
ten święty
ogień, co jeżeli nie wszystkich namaszcza w wieszczę lub bohatera, to
każdemu
daje siłę przetrwania w zacności i niezłomnej wierze wśród
najsroższych przygód
i najliczniejszych zawodów. Nie mnie przeto odwozić cię z kolei, na
którą
wstąpiłeś. Tylko miarkować cię pragnąłem. Szczęśliwy jeszcze kraj,
w którym
młodzież wstrzymywać, nie popychać potrzeba. Idź więc w górę
choćby drogą
krzyżową. Droga ta wytknięta obowiązkiem. Nakłada on często
wielkie brzemiona na
nasze barki, ale, jak ktoś dobrze powiedział:

Im bliżej ciężar przyciśniesz ku ciału,

Tem ci się lżejszym wyda on pomału.

Zasługa będzie jednaka, czy ci się uda zamierzony cel osiągnąć, czy
padniesz pod
dnia upaleniem. Wprawdzie świat mierzy ją według powodzenia, ale
Bóg i sumienie
wedle trudu i ofiar, które się na nią składały. Nikt nie zdoła wyżej
odemnie
cenić tej rzut-

kości, co cię w świat ciężkich znojów i poświęceń porywa, i jeśli w
moich
uwagach wydało ci się co zbyt chłodnego i poziomego, to wierz mi, że
nie
pochodziły one z braku współczucia, z braku zrozumienia twych
zacnych popędów,
uniesień, choćby urojeń, ale z obawy, abyś się nie dał im za daleko
pociągnąć i
nie poszedł torem tych, którzy

Wciąż goniąc za marami niedościgłą drogą,
Nigdy przy obowiązku przystanąć nie mogą.

Prawda, że w naszym położeniu nader jest częstokroć trudnem
dopełniać
najprostszych obowiązków, obowiązków względem rodziny,
względem bliźnich,
względem kościoła. Ale im przykrzejszem wydaje się ich spełnianie,
im bardziej
ciężą, tem pewniejszą i trwalszą jest budowa, nawet wtedy gdy
kołatana i spękana
przeciwnościami, jak owe porysowane kopuły, co są tem
bezpieczniejsze, im
większem dociśnięte brzemieniem. Nie usuwaj się od wspólnej z
innymi pracy,

stawaj chętnie jako szeregowiec; zbiorowe przedsięwzięcia są
doskonałą szkołą
ładu, karności, umiarkowania, a "ten tylko bezpiecznym jest na
przełożeniu,
kto się wcześniej posłusznym być nauczył". Nie zrażaj się niczem, uraz
swych nie
rozjątrzej, chroń się bierności, nie osamotniaj się w cichym smutku,
bo to
byłoby samolubstwem cierpienia. Zły żołnierz zchodzi z pola za lada
raną, by się
leczyć i na lepsze czasy zachować, dobry, walczy do ostatka póki mu
sił staje,
choć-

by przegrana była widoczną. Zawsze w zgodzie z sobą, w zgodzie z
swym sumieniem,
niech twe życie będzie jednolitem pasmem, co choć zewsząd targane i
szarpane,
nigdy zmarnowaniu nie ulegnie, bo obowiązek i najcięższą przerwę
zdoła zasnuć na
nowo".

Władysław chciał coś tu rzec, ale mu ciche słowo zawisło na ustach.

Podał mi

tylko rękę, przenikliwie na mnie poglądając. Wreszcie ozwał się.

— "Widzę po twym wzruszeniu i uroczystszy niż dotąd tonie, żeś z
umysłu tu

przysiadł. Miałażby to być chwila pożegnania? O nie, — jeszcze nie!"

— "A jednak tak być musi. Za pół godziny będziem w Art. Tam zaraz
po południu

nadejdzie dyliżans jadący do Zurich. Miejsce dla mnie już wzięte,
rzeczy oddane.

Znajdziesz łatwo powózkę, którą do Lucerny powrócisz. Nie dziw się,
żem cię

zawczasu nie ostrzegł. Unikam zawsze długich pożegnań. To
zakrwawia serce a

rozstraja duszę. Byłbyś może, poczciwym zwyczajem polskim, chciał mnie odprowadzać, mitrząc i zbaczając z własnej drogi. A czasu nie możesz tracić, bo masz jeszcze wiele w Szwajcaryi do widzenia. Podróż przynosi i tę korzyść, że jeżeli trzymasz się ściśle ułożonego planu, jeżeli nie dajesz się niczem zabałamucić, ani żadną prózną zabawą, ani ułudą jakiego miłego towarzystwa, choćby najpiękniejszej trzpiotki, ani nawet pociągiem przyjaźni, to potem i w ważniejszych sprawach życia nie dasz się zbić lada pokusą z obra-

nego toru. Pamiętasz jak o mało cię w Koblencyi statek nie odpłynął, boś się zawieruszył szukając domu. w którym się Metternich urodził, a gdyby nie ja, byłbyś w Moguncyi został z jakimiś Angielkami. Mnie więc najmniej przystałoby, abym pozwolił ci na jakikolwiek uszczerbek czasu, lubo wiem, że uczyniłbyś to nie dla żadnej ostentacyi lub ceremonii, lecz z najczystszych pobudek przyjaźni. Sam ci zresztą przepisałem dalszą marszrutę, naznaczając gdzie masz i w którym dniu się znajdować. Byłoby źle gdybyś zaraz na wstępie jej się przenievierzył. Pozostaje ci jeszcze trzy tygodnie na zwiedzenie Bernu, Fryburga, gór jurajskich, a potem całej wybrzeżnej przestrzeni jeziora genewskiego, z wycieczką na Simplon, w końcu Genewa i Mont Blanc. Nie masz więc ani jednego dnia do stracenia, jeżeli chcesz obejrzeć jeszcze jeziora Włoch północnych, a warto, abyś tego dokonał w jesieni, gdyż wtedy najpiękniejsze. Z powrotem zaś,

jeżeli zimę poświęcisz Paryżowi i udasz się na Wielkanoc do Rzymu i Neapolu,
bodaj czy ci znużenie, które w końcu każdego podróżnika ogarnia, i tęsknota do domu, pozwolą po północnych Włoszech wędrować. Ale czy mniej czy więcej obaczysz, główna rzecz zasób spostrzeżeń i doświadczenia, który w tej podróży uzbierasz".

— "O! choćbym i zaraz wrócił do domu, to z łaski twojej, jużem się wiele nauczył i wielce korzystną podróż odbyłem".

— "Nie mów tego. Jam cię tylko przysposobił do dalszej wędrówki i ostrzegł o niebezpieczeństwach,

które na młodzież naszą czyhają za granicą. Nic ci nowego nie powiedziałem.

Znajdziesz te same rady w najstarszych naszych pisarzach. Oto jedna.

(Tu

wyjawszy karteczkę z pugilaesu przeczytałem mu owo wyborne Reja z Nagłowic

zdanie:) "A tak i ty mój miły panie młody, jeżeli cię Pan Bóg kiedy w jakie

postronne kraje albo w różne narody obróci, miejże też to na pieczy, co przedtem

wielcy a zacni starcowie miewali. A nie dosyć na tem, abyś tam jechał dziwować

się wystawionym pałacom, albo przedtem niewidomym kształtom, ale się przypatruj

ludziom i ich obyczajom, a zwłaszcza takim, z którychbyś miał słuszne przykłady

brać, a haftuj je sobie mocno jako wzory na pamięci i na umyśle swoim, abyś je

długo pamiętał i roztropnie rozważać umiał, i drugim o nich powiadać. A iżby z

ciebie perfumy zalatywały pięknych obyczajów, a nie tylko z
rękawiczek twoich,
aby z ciebie obcy ozdobne przykłady brali, a powinnowaci twoi
zapatrzwszy się
na cię, aby się tobą cieszyli gdy obaczą, że wzdy umiesz o tem mówić
coś
widział, i piękne sprawy w sobie okazać, i żeś się niedarmo włóczył
po świecie".
Przepisałem sobie tę doskonałą naukę z Reja i zawsze noszę w mym
pugilaresie. Za
wiersze, któreś mi dał -dziś rano, przyjmże ten wypis na pamiątkę".
— "Dzięki serdeczne, rzekł Władysław, składając ostrożnie karteczkę
do
kieszeni. Jakżeż mi żal, żem tak mało dotąd czytał naszych starych
autorów. Ileż
tam musi być mądrości, a jaki, miarkując po tym wyjątku, wdzięk w
stylu".

— "Znalazłbyś w nich przedziwne wskazówki i we wszystkich
innych przedmiotach,
o których w czasie naszej podróży gawędziliśmy. Prawda,
okoliczności się
ogromnie zmieniły. Rzeczpospolita z najwyższego szczytu chwały
spadła w
najgłębszą otchłań niedoli, ale zawsze będą jedne i te same reguły na
to, co
zaczego i użytecznego krajowi obywatela wykształca, co charakter w
nim wzmaga,
co, wedle słów Górnickiego, chroni go "w szczęściu od nadętości, a w
nieszczęściu od upadłej myśli". Nie jest już dziś, jak za
Zygmuntowskich czasów,
"zakonem i zawołaniem" szlachcica polskiego jedynie "rycerskie
rzemięsło", lecz
jak wtedy, tak tem więcej teraz odznaczać się on powinien "wiarą,
sercem mężkiem

a myślą wspaniałą". Ogólne jednak zasady mało ważą, jeśli im
człowiek nie umie
dać zastosowania w każdym pojedynczym przypadku, z każdą zmianą
losu.

Przewidzieć wszystkiego nie podobna. Dużośmy się nagadali, a
przecież ledwie
cząstki dotknęliśmy tych cnót i przymiotów, których dziś
obywatelowi polskiemu
koniecznie potrzeba. A i tak wyrzucam sobie, żem cię nieraz znudził,
powracając
często do tego samego przedmiotu. Bo też wśród mnóstwa
szczegółów jest kilka,
które podnosić zawsze i wszędzie stało się jakoby monomanią u mnie.
Nie jestem
ja przecież zwykle tak rozmownym jak byłem z tobą. "Już mi był głos
zachrypł i
szczęki ścierpły" — jak mówi psalmista. Przy tobie się ogrzałem,
orzeźwiłem,
język mi się rozwiązał, i po-

padłem może w tę samą wadę, jaka przy pierwszym spotkaniu
uderzyła mnie w tobie.
Ale jak twoja szczebiotliwość zbliżyła mnie wtedy do ciebie, tak
później moje
gadulstwo może mi zyskało twą przyjaźń. Nie mamy więc czego
żałować, żeśmy
zamiast zwykłych podróżnym roztargnień i płochych igraszek, szukali
zabawy w
tem, co starzy nasi autorowie nazywają "grami rozmownemi".
Nauczyłem się też
wiele, bo wpisując regularnie treść naszych pogadanek w mój
dziennik, miałem
czas i z twoich uwag skorzystać, i moje mniej niedołąźnie wyrazić.
Jeśli bez
ładu i składu wiedliśmy rzecz naszą, chwytając się tego, co nam wiatr
przyniósł,

tośmy w końcu sięgnęli aż do poezji, a ta będzie zawsze wykwitem i
ostatniem
słowem podniesionych myśli i uczuć ludzkich. Teraz znowu
zejdziemy, ja zaraz, ty
trochę później, w szranki prac powszednich. Zdaje mi się, że do nich
podróż ta
ukrzepiła nas obu, i że zadamy kłam zdaniu francuzkiemu, que les
voyages sont la
partie frivole de la vie des gens sérieux".

— "Ja w najlepszym razie — pochwycił Władysław — chyba tylko
drugą część tej
antitezy do siebie odnieść zdołam, to jest: et la partie serieuse de la vie
des
gens frivoles".

— "Bądź co bądź — dodałem — pozostanie nam zawsze związek
przyjacielski, a to
skarb niemały. Pisuj do mnie, póki będziesz za granicą, a z kraju
przemawiaj do
mnie czynami. Teraz uściskajmy się i jeżeli nie z wesołą myślą, to z
wiarą w
przyszłość

rozstańmy się jak ludzie, co jedni sercem i duszą puszczają się na
odmienne
losów koleje".

Władysław rzucił się w moje objęcia. Przycisnąłem go szczerze do
serca, i nie
rzekłszy już słowa wyszliśmy z szałas. Wnet się znalazł przewodnik
któremu
wprzód zaleciliśmy, aby na nas czekał w gospodzie. Wkrótce
stanęliśmy w Art pod
czarnym orłem. Dylizansu spodziewano się dopiero za pół godziny.
Poszliśmy więc
do nowego kościoła Kapucynów. Obok kościoła stoi mała kaplica i
klasztor.

Miasteczko, liczące około mieszkańców, składa się z schludnych domków, na których często daje się spostrzec Wilhelm Tell razem z Matką Boską i ze Świętymi.

Gdyśmy się jeszcze modlili w kościele, wbiegł przewodnik z oznajmieniem, że już dyliżans nadszedł i że natychmiast odjeżdża. Miałem więc tylko czas uścisnąć rękę Władysława i wskoczyć do powozu.

— "Do rychłego zobaczenia" — rzekł widocznie łzy wstrzymując.

— "Do rychłego! Alem ja już tyle razy żegnał się... myśląc że na krótko... a

pokazało się... że na wieki".

— "To nie może być. My musimy się jeszcze kiedyś w życiu spotkać".

— "Daj Boże w ojczyźnie wolnej, całej i niepodległej, choćby przyszło jak najdłużej cierpieć i czekać!"

* * *